

OSCAR WOCKNITT

CONAN I KARZĄCA DŁOŃ

**TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND THE PUNISHING HAND
PRZEKŁAD EWA SKÓRSKA**

CZEŚĆ PIERWSZA

PROLOG

W Królestwie Kresowym nastala jesien. Jak to zwykle bywa na północy, rozpadały się długotrwałe, siąpiące deszcze. Na początku pierwszego miesiąca jesieni ławice szarych chmur płynęły ciężko ku wschodowi, nie pozwalając słabym słonecznym promieniom dotknąć zamienionej w grząskie błoto ziemi...

Olgar, z łaski Mitry wolny rolnik, podniósł głowę i splunął w stronę zasnutego szarym całunem nieba.

— Nergal by wziął taką pogodę! A mówiła mi matka: „I po co ty synku jedziesz do takiej dziury? Na co ci ta za darmo rozdawana ziemia? O, u nas, w Hyperborei, odłogi bierz — nie najlepszy tu grunt, to prawda, bo trochę kamienisty i zmarznięty, ale przecież z ciebie chłopak krzepki...” Siedziałbym teraz, dłuhał szpadlem w „gruncie”, i za kołnierza nic by mi nie ciekło... Tfu! — Olgar splunął jeszcze raz, westchnął i powrócił do wyciągania z mlaskającego błota żółtawej, nadgniłej rzepy.

Za jego plecami, niedaleko pobliskiego skraju lasu, zachlupotały po błocie czyjeś ostrożne kroki. Olgar odwrócił się.

— Kogo tam diabli niosą?

Szarpnął się gwałtownie, sięgnął do dyndającego u pasa kindżału, i wtedy jego twarz skamieniała z przerażenia.

— O Mitro, obroń twego grzesznego sługę! — wrzasnął chłop, wypuścił nóż i rzucił się biegiem przez rozmiękłe pole w stronę małego domku, w którego oknie paliło się przytulne światelko.

Za nim, z okropnym trzaskiem, przedzierało się przez gęste poszycie Coś. Szło, a raczej biegło na dwóch całkiem ludzkich nogach, miało wprawdzie dwie ręce, ale zakończone potężnymi żółtymi szponami, a na grubej szyi kołysał się prawie wilczy łeb. „Prawie”, bo oczy stworzenia były błękitne i ludzkie. Obraz potwora, rodem chyba ze świata demonów, uzupełniała krótka jasnobrażowa sierść, która pokrywała je od stóp do łba.

Biednemu Olgarowi nie udało się dobiec do rodzinnej chaty. Wilkołak dogonił go pośrodku pola i wskoczył mu na plecy. Chłop był silny i przebiegły z ciężkim cielskiem na plecach jeszcze z pięć kroków, kwicząc jak szlachtowana świnią.

Wilkołak jednak nie miał zamiaru poprzestać na przejażdżce. Krzywe szpony rozdarły pierś człowieka, lewa łapa pochwyciła poruszający się rytmicznie worek i szarpnęła... Wycie nagle ucichło, Olgar, szczerze polewając śliskie błoto własną krwią runął na ziemię. Istota nie utrzymała się, spadła ze swojej ofiary i ślizgając się przejechała parę metrów po mokrej brei, mocno ściskając w łapie zdobycz. Zatrzymała się wreszcie, otrząsnęła jak pies i z rozkoszą zanurzyła długie kły w tym, co jeszcze niedawno było sercem Olgara. Gdy wilkołak uporał się z tym malutkim kawałkiem mięsa, uniósł łeb ku niskiemu pochmurnemu niebu i zawył. Ale nie przeciągłe i tęsknie jak wyją wilki, lecz triumfalnie, zwycięsko. Potem stanął na czterech łapach i...

Jego ciało rozmiękło jak nagrzana glina, zatrzeszczały kości, dłonie zgięły się, palce skurczyły, ręce stały się prawdziwymi wilczymi łapami, głowa wyciągnęła się do przodu, wyrósł ogon... Na miejscu człekokształtnego stworzenia stał ogromny wilk o zapadniętych bokach, jasnobrażowej sierści gdzieniegdzie poprzątkanej srebrem, niczym nie różniący się od swoich leśnych braci. Tylko oczy pozostały niezmienione — błękitne i zimne, jak dwa sople. Zwierzę spokojnie wzięło się za pożeranie leżącego przed nim parującego mięsa, czasem dla wygody przytrzymując je szeroką łapą.

Drzwi domku otworzyły się gwałtownie na oścież i na progu pojawiła się dorodna kobieta w prostej płóciennej sukience.

— Olgar, przestań wyc pod oknem, drugi raz już mnie tym nie przestra... O Mitro! — wrzasnęła gospodyni. Krzyczała długo, spazmatycznie, aż do chwili gdy ogromny wilk skoczył i przewrócił ją. Zapadła cisza, zakłócana jedynie chrzęstem łamanych kości i szumem nieustannie padającego deszczu.

Wreszcie wilk najadł się do syta, oblizał, rozejrzał dookoła i leniwym truchtem sytego zwierza, który donikąd się nie spieszy, przeciął pole i skrył się w lesie. Nad spustoszonej domostwem zaczęły latać kruki. Czarnoszare ptaki, które nie wiadomo skąd się wzięły, krążyły coraz niżej...

Wilkołak przemknął przez mokry las, po czym wyskoczył na opuszczoną porębę i przebiegł po niej jeszcze kawałek. Poręba przylegała do szerokiego traktu, wiodącego do Pajgorii, a na poboczu pasły się trzy osiodłane konie, pilnowane przez dwoje ludzi. Sądząc po ich stroju i broni, należeli do osobistej drużyny jakiegoś brythuńskiego szlachcica.

Konie podniosły łby, gdy wilk, wyskakując bezszelestnie z wysokiej trawy podbiegł do nich, ale nie zaczęły z przerażeniem rzeć. Nie przstraszyli się również żołnierze.

Wilkołak zamarł pośrodku traktu, napiął mięśnie, zadrżał i znowu zaczął się przemieniać. Tym razem przybrał postać człowieka — niewysokiego, zgrabnego młodego mężczyzny, z jasnymi prostymi włosami, prostym nosem, wąskimi ustami i błękitnymi oczami. Przez policzki biegła blada blizna.

Jeden z żołnierzy podał mężczyźnie zawczasu przygotowane odzienie — bogaty strój myśliwego.

— Polowanie było udane, panie? — zapytał z szacunkiem. Blade wargi wilkołaka skrzywiły się w uśmiechu.

— Bardzo — rzucił krótko, sznurując kamizelę.

Wkrótce potem wszyscy trzej skoczyli na siodła i kłusem pojechali w stronę Pajgorii.

— Co za ohyda! — powiedział ze wstrętem niemłody dziesiętnik straży pogranicznej, przykrywając derką na wpół zjedzone ciało kobiety i starając się przy tym nie patrzeć w dół. Jego podwładny, który miał widocznie słabsze nerwy i bardziej wrażliwy żołądek, wymiotował oparty o ścianę domu. Dwóch innych żołnierzy zajmowało się ciałem mężczyzny leżącego pośrodku na wpół oczyszczonego pola, a raczej tym, co z niego zostało. Pozostali żołnierze z patrolu przetrząsali okolicę w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów.

— No, co tam?! — krzyknął w chwilę później dziesiętnik do żołnierzy zajmujących się drugim ciałem.

— Koszmar, Erhardzie. W dodatku kruki też zrobiły swoje... Krótko mówiąc, potworny widok! — usłyszał w odpowiedzi.

Erhard z jawną niechęcią podszedł do nich, uniósł płaszcz przykrywający ciało, zbladł i pospiesznie narzucił go z powrotem.

— Co powiesz, Emercie? — zapytał posepnie żołnierza. Emert smutno pokręcił głową.

— Dostaliśmy rozkaz, aby sprawdzić, co się dzieje u tego osiedleńca, bo jego sąsiedzi, ci tam — wskazał ręką wzgórze. — słyszeli krzyki i wycie, dobiegające od strony tej chaty, a sami bali się pójść. Zamknęli się w swoim domu i nie wysuwali nosa. Miałem nadzieję, że to kolejna rodzinna awantura z biciem psa, ale... Wszystko wygląda tak, jak w innych przygranicznych osadach. Na wpół zjedzone trupy, ślady ogromnych wilczych łap i bosych stóp, nie należące do zabitych... Mimo woli przypominają się człowiekowi stare bajdy o wilkołakach.

— Daj spokój — splunął Erhard. — Wilkołaków nie ma.

— Skąd ta pewność? Kto w taki razie zabił Olgara i jego żonę? Przecież nie zwykła psina! — upierał się przy swoim Emert. — To musiał zrobić jakiś drapieżny zwierz!

— Może to sprawka hyperborejskich czarowników? — zasugerował nieśmiało dziesiętnik, patrząc na przykryte płaszczem ciało. Sam jednak nie za bardzo wierzył w to, co mówi. — Ej, Jil! Martoks! Wykopcie grób za domem! Albo nie... Lepiej spalić tę chatę razem z trupami.

Emert skinął głową.

— Masz rację. I tak nikt nie zechce się tu osiedlić.

— Ej tam, zmiana rozkazu! — darł się Erhard. — Wnieście ciała do domu i podpalcie! Jak myślisz, Emercie — odwrócił się do podwładnego — długo to się jeszcze będzie ciągnąć?

Pozostali żołnierze już wnosili do domu suchą słomę ze stogu.

— Ech, dowódco — westchnął Emert. — Dopóki nie zabijemy wilkołaka...

— Co ty z tym wilkołakiem! Dobra — machnął ręką dziesiętnik, patrząc na płonący wesoło dom. — Na konie, chłopaki! Nic tu po nas!

— Dowódco, dowódco! — do siedzącego już w siodle Erharda podbiegł zasapany młody żołnierz. — Poszedłem po śladach. Prowadzą do traktu i tam się urywają. Przy drodze musiały się niedawno paść trzy konie, ale potem wyjechały na drogę i ślady zdeptano. Myślę, że pojechali w stronę Brythunii.

— Zuch — pochwalił podwładnego Erhard. — Ale to nam niewiele mówi... Jazda!

Po chwili jadąca kłusem kawalkada skryła się za wzgórzami. Dom Olgara dopalał się w samotności.

Dziesiętnik Erhard nie podejrzewał nawet, że już niedługo weźmie czynny udział w rozwikłaniu zagadkowych zabójstw i to nie sam, a w towarzystwie słynnego włóczęgi — Cymmerianina zwanego Conanem.

I

— Na Croma! — warknął Conan, gdy z nieostrożnie zahaczonej gałązki wlał mu się za kołnierz wodospad zimnej wody. W dodatku przez cały czas siąpił ten wstrętny deszcz! Czy tam, na górze, wszyscy poszaleli?! Jak długo można podlewać tę przeklętą ziemię, na której i tak nigdy nic porządnego nie urośnie?

Niewielka karawana, do której barbarzyńca najął się jako eskorta, wiozła z Numalii rozliczne cenne (i nie tylko) przedmioty dla króla Kresów oraz jego poddanych. Co prawda, „król” to za dużo powiedziane. W Królestwie Kresowym od dawien dawna panował taki bałagan i zamęt, że nawet Mitra, gdyby nabrał na to ochoty, nie zdołałby rozeznaczyć się w zawilosciach polityki tego malutkiego państewka.

Jak Conan zdołał się zorientować, zachodnią część tego tak zwanego królestwa zajmowały oddzielne klany, bez ustanku walczące pomiędzy sobą i w ogóle nie uznające żadnego króla. Na wschodzie zaś trwała odwieczna walka o tron pomiędzy miejscowymi książętami i rzadko kiedy było wiadomo, kto aktualnie zajmuje rudę, zwaną górnolotnie „królewskim pałacem”. Zresztą, czy to nie wszystko jedno...?

Conanowi po dwóch ostatnich pobytach w Królestwie Kresowym pozostały dość nieprzyjemne wspomnienia z tego posepnego i zapomnianego przez bogów kraju. Przejeżdżając po raz pierwszy przez zachodnie ziemie, Cymmerianin niechcący trafił na potężną wojnę domową. Stanął wtedy w obronie dziewczyny, uratował jej życie i przywrócił sprawiedliwość, a w każdym razie, tak mu się wydawało. Omal nie rozszarpał go przy tym królewski byk — totemiczne zwierzę miejscowych klanów. Za drugim razem było znacznie gorzej: barbarzyńca pomógł kolejnemu, niby to pełnoprawnemu królowi pokonać niespokojnego wasala, który wynajął sobie zgraję ohydnych i wrednych czarowników z Gwiezdnego Bractwa, aby mu służyli. Nie bawiąc się w szczegóły, wspomnijmy tylko największe przykrości: cudem uniknął pożarcia przez potwora, zamordowania przez Rainę Bossońską, oraz powieszenia przez księcia Sizambrii. Nie ma co, przyjemną miał przejażdżkę.

Ale przynajmniej podczas jego poprzednich wizyt było lato i nic nie kapalo z nieba!

Karawana niespiesznie jechała przez gęsty las. Rzadko uczęszczana droga rozmiękła i konie z trudem się poruszały, tonąc w błocie. Kilka razy koła wozów zapadały się tak głęboko, że woźnice musieli złączyć z kózłami i wyciągać je — konie nie dawały rady. Conan, jako najsilniejszy, brał w tym bezpośredni udział, o czym świadczyły jego pokryte do kolan błotem, niegdyś całkiem porządne spodnie i buty.

Po kolejnym długotrwałym i męczącym wyciąganiu wozu z ogromnej kałuży, barbarzyńca wlał na siodło i ponuro pomyślał, że chociaż obrzydły mu Czarne Królestwa i nieustanne nieprzyjemności. Weźmy choćby tamten Żywy Wietrzyk, pomyślał. Co mnie podkusiło, że polazłem wtedy bić się o sprawiedliwość? Tutejsze bagno również trudno nazwać miejscem wymarzonego wypoczynku. Dostyc tego, doprowadzam karawanę na miejsce, biorę forszę i znikam... Tylko dokąd? Może do Aquilonii? Tam podobno znowu zaczęło się coś dziać z Piktami. Najemnicy zawsze nieźle dostawali po karku i innych częściach ciała... Co to za przeklęte miejsce!...

Cymmerianin nie zdążył się nachylić i po jego twarzy przejechała następna gałązka, wywołując kolejną ulewę zimnych kropli i burzę niezadowolenia w duszy barbarzyńcy. Musiał chyba być niespełna rozumu, skoro zgodził się przyłączyć do tej przeklętej karawany...

Conan siedział właśnie w karczmie „Smocza krew” i z przyjemnością się upijał, bo i tak nie miał nic innego do roboty, gdy podszedł do niego niewysoki mężczyzna. Czarne jak smoła włosy i równie smoliste, ładnie przystrzyżone wąsy i bródka oraz smągła twarz świadczyły, że nieznajomy pochodzi ze stepów Hyrkani. Wprawdzie mężczyzna ubrany był według ostatniej

nemedyjskiej mody, ale na szerokim skórzanym pasie wisiała krzywa turańska szabla bez ozdób na rękojeści, w zwyczajnej obciągniętej świńskiej skórą pochwie.

Gdy się odezwał, Conan wszystko pojał. Nieznajomy mówił po nemedyjsku z wyraźnym turańskim akcentem.

— Jak sądzę, mam przed sobą słynnego Conana z Cymmerii?

Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi barbarzyńca skinął głową, ponieważ usta zajęte miał przeżuwaniami niedopieczonej wołowiny. Potem z całym spokojem kontynuował:

— Jestem Omal z Sultanapuru — Turańczyk skłonił się ceremonialnie. Jego schludny wygląd zupełnie nie pasował do zaplutej, śmierdzącej nory, jaką była „Smocza krew”. Conan pomyślał sobie nawet: po co ten fircyk się tu płacze i po jakie licho rozpoczyna rozmowę ze steranym najemnikiem w tarapatach? Może ma jakąś propozycję? Dziesięć albo dwadzieścia złotych monet bardzo by się przydało... — Pozwolicie, panie, że poczęstuję was winem?

Conan wymamrotał coś niezrozumiałego, bo nijak nie mógł sobie poradzić ze zbyt twardym kawałkiem wołowiny. Towarzyszące tym dźwiękom kiwnięcie było dużo bardziej energiczne. Wreszcie udało mu się uporać z opornym mięsiwem i w prawie pustej karczmie zagrział oburzony ryk:

— Na Croma! Gospodarzu, ile lat miała ta krowa — dwieście, trzysta? Dobrze — barbarzyńca zwrócił się do Omala. — Częstuj jeśli chcesz... Ale nie myśl, że dzięki temu będę ci coś winien.

— Karczmarzu! Dzban najlepszego wina — zażądał Omal. — Migiem! — dodał widząc, że tłusty wieprz w brudnym fartuchu niezbyt się spieszy, nisko oceniając wypłacalność swojego gościa. Ale gdy tylko w dłoni Turańczyka błysnęła złota moneta, gospodarz żwawym truchtem, którego nikt by się po nim nie spodziewał, rzucił się do kuchni. Wkrótce na brudnym stole ostrożnie umieszczony został gliniany dzban.

Uśmiechając się szczerbatą gębą, karczmarz rzucił jakby od niechcienia:

— Dwie sztuki złota.

— Co?! — Turańczyk wściekły zerwał się z ławy. — Za takie pieniądze można by kupić całą tę budę!

Tymczasem Conan z wrednym uśmiechem na twarzy spokojnie pochwycił dzban grubym łapskiem, bez zbędnego wahania odbił szyjkę i wlał zawartość do bezdenne gardła. Widać było, jak porusza się jego potężna grdyka. Karczmarz i Omal osłupieli, temu ostatniemu po prostu opadła szczęka. Barbarzyńca osuszył naczynie do ostatniej kropli, stuknął dzbanem o stół i oznajmił:

— Niczegowate. Trochę zalatuje kwasem.

Karczmarz uśmiechnął się najszerzej jak tylko mógł i nieco mniej pewnym głosem powtórzył:

— Dwie sztuki złota.

Omal pobladł, ale rozwiązał tasiemki sakiewki i wyjął dwie okrągłe złote monety.

— Trzymaj, krwiopijco! A ty... — zachłysnął się, szukając odpowiedniego słowa, ale po chwili machnął ręką, roześmiał się i nieoczekiwanie dokończył: — Zuch! Jestem pewien, że będziesz mi odpowiadał.

Conan chrząknął.

— Aleja nie jestem pewien, czy ty będziesz odpowiadał mnie. Przechylił się przez stół i głośno beknął Omalowi prosto w twarz, roztaczając wokół odrażający odór alkoholu.

Opróżniony przed chwilą dzban nie był pierwszym tego wieczoru, ale to absolutnie nie przeszkadzało barbarzyńcy w myśleniu. Po prostu ciekawiło go czy piękniś ucieknie, czy zostanie? Jeśli ucieknie, znaczy że nie warto było go słuchać, ale jeśli nie...

Turańczyk odsunął się ze wstrętem, ale z miejsca się nie ruszył i wycedził:

— Jesteś zwyczajnym zwierzęciem, a ja myślałem...

Cymmerianin uśmiechnął się krzywo:

— Oto druga strona medalu! No, dosyć żartów, pogadajmy o interesie. I zamów jeszcze wina. — dodał, sadowiac się wygodniej i szykując się do wysłuchania wszystkiego, co Omal chciał mu powiedzieć. Chwilowo nigdzie mu się nie spieszyło — pieniędzy już prawie nie miał, pracy na razie też, a tu chyba szykowało się coś ciekawego...

— Gospodarzu! Jeszcze wina, tylko tańszego — Omal usiadł, odsunął talerz z obgryzionymi kośćmi, oparł łokcie o brudny stół i popatrzył Conanowi w oczy. — Jestem dowódcą eskorty kupca Torika. Za dwa dni on i jego wspólnicy wysyłają wielką karawanę do Królestwa Kresowego. Powierzono mi zebranie oddziału dwudziestu–trzydziestu ludzi do ochrony. Zadanie jest proste — należy dostarczyć towar w całości. Ta przejażdżka zajmie ci jakieś dwa, trzy tygodnie — zapłata wynosi dziesięć sztuk złota.

Nieokrzesany, ale szczery śmiech zagłuszył słowa Turańczyka.

— Za takie grosze nawet ostatnia dziwka ci nie da, a ty mi proponujesz zmarnowanie dwóch tygodni! Nic z tego — powiedział twardo Conan i łyknął z ogromnego kielicha.

Omal ze zrozumieniem skinął głową:

— Mówiono mi, że z tobą nie jest łatwo. Dlatego daję od razu pięćdziesiąt.

Conan uśmiechając się, machnął ręką.

— Pokręć się po obrzeżach miasta, może uda ci się wynająć z dziesięciu żebraków. Oni z ochotą pomachają kikutami przy twoich wozach. Posłuchaj, nie jesteśmy smarkaczami. Albo proponujesz normalną zapłatę, albo się wynos. Wyjście jest tam — Conan wskazał drzwi. — Albo, jeśli wolisz, mogę cię wyrzucić przez okno. Co prawda, to akurat jest trochę wąskie, ale nie ma rzeczy niemożliwych...

Turańczyk uśmiechnął się i rzucił:

— Dwieście.

— No, to już zupełnie inna rozmowa — powiedział zadowolony Conan. — Kiedy dostanę pieniądze?

— Pięćdziesiąt teraz, reszta w Królestwie, gdy dotrzemy na miejsce. Broń chyba masz?

Barbarzyńca pomyślał, czy nie obrazić się za takie pytanie, ale zdecydował, że nie warto. W końcu to niezbyt ładnie uchlać się na cudzy koszt, a potem jeszcze urządzić kompanowi i pracodawcy awanturę. W dodatku nawet nie jest w nastroju... Dlatego tylko kiwnął głową i dopił wino.

— Wszystko, czego będę potrzebował, kupię sam. Dawaj! — wyciągnął rękę.

Omal ciężko westchnął, wsunął rękę do sakiewki, odliczył dziesięć piątków z nemedyjskim smokiem z jednej strony i profilem króla z drugiej.

— Przyjdź za dwa dni do północnej bramy. Mam nadzieję, że nie przepijesz natychmiast zadatku... — powiedział dowódca ochrony półgłosem.

Conan puścił jego słowa mimo uszu, spokojnie wrzucił pieniądze do kieszeni, wyglądającej na bezdenną i wstał.

— Przejdę się po sklepach z bronią. Spotkamy się za dwa dni.

O mało co nie waląc głową w niską belkę nad drzwiami, barbarzyńca wyszedł z karczmy. Brudnymi, krętymi zaułkami wydostał się na szeroki trakt Królewski i zatrzymał się w zadumie.

Na trakcie Królewskim (nazywanym tak ze względu na to, że właśnie tutaj miały miejsce wszystkie paradne wjazdy i wyjazdy króla podczas jego rzadkich wizyt w Numalii) znajdowały się trzy sklepy, ozdobione mieczem i toporem skrzyżowanymi na tle rycerskiego hełmu. Wszyscy mistrzowie, którzy tu pracowali, uważani byli za wyśmienitych. Conan spojrzął po sobie i doszedł do wniosku, że jego skórzane spodnie i kurtka, chociaż niezłe już wyświechtane, nie mają jednak zamiaru rozlecieć się w ciągu najbliższego miesiąca. To samo tyczyło się podkutych żelazem wysokich butów. Jego broń stanowił niezmiennie ten sam prosty szeroki miecz ze zwykłą rękojeścią i karpaszyński kindżał o ostrzu długości około

dwóch dłoni. Musiał zatem kupić nieduży topór do walki z konia, kolczugę i hełm. Jak starczy pieniędzy, można by pozwolić sobie na niewielką tarczę.

Cymmerianin podjął wreszcie decyzję i szybkim krokiem ruszył traktem w górę do Atli — rusznikarza z Vanaheimu.

Conan wszedł w łagodny półmrok sklepienia, i mimo woli zatrzymał się, zachwycony porozwieszanymi na ścianach wspaniałymi dziełami mistrza. Czego tu nie było! Kolczugi z długimi i krótkimi rękawami, do kolan i krótsze, srebrzące się w słabym świetle i szmelcowane... Hełmy i tarcze wszelkiego rodzaju rozmiarów i wzorów... Topory i siekiery... W kącie leżała nawet ogromna, wysadzana kolcami kula na łańcuchu — młot bojowy, czule i nieco żartobliwie nazywany „poranną gwiazdką”.

A miecze... Conan mimo woli jęknął z zachwytu i żalu, że nie może kupić wszystkiego. Szczególnie spodobał mu się miecz nieco niższy od człowieka, słusznie zajmujący środek ściany: szeroki, prosty, o stali potrójnie przekutej. Na rękojeści widniał zwinięty posrebrzany smok, trzymający w pysku mały nieoszlifowany diament. Oczarowany barbarzyńca zdjął miecz ze ściany i dla próby zamachnął się nim kilka razy. Wspaniale wyważony... Atli naprawdę umiał robić piękne rzeczy...

Conan ze smutkiem przypomniał sobie o mieczu, wykutym ze „strzały Indry”, wyważonym jeszcze lepiej i powiesił miecz na miejsce.

— Co, nie stać na to cymmeriańskiego oberwańca? — rozległ się za jego plecami wesół bas.

— Nie przeszkadzaj mi liczyć pieniędzy, niedźwiadku z Vanaheimu — odparował z godnością Conan i odwrócił się.

Kowal Atli był potężnym mężczyzną. Barbarzyńca, choć nie ułomek, przy Vanirze wyglądał jak chłopiec. Ręce kowala, porośnięte gęstym rudym włosiem, przypominały korzenie olbrzymiego dębu, a włochata pierś szerokością dorównywała stołowi w karczmie.

Twarz Atli do oczu zarosnięta była ruda broda, płynnie przechodzącą w gęstą rozczochraną czuprynę. Z zarostu wystawał tylko koniuszek zadartego nosa i lśniące wesołe zielone oczy. Kowal ubrany był w długi skórzany fartuch noszący ślady licznych przypaleń.

— No — zahuczał Atli, krzyżując ręce na piersi. — Po coś przyszedł?

Conan poparzył na jego ogromne dłonie i z pewną obawą pomyślał, że kowal zapewne spokojnie mógłby objąć jego szyję jedną swoją łapą. Tak... Takimi pięściami można by kamienie kruszyć, nie mówiąc już o tak delikatnych rzeczach jak ludzkie głowy...

— Potrzebuję dobrej podwójnej kolczugi — najlepiej szmelcowanej — i aquilońskiego lekkiego hełmu bez przyłbicy — powiedział barbarzyńca po chwili zastanowienia. Atli skinął głową, podszedł do ściany, uniósł wieko ogromnej skrzyni i długo brzęczał żelastwem, wyciągając i rozkładając na stole kolczugi. Na wierzchu położył kilka hełmów i zrobił zapraszający gest.

— Wybieraj.

Cymmerianin wybrał niewielką kolczugę z krótkimi rękawami, sięgającą mniej więcej do połowy biodra oraz okrągły wydłużony hełm z kępką białych piór na czubku.

— A co, miecza nie masz zamiaru brać? — zainteresował się drwiącego Vanir, gdy Conan niemal bez żalu wyłożył trzydzieści złotych monet, zabrał nabytki i skierował się do wyjścia.

— Nie wystarczy mi pieniędzy — przyznał się uczciwie barbarzyńca i niepewnie zaproponował: — Chociaż... Może się zamienimy — ja ci dam mój stary miecz i dołożę dwadzieścia złotych, a ty dasz mi ten...

— Warto by się z tobą potargować — powiedział w zadumie Atli — ale niech tam... Lubię, gdy najlepsze rzeczy z mojej kolekcji trafiają w ręce prawdziwych wojowników. Umowa stoi! Pochwę dorzucę ci za darmo.

Uradowany Conan błyskawicznie odpiął swój stary oręż, podał go Atli razem z wychudłą sakiewką, a sam rzucił się do pięknego miecza, jakby ten miał zaraz zniknąć.

— A, właśnie — zagaił kowal, wieszając byłą broń Cymmerianina na ścianie. — Dokąd się wybierasz, jeśli to nie tajemnica?

— Do Królestwa Kresowego, jako strażnik karawany — odezwał się Conan, bardziej zajęty oglądaniem miecza niż rozmową.

— Uuu — powiedział przeciągle Atli z posepną i współczującą miną. — Takie zadupie... A w dodatku zaczęły się tam teraz jesienne deszcze...

— Dlaczego „w dodatku”? — Barbarzyńca wreszcie oderwał się od swojego zakupu i z zainteresowaniem spojrzął na kowala. — Stało się tam coś? Znowu król się zmienił, czy może ktoś zgwałcił królewskiego byka?

Vanir roześmiał się:

— Nie, gorzej. Całe Kresy już od miesiąca stoją na rzęsach — codziennie pojawiają się tam nowe trupy, w dodatku takie ohydne... Naród lamentuje: „Wilkołaki!” Całkiem niedawno pojechał tam pewien kupiec, z jednym wozem i trzema strażnikami, i ślad po nim zaginął. Znalaziono ich po miesiącu, a ci, którzy znaleźli ciała, wyglądali dziwnie blado i w pierwszej napotkanej karczynie uchlali się na umór. Tak więc, Cymmerianinie, zastanów się, zanim włożysz głowę w paszczę niedźwiedzia. Chociaż wy, Cromowe nasienie, i tak nie myślicie, bo nie macie czym...

— Mnie nie przestraszysz bajeczkami o wilkołakach — mruknął Conan, puszczając mimo uszu zaczepkę właściciela sklepika. — Zresztą, na duży oddział nie odważą się napaść. A za miecz i przestrożę dziękuję. Bywaj, Atli. Jak jeszcze kiedyś zajadę do Numalii — przyjdę cię odwiedzić.

— Szczęśliwej drogi, Cymmerianinie — skinął głową kowal. — Powodzenia. Oglądaj się często za siebie — kto wie, może wilkołaki naprawdę istnieją...

Dwa dni później Conan przyszedł o świcie do północnej bramy. Właśnie kończono ładować na wozy ostanie worki, przyszli strażnicy głośno zapoznawali się ze sobą. Okazało się, że oprócz Turańczyka Omala i Cymmerianina ochraniać karawanę będzie dwóch Brythuńczyków, jeden mieszkaniec Kresów, pozostali zaś to miejscowi, Nemedycjczycy. Wśród nich Conan ku swojemu zdumieniu dostrzegł znajomą twarz.

— Ej, Regarat! — krzyknął do wysokiego, chudego Nemedycjczyka z okropną szramą, biegnącą przez całą twarz.

Ten obejrzał się zaskoczony. Na jego twarzy najpierw odbiło się zdziwienie, potem wysiłek umysłowy, wreszcie radość rozpoznania.

— Conan? To naprawdę ty? — ryknął zachwycony Regarat. — No nie! Tyle lat! A pamiętasz burdel w Aghrapurze?

— Nic się nie zmieniłeś — z udawanym smutkiem pokręcił głową Cymmerianin. — Ciągle taki sam dziwkarz z ciebie...

Mocno uściśli sobie ręce, chociaż dwadzieścia lat temu, podczas służby w turańskiej armii, nie byli wielkimi przyjaciółmi. Po prostu kiedyś razem z innymi żołnierzami urządzili potężną popijawę zakończoną pogromem burdelu „Pod pełnią księżyca”.

— Czym zajmowałeś się po tym, jak przyłapał cię mąż tej dziwki i wykopał z Turanu? — zainteresował się radośnie Regarat.

— Lepiej nie pytaj — machnął ręką Conan. — Wszystkim po trochu. Włóczyłem się po świecie, byłem najemnikiem, piratem, strażnikiem i jeszcze kimś. Już nie pamiętam. Lepiej ty opowiedz o sobie.

— Ja? Odszedłem z armii pięć lat temu, miałem już tej służby wyżej uszu — wzruszył ramionami Regarat. — Wróciłem do ojczyzny, a teraz, jak widzisz, najałem się do straży. Płacą nieźle i praca niezbyt brudna, tylko nudna...

W tym momencie Conana zawołał Omal i Cymmerianin najuprzejmiej jak mógł pożegnał się ze starym znajomym, przysięgając, że po drodze opowie o minionych latach i swoich wędrówkach. Turańczyk obejrzał uważnie uzbrojenie Conana, pokiwał z aprobatą głową,

wskazał stojącego przy koniowiązie silnego cisawego wałacha ze słowami: „To twój”, a następnie pociągnął Cymmerianina, żeby przedstawić go właścicielowi karawany — przygnębionemu Nemedyczykowi o imieniu Torik.

W końcu, po długim zamieszaniu, bieganinie i krzykach wszystko było gotowe: poganiacze wleźli na wozy, strażnicy zajęli swoje miejsca — Conan miał jechać za drugim wozem — i posępni wartownicy otworzyli przed nimi pomocną bramę Numalii.

Przypominając sobie to wszystko, Conan pożałował, że nie posłuchał ostrzeżeń Atli. Pogoda była wyjątkowo wstrętna, w dodatku z północy zaczął wiać zimny przenikliwy wiatr, a karawana właśnie wyjechała z lasu na odsłoniętą pagórkowatą równinę i teraz w twarz ludziom zaciąły strumienie lodowatego deszczu.

My jesteście tu tylko przejazdem, pomyślał Conan. Ale przecież mieszkają tu ludzie. Jak oni sobie z tym radzą?

Z tyłu dało się słyszeć człapanie kopyt po rozmiękłej drodze i barbarzyńcę dogonił Regarat, mokry i ubłocony po uszy, co wzmagало jego złośliwość.

— Jak tam wietrzyk? — zapytał sarkastycznie. — A zaraz jak nic wyskoczy ktoś z krzaków... I po co ja się tu pchałem?

— Cicho bądź — przerwał mu Cymmerianin. — To tylko głupie plotki.

— Co, nie słyszałeś opowieści świadka? — zdziwił się nieprzyjemnie Regarat i pokręcił głową, strząsając wodę z kaptura.

— Nie — odciął się Conan. — Jakiego świadka?

— Który widział trupy... Aa! — powiedział ze zrozumieniem Nemedyczyk. — Pamiętasz, że wczoraj zatrzymaliśmy się na nocleg we wsi? No tak, jak mógłbyś pamiętać — władowałeś się do chaty, wytrąbiłeś dzban tych pomyj, które oni tam nazywają piwem, i upiłeś się jak świnia. I przez cały wieczór śpiewałeś pieśni, a raczej wyłeś, bo głos masz jak trąba, a słuchu za grosz.

— Myślałby kto, że ty nie piłeś piwa — uśmiechnął się barbarzyńca, omijając głębokie koleiny, wypełnione mętną brązową wodą. — Kto wydoił te pół beczki, ja sam?

— No więc — ciągnął Regarat, nie zwracając uwagi na zaczepkę Cymmerianina. — Dopóki wyłeś, jak głodny wilk do księżycy, mnie opowiedziano mnóstwo interesujących historii.

— Aha — zgodził się z podejrzaną gotowością Conan. — Całe mnóstwo. A kto ci je opowiadał — żona czy córka gospodarza?

— Nie! — sprzeciwił się rozeźlony Nemedyczyk. — Sam gospodarz mi opowiadał!

— W cztery oczy? No, no, nigdy bym cię o to nie podejrzewał — powiedział potępijająco barbarzyńca. — Gdzieżeś nabrał takich wstrętnych nawyków, w Turanie? I nie wstyd ci?

— Zamknij gębę! Sam jesteś zbrojeńcem! — oburzył się Regarat. — Słuchaj lepiej i nie przerywaj. Gospodarz mówił, że u nich we wsi wilkołaki zagryzły sześciuosobową rodzinę, mieszkającą w domu na obrzeżu. Wszyscy słyszeli ich krzyki, ale nikt nie zdecydował się im pomóc. Zamknęli się na cztery spusty i dygotali. Rano znalazło się kilku śmiałków, którzy poszli do tamtego domu. Gospodarz był jednym z nich i do tej pory tego żałuje. Czegoś tak koszmarnego nie widział ani przedtem, ani potem. W środku wszystko było zalane krwią, nawet sufit, wszędzie leżały porozrywane trupy, jeden straszniejszy od drugiego. Dom spalono, a jego do tej pory dręczą koszmary. Zapewnia, że na wszystkich ciałach widniały ślady wilczych kłów... No i co powiesz, to też bajka?

— Gówno i tyle — odezwał się Conan krótko i ze złością. — Miałem już wcześniej do czynienia z wilkołakami, ale tamte były całkiem porządnymi bydlakami...

— Kiedy zdażyłeś? — zdziwił się Regarat.

— Dwa razy przejeżdżałem przez Kresy, dziesięć lat temu — wyjaśnił Cymmerianin i zakręcił się w siodle. — Wtedy nadarzyła się okazja.

— No i co z tego? — Regarat nadal nic nie rozumiał.

— Jest takie powiedzenie — do trzech razy sztuka — powiedział niechętnie Conan.

— Aa — zrozumiał wreszcie Nemedyczyk. — A więc to będzie twoje trzecie spotkanie z Kresami i wilkołakami. Gratuluję. Na pewno cię niecierpliwie wyglądają...

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Ciszę zakłócał tylko nieustanny cichy szum deszczu, miarowe skrzypienie kół i człapanie końskich kopyt po rzadkim błocie. Milczący Regarat nieoczekiwanie uśmiechnął się i z zadowoleniem dodał:

— A z córką gospodarza i tak się przespałem na sianie! Conan pokręcił głową, ale po chwili się zaśmiał:

— Babiarka tylko grób może wyleczyć! Uważaj, natniesz się kiedyś, amator spódniczek się znalazł...

Karawana tymczasem niespiesznie wjeżdżała w niewielki wąski wąwóz pomiędzy dwoma wysokimi wzgórzami o porośniętych gęstymi świerkami zboczach.

Idealne miejsce na zasadzkę, pomyślał Conan, rozglądając się na boki i natychmiast pożałował tej niestosownej uwagi.

II

Jakby w odpowiedzi na myśli barbarzyńcy powietrze wypełniło się przenikliwymi bojowymi okrzykami i zza mokrych świerków na osłupiałą ochronę karawany spadli rozbójnicy. Ziemia rozmiękła od nieustannie padających deszczy, napastnicy ślizgali się po niej, jak po lodzie, co chwila przewracając się i przeklinając. Conana zaszokowały malunki na ich twarzach: czoła i skronie wymazane mieli czymś czarnym, na lewym policzku trzy białe pasy, ciągnące się ku kącikowi ust. Chwilę później nie było już czasu na zdziwienie.

Do nieustannie siąpiącego deszczu dołączyła ulewa długich i ciężkich strzał z szerokimi wyszczerbionymi grotami, mającymi kaleczyć wrogów. Jeden z Nemedyczyków chwycił się za gardło i charcząc zwał się z konia. Wierzchowiec biegł dalej po dolinie, wlokąc za sobą ciało zabitego pana.

A uprzedzali durnia, żeby założył kołnierz ochronny! — pomyślał ze złością barbarzyńca, ale w tym momencie woźnica jego wozu wypuścił wodze i z dzikim krzykiem złapał się za nogę. Głęboko wbita strzała rozpruła biodro, chlusnęła krew... Woźnica nie męczył się długo — dwie szybujące śmierci jednocześnie przeszły jego pierś i gardło, chłop zwał się pod koła. Wóz, ciągniony nie wiadomo dokąd przez puszczone samopas konie, podskoczył, przejeżdżając ciało i pojechał dalej.

— Do boju! — wrzasnął Omal. Zdażył wyciągnąć swój wygięty łuk i teraz bez ustanku wypuszczał strzały, czasem nawet trafiając w rozbójników. Niektórzy ze strażników zdażyli już ochłonąć i napastnicy zaczęli ponosić pewne straty: jeden z nich został trafiony strzałą w brzuch. Upadł na kolana, próbował się podnieść, ale następna strzała wbiła mu się w oko i grabieżca upadł w błoto. Przez pewien czas trup ześlizgiwał się w dół, wreszcie utkwił pomiędzy drzewami.

Ani Conan, ani Regarat nie mieli łuków. Zsiedli z koni i zaczęli osłaniać kryjących się za wozami łuczników. Wymiana strzał trwała dokładnie tyle czasu, ile potrzebowali atakujący, by zbiec po mokrym zboczach. Gdy fala zbójców dotarła do zbitych w kupę wozów, strażnicy musieli chwycić za miecze. Ostatnia salwa łuczników wyłączyła z nieprzyjacielskich szeregów około pięciu ludzi. Ale w dalszym ciągu było ich zbyt wielu.

— Pokażmy rym brudnym świniom! — krzyknął Conan, odrzucając tarczę, przypominającą teraz nastroszonego jeża i wyciągnął z pochwy swój nowy piękny miecz, jeszcze dotychczas nie używany. Barbarzyńcy odpowiedzieli zgodny ryk dwudziestu gardeł i walka rozgorzała na dobre. Pierwszy przeciwnik Cymmerianina próbował z rozbiegu zadać mu cios w głowę. Conan bez zbyteńnego wysiłku uchylił się i po prostu wysunął przed siebie ostrze. Oczy błyszczące dziko na czarnej twarzy rozszerzyły się z przerażenia, ale atakujący nie mógł już wyhamować pędu i całym ciężarem ciała nadział się na miecz. Ostrze zgrzytając po żebrach i kręgosłupie wyszło z pleców, rozbójnik zacharczał, zachłystując się krwią. Conan pchnął jego ciało nogą, wyciągnął miecz, odkręcił się i ściął głowę jeszcze jednemu grabieżcy, który zeskoczył na niego z wozu. Rozejrzał się. W jego stronę biegło dwóch czarnoliczych, bez sensu wymachujących krzywymi szablami. Nie stanowili zbyt wielkiego niebezpieczeństwem i Conan uporał się z nimi dość szybko.

Za to z prawej strony barbarzyńcy działo się coś dziwnego... Chłopak z Kresów, którego imienia Conan nie zdażył poznać — na postojach trzymał się z boku, na pytania odpowiadał monosylabami i nie próbował się z nikim zaprzyjaźniać — na samym początku walki ciałem mieczem w plecy jednego z Brythuńczyków i teraz walczył z drugim. Brythuńczykowi po twarzy płynęły łzy i przez zaciśnięte zęby wyrywały się krótkie łkania — zdaje się, że Brythuńczycy byli braćmi, czy może krewniakami. Pragnienie zemsty przeszkadzało chłopakowi skupić się i obserwować przeciwnika, przegapił cios z boku i teraz, tracąc siły i krew, upadł na jedno kolano, przez cały czas odbijając spadające na niego ciosy.

— Trzymaj się! — krzyknął Conan, parując uderzenie rozbójnika, który przed sekundą na niego napadł. Miecz z przenikliwym zgrzytem przejechał po ostrzu szabli; napastnik nie zdołał utrzymać broni i teraz ze zdziwieniem patrzył na swoje puste ręce. Nie zauważył nawet, że koniec miecza rozciął mu brzuch w poprzek. Barbarzyńca zostawił pechowca, żeby pozbiarał własne kiszki, które oślizgłą lawiną wysypały się na zewnątrz, przeskoczył przez chwiejący się wóz i widząc, że nie zdąży — zdrajca już unosił miecz nad klęczącym Brythuńczykiem — wolną ręką wyciągnął z pochwy kindżał, zrobił zamach i rzucił. Długie ostrze załśniło w powietrzu, dokładnie, głęboko wbijając się w szyję zdrajcy. Ten zachwiał się, wypuścił miecz i ze zduszonym wyciem upadł na ziemię.

— Dobrze ci tak — zawarczał posępnie Conan. Wtedy spadło na niego dwóch wrogów: jeden niski i gruby, z ogromnym drapieźnie zagiętym toporem, a drugi wysoki i barczysty, uzbrojony w krótki miecz. Uchylając się przed mieczem, barbarzyńca schwycił grubego rozbójnika za rękę, żelaznym uściskiem zgniatając mu nadgarstek. Zatrzeszczały łamane kości, zbójca wypuścił topór i zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Cymmerianin pchnął go na stropionego towarzysza, zbijając go z nóg. Chwycił porzucony topór i cisnął nim we wchodzącego na wóz i prującego worki czarnoliciego rozbójnika, rozszczepiając mu czaszkę.

Wysoki tymczasem wygramolił się spod leżącego na nim nieprzytomnego grubasa, podniósł miecz i trzymając go na wysokości brzucha niespiesznie, miękkimi kocimi krokami podkładał się do Conana. Barbarzyńca widział jego poczynania i postarał się wyglądać na rozluźnionego — człowiek, mający pojęcie o sztuce walki od razu zorientowałby się, że to pułapka, ale ten głupi nowicjusz na pewno się na to złapie, pomyśli, że przeciwnik stracił czujność.

Tak też się stało — z wyciem, które miało być według niego niespodziewane i przerażające, rozbójnik rzucił się na Cymmerianina, zbyt wysoko unosząc miecz. Conan spokojnie odbił cios, jego klinga zamigotała jak błyskawica i rozcięła przeciwnika niemal na dwie części. Na razie nikt na niego nie napadał i barbarzyńca mógł się rozejrzeć. Oceniał sytuację i skrzywił się z niezadowolaniem.

Nie wyglądało to najlepiej — straż karawany przegrywała starcie. Czarni zabili niemal połowę strażników, chwilę oddechu miał tylko Conan. Pozostali walczyli jednocześnie przeciwko dwóm lub trzem. Niektórzy grabieżcy już wleźli na wozy i gorączkowo grzebali w ułożonych tam tobołach. Regarata przycisnęło do wozu trzech rozbójników, ale na razie jeszcze się trzymał. Odbijał sypiące się na niego ciosy, nie zwracając uwagi na liczne drobne krwawiące rany.

— Reg, już idę! — krzyknął Conan, nadlatując z lewej strony na otaczających przyjaciela czarnolicych. Raz — i jeden z nich leży z poderżniętym gardłem, dwa — i drugi przeciwnik łapie się za rozcięty bok i pada w błoto, trzy... trzeci z przeraźliwym krzykiem rzuca miecz i ślizgając się mknie w górę po zboczu.

— Wcześniej nie mogłeś? — zainteresował się Regarat, ciężko opierając się o wóz i spluwając krwią. — Jeszcze chwila i by mnie zaszlachtowali jak świnię w dzień targu! Drę się i drę, a ty jakbyś ogłuchł. Do licha, co za przeklęty dzień!

Conan nie odpowiedział, tylko pobiegł tam, gdzie walczył Omal.

Dwóch Nemedyczyków walczących obok kapitana straży już nie żyło, Omala atakowali teraz czterej zbójcy. Widząc, że nie wyjdzie żywy z tego starcia, Turańczyk nagle odskoczył do tyłu i rzucił szablę, mamrocząc:

— Poddaję się...

Jeden z napastników podniósł wbity w ziemię szablę i władczo zwrócił się do byłego dowódcy straży:

— Nie potrzeba nam jeńców. Albo jesteś z nami, albo przeciw nam. Wybieraj — umierasz, czy bierzesz broń i walczysz po naszej stronie. No?

Omal zbladł i cofnął się. Widać było, że w jego duszy toczy się poważna walka, ale pragnienie życia zagłuszyło głos sumienia. Wyciągnął rękę po swoją szablę.

— Jestem z wami.

— Mądra decyzja — uśmiechnął się drapieźnie rozbójnik, oddając mu broń. — Zabij tego Cymmerianina, a uwierzę ci do końca. I uważaj... — znacząco przejechał dłonią po gardle.

Omal skinął pokornie głową, westchnął i wyruszył na poszukiwanie Conana w panującym obok rozgromionego taboru chaosie. Rozbójnik — najprawdopodobniej przywódca szajki — popatrzył w ślad za nim, pogardliwie parsknął i zawołał stojącego nieopodal czarnoliciego:

— Idź za nim. Gdy już będzie po wszystkim, zabijesz go. Zdradził swoich, przy pierwszej okazji zdradzi i nas.

Omal nie szukał długo — prawie wpadł na Conana, który dopiero co zabił szczególnie zapalczego rozbójnika i zatrzymał się przy wozie, żeby złapać oddech.

Tylko instynkt uratował Cymmerianina od spadającej na niego turańskiej szabli — usłyszał szybko zbliżające się z tyłu kroki, gwałtownie pochylił się i odskoczył. Klinga zaświstała nad barbarzyńcą, zahaczając jego ramię. Conan był od stóp do głów upakany lepkiem błotem. Zerwał się na nogi i oburzony wrzasnął:

— Omal! Co z tobą, szaleju się opileś, czy co? Czego się na swoich rzucasz!

— Giń! — Turańczyk spróbował dosięgnąć go krótkim wypadem z prawej strony.

Conan sparował cios i przeszedł do ataku. Szeroka, prosta klinga skrzyżowała się z wygiętą, lżejszą szablą, dźwięk zgrzytającego żelaza rozdzierał uszy, ale jeszcze bardziej Cymmerianina paliła ta podwójna zdrada. Dookoła umierali ludzie, z którymi dzieliłeś się chlebem i miejscem przy ognisku, a takie dwulicowe łajzy myślą tylko, jak uratować swoją nędzną skórę. Zimna wściekłość dusiła Conana, ale na zewnątrz pozostał spokojny, całą swoją uwagę koncentrując na błyskającym ostrzu przeciwnika.

Tymczasem Omal zrozumiał, jak potwornie głupio postąpił, nie zabijając barbarzyńcy pierwszym ciosem i dając się wciągnąć w beznadziejny pojedynek. Ten dzikus powinien już leżeć martwy, a tu przeciwnie, porusza się szybciej niż jego przeciwnik, nie dopuszczając Turańczyka bliżej niż na krok. W dodatku za każdym razem okazywało się, że jest w innym miejscu, niż przed chwilą, a po jego morderczych ciosach Omal ledwo utrzymywał szablę w rękach. Potworny, pętający ruchy strach przed śmiercią zrodził się gdzieś w dole żołądka i natychmiast ogarnął całe ciało. Turańczyk szarpnął się do tyłu, krzyknął, czy może zawył, cisnął swoją szablę w twarz Conana i zaczął niezgrabnie biec w stronę lasu.

Cymmerianin nie gonił go — obrońców karawany było już tylko sześciu, a atakujących — ponad dwudziestu. Niemal wszyscy strażnicy byli ranni — jedni lżej, inni ciężiej — i wszyscy wiedzieli, że nie uda im się wyjść z tej walki cało. Pozostawało tylko zabrać ze sobą na Szare Równiny możliwie jak najwięcej wrogów...

Nagle jeden z rozbójników krótko krzyknął, chwycił się za szyję, przebitą na wylot ciężką strzałą i upadł w błoto. Pozostali zaczęli się trwożnie rozglądać i wycofywać do bezpiecznego lasu.

W dolinę, która przemieniła się w pole bitwy, wpadło pół setki jeźdźców. Conan otarł krew z twarzy — miał rozcięte czoło — i zaczął się rozglądać. Zdaje się, że to było królewskie wojsko... Przynajmniej raz w porę.

— Uciekajmy! — krzyknął któryś z napastników przenikliwie i jego kompani na łeb na szyję rzucili się w górę po zboczach, starając się dobiec do zarośli. Jednak nie pozwolono im tak po prostu uciec — żołnierze rozdzielili się na dwa oddziały, odcinając rozbójnikom drogę do zbawionego lasu.

Conan widział, jak strażnik dogonił jednego z uciekinierów, uniósł się w siodle, zrobił zamach i opuścił miecz, rozrąbując biegnącemu człowiekowi głowę. Co było dalej, barbarzyńca się nie interesował. Zmęczony usiadł prosto w błoto, opierając się o koło wozu.

Pozostali zrobili to samo i teraz obojętnie czekali, co będzie dalej, powoli przychodząc do siebie. Conan policzył ich: Regarat, Endolo, Terin, Galeran i Sorus. Wszyscy pokryci skorupą zakrzepłej krwi i błota. Wycieńczone twarze, puste oczy... Wytrzymaliśmy, nie zbrukaliśmy

swojej czci, ale co z tego? — pomyślał. Jak mi to wszystko obrzydło... Gdyby się dało trochę się przespać...

Spod wozów zaczęli wyłazić kupcy i woźnice. Wszyscy byli bladzi i trzęśli się ze strachu, patrząc na pole bitwy dzikim wzrokiem. W całej dolinie, która wyglądała, jakby rozegrała się tu walna bitwa, leżały trupy — trzydziestu strażników, pięciu woźniców i około trzech dziesiątków rozbójników. Wiele worków było rozbebeszonych. Napastnicy nie zdołali wprawdzie zbyt wiele ze sobą zabrać, ale większość towarów porzucali po całym jarze lub bezlitośnie wdeptali w błoto.

Do strażników podjechał półsetnik.

— Dzielnie walczyliście — powiedział nieco wyniosłym tonem.

— Dzięki waszemu męstwu niemal całkowicie zlikwidowana została szajka czarnolicych, która od pół roku napadała wędrowców po całych Kresach. Przyjmijcie naszą wdzięczność i wyrazy szacunku. Doprowadzimy karawanę na miejsce, a wy możecie w spokoju odpocząć. — Z tymi słowami dał ostrogę koniowi, kierując się w stronę swoich podwładnych, którzy wyłapali ocalałych rozbójników i mieli zamiar powiesić ich na pierwszym wystarczająco mocnym drzewie.

Regarat poruszył się ostrożnie, skrzywił się i spróbował się uśmiechnąć. To, co pojawiło się na jego twarzy przypominało trupi grymas.

— O, jakie honory... Co za cześć...

Sorus cicho zajęczał i osunął się po kole wozu, zginając się niemal w pół. Siedzący obok niego Endolo dotknął jego szyi, próbując wymacać puls. Pulsu nie było. Chlipnął:

— Umarł...

Zapadło długie i posępne milczenie, przerywane tylko ciężkim oddechem zmęczonych ludzi. Wreszcie Conan ponuro i uroczyście powiedział:

— Był mężczyzną i padł na polu bitwy. Cóż może być piękniejszego od śmierci w walce? Teraz przyjmie go do siebie Crom i posadzi w swoich pałacach, przy jednym stole z wieloma sławnymi wojownikami...

— Przecież on nie był Cymmerianinem — przypomniał mu cicho Terin.

— Prawdziwi wojownicy — powiedział Conan z niespodziewanym patosem i nawet lekko się uniósł — zawsze trafiają do Cromy bez względu na to, czy są Cymmerianami czy nie!

— Wszyscy trafimy w to samo miejsce — do Nergala — wymamrotał Regarat, a głośno dodał: — Conan, co z tobą, gorzej ci?

Na szczęście nie został usłyszany. Obok zabrzmiał czyjś dudniący głos:

— Dobrze powiedziane, barbarzyńco!

Conan niechętnie podniósł głowę. Przed nim, na tańczącym w miejscu koniu siedział człowiek w średnim wieku, z siwymi obwisłymi wąsami, małymi jasnymi i przenikliwymi oczami, z niegdyś prostym, a teraz złamanym w dwóch miejscach nosem. Od prawego policzka do wysuniętego podbródka biegła cienka biała blizna.

— Odejdź — powiedział Cymmerianin zmęczonym tonem. — Pozwól nam chociaż przez chwilę nie oglądać waszych gąb.

— Zdradź chociaż swoje imię, bohaterze — poprosił nieznajomy z odrobiną ironii. — Żebym miał o czym opowiadać wnukom...

— Zwań mnie Conan — odezwał się niechętnie barbarzyńca.

— A mnie Erhard, dziesiętnik straży pogranicznej — przedstawił się siwy i z ciekawością kontynuował: — Przepraszam, czy to nie o tobie opowiadają bajki w kresowych klanach?

— Jakie znowu bajki? — zapytał czujnie Conan.

— O potężnym przybyszu z Północy o błękitnych jak lód oczach, który dziesięć lat temu gołymi rękami zadusił królewskiego byka — odpowiedział spokojnie Erhard. Konwojenci karawany również zaczęli się z zainteresowaniem przysłuchiwać, a Regarat nie bacząc na ból otwarcie zachichotał. — Ach, więc to byłeś ty?

— No, ja — burknął Conan. Nie lubił wspominać swoich przygód w Królestwie Kresowym, a teraz jeszcze ci nadstawili uszu... Ale, ale, a może ten Erhard wie, co się stało z pozostałymi uczestnikami tamtych wydarzeń? — Pamiętasz królową Czijenę?

— Kogo? — zdziwił się szczerze Erhard, unosząc brwi. — Jaka Czijenę? Naszym królem jest obecnie Damall.

Teraz z kolei zdumiał się Cymmerianin:

— Co to za królestwo? Piętnaście lat temu osobiście pomogłem Czijenie rozprawić się z księciem Sizambri i wydawało mi się, że w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat tron pozostanie w jej rękach...

Erhard roześmiał się:

— A, o tej mówisz... Rok później ją obalili i sprzedali w Turanie do haremu.

Conan parsknął z zalem i zapytał:

— Damall miał zatem więcej szczęścia niż Sizambri?

— Po pierwsze nie Damall, tylko Jego wysokość Damall — sprecyzował spokojnie dziesiętnik. Po drugie, Sizambri był chorym psychicznie zabójcą, a po trzecie, Czijenę usunął nie on, lecz Amaran. Ale ten też niedługo się utrzymał... Krótko mówiąc, Damall jest trzeci po Amaranie.

Conan zakłopotany podrapał się po karku, próbując ogarnąć rozumem to, co usłyszał, i ze smutkiem zauważył:

— I warto było krew przelewać... A co się stało z Rainą i Dekiusem?

— Po tej historii z Czijeną podobno uciekli do Gunderlandii — wzruszył ramionami Erhard. — Więcej nic nie wiem.

— Na miejsca! — zabrzmiał rozkaz. Dziesiętnik skinął głową strażnikom karawany i pojechał do swojego oddziału.

Conan i jego towarzysze wleźli na najmocniej wyglądający wóz, obwiązali sobie nawzajem rany jedwabną tkaniną, wyciągniętą z tobołu i podartą na pasy, a potem ułożyli się wygodnie i przy skrzypieniu kół, rytmicznym kłapaniu końskich kopyt i cichym szeleście deszczu na skórzanym dachu furgonu spokojnie przespali całą drogę do stolicy Królestwa Kresowego.

Przez ostanie piętnaście lat pałac królewski rozwalał się coraz bardziej i teraz wyglądał jakby porzucono go wiele wieków temu. Zewnętrzna ściana ziała wylomami, bramy nie było w ogóle, a o jej istnieniu przypominały tylko zardzewiałe zawiasy i sterta przegniłych kawałków drewna. Na podwórku, zarośniętym rozłożystymi chwastami wzrostu człowieka, zachował się jeszcze poczerniały szkielet koszar, w których za czasów Elloikasa mieszkała straż królewska. A przy tym, jak zauważył Conan, gdy wóz zagrzmiał kołami po wyszczerbionych kamieniach podwórca, pojawiło się kilka nowych kamiennych budynków, najwidoczniej postawionych na miejscu drewnianych baraków, mających w razie konieczności służyć kupcom za sklepy.

Królewska rezydencja wyglądała na kompletnie zrujnowaną — dach zapadł się gdzieś, na cudem trzymających się w pionie ścianach widać było ślady szturmów — czarne plamy sadzy, wylomy od kamieni katapult (ciekawe, kto tutaj mógł mieć katapulty? — zdziwił się mimochodem Conan) i nawet ślady po uderzeniach taranem. Wrażenie zamieszkałych sprawiały tylko znajdujące się nieopodal nowe zabudowania, cała reszta wyglądała na zdziczałą i zapuszczoną, co zresztą niezbyt mijało się z prawdą...

Kupcy od razu zajęli pokoje w jedynym w mieście hotelu i rozłożyli swoje towary, a pięciu ocalałych konwojentów udało się do medyka. Okazał się on Brythuńczykiem około trzydziestki. Dobrze zbudowany, jasnowłosy, w niczym nie przypominał lekarza. Niemniej jednak obejrzał wszystkich poszkodowanych, wystarczająco umiejętnie obmył i przewiązał rany i na koniec zajął się tym, który oberwał najbardziej — Conanem.

— Zaczniemy chyba od głowy — oznajmił. Obwiązał zadrapanie na głowie i niezbyt głębokie skaleczenia na rękach i zajął się najgorzej wyglądającą raną. Już po ucieczce Omala

Cymmerianin odbił silny cios zadany z góry i klinga przeciwnika, ześlizgując się po jego mieczu, głęboko rozcięła mu biodro.

— Taak... — powiedział strapiiony medyk, zdzierając sztywną od krwi opaskę. — Trzeba będzie szyć. Przynieście wina albo co...

Gdy szyją ranę, człowiekowi wydaje się, że leją na nią płynny metal. Nieznośny ból świdruje mózg, wbijasz paznokcie w dłoń, przed oczami wszystko rozplywa się i ciemnieje, i nie jesteś w stanie powstrzymać jęku.

Ale barbarzyńca był chyba ze stali — nie wydał ani jednego dźwięku, tylko twarz mu zbielała i pokryła się małutkimi kropelkami potu. Gdy medyk skończył, Conan z trudem artykułując słowa, podziękował mu i wykuśtykał na ulicę. Mdlilo go, chciał jak najszybciej się gdzieś położyć.

Następnego dnia król zaprosił do siebie wszystkich konwojentów. Zanim jednak kapitan straży królewskiej zdążył przyjść z zaproszeniem, zajrzał do nich Torik — kupiec, do którego należała karawana — i odliczył każdemu po trzysta złotych monet. Jednocześnie zaproponował im ochranianie taboru w drodze powrotnej, a Conanowi nawet obiecywał stanowisko dowódcy. Wszyscy odpowiedzieli, że się zastanowią, ale chyba nikt specjalnie nie miał ochoty przeżyć czegoś podobnego po raz drugi.

...Konwojentów poprowadzono przez ruiny do wewnętrznego podwórca. Tutaj przed bramą stała straż, a sam budynek wyglądał mniej więcej cało, chociaż przez szczeliny w płytach podłogi przebijała się trawa i zewsząd potwornie wiało. Sala tronowa przez te lata niewiele się zmieniła, chyba tylko parkiet na podłodze zmętniał i popękał, a jedwabne zasłonki wypłowiały i wyglądały teraz jak brudne szmaty.

Damall, obecny król Kresów, był człowiekiem młodym — nie więcej jak dwudziestopięcioletnim. Miał niewielką jasną bródkę, garbaty nos, wąskie blade wargi i ciemne oczy. Patrząc na jego jasną karnację, siwe worki pod oczami i pomietą fizjonomię, Conan domyślił się, że władca nie jest ani wojownikiem, ani przywódcą. Zdaje się, że rzadko wychodził poza swój pałac i sporo pił w ostatnim czasie. Krótko mówiąc, jest zapewne pionkiem w rękach szlachty, jeśli w ogóle coś takiego jak szlachta tu występuje. Chyba długo się nie utrzyma...

Damall podniósł głowę i uważnie obejrzał przybyłych.

— Rad jestem gościć w swoim pałacu takich bohaterów — zabrzmiał niegłośny, drżący głos. Conan pomyślał, że Jego wysokość niedawno trafił między pany i jeszcze nie zdążył przyswoić sobie wyrażenia „my” charakterystycznego dla wszystkich królów.

— Pewnie jeszcze nie wiecie, jaki dobry uczynek zrobiliście — ciągnął król, sadwiąc się wygodniej na twardym tronie. — Ale zaraz zdołacie wszystko pojąć! Czarnolicy pojawili się u nas pięć lat temu, jeszcze za panowania mojego poprzednika, Newilla.

Król zrobił niewielką, ledwie zauważalną pauzę, ale jadowicie uśmiechnięty Regarat natychmiast ją wykorzystał:

— Wasza wysokość, a co się z nim stało? — źle ukrytą drwinę usłyszeli wszyscy, nie wyłączając króla.

— Odrąbano mu głowę — oznajmił spokojnie Damall i uważnie popatrzył na Regarata. Ten odwrócił wzrok, ale nie stracił rezonu.

Okazuje się, że ten nowy król wcale nie jest taki prostoduszny, pomyślał Conan. Z nim trzeba mieć się na baczności.

Następne słowa króla po raz nie wiadomo już który przypomniały Cymmerianinowi, że nigdy nie należy oceniać ludzi po ich wyglądzie.

— Za panowania Newilla byłem dowódcą straży pogranicza i doskonale pamiętam dzień, w którym przyprowadzono do mnie Brythuńczyka w średnim wieku, w skromnym odzieniu, z twarzą pokrytą czarną farbą. Oświadczył on, że jest kapłanem jakiegoś Boga o Czarnej Twarzy i chciałby zapoczątkować jego kult na Kresach. Tak samo jak wszyscy zwolennicy nowych

religii, gadał przy tym różne brednie o wielkich łaskach, które spłyną na wyznawców jego bożka. Pomyślałem, że Kresom nie zaszkodzi jeszcze jeden opiekun i wpuściłem Brythuńczyka, zdzierając przy tym z niego ogromny podatek za prawo utworzenia świątyni i głoszenia swoich nauk. — Król krzywo się uśmiechnął.

— To się nazywa wpuścić lisa do kurnika — mruknął pod nosem Conan.

— Dokładnie tak, Cymmerianinie — przytaknął spokojnie Damall i kontynuował opowieść: — Przez jakieś dwa lata było cicho i spokojnie. Ale potem... Na początku zaczęły krążyć niejasne pogłoski, że w jednej ze świątyń Czarnolicych, znajdującej się na przedgórzu Graaskalu, składa się ofiary z ludzi. Mówiono o tym szeptem, rozglądając się ukradkiem. Po czym pewnego dnia, równie posepnego i deszczowego jak dzisiejszy, pojawiły się szajki Czarnolicych z trzema białymi pasami na policzkach. Zabijali i garbili wszystkich bez wyjątku, pojawiali się to tu, to tam i wojsko nie mogło ani ich pojąć, ani nawet odnaleźć ich kryjówek. W oddziałach byli też wczorajsi chłopcy, którzy jeszcze niedawno nie wiedzieli, za który koniec trzyma się miecz. Postanowiliśmy rozeznaczyć się w tym wszystkim dokładniej i odwiedziliśmy świątynię. Co się w niej działo, tego ludzkie słowo nie opisze. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego zupełnie porządny kult przemienił się w sektę zabójców, ale podejrzewam, że nie obeszło się bez czarnej magii. Założyciel kultu został złożony w ofierze jako pierwszy i od tamtej pory krew na ołtarzu nie wysychała... Zagoniliśmy wszystkich Czarnolicych do ich kaplicy i spaliliśmy ją — dla takiej ohydy nie było miejsca na naszych ziemiach. Jednak szajki napadały w dalszym ciągu. Stopniowo je oczywiście wytępiono, ale lud i szlachta byli niezadowoleni, że w ogóle do czegoś takiego dopuszczono i król zapłacił za to głowę. Na jego miejscu znalazłem się ja, czasem więc czuję do Czarnolicych coś w rodzaju wdzięczności... co jednak nie przeszkadza mi skazać na karę śmierci każdego złapanego członka szajki. Dzięki wam przynajmniej będzie o jeden problem w królestwie mniej... — Głos króla nieco posmutniał, najwidoczniej problemy państwa nie ograniczały się do wyznawców kultu, ale po chwili lekko się ożywił. — Po tej długiej opowieści warto by coś przekąsić. Zapraszam wszystkich na wieczerzę.

Król pstryknął palcami i w tym samym momencie słudzy wniesli do sali tronowej przygotowany wcześniej stół. Czego tu nie było! Conan dostrzegł nawet rzadkie owoce z Czarnych Królestw. Spróbował wycenić, ile mogła kosztować dostawa i aż gwizdnął — każdy owoc był na wagę złota.

Cymmerianin cierpliwie poczekał, aż król wypije pierwszy kubek wina i zje kęs mięsa, po czym rzucił się na jadło jak głodujący od tygodnia wilk. Przez dłuższą chwilę w sali tronowej słychać było tylko głośnie mlaskanie i bulgotanie — goście starali się na całego.

Wreszcie Conan poczuł, że jeśli zje jeszcze chociaż okruszynę, po prostu pęknie. Odchylił się na oparcie ciężkiego rzeźbionego fotela, niegłośnie beknął, wyciągnął kindżał i zaczął dłużyć nim w zębach. Dawno się tak nie obżerał, ostatni raz chyba z Casperusem...

To był dopiero żarłok, pomyślał z żalem Conan, przypominając sobie grubasa. Nagle poczuł, że robi się apatyczny i senny, że ma ochotę znaleźć gdzieś cichy kąt, położyć się i zasnąć...

Barbarzyńca nawet nie zauważył, kiedy zaczęła mu się kiwać głowa i zapadł w niespokojną drzemkę.

— Ej, Conan, nie śpij, bo zamarzniesz! — Regarat ze śmiechem dał mu kuksańca w bok. — A jak śpisz, to przynajmniej nie chrap!

Conan otrząsnął się i niezrozumiale zaburczał coś na temat matki Regarata i wszystkich jego przodków. Nemedyczyk w odpowiedzi tylko prychnął.

— Wasza wysokość, słyszeliśmy, że twoje królestwo dotykają również inne nieszczęścia — zauważył ostrożnie Endolo, pijąc z wysokiego kielicha czerwone pointańskie wino.

Damall uśmiechnął się niewesoło:

— Czego jak czego, ale nieszczęście nam nie brakuje. Ale najstraszniejsze są wilkołaki na granicy — położył starannie obgryzioną kurzą kość na talerzu i opłukał palce w podanej mu srebrnej czaszy z wodą, w której pływały różane płatki.

— A więc wilkołaki istnieją? — zapytał z niedowierzaniem Terin, również umywając ręce.

— A o czym innym mogą świadczyć wyjaśnić obgryzione trupy, znajdowane na całej granicy z Brythunią? — zabrzmiało ponuro w odpowiedzi.

— Może... — zaczął Endolo, ale król ostro mu przerwał:

— Nie ma żadnych wątpliwości! Ostatnio zabójstwa zaczęły się zdarzać coraz bliżej centrum Królestwa... — Damall milczał przez chwilę w zadumie, a potem głucho powiedział: — Sam widziałem te zwłoki...

Zapadło niezręczne milczenie. Regarat i Conan zerknęli na siebie znacząco. Spojrzenie pierwszego było triumfalne i można w nim było wyczytać: „No i co, nie mówiłem?”, wzrok drugiego był pośepny i wyrażał pokorę wobec losu.

Wieczera, a wraz z nią audiencja dobiegły końca. Na pożegnanie król zaproponował wszystkim wstąpienie do niego na służbę, Conanowi nawet stanowisko dziesiętnika. Obiecali, że się zastanowią.

Wychodząc z na wpół zrujnowanego pałacu, Conan udał się do swojego pokoju w koszarach, mając nadzieję, że będzie mógł się wreszcie wyspać. Dziwne, ale udało mu się to — spał bez snów do rana następnego dnia. Obudził go okrutny głód. Po wspaniałej królewskiej kolacji, spożytej poprzedniego dnia, nie pozostało nawet śladu.

Conan wyszedł na podwórzec, mając nadzieję, że nawet w takiej dziurze jak stolica Kresów znajdzie karczmę. Miał szczęście — do zawałonej ściany starego pałacu przytulił się schludny budynek z szarego kamienia. Wywieszka nad drzwiami głosiła, że jest to „Korona i kostur”. Obok napisu widniały kunsztownie wyrysowane oba wymienione przedmioty.

To jakby symbol tego kraju, pomyślał z krzywym uśmiechem Conan. W każdej chwili można tu otrzymać królewską koronę i bez większego trudu zamienić ją przy pomocy innych amatorów władzy na kostur żebraka.

Pchnął ciężkie dębowe drzwi i wszedł w półmrok głównej sali. Po lewej stronie był bar — gruba deska położona na kilku beczkach, pozostałą część sali zajmowały długie stoły. Za barem popijał piwo karczmarz — mężczyzna niezbyt graby i odziany w zadziwiająco czysty biały fartuch. Gości o tak wczesnej porze było niewielu i gospodarz mógł sobie pozwolić na krótki relaks. Tak porządnie i czysto wyglądającej karczmy Conan nie widział jeszcze nigdy i dlatego z pewnym zdumieniem rozejrzał się po sali.

W odległym prawym kącie pod ścianą w milczeniu pili piwo i wino jego znajomi — byli strażnicy karawany i kupca Torika. Barbarzyńcę zauważyli od razu i zamachali na niego, żeby się do nich przyłączył. Conan poczekał, aż karczmarz naleje mu pełny kufel, i usiadł przy ich stole. Od razu go zapytano, czy będzie wracał razem z karawaną do Nemedii, ale Cymmerianin przecząco pokręcił głową.

Tego samego dnia wieczorem tabor opuścił stolicę. Razem z nim wyjechali Terin, Galeran i Regarat. Ten ostatni przez cały czas sarkał, że Conan z nimi nie jedzie i na próżno usiłował namówić barbarzyńcę na zmianę decyzji. Endolo został w Kresach, miał zamiar wstąpić na służbę do króla Damalla. Cymmerianin planował, że za kilka dni wyruszy do Aquilonii.

Conan i Endolo odprowadzili karawanę do stóp wzgórza, po czym pożegnali się z przyjaciółmi i obiecali, że jak tylko będą w Numalii, to ich odszukają. Po powrocie do miasta zasiedli w „Koronie i kosturze”, gdzie spokojnie pili prawie do pomocy...

III

Noc opuściła swój delikatny woal na Królestwo Kresowe. Nieruchome drzewa w leśnej gęstwinie przypominały dziwaczne stworzenia rodem z bajek i legend, ale biegnącemu człowiekowi kojarzyły się z tylko z jednym — z potworami, które napadły na niego i jego towarzyszy. Uciekający potykał się co chwila i nieustannie oglądał się z przerażeniem, próbując wypatrzeć coś w panującym wokół mroku. Z tyłu wleciało ku niemu niebu przeciągłe wycie, pochwycone przez cały las. Człowiek drgnął spazmatycznie, zaczął nogą o wystający korzeń, upadł, ale natychmiast zerwał się i ciężko dysząc pobiegł dalej. Bładolicy księżyc wyrzał przez dziurę w szczelnej zasłonie ciemnych chmur, zalewając martwym widmowym światłem dziwaczne kształty drzemiących drzew i miotającego się pomiędzy nimi uciekiniera. Z jego licznych ran ciekła krew, ciemne krople zawisały na wysokiej trawie i znaczyły drogę prześladowanego.

Człowiek potknął się po raz kolejny, zamachał rękami, próbując zachować równowagę, i wpadł na kłujący krzew. Zduszonym głosem krzyknął z bólu. Miał ochotę upaść i spokojnie umrzeć, ale pragnienie życia było silniejsze, uparcie więc biegł dalej, nie zwracając uwagi na lejącą się krew i chrzęst w boku — zapewne podczas walki złamano mu kilka żeber.

Prześladujące go wycie nagle, jakby na czyjś rozkaz zamilkło. Szare cienie widoczne pomiędzy krzakami zawróciły, porykując z niezadowolaniem.

Człowiek był już pod wysokim wzgórzem, na którego szczycie wznosiły się ruiny muru i niemal całe budynki. Gdzieniegdzie nocne ciemności rozpraszały zapalone przez ludzi nieśmiało światełka.

— Chwała Mitrze! — wyszeptał pobladłymi wargami. Dopadł ściany i przeszedł pomiędzy krzywo wiszącymi na zawiasach przegniłymi skrzydłami dawnej bramy. Musiał jeszcze przeciąć zarośnięty chwastami podwórzec, odszukać tutejszy hotel i zostawiając za sobą ciemny ślad, wdrapać się po wąskich i stromych schodach na pierwsze piętro. Nikt go nie zauważył i człowiek, zdyszany po wspinaczce, całym ciałem pchnął pierwsze drzwi z prawej strony. Drzwi okazały się nie zamknięte; z hałasem wpadł do środka.

— Kogo tam przyniosło? — rozległ się w ciemności senny i niezadowolony głos. Kamień stuknął o krzesiwo i niespodziewanie obudzony w środku nocy mieszkaniec pokoju z mieczem w jednej i oliwną lampą w drugiej ręce pochylił się nad leżącym. Ten leżał twarzą do ziemi. Conan postawił lampę na podłodze i odwrócił na plecy swojego nocnego gościa. Na widok jego twarzy wściekle zaklął:

— Na Croma! Terin!

Terin z trudem otworzył oczy. Siły, które podtrzymały go podczas szaleńczego biegu przez nocny las, uchodziły z niego razem z płynącą po dawno nie szorowanych deskach gęstą krwią.

— Conanie... ja... ja umieram... — Słowa były ledwie słyszalne i Cymmerianin musiał usiąść obok strażnika karawany, żeby cokolwiek usłyszeć. — Wszyscy zginęli... I Regarat, i Galeran, i kupcy...

— Co się z nimi stało? — dziwnie spokojnym głosem zapytał Conan.

— Wilkołaki — powiedział z wysiłkiem konający. — Napadły na nas jak nocne widma... Ale boli! — Terin jęknął. — Nikt mi już nie pomoże... Obiecuję, że mnie zabijesz...

— Obiecuję — powiedział niegłośnie Cymmerianin. — Możesz jeszcze mówić? — Terin lekko skinął głową. — W takim razie spróbuj mi powiedzieć, jak one wyglądały? Zabiliście chociaż jednego?

— One... One są podobne do wilków stojących na tylnych łapach... Jednemu Reg ściał głowę, a potem one wyrwały mu serce... Co było dalej, nie pamiętam... — Terin zachłysnął się krwią i pokonując bulgotanie w gardle wychrypiął: — Obiecałeś...

Conan podniósł się w milczeniu, z leżącej na podłodze pochwy wyjął kindżał i jednym krótkim ciosem w serce zakończył męczarnie konającego. Następnie, cały czas równie niespiesznie, zwinął ciało w ściągnięty z łóżka pled, wyniósł je z hotelu i pochował na zboczu wzgórza. Nie miał czym wykopać mogiły, poza tym ziemia była zbyt twarda. Conan ułożył więc na nieżyjącym Nemedycytku niewysoką piramidę z kamieni i chwilę nad nią postał. Zmówiłby jakąś modlitwę, ale żadnej nie znał — nigdy nie przywiązywał wagi do takich szczegółów, uważał, że bogowie — jeśli są — sami się zorientują, na co zasłużył przybyły do nich człowiek. I mówienie im czegokolwiek zupełnie nie ma sensu.

Jedynymi słowami, które zabrzmiały w pomocnej głuszy nad kamienną piramidą była obietnica pomszczenia zmarłego.

Następnego dnia w całym pałacu huczało jak w naruszonym przez niedźwiedzia ulu. Było się czym martwić — nieopodal królewskiej rezydencji rozerwano na strzępy całą karawanę! W ciągu jednej nocy niemal czterdziestu ludzi przeniosło się na Szare Równiny!

Król Damall był blady, ale opanowany i spokojny. Zrobił wszystko, co mógł — wydał rozkaz wystawienia straży na murach i podwojenia patroli na granicach. Zresztą — i wiedzieli o tym wszyscy, a przede wszystkim sam król — tego rodzaju środki nie mogły przynieść spodziewanego rezultatu. Wilkołaki napadały zniecka i znikły bez śladu w leśnej głuszy, a ludziom pozostawało dygotać nocami ze strachu i mocniej zamykać drzwi.

Następnego dnia rano Conan razem z pięćdziesięcioma wojownikami straży pogranicznej pojechał na miejsce zagłady karawany. Droga zwiężała się tu, przechodząc przez skalisty wąwóz, rumowiska kamieni podchodziły do samej drogi, a u wyjścia z doliny zaczynał się gęsty las.

Wilkołaki nie są głupie, pomyślał Conan. Miejsce wybrały idealne, tak samo jak w tamtym jarze. Główna część napastników skryła się za kamieniami i niespodzianie spadła na głowy jadących, a tych, którzy ocalili i wyrwali się z wąwozu, dopadli ukryci w lesie... Kupcy powinni poszukać nowych dróg na południe, a Damall wyciąć wszystkie zarośla przy drogach, inaczej niedługo w ogóle nie będzie można się po nich poruszać.

Ani wozów, ani zawartości napastnicy nie ruszyli — żaden worek nie był rozpruty, a wszystkie kufry zamknięte na wiszące zaniki. Niektóre konie zostały rozszarpane, niektórym udało się zerwać lejce i uciec. Teraz pewnie błąkały się gdzieś po okolicy.

Za to z czterdziestu ludzi nie przeżył nikt. Nawet Conana, który niejedną potworność w życiu widział, poraził widok masakry w dolinie. Ponad dwadzieścia lat temu razem z innymi Cymmerianami szturmował aquiloński fort Vanarium. Wtedy w forcie nie przeżył nikt. Ale przynajmniej Cymmerianie zabijali uczciwie, zwyczajną bronią! Atuu... Poprzegryzane i porozrywane szyje, rozprute brzuchy, porozrzucane po błocie, na wpół zjedzone wnętrzności, poobgryzane kończyny...

Conanowi wydawało się, że widział już wszelkie możliwe bestialstwa, sam też nie raz i nie dwa zabijał i sumienie nigdy go z tego powodu nie dręczyło, jednak czegoś takiego do tej pory nie miał okazji oglądać. Barbarzyńca czując, że robi mu się niedobrze, odwrócił się i utkwiał wzrok w wierzchołkach kołyszących się ciemnozielonych świerków.

Żołnierze mieli większe zmartwienie: jak tu wykopać jedną wspólną mogiłę dla wszystkich, skoro dookoła są albo skały, albo twarda leśna ziemia i brak jakichkolwiek narzędzi? Dziesiątnik podjął więc jedyną możliwą decyzję, aby zebrać wszystkie trupy na wozy i spalić. Strażnicy, starając się nie patrzeć na nieboszczyków, przenosili porozrywane ciała i wrzucali na wozy...

Conan potrząsnął głową, wziął się w garść i poszedł poszukać Regarata. Ciała Nemedycytki nie dostrzegł w pobliżu stojących w kupie wozów, gdzie padli niemal wszyscy konwojenci. Barbarzyńca ruszył dalej, uważnie przypatrując się rumowiskom brązowych głazów. Znalazł przyjaciela u wylotu wąwozu — Regarat siedział, oparty o kamienie, z głową opuszczoną na piersi. Wyglądał, jakby chciał odpocząć przed daleką drogą. Z niewiadomych

powodów wilkołaki nie tknęły jego trupa. Cymmerianin ostrożnie uniósł głowę Regarata i zajął w szkliste wytrzeszczone oczy. Była w nich nienawiść i śmiertelna męka, z przygryzionej wargi na podbródek pociekły ciemnoczerwone strużki krwi. Spojrzenie Conana padło na pierś Nemedycy — z lewej strony ziała ogromna dziura ze sterczącymi na zewnątrz kawałkami kości. Wyrwali mu serce...

Barbarzyńca zamknął zmarłemu oczy i przez jakiś czas zdruzgotany siedział obok, bezmyślnie patrząc gdzieś w dal. Nie zauważył żołnierzy, którzy podeszli i stanęli niezdecydowani. Przez jakiś czas przestępowali z nogi na nogę, szeptali między sobą, wreszcie jeden z nich, wypchnięty przez pozostałych, niepewnie dotknął ramienia Conana:

— Panie...

— Odejdźcie — nie odwracając się rzucił ze złością Cymmerianin. — Sam go przyniosę.

Gdy wszystkie ciała zostały zebrane i położone na wozach, Conan uniósł zastygłe ciało Regarata i krocząc powoli zaniósł je do ogromnego stosu. Żołnierze trwożnie rozstępowali się przed nim. Cymmerianin patrzył prosto przed siebie i ludzie, którzy przypadkiem podchwycili jego wzrok, pospiesznie odwracali głowę — jasnoniebieskie, zimne jak lód na szczytach Cymmerii oczy barbarzyńcy błyszczały nienawiścią.

Nieustannie siąpiący uprzykrzony deszczyk nieoczekiwanie przestał padać i gdy dziesiętnik podniósł do stosu skręconą z pakul pochodnię, drewno od razu zapłonęło silnym ogniem. Conan patrzył, jak rozpalający się płomień wesoło ogarnia żywiczne drzewo i ludzkie ciała. Jaskrawopomarańczowe języki sięgały coraz wyżej. Cymmerianin powoli uspokajał się. Śmierć Regarata bolała go nie tylko dlatego, że Nemedycy był jego dobrym znajomym. Dużo bardziej złościło go to, że jego towarzysz padł ofiarą łap wilkołaka, nędznego tworu czarnej magii. A gdy ma się do czynienia z magią, zwłaszcza czarną, bardzo łatwo stracić duszę. Czegoś takiego Conan nigdy nie pozostawiał bez kary.

Do wzniosłych myśli o zemście dołączyła natrętna praktyczna refleksja — czy nie udałoby się przy okazji nieco zarobić? Damall na pewno w najbliższym czasie zorganizuje powszechną obławę na wilkołaki. Może zacznie płacić za każdego zabitego potwora złotem według jego wagi?

Conan po powrocie do pałacu od razu udał się do króla. Uzyskanie audiencji nie było trudne. Swoją propozycję barbarzyńca przemyślał starannie w drodze powrotnej i dlatego bez zbędnych wstępów zaczął:

— Panie, ile zapłaciłbyś mi za wybawienie Kresów od wilkołaków?

Damall popatrzył na niego oszołomiony, jakby Cymmerianin oznajmił, że dostał od Mitry w prezencie kilkadziesiąt błyskawic i właśnie zamierza wypróbować je na nękających kraj wilkołakach.

— Sam jeden masz zamiar wybawić Kresy od tego nieszczęścia? — zapytał z niedowierzaniem król. — Dobrze, nie pytam, w jaki sposób chcesz to zrobić. Cóż, jeśli ci się uda, wyskrobie skarbiec do dna, a jest tam nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy w złocie!

Teraz z kolei zdziwił się Conan:

— Pięćdziesiąt tysięcy? Nie wiedziałem, że niebezpieczeństwo jest tak wielkie! — I że Kresy są tak bogate! — dodał w myślach.

— Rozumiesz — zaczął powoli Damall. — Tutaj, w Królestwie Kresowym, lud, a zwłaszcza posiadacze drobnych włości decydują czy król będzie panował, czy nie. I jeśli wybranego przez nich władcę prześladowa pech albo nie umie on zaprowadzić w kraju porządku, po prostu go usuwają i żadna straż mu nie pomoże... Zresztą, sam wiesz o tym doskonale — z krzywym półuśmiechem dodał król. — Szajki Czarnolicych pozbawiły tronu Newilla. Wilkołaki, jeśli nie zdołam w najbliższym czasie nic przedsięwziąć, pozbawią tronu mnie. Lepiej więc obłożyć kraj na kilka miesięcy podatkami i zapłacić ci każdą żadaną przez ciebie sumę, niż czyścić doły kloaczne za nowego króla... A to i tak przy wyjątkowym szczęściu...

Conan uśmiechnął się do siebie i dodał:

— Ale będę potrzebował pomocników.

— Ilu? — zapytał z gotowością król, widząc, że barbarzyńca jednak nie oszalał zupełnie i nie ma zamiaru w pojedynkę ganiać za wilkołakami. — Setka, dwie, trzy?

— Po co mi tylu? — Cymmerianin wzruszył ze zdumieniem ramionami. — W zupełności starczy mi dziesiątka. Mam nadzieję, że to będzie dziesiątka Erharda...

Król popatrzył na Conana z niedowierzaniem i zapytał:

— Jesteś pewien, że wystarczy? Dziesięciu ludzi to trochę mało.

No tak, pomyślał Cymmerianin. Spokojne życie w pałacu stanowczo nie wpływa dobrze na Damalla. Zaczyna zapominać podstawowe rzeczy!

— Panie, przecież ty niegdyś służyłeś na granicy — zaczął ostrożnie barbarzyńca. — Jaki oddział łatwiej jest ukryć? Kim łatwiej dowodzić w walce? Kto jest szybszy — dziesiątka czy setka? Poszedłbym sam, ale ktoś powinien na wszelki wypadek osłaniać mój tyłek...

Damall wyglądał na nieco stropionego.

— O tym nie pomyślałem. Jak człowiek nie wychodzi z tej rudery, mózg zaczyna mu obrastać tłuszczem. — Z nieoczekiwaną siłą i złością uderzył w poręcz tronu. — Dobrze, bierz Erharda i jego ludzi. I... — nagle gwałtownie wstał — życzę ci szczęścia, Cymmerianinie.

— Oczekuj dobrych wieści, panie — powiedział z patosem Conan. — I postaraj się utrzymać na tym krześle, dopóki nie rozgromię tego draństwa...

Król pokręcił głową, z ironią i zachwytem popatrzył na barbarzyńcę, który zadarł nos do góry, i powiedział udając, że się zastanawia:

— A może warto by ci było głowę odrąbać, pleciugo? Uważaj, do kogo mówisz, nie jestem dla ciebie kumplem.

Conan na wszelki wypadek pochylił głowę, żeby Damall nie zobaczył jego uśmiešku. A nuż naprawdę każe mu ściąć głowę? Szkoda by było... tych, którzy będą wypełniać rozkaz.

— Wybacz, panie, wyrwało mi się niechcący. — Teraz nikt nie usłyszałby w głosie Cymmerianina ani cienia drwiny.

Król zaśmiał się:

— Przestań mi tu udawać pokorną owieczkę! Wynoś się i nie wracaj bez głowy naczelnego wilkołaka czy tego, który tam u nich jest najważniejszy... — Wskazał ręką drzwi. — Amunicję i prowiant weźmiesz z koszarowego magazynu.

Conan znowu się pokłonił i radując się całą duszą, opuścił gościnne pokoje króla Kresów. Gdy szedł pośród ruin starego pałacu, myślał o tym, że Damall go zbyt serdecznie traktował. Cymmerianin pojął, że za udawaną wesołością króla krył się strach. Strach przed utratą ciepłego i przytulnego miejsca na tronie. No cóż, pomyślał, pomożemy mu, aby nie stał się śmieciarzem albo opróżniaczem kloacznych dołów...

Pogoda znowu się zepsuła — siąpił wstrętny deszczyk i jak przewidywali gadający ze sobą dwaj strażnicy przed wejściem, miał tak padać do końca tygodnia.

Conan kopniakiem otworzył ciężkie dębowe drzwi pałacu, obite miedzianymi pasami i brązowymi, obecnie pozieleniałymi ze starości nitami. Poryw wiatru chlusnął mu w oczy lodowatymi bryzgami. Cymmerianin osłonił głowę ręką i poszedł w stronę „Korony i kostura”, przeklinając pod nosem wszystkich bogów i ich matki, a także własne idiotyczne wyobrażenia o czci, zemście i tym podobnych wzniosłych sprawach...

Strażnicy ze współczuciem popatrzyli w ślad za nim, wstrząsnęli się i szczelnie zamknęli skrzydła bramy, odgradzając się od niepogody. Ten, który wyglądał na starszego, powiedział do swojego towarzysza:

— Ma chłopak szczęście — powiadają, że w taką pogodę nawet Nergal nie wygania z piekła swoich demonów.

Młodszy pokiwał głową, poprawił miecz na boku i marzycielsko westchnął:

— Musi być teraz przyjemnie w „Koronie”...

Conan wszedł do karczmy, otrząsnął się jak pies i rozejrzał po sali. Ludzi tego wieczoru było sporo: żołnierze, którzy zeszli z warty, kupcy i konwojenci karawan, zwyczajni mieszkańcy „stolicy”, którzy nie mieli nic do roboty. Wszyscy wydzielali się, usilnie starając się przekrzywić rozmówcę, plotkowali, grali w kości, popijali piwo albo wino — w zależności od gustu i zamożności. Krótka mówiąc, trwała w najlepsze nie wymuszona wesołość.

Cymmerianin nie zobaczył ani jednej znajomej twarzy, za to dostrzegł wolne miejsce za stołem obok słabo widocznego malutkiego okna. Z początku miał zamiar spokojnie usiąść i zażądać kolacji z kilkoma kufłami miejscowego piwa, ale szybko zdał sobie sprawę, że w panującym wokół hałasie nawet jego grzmiący głos nie zostałby usłyszany. Zaczął więc przeciskać się do baru. Mokra odzież nieprzyjemnie przyklejała się do ciała, w butach chlupała woda, ale barbarzyńca nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

Przy barze tłoczyli się najbardziej zajadli wielbiciele alkoholu i wyraźnie czemuś się przyglądali. Rozsuwając ich potężnym ramieniem Conan przebił się do beczek, gdzie zobaczył to, czego się spodziewał: pomiędzy jakimś oberwanem i żołnierzem straży pogranicznej trwał pojedynek, kto więcej wypije. W otaczającym ich przycichłym tłumie półgłosem robiono zakłady. Na razie prowadził oberwaniec — przed nim stało już sześć odwróconych do góry dnem pojemnych glinianych kufli, a przed żołnierzem pięć. Po szóstym wojak zachwiał się podejrzenie, postawił kufel obok stołu, zachichotał, spelzł na zdeptaną podłogę i od razu głośno zachrapał. Widzowie rozczarowani zahuczeli, a włóczęga obrzucił tłum mętym spojrzeniem osowiałych oczu i wychrypiał:

— No co, jest jeszcze jakiś chętny?

— Ja — nieoczekiwanie dla samego siebie odezwał się Cymmerianin. W swoją zdolność do pokonania w picu dowolnego zawodnika nie wątpił, innych atrakcji tego wieczoru raczej nie należało się spodziewać, dlaczego więc nie spróbować? — Jaka stawka?

— Dziesięć złotych monet i przegrany płaci za wszystko — radośnie powiadomili go ożywieni widzowie.

— Zgoda — powiedział Cymmerianin, rzucając na bar pieniądze. Karczmarz parsknął i uroczyście postawił przed barbarzyńcą kilka napełnionych po brzegi kufli, ozdobionych wspaniałymi czapkami białawej piany. Zawody się zaczęły.

Do piątego kufła wszystko szło jak najlepiej — tutejsze ciemne piwo miało przyjemny gorzkawy smak i Conan wychylał jeden po drugim, zachęcany okrzykami widzów do dalszej walki. Szósty kufel barbarzyńca ciągnął już na siłę, a gdy również w siódmym pokazało się dno, oberwaniec stuknął w bar ręką i rażno zwołał:

— Karczmarzu, jeszcze po jednym!

Po dwunastej kolejce wokół zawodników zebrali się niemal wszyscy goście karczmy i wtedy oberwaniec, który nagle pozieleniał, potwornie zezując próbował wlać w siebie resztę napoju, ale nie zdołał, wypuścił kufel z ręki i ciężko padł na kolana.

— Jak zaraz rzygnie... — wyszeptał ktoś z nabożeństwem w zapadłej ciszy.

Conanowi dalszy los przegranego był całkowicie obojętny. Zgarnął swoją wygraną i chwiejąc się poszedł do wyjścia, deptając po czyichś nogach i odpychając tych, którzy nie zdążyli się odsunąć. Marzył tylko o jednym — wyjść na dwór, w krzaki, albo gdziekolwiek, byle szybko, zanim mu pęcherz pęknie!

Cymmerianin zdążył zrobić kilka chwiejnych kroków, po czym podłoga i sufit zawirowały, ściany przesłoniła mgła i sala gdzieś odpłynęła...

Potem wszystko gwałtownie się urwało. Pierwszą rzeczą, jaką Conan zobaczył, gdy już się ocknął, była uśmiechnięta fizjonomia Erharda.

— Gdzie ja jestem? — jękając się zapytał barbarzyńca. Spróbował wstać, ale od razu z jękiem opadł z powrotem. Głowa mu pękała, czuł się fatalnie.

— W swoim pokoju, gdzież by — mruknął Erhard. — A co, nic nie pamiętasz?

Cymmerianin stał się czujny. Za każdym razem, gdy słyszał podobne słowa okazywało się, że narobił mnóstwo głupstw, wywołał kilka skandali i teraz po całym mieście szuka go kilkunastu rozeźlonych ludzi, żądających jego głowy... albo sakiewki, co wcale nie było lepsze.

— Pamiętam, że piłem piwo o zakład — powiedział Conan w skupieniu. — Pamiętam, że chciałem wyjść na dwór i odlać się... Potem już nic nie pamiętam! — potrząsnął głową i skrzywił się z bólu: — Piwa mi daj, albo co, czego męczysz człowieka...

Erhard w milczeniu podał mu przezornie przyniesiony ogromny kufel. Barbarzyńca osuszył go trzema łykami, poczuł się nieco lepiej i ostrożnie zapytał:

— Gadaj, co nawyprawiałem?

Erhard roześmiał się wesoło i strzelił oczami w stronę „Korony i kostura”:

— A może nie warto?...

— Warto — przerwał mu twardo Cymmerianin. Dach karczmy — widział to wyraźnie — był na swoim miejscu, najgorszego więc udało się uniknąć.

— Jak chcesz... — Dziesiątnik chichocząc zaczął swoją opowieść o wczorajszym dniu. — Kiedy tam wszedłem, stałeś pośrodku sali. I, wybaczyć, ale tak było, sikałeś kupcowi Stewartowi do dzbana z piwem, kompletnie ignorując krzyki nieszczęsnego handlarza. Minę miałeś jak, nie przymierzając, wiejski głupek. Goście zwijali się ze śmiechu, ale to był dopiero początek zabawy... Po załatwieniu potrzeby wzięłeś kupca za szyję i zaczęłeś wlewać mu zawartość dzbana do gardła, gadając przy tym coś w rodzaju: „Pij za tatę, pij za mamę, pij za młodszą siostrę!” Co to jest, stare przysłowie cymmerijskie? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, Erhard ciągnął: — Niektórzy z gości w sali dostali hysterii. Po napejzeniu kupca zaczęłeś głośno śpiewać...

Do słuchającego dalszego ciągu opowieści Conana zaczęło powoli docierać, że jego obecny pobyt w Królestwie Kresowym zaćmi poprzedni, a liczba opowiadanych o nim historii urosnie do niebywałych rozmiarów. I co to będą za historie, strach pomyśleć!

— Wykonałeś z uczuciem pieśń „Dwanaście i jedna”, i postanowiłeś pobawić się w złego niedźwiedzia, który wyszedł na polowanie — zacząłeś z rykiem uganiać się za usługującymi dziewczętami, obiecując, że je zgwałcisz — bezlitośnie ciągnął purpurowy od powstrzymanego śmiechu Erhard. — Pewnie niejedna z nich nie miałaby nic przeciwko temu, gdybyś poprosił ją w inny sposób... Próbowano cię uspokoić, ale po tym, jak stłukłeś trzech ochotników i obiecałeś zrobić jajecznicę z męskich klejnotów karczmarza, postanowiono zostawić cię w spokoju. Przez resztę wieczoru siedziałeś w kącie i z potwornie skupionym wyrazem twarzy wyleś, najwyraźniej udając wilka i przeszkadzając pozostałym...

— Dosyć! — Conan zasłonił twarz rękami i boleśnie jęknął. — Koniec, od dziś ani kropli!

— Już dawno pora — zgodził się Erhard. — Tylko pośmiewisko z siebie robisz. Nie ma co, wczorajsze przedstawienie było znakomite, ale nie warto go powtarzać.

— I do „Korony i kostura” już nigdy więcej... — mamrotał barbarzyńca, zbierając swoje porozrzucane po całym pokoju rzeczy i zastanawiając się, jak mu się udało wrócić do hotelu.

— Słusznie, nie chodź — specjalnie obojętnie powiedział Erhard, wstając ze stołka. — I tak karczma jest zamknięta.

— Dlaczego? — zdziwił się Conan, przypasując miecz.

— A bo stoły naprawiają... i bar! — Dziesiątnik nie wytrzymał i roześmiał się.

Conan zgrzytnął zębami i kopnął nogą w drzwi tak, że o mało nie wypadły z zawiasów. Nie ma co, nieźle się zabawił!

— Byłeś u króla? — zainteresował się barbarzyńca, gdy schodzili po chwiejnych schodach.

— Oczywiście — skinął głową Erhard. — Wezwał mnie i wyjaśnił zadanie. Moja dziesiątka jest gotowa do drogi, chociaż szczerze mówiąc uważam, że to szalony plan. Ale lepszy taki niż żaden. Chodźmy, posiedzimy w koszarach, pokażę ci mapę i poznam cię z chłopakami.

— A jak tam pogoda? — Conan zadał najważniejsze na Kresach pytanie, gdy otwierał drzwi. Jaskrawe słońce uderzyło go w twarz i Cymmerianin mimo woli zmrużył oczy. — Rozumiem...

Szli przez zarośnięty chwastami podwórzec w stronę kilku opartych o mur rozpadających się budynków. Jeśli tak tutaj mieszkają żołnierze, to nie dziwota, że król się trzęsie ze strachu i każdego dnia oczekuje przewrotu. Dobrze mu tak za takie niedbalstwo.

Conan podniósł głowę i po raz pierwszy od dnia przyjazdu do królestwa zobaczył jasne niebo. Wszystkie chmury gdzieś się ulotniły i jak okiem sięgnąć rozpościerał się lazuruwy, niczym nie zmacony błękit. Słońce odbijało się w ostatnich kropkach wczorajszego deszczu, mokre liście na cherlawych drzewach mieniły się maleńkimi tęczkami. Nawet ruiny straciły swój zwykły ponury wygląd — obmyte strumieniami ulewy i osuszone słońcem przypominały staruszkę, radującego się wnukom.

Ożywiony Erhard pogwizdywał pod nosem jakąś liryczną piosenkę, co kompletnie nie pasowało do jego zwykłej powściągliwości. Conan zaś zupełnie nie zwracał uwagi na uroki Kresów. Najważniejsze, że wreszcie świeci słońce i nie pada zimny deszcz.

Po wejściu do koszar Cymmerianin po raz kolejny przekonał się o nędzy królestwa. Kiepsko ostrugane i źle zbite prycze z rzuconymi na wierzch słomianymi siennikami, gołe, pocięte stoły, w dodatku kulawe i podparte beczkami, koślawe taborety, małe okna obciążone nieprzezroczystymi byczymi pęcherzami... W półmroku jak szare cienie przemykali żołnierze, to pojawiając się, to znikając. Od czasu do czasu rozlegało się soczyste przekleństwo i rumor przewracanych mebli.

Erhard przegonił rżnących w kości żołnierzy od najlepiej wyglądającego stołu i rozłożył na nim dużą szczegółową mapę leżących na wschodzie ziem Królestwa Kresowego.

— Spójrz. Pierwsze zabójstwa miały miejsce tu i tu — pokazał dwie niewielkie osady położone przy południowej granicy z Brythunią. — Potem wilkołaki przesunęły się na północ i mniej więcej dobie później zagryzły człowieka w Derwige, niedaleko granicy — gruby palec z brudnym paznokciem wskazał prawie niewidoczny punkt pośród lasów.

Conan z zainteresowaniem oglądał mapę.

— Zdarzały się ataki za Hafelem? — zapytał, pokazując rzeczkę, płynącą z południowych przedgórz Graaskalu przez całe Kresy i wpadającą do Milden nieopodal granicy z Nemedią. Erhard pokręcił głową:

— Do przedwczoraj nie. Po Derwigu wilkołaki przetrząsnęły ziemię na zachód od Hafelu. Ich najstraszniejszy napad to rzeź w Gawenie. Siedmiu spośród ośmiu ludzi rozerwały w domu na brzegu dużej wsi. Nikt nie odważył się wyjść i pomóc ofiarom...

— Tchórze! — skrzywił się pogardliwie barbarzyńca. — Gdyby coś podobnego zdarzyło się w Cymmerii...

— Gdyby, gdyby — dziesiętnik poczuł się urażony za swój kraj. — Za każdym razem — ciągnął w zadumie — napady zdążają się coraz dalej od granicy...

Do koszar wbiegł młody żołnierz i zdyszany wykrzyknął:

— Gdzie jest kapitan? Kapitan pilnie wzywany do króla!

— Co się stało? — kapitan gwardii wyszedł ze swojego pokoju, w biegu zapinając sprzączki zbroi.

— Zginęła jeszcze jedna karawana! — wyjąkał z przerażeniem żołnierz.

— Na północ od pałacu? — zapytał szybko Conan i utkwiał wzrok w żołnierzu, który przyniósł złą nowinę.

— Tak... Skąd wiedziałeś? — zdziwił się chłopak, z szacunkiem spoglądając na wstającego zza stołu ogromnego Cymmerianina.

— Już od dzieciństwa jestem taki domyślny — uśmiechnął się barbarzyńca. — Dlatego tak długo żyję.

— Idziemy — rzucił krótko kapitan, poprawiając miecz. — Zdaje się, że masz mnie zaprowadzić do króla?

— Tak, tak — zakrzętał się młodzieniec. Zerknął jeszcze raz na czarnowłosego olbrzyma, cicho westchnął — najwidoczniej z zawiści — i poszedł za kapitanem.

Conan odwrócił się do Erharda:

— Którędy biegną główne szlaki handlowe?

— Do stolicy prowadzą cztery trakty: z Numalii, tędy przybyła wasza karawana; z brythuńskiej Pajgorii, ten biegnie ze wschodu; z Gunderlandii, ale z powodu walk pomiędzy klanami w ostatnich czasach ta droga nie jest używana, no i z Hyperborei — odezwał się dziesiętnik, pokazując te miejsca na mapie. — Na południe od skały zwanej Wrotami Czaszki trakty hyperboryjski i brythuński przecinają się w pewnym miejscu. Tamtędy biegnie też rzadko używana droga do Cymmerii... A po co ci to wszystko? — Erhard podniósł głowę znad mapy i spojrzął na barbarzyńcę.

Jakby nie słysząc pytania, Conan zaczął zastanawiać się na głos, ciągle wpatrując się w punkt oznaczający Wrota Czaszki:

— Tak. Pierwszy cios został zadany na traktie południowym. Dalej, po paru dniach — droga hyperborejska. Trzeci i ostatni, jeśli sądzić po zachowaniu wilkołaków, nastąpi albo na skrzyżowaniu, albo wyżej, w pobliżu Wrót.

— Jak to wykombinowałeś? — zapytał podejrzliwie Erhard. Conan popatrzył na niego zaskoczony, jakby nie rozumiejąc, jak można nie pojmować tak prostych rzeczy.

— Na Croma! Przecież to prostsze niż odcięcie sakiewki pijanemu! Popatrz — najpierw miały miejsce napady na południowe wsie, potem wilkołaki zaczęły się przesuwać na pomoc, do Graaskalu. Później doba przerwy i wszystko się powtarza, tylko dalej od granicy. Przekonali się, że nie możecie im w żaden sposób przeszkodzić, i teraz atakują karawany. Kiedy pojedzie następny tabor do Hyperborei albo z powrotem? Lub do północnej Brythunii?

Erhard popatrzył na mapę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu, złapał się za głowę i krzyknął:

— Zdaje się, że przepiłem cały swój rozum! A o karawany najlepiej zapytać miejscowych kupców albo ich głównego... A niech to Nergal! — dziesiętnik zaklął z całych sił i walnął pięścią w stół tak, że zatrzęszczały deski, a siedzący w pobliżu żołnierze aż podskoczyli ze zdziwienia. — Przecież to właśnie jemu odlałeś się wczoraj do dzbana!

Na twarzy Cymmerianina nie było nawet cienia uśmiechu.

— W takim razie ty pójdziesz do niego — powiedział spokojnie i wyraźnie. — I wypytasz o wszystkie przyjeżdżające i wyjeżdżające karawany. A ja zapoznam się z twoją dziesiątką i pooglądam sobie mapę — może przyjdzie mi do głowy coś pożytecznego...

IV

— Dobrze — skinął głową dziesiętnik, rozejrzał się, zauważył jasnowłosego osiłka i wrzasnął na całe gardło: — Ertel! Chodź no tu! Rusz się, szybciej!

Chłopak z kwaśną miną podszedł do stołu. Erhard klepnął go po plecach i ze śmiechem przedstawił:

— To mój zastępca i jednocześnie krewniak, chociaż wujka ma, zasraniec jeden, za nic!

Krewniak pokiwał głową i przewrócił oczami, dając do zrozumienia, że on tego rodzaju bajki słyszał już nie raz, a inni nie powinni zwracać na nie uwagi. Po czym po słowach: „Dobrze, dobrze wujku, idź, zrób co tam masz do zrobienia” — dość nieprzyjaźnie popchnął dziesiętnika, dodając:

— Poradzę sobie.

Erhard z pretensją popatrzył na młodszego krewniaka i po krótkim zastanowieniu palnął go w kark:

— Jak rozmawiasz ze starszymi wiekiem i stopniem, smarkaczu?! Dobra, Conan, idę... — wstał i skierował się do wyjścia z koszar, rozdając po drodze kuksańce żołnierzom, którzy nie zdążyli się uchylić. Ertel wykrzywił się, wykonując za oddalającymi się plecami nieprzyzwoity gest, a potem odwrócił się do barbarzyńcy:

— Uu, stary cap! Wujek! Chodź, Conanie, poznam cię z naszymi! — wskazał ręką ciemny kąt koszar.

Przeciskali się pomiędzy legowiskami, co chwila potykając się o porozrzucone rzeczy i broń. Cymmerianin zahaczył o postawioną pomiędzy pryzkami kopię i tylko wrodzona zręczność uratowała go przed wątpliwą przyjemnością zawarcia bliższej znajomości z nigdy nie mytą podłogą.

Przeklinając pod nosem, Conan przeszedł nad pijanym na umór żołnierzem, leżącym jak polano w przejściu, i zdziwiony zatrzymał się. Przed nim na podłodze były narysowane węglem dwie grube linie, schodzące się pod kątem prostym i tworzące razem ze ścianami wielki kwadrat. Podłoga za liniami i przed nimi była wyszorowana do białości i widniały na niej bardzo starannie namalowane nemedyskie litery, układające się w groźne ostrzeżenie: „Jak przekroczysz — zginiesz!”

— To miejsce dziesiętnika Erharda — powiedział z dumą Ertel i odwrócił się do Cymmerianina: — No, wchodź...

— A nie zginę? — prychnął Conan.

Chłopak krytycznie obejrzał barbarzyńcę, zachmurzył się i z udawaną powagą odrzekł:

— Nie bój się, gości nie zawsze krzywdzimy... Oświadczeniu towarzyszył głośny śmiech leżących na pryzkach żołnierzy. Tutaj było nieco widniej — na ścianach wisiało kilka oliwnych lamp, na stole zaś stał miedziany świecznik z kilkoma świecami. Dzięki temu mieszkańców tego kąta dawało się obejrzeć bez specjalnego wysiłku. Było ich ośmiu. Ertel pozwolił się im pośmiać, po czym zakomenderował:

— Wstać! Ustawić się w szeregu!

Conan lekko się zdziwił żwawości, z jaką wykonano polecenie.

Doskonale wyszkoleni, jak na te warunki, pomyślał, oglądając pokryte szramami fizjonomie przyglądających mu się z ciekawością żołnierzy. Ertel odchrząknął, zrobił surową minę i uroczyście powiedział:

— Chłopaki, poznajcie się, to Conan. Jak każdy barbarzyńca, a zwłaszcza Cymmerianin, jest lekko stuknięty i dlatego ma zamiar urządzić polowanie na wilkołaki. Zgodnie z jego prośbą i osobistym królewskim rozkazem wszyscy z dniem dzisiejszym przechodzimy pod jego komendę. Są pytania? Nie ma? I bardzo dobrze.

Ertel szedł wzdłuż szeregu od prawej strony do lewej, krótko charakteryzując każdego żołnierza:

— Emert — zaczął, wskazując na ciemnowłosego szarookiego Bossończyka ze złamanym nosem. — Spokojny jak lód, w razie konieczności może się nie odzywać przez cały dzień. Pierwszy łucznik straży królewskiej.

— Giliom, typowy słomianowłosy Gunder. — Żółte oczy żołnierza czujnie przyglądały się Conanowi. — Wstydlivy jak dziewczica, ale w bitwie bezlitosny. Ulubiona broń — dwa krótkie miecze.

— Vellan. — Conan obrzucił spojrzeniem długie wijące się białe włosy, związane skórzanym rzemieniem, kpiący wyraz intensywnie niebieskich oczu. — Z Brythunii. Chytrus i gaduła, ale za to człowiek nigdy się z nim nie nudzi. Dwuręczny miecz.

— Halmun — rudowłosy i rudobrody Vanirejczyk z czarną opaską na lewym oku i nosem jak kartofel. Nic dodać, nic ująć.

— Zgadza się — przytaknął Conan i z szacunkiem popatrzył na wypolerowane stylisko siekiery o dwóch ostrzach.

— Valso. — Przed nimi stał teraz chudy wysoki Zingarczyk z cienkimi wąsikami i bródką w szpic. A tego jaki sztorm tu przyniósł?... — Nawet jak go zapytać o pogodę, będzie obmyślał odpowiedź przez cały dzień. Zingarska szabla.

— Ilmajnen. — Kolejny wysoki, zielonooki, mocno zbudowany mężczyzna. Hyperborejczyk, bez dwóch zdań. — Nieprzenikniony jak kamienna wieża. Ale cierpi na nieuleczalną ciągotę do spódniczek. Długi miecz — szpada,

— Gart. — Jeszcze jeden Gunder, młodszy brat Gilioma, nieco niższy i weselszy. — Chwalipięta i rzadko spotykany pleciuga, cały czas chce się założyć, że przegada Vellana. Dwa krótkie miecze.

— Niedoczekanie — rzucił półgłosem Brythuńczyk. Gart w odpowiedzi prychnął.

Conan popatrzył na ostatniego żołnierza i ledwie powstrzymał okrzyk zdziwienia. Szereg zamykał młody, ale bardzo mocno zbudowany... Cymmerianin, z ogromnym mieczem za plecami. Chłopak ze wszystkich sił starał się zachować powagę, ale słabo mu to wychodziło, wargi same rozciągały mu się w uśmiechu.

— A co to za...? — zwrócił się barbarzyńca do otwarcie chichoczącego Ertela.

— To Rann — przedstawił go Ertel. — Trzy księżycy temu zszedł z gór i jeszcze nie całkiem się oswoił. Ale walczy pięknie. A jego miecz już niejednego próbował kupić.

— Nawet ukraść — włączył się młodzieńczym basem młody góral. — Ale lepkie rączki trochę skróciłem. A potem już nie próbowali... Właśnie, po drodze tutaj przechodziłem przez ziemie Canachów. Twój krewni żyją, i...

— Dobra, rozjedźcie się — zarządził Ertel. Wzajemne zapoznanie zostało zakończone i teraz nastąpią zapewne długie rodzinne rozmowy. Dziesiątka wróciła do swych poprzednich zajęć, a dwaj Cymmerianie prawie od razu usiedli za stołem w kącie i stamtąd od czasu do czasu dolatywało:

— A jak tam Moren? No tak, ta sama... Co się stało z Nerelem — cały czas ma zamiar zebrać oddział i wyruszyć na Vanahejm?... Co, poszedł? I rozbili go? No, tego się można było spodziewać... A jak żyje...

Wspomnienia trwały dopóty, dopóki do koszar nie wrócił Erhard. Wszedł lekko poweselały, z okruciami chleba w siwiejącej brodzie. Dotknął ramienia Conana i wypalił:

— Kończcie to gadanie, teraz ja coś powiem.

Pojętny Rann szybko zerwał się na nogi, widocznie spodziewając się usłyszeć coś ciekawego. Dziesiątnik usiadł, odchrząknął, potem sięgnął do niepozornej skrzynki pod ścianą, wyciągnął dwie gliniane butelki zapieczętowane zielonym woskiem, i dwa spore kufle.

— Poważną rozmowę należy prowadzić w towarzystwie „Starego króla” — wyjaśnił. Conan skinął głową, że się zgadza, i zaczepił końcem noża zalany woskiem korek ze znakiem poitańskiego winiarskiego cechu.

— To wino ma dwadzieścia lat — ciągnął tymczasem Erhard, wyciągając siedzący mocno korek i wachając z rozkoszą. Ciemnoczerwona, niemal bordowa gęsta ciecz zabulgotała lejąc się do jego kufła. Conan, gdy już uporał się z korkiem swojej butelki, na początek upił maleńki łyk. Wino było cierpkie i miało przyjemny gorzkawy posmak. Cymmerianin potrzymał je w ustach, jak prawdziwy znawca, ostrożnie przełknął i po chwili zastanowienia skinął głową:

— Rzeczywiście pierwszorzędne...

Erhard upił porządny łyk, otarł wąsy i niespiesznie zaczął:

— Słuchajcie więc, przyszedłem do Stewarta. Dom to on ma, nie ma co! No dobra, to się do sprawy nie odnosi. Pytam go uprzejmie, że niby król się interesuje, kiedy wyrusza kolejna karawana do Hyperborei albo północnej Brythunii. A on mnie zaprosił na obiad i długo się skarżył, że kiedy potrzeba, to strażników nigdy nie ma — to o twoich wczorajszych wybrykach w „Koronie”. Teraz wszyscy jego współnicy śmieją się z niego, a on traci pieniądze i tak dalej. Pozwoliłem mu wyplakać mi się w kolczugę, po czym delikatnie wspomniałem o poleceniu króla. Zaczął burczeć coś niepoehlebnego o królewskich wojskach, ale ja grzmotnąłem w stół — Erhard zademonstrował to — i kazałem mu się zamknąć, bo jeszcze chwila i sam będzie ochraniał swoje karawany. Po tym oświadczeniu stał się bardziej spokojliwy i przyznał się, że do Hyperborei po zagładzie Tilejnena — tu mi dał do zrozumienia, czyja to wina — nikt nie będzie jeździć, ale za to z Brythunii po tygodniu mają przybyć handlarze niewolnikami. Po czym wyprowadził mnie na dwór, nie pozwalając dojść do słowa... Krótko mówiąc, teraz skłonny jestem sądzić, że nie na darmo nalałeś mi do dzbana! — Erhard wychylił kufel i roześmiał się.

Conan też się uśmiechnął i zapytał:

— Tak masz dużo tego wina, że pijesz kufłami?

— Niee... — odezwał się z roztargnieniem dziesiętnik. — To z przyzwyczajenia... Ty co, chcesz mnie uczyć, jak pić? — rozeźlił się nieoczekiwanie.

Zdaje się, że „Stary król” okazał się zbyt mocny dla dziesiętnika, Conan więc machnął ręką, bo nie chciał kłótni ze starym wojownikiem.

— Nie, skąd, tak tylko zapytałem.

— No, — skoro tak, to dawaj jeszcze po butelce — zaproponował uspokojony Erhard.

Po jakimś czasie wypili kolejną butelkę, potem jeszcze jedną i znowu... Wydawało się, że skrzynka jest bez dna, i Conan przerażony czuł, że znowu upije się do utraty świadomości. Po raz trzeci w ciągu siedmiu dni.

To była ostatnia rozsądna myśl, potem wszystko utonęło w oparach wina...

— To prawda, że brałeś udział w wyprawie na Venarium? — zapytał Rann, który usiadł pod sąsiednią sosną i patrzył płonącymi ciekawością oczami na drzemiącego Conana. Ten, nie otwierając oczu, skinął twierdząco głową.

— I jak było? — Zdaje się, że ciekawość stanowiła dominującą cechę charakteru Ranna. Interesowało go wszystko na świecie, a najbardziej burzliwe życie jego starszego rodaka, o którego przygodach dolatywały słuchy nawet do dalekich pomocnych krain.

— Podle — odezwał się leniwie Conan. — Podle, brudno i krwawo, jak w każdej rzezi. Było nas dużo więcej i każdy chciał tylko jednego — zabijać. Do rana nie żył już żaden z obrońców, a twierdza paliła się jeszcze przez trzy czy cztery dni.

Rann rozczarowany zamilkł. Chyba spodziewał się usłyszeć o tym historycznym ataku coś więcej, niż tylko kilka rzuconych mimochodem zdań.

...Mijał drugi dzień, odkąd mały oddział rozłożył się na wzgórzu, mniej więcej cztery staje od skrzyżowania handlowych dróg, biegnących na północ. Czekali na pojawienie się

brythuńskich handlarzy niewolnikami. Wysokie wzgórze, gęsto porośnięte sosnami, było najlepszym miejscem do obserwacji dróg. Na szczycie znajdowała się spora polana, pokryta grubą warstwą igliwia i miękkimi kępkami białego mchu. Właśnie tutaj rozbili obóz.

W miejscu, w którym zbiegały się trzy trakty, sosnowy las stopniowo się kończył, ustępując miejsca bujnym trawom, teraz wyblakłym i położonym częstymi ulewami.

Za skrzyżowaniem po obu stronach drogi wyrastały porośnięte sosnami pagórki — prawy wyższy, lewy niższy. Za nimi zaczynał się sosnowy bór, rozciągający się na południe.

Uprzykrzone jesienne deszcze jakby ustały, zranione biodro Conana zagoiło się i życie wydawałoby się zadziwiająco wspaniałą rzeczą... gdyby udało się zapomnieć o tym, co widzieli po drodze.

Znaleźli pozostałości po karawanie. Tabor wyglądał tak samo, jak poprzednie — towary nietknięte, tylko porozrzucane po całej okolicy, wszyscy ludzie wymordowani ze zwierzęcym okrucieństwem. Zresztą, czemu tu się dziwić? Wilkołaki to przecież zwierzęta. Po przejeździe Brythuńczyków trzeba będzie odwiedzić miejsca, gdzie je widziano i spróbować wyciągnąć z lękliwych chłopów jakiegokolwiek informacji. Przecież musieli coś zauważyć albo usłyszeć! Na razie Conan zaczynał odnosić nie wiadomo właściwie na czym oparte wrażenie, że ktoś w ten okrutny i potworny sposób próbuje nastroić szlachtę i lud przeciwko prawowitemu władcy. Wprawdzie trudno w tym kraju mówić o „prawie”, ale dla ułatwienia założmy, że człowiek, który obecnie zasiada na tronie w na wpół zrujnowanym pałacu jest prawowitym władcą. W końcu to on ma całą władzę w swoich trzęsących się słabych rączkach... Oczywiście, do czasu. A potem pojawi się inny, nie mniej prawowity. Tfu! To nie kraj, tylko jakieś nieporozumienie. Gdyby pojawił się ktoś zdolny przycisnąć miejscowych szlachciurów i szalone klany, i zaprowadził jakiś porządek...!

Te myśli sprawiły, że Conan ostatecznie się rozbudził i rozejrzał. Na warcie na zboczu wzgórza stali bracia Gunderzy, pozostali albo drzemali, albo zajmowali się swoimi sprawami. Ertel i Vellan, zarzucając sobie nawzajem brak umiejętności i bezsensowność działań, próbowali przygotować z suszonego mięsa i podpieczonego chleba coś w rodzaju obiadu dla wszystkich. Rann, początkowo męczący Conana pytaniami, teraz podszedł do ogniska i zaczął z radością udzielać kucharzom pożytecznych rad. Erhard i Emert szeptali o czymś z Valso, a Halmun i Ilmajnen grali w kości. Sądząc po odgłosach, Vanirejczyk przegrywał piątą partię z kolei.

Spokojna odsapka została zakłócona przez Garta, który nagle wpadł na polanę. Tak pędził, że zahaczył nogą o korzeń i o mało nie wyrzucił głowę w ognisko. Vellan złapał go za kołnierz i postawił na nogi.

— Brythuńczycy idą! — wykrztusił zdenerwowany goniec. Już ich widać!

— Zbierać się! — zakomenderował Erhard. — Łapcie broń i rozsypcie się u stóp wzgórza. Pilnie obserwujcie wszystko! Ertel, Rann zgaście ognisko, tylko tak, żeby nie było dymu.

— I postarajcie się, żeby was mimo wszystko nie zauważono — zawarczał Conan, sprawdzając czy miecz lekko wychodzi z pochwy.

Chwilę później polana była pusta. W ciągu dwóch dni oczekiwania dziesiętnik zdążył nie tylko obejrzyć teren i przydzielić niewidoczne z drogi stanowiska do obserwacji na zboczach, ale nawet przeprowadzić ćwiczenia. Na polanie zostali tylko Rann i Ertel, zasypujący ognisko wcześniej przygotowanymi kawałkami darni, ale wkrótce również oni schwycili opartą o drzewo broń i zniknęli w zaroślach.

Conan i Erhard ulokowali się na południowej stronie wzgórza, skąd mieli doskonały widok na drogę i las. Ukryty w zagłębieniu korzeni wysokiej sosny masztowej, barbarzyńca obejrzał się. W stronę skrzyżowania powoli, ciągnąc za sobą tren pyłu, pełzła długi szereg skutych niewolników. Pomędzy ich niewielkimi grupkami poruszały się kryte furgony. Wzdłuż kolumny jechali odziani w zbroje strażnicy, od czasu do czasu smagając uderzeniami batów zbyt opieszalnych piechurów.

Gdy karawana podeszła bliżej, dało się słyszeć jęki nieszczęśników. Najwidoczniej gnano ich bez ustanku przez cały dzień — właściciel karawany albo nie mógł doczekać się zarobku, albo czegoś się bał... Większość niewolników stanowiły kobiety, gdyż Brythunki na targach były warte mniej więcej dwa razy tyle co Brythuńczycy, ale nie stosowano wobec nich żadnej taryfy ulgowej — długie bity woźniców rozrywały odzież, a razem z nią skórę, i zostawiały głębokie purpurowe ślady, natychmiast napływające krwią...

Procesja właśnie zrównała się z kryjówką Conana. Zobaczył, jak po uderzeniu batem w twarz upadła i już się nie podniosła jasnowłosa kobieta. Przez jakiś czas pozostali wlekli jej ciało, ale tempo marszu osłabło, a z tyłu napierali... Wtedy, wściekle przeklinając, najbliższy strażnik zeskoczył z niewysokiego cisawego konia, podszedł do kobiety i kilka razy ją kopnął. Potem pogrzebał w sakiewce przy pasie, wyciągnął klucz, pochylił się i rozpiął obrozę. W jasnym południowym słońcu zaśnił lekko wygięty brythuński miecz. Ciało odciągnięto na bok i zepchnięto do rowu...

Karawana powoli przesuwała się obok zaczajonych na wzgórzu obserwatorów. Conan mógł zobaczyć niepokój na twarzach konwojentów, przez cały czas obserwujących okoliczne wzgórza. Musieli słyszeć o atakach wilkołaków i teraz spodziewali się, że lada moment te ciche pagórki ożyją i spadnie na nich lawina potworów.

Nieoczekiwanie barbarzyńca poczuł, że ma własny powód do niepokoju — lekkie, ale nie przemijające pieczenie w okolicach piersi. Nie odrywając wzroku od drogi, Cymmerianin podrapał się przez kurtkę, ale swędzenie nie minęło, przeciwnie, nasiliło się, rozprzestrzeniając się w dół po brzuchu. Ostrożnie, żeby jadący nie zauważyli podejrzanego ruchu w krzakach, barbarzyńca wsunął rękę pod odzież, i natychmiast po jego dłoni przebiegło mnóstwo łaskoczących maleńkich łapek. Conan wyszarpnął rękę i z przerażeniem zobaczył na niej setkę dużych czerwonych mrówek.

Wspaniale, położyłem się dosłownie w progu ich siedziby, pomyślał ponuro barbarzyńca. Ciekawe, jak to jest, gdy zjadają człowieka żywcem?

Pieczenie coraz bardziej dokuczało, a poruszyć się, jak na złość, nie mógł — z dołu kilku strażników, czy coś podejrzewając, czy też na skutek zbiegu okoliczności, wpatrywało się w nieszczęsną sosnę. Za Conanem rozłożył się Erhard, w skupieniu obserwujący dwie setki brythuńskich niewolników. Szli tak blisko, że na wzgórzu słychać było chrzęst kruszącego się pod ich stopami podeschniętego błota, a wiatr niósł ostry zapach dawno niemytych ciał i jęki wydawane przez wycieńczonych ludzi.

Gdy zamykający szereg furgon odjechał na kilka lotów strzały, Conan, wściekłym szeptem miotając przekleństwa, odturlał się na bok i zaczął gorączkowo ściągać z siebie odzież.

Erhard początkowo patrzył na niego zdumiony, a potem, gdy zrozumiał przyczynę dziwnych poczynań barbarzyńcy, zaczął bezgłośnie chichotać. Conan nieźle się namęczył, zanim strzasnął wszystkie wojownicze owady, a potem starannie wytrzepał je z zagięć ubrania. Gdy rozprawił się ze swoimi prześladowcami, ciężko odetchnął i otarł twarz dłonią.

— Małe demony, a niech je Set! Co za lichy je tu przyniosło!

— No — Erhard uśmiechnął się pod wąsem. — Mogłeś uważać, gdzie się kładziesz...

— Kto wiedział — burknął Conan — że one są tu pod ziemią... Kopca nie było!

— Nie było, nie było — przedrzeźniał go dziesiętnik, wskazując kryjącą się w lesie karawanę. — Lepiej obserwuj tamtych...

Ohydne przeciągłe wycie dobiegło z gęstwiny i wszyscy zaczajeni na wzgórzu wojownicy drgnęli, nawet Conan, który miał nerwy jak postronki. Dźwięk przenikał do kości, dusza lodowaciała i kryła się w najdalszych zakątkach ciała. To był zew rozpoczynającego się polowania okrzyk ziemskiego wcielenia śmierci. Zawtórował mu rozpaczliwy, pełen nieopisanego przerażenia wrzask prawie trzystu gardeł...

— Co? Co to takiego? — Erhard, który gorzej widział na taką odległość, szarpał Conana za rękaw.

— Zrobiły to! — w głosie Conana dzwięczała radość myśliwego, który długo tropił i wreszcie dopadł zwierzynę. — Wilkołaki napadły na karawanę!

— W takim razie naprzód — zaproponował Erhard. — Z pomocą Brythuńczyków skończymy z nimi raz na zawsze!

Cymmerianin przecząco pokręcił głową:

— Nie leźmy w tę jatkę, bo będą nas łać i jedni, i drudzy. Poczekajmy, jak się to skończy...

Właściwie nie było już na co czekać. W pierwszej kolejności wilkołaki rozgromiły niemal wszystkich konnych. Jeszcze opierali się woźnice, wyli i płakali niewolnicy, ale takie drobiazgi nie mogły powstrzymać demonów. Wkrótce było już po wszystkich wolnych Brythuńczykach i przysła kolej na niewolników, którzy nie mieli żadnej możliwości obrony. Około trzydziestu niewolników odegna — no na bok, w pobliże jednego z furgonów, resztę zarżnięto jak bydło. Conan i Erhard byli dość daleko i nie mogli dojrzeć szczegółów krwawej uczty, ale wyobraźnia Cymmerianina usłuźnie podsunęła mu cały szereg ohydnych scen. Conan potrząsnął głową, żeby odpędzić widziadła, i odwrócił się do Erharda: — Wołaj wszystkich. Wchodzimy.

Wilkołaki tymczasem porzuciły poharatane trupy, część potworów skryła się w lesie, pozostałe okrażyły żywych i trzęsących się z przerażenia jeńców i pognały ich za swoimi braćmi. Kilka wilkołaków, teraz w postaci wilków, leniwie zataczało kręgi wokół pobojuwiska, węsząc, czy nie schował się gdzieś jakiś człowiek. Dwa z nich pobiegły w stronę wzgórza, gdzie krył się oddział Erharda.

— Biegnijcie, biegnijcie — pomyślał ze złością Conan, wyciągając miecz z pochwy i ujmując go wygodniej. Wilkołaki penetrowały okolice, zaglądając do wszystkich możliwych kryjówek... i wtedy Cymmerianin poczuł, że broń w jego rękach lekko drgnęła. Conan w osłupieniu popatrzył na miecz, i o mało nie przetaił oczu — czy mu się nie przywidziało? Ale miecz naprawdę drgał, a po klindze biegły fale niebieskawego światła, nasilającego się w miarę zbliżania się wilkołaków. Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad dziwnym zachowaniem broni — wilkołaki już biegły po zboczu wzgórza; gdy poczuły wyraźny zapach człowieka, przywierały do ziemi i warczały.

Cymmerianin podjął jedyną słuszną decyzję — z okrzykiem „Crom!” jak lawina spadł na osłupiałe i zaskoczone wilki. Jeden z wilkołaków, bardziej inteligentny, stanął na zadnich łapach jednocześnie przyjmując postać ohydneho człekopodobnego stworzenia — istoty, pokrytej krótką srebrzystą sierścią z brązowymi bokami i zielonymi ludzkimi oczami, w głębi których palił się ciemny płomień. Drugi pozostał wilkiem — jeśli gdzieś żyją niebieskookie wilki....

Nie pozwalając im ochłonąć, barbarzyńca z całych sił kopnął tego, który był wilkiem, i trafił obcasem buta dokładnie w wilgotny nos. Stworzenie zaskowyczało przeraźliwie i odleciało na dziesięć kroków, już w locie przemieniając się w półczłowieka-półzwierza, porośniętego szarorudą sierścią.

Conan po chwilowym unieszkodliwieniu jednego przeciwnika zaatakował drugiego, zadając cios z prawej strony. Miecz ze świstem przeciął powietrze, stworzenie z zaskakującą prędkością odskoczyło do tyłu i uśmiechając się zębata paszczą, pogroziło człowiekowi krzywym palcem.

Uśmiech zniknął, gdy potwór uważniej przyjrzał się mieczowi. Conan mógłby przysiąc na wszystko, nie wyłączając własnej duszy, że w ludzkich oczach ohydneho stworzenia mignęło zdziwienie i strach.

Z tyłu rozległ się trzask gałązek i warczenie. Barbarzyńca obejrzał się przez ramię — drugi wilkołak, potrząsając głową podnosił się z ziemi... a towarzysze Erharda jakoś się nie spieszyli!

W tym momencie srebrzysty zwierz rzucił się na Cymmerianina i jednym potężnym skokiem pokonał dzielące ich pięć czy sześć kroków. Ogromne cielsko przewróciło Conana na trawę. Barbarzyńca boleśnie uderzył się o kamień, który nie wiadomo skąd się tu wziął, a

wilkołak zakłapał zębami i próbował dosięgnąć szyi człowieka. Cymmerianin jedną ręką ze wszystkich sił odpychał od siebie niewiarygodnie silne stworzenie, drugą próbował dosięgnąć upuszczony podczas upadku miecz. Klinga płonęła teraz niemal białym światłem i drżała, jakby niepokoiła ją sama obecność wilkołaka. Ale niestety nie mogła zbliżyć się do swojego pana...

Tymczasem srebrzysty stwór uniósł się lekko, oparł łapę o osłonięty kolczugą brzuch barbarzyńcy i szeroko rozpostartymi, szponiastymi palcami drugiej ni to łapy, ni to dłoni, spróbował zadać Conanowi cios w twarz. Cymmerianin zaprzestał beznadziejnych prób dosięgnięcia miecza i tuż przed swoimi oczami chwycił wilkołaka za nadgarstek. Wolną ręką wczepił się w ramię potwora i jednym szarpnięciem przewrócił go prosto na leżący w trawie miecz.

Rezultat przeszedł najsmielsze oczekiwania barbarzyńcy. Srebrzysty z jękiem upadł na ostrze i zawył z koszmarnego bólu. Zapachniało spalenizną, wilkołak wijąc się, przeturlał się na bok, ale było już za późno — jego ciało zaczęło szybko zmieniać formę, malało niczym topiące się na rozgrzanej patelni masło. Znikły sierść i szpony, morda i ogon wciągnęły się do środka... Conan na ten widok omal nie zwymiotował, chwycił miecz i z okrzykiem wstrętu ściął wilkołakowi głowę, nie pozwalając mu dokończyć przemiany.

Zapadła cisza i zwinięte na ziemi białe bezkształtne ciało rozsypało się bezgłośnie. Cymmerianin zamrugał i zdziwiony patrzył na biały pył szybko rozwiewany przez wiatr.

Towarzysz zabitego, przez cały ten czas nieruchomo stojący obok sosny, niemal człowieczym głosem wychrypiał: „Nie...” — i runął w dół po zboczu. Conan rzucił się za nim, ale wtedy gdzieś obok rozległ się dźwięczny trzask puszczonej cięciwy. Bossoński łuk, nie odwracając się pomyślał barbarzyńca.

Dziesiątka Erharda w pełnym składzie zamajaczyła pomiędzy sosnami. Obok dawnej kryjówki Cymmerianina i dziesiątnika stał Emert, i spokojnie strzelał z długiego, niemal tak wysokiego jak on łuku. Wilkołak nie przebiegł nawet dziesięciu kroków, gdy pięć strzał, jedna po drugiej utkwilo w jego plecach, przesywając go na wylot i wychodząc z drugiej strony. Potwór zachłysnął się własną krwią, przebiegł jeszcze kilka kroków, niezgrabnie zwałił się na bok i stoczył w dół po zboczu, z trzaskiem łamiąc długie drzewce. Za plecami Conana Emert westchnął z irytacją: — Szkoda strzał...

Ciało wreszcie zatrzymało się, gdy uderzyło w leżący na jego drodze gruby sosnowy pień, i dziesiątka na wyścigi pomknęła na dół, do ciężko dyszącego ciała, którego szarorudą sierść zaczynała już zlepić płynąca z ran krew. Wilkołak wtulił pysk w zwiędłą trawę i ogólnie rzecz biorąc nie wyglądał najlepiej, ale, co najdziwniejsze, nie miał zamiaru umierać.

Conan znalazł się przy wilkołaku pierwszy. Z wysiłkiem odwrócił go na plecy i napotkał ostre spojrzenie błękitnych, lekko zaćmionych bólem i strachem ludzkich oczu.

— Dobij mnie, draniu — wyraźnie wypluła słowa okrwawiona zębata paszcza.

— Ee, nie — pokręcił głową Emert, który właśnie nadbiegł. — Na początek trochę porozmawiajmy...

— Nie mam o czym rozmawiać z człowiekiem.

Wilkołak demonstracyjnie odwrócił głowę.

— Aha — spokojnie kiwnął głową dziesiątnik. — Nie masz o czym... Conan, daj no tu swój miecz, zaraz się przekonamy, kim on jest naprawdę...

— Nie!... — Nie na żarty przerażony wilkołak próbował się odsunąć, osłaniając się rękami przed potworną klingą, którą barbarzyńca z kamienną twarzą zbliżył do niego.

— Wystarczy — powstrzymał Cymmerianina Erhard. — Na razie zabierz swoją zabawkę. To jak, będziemy rozmawiać czy nie? — Dziesiątnik przysiadł obok potwora, który ku zdziwieniu barbarzyńcy nawet nie próbował go ugryźć. Conan popatrzył na uważne i skupione twarze wojowników, tworzących krąg wokół leżącego stworzenia. Wydawało się, że oni wiedzą o pojmanym coś takiego, czego Cymmerianin nie wiedział.

Tymczasem wilkołak, choć niechętnie, zaczął odpowiadać na pytania Erharda.

— Ilu was jest?

— Dwudziestu trzech... Teraz dwudziestu jeden.

— Skąd się wzięliście? — wtrącił Conan. Wilkołak krzywo się uśmiechnął.

— Byliśmy zawsze, wcześniej niż wy...

— Conan, nie przeszkadzaj! — krzyknął gniewnie Erhard. — Teraz nie to jest najważniejsze. Gdy dowiemy się wszystkiego, czego potrzebujemy, będziesz mógł porozmawiać sobie z nim o czym zechcesz, choćby o pogodzie, czy kobietach — odwrócił się do spoglądającego na nich ze złością stworzenia i kontynuował przesłuchanie: — Gdzie jest wasza kryjówka?

Wilkołak milczał i z obojętną miną przypatrywał się czystemu niebu i kołyszącym się wierzchołkom sosen.

— No?! — krzyknął groźnie dziesiętnik. Chwycił istotę za ucho i odwrócił wredny pysk w swoją stronę: — Miecza ci się zachciało?

Wilkołak ciężko westchnął i wymruczał:

— Na południowy zachód stąd, lasem, ścieżką dzików. Wjedźcie między zwalone drzewa, za nimi jest wzgórze z jaskinią. Znajdziecie...

— Kto wami dowodzi? Wasza szajka jest jedyna?

— Jakbyś nie wiedział... Nie jedyna, nie jedyna... — Istota zamilkła i utkwiała wzrok w niebo.

— Kto jest przywódcą? — powtórzył uparcie Erhard.

— Nie wiem — rzucił wyzywająco wilkołak i prychnął leciutko.

Podczas tej rozmowy Conan uważnie obserwował wojowników i zauważył kilka szybkich spojrzeń, którymi wymienili się Valso i Halmun. Barbarzyńcy nie podobało się to wszystko, tak samo jak rzucone przez wilkołaka: „Jakbyś nie wiedział...”. Dobra, zorientujemy się później.

— To co, nie wiesz? — zapytał jadowicie Erhard i zwrócił się do swoich: — No jak, kto chce go o coś zapytać?

Nie było chętnych — wszyscy przecząco pokręcili głowami. Oprócz Conana, który spytał:

— Jaka siła tkwi w moim mieczu? Dlaczego tak na was działa?

Wilkołak odwrócił się do niego i chyba nawet chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie z jego pyska popłynęła krew, półwierz zacharczał i zbulgotał, i Erhard szybkim ciosem kindżału skrócił jego męki.

— Jak zwykle! — rozczarowany Conan machnął ręką i zaczął iść w górę po zboczu. — Nigdy nie mam szczęścia...

Vellan otwarcie się uśmiechnął i sądząc po minie, miał zamiar krzyknąć za barbarzyńcą coś nieprzyjemnego, ale spojrzenie Erharda starło uśmiech z jego twarzy i zmusiło do milczenia. Dziesiętnik zawołał:

— Conan, poczekaj!

Cymmerianin zatrzymał się, odwrócił i mruknął:

— Na co tu czekać, na wczorajszy deszcz? Zbierajmy się i jedźmy za wilkołakami... — i szybko ruszył po szeleszczącej trawie w kierunku obozu.

Erhard dogonił go i szedł obok.

— Nie sadzę, żeby on coś wiedział o twoim mieczu — zaczął cicho dziesiętnik. — Możliwe, że tamten pierwszy mógłby nam powiedzieć coś ciekawego, ale zabiłeś go zanim zdążyliśmy go przesłuchać...

— Tak, tak — odezwał się złośliwie barbarzyńca, kpiąco spoglądając na dziesiętnika zimnymi, lodowato błękitnymi oczami. — Wszystkiemu oczywiście winien jestem ja. To ja zabiłem wilkołaka, który próbował mnie pożyć, i nie rozmawiałem z nim uprzednio o pogodzie. To ja nie pozwoliłem ci przesłuchać rannego, to ja...

— Dobrze, dobrze... — Erhard w pojednawczym geście podniósł rękę. — To wszystko moja wina. Ale co nieco o twoim mieczu wiem...

— To dla czego od razu nie mówisz? — burknął rozdrażniony Conan, ze złością kopiąc suche sosnowe szyszki leżące wokół obozu.

— Nie pozwoliłeś mi, ciągle tylko gderasz — odpowiedział gniewnie Erhard. — Daj no go tu! Popatrz, te runy — dziesiętnik przesunął palcem najpierw po rękojeści, potem po ostrzu — podobne są do hyperborejskich i nordhejskich, ale w porównaniu z nimi są dużo wyraźniejsze... i bardziej, jakby to rzec, prawidłowe. A teraz spróbuj dotknąć ostrza.

Conan tak właśnie zrobił. Jego palce wyczuły delikatną szorstkość, wydawało się, że zimna twarda stal żyje. Cymmerianin odniósł wrażenie, że klinga lekko poruszyła się pod jego dotknięciem.

— Czujesz? — zapytał szeptem Erhard i gdy Conan skinął twierdząco głową, ciągnął: — To naniesione słabym wytrawianiem zaklęcia, najprawdopodobniej przeciwko wilkołakom. Dzisiaj czegoś takiego nie robi już żaden kowal. Takiej pięknej stali zresztą też nie. — Dziesiętnik wziął miecz za rękojeść i koniusek ostrza i zgiął go niemal w regularną obręcz, po czym puścił. Klinga zaśpiewała oburzona i wróciła do poprzedniej pozycji. — Pozostałe runy to zwykłe talizmany — chroniące przed złymi duchami, zapewniające wierną służbę — Erhard zerknął na boki — i tak dalej...

Weszli do obozu i zaczęli zbierać rzeczy, kontynuując rozpoczętą po drodze rozmowę.

— Jak myślisz, kiedy go wykuto? — zapytał Conan. Zdjął kolczugę i ułożył ją w podróżnym worku na prowiancie, czystej koszuli, krzemieniach i starej glinianej flaszki oplecionej sznurkiem, w której chlupotały resztki wina palmowego, jeszcze z Numalii.

— Bardzo dawno — odpowiedział Erhard po zastanowieniu. — Może za czasów Valuzji... Ale nie wiem, kto mógł go wykonać. — Dziesiętnik pokręcił głową i popatrzył na swój oddział, który dopiero teraz wychodził zza drzew. Najwyraźniej nikomu się nie spieszyło.

— Ruszać się, pomioty Nergala! Bo po powrocie wszystkich zmuszę do czyszczenia latryn! Nikt nie potraktował tej groźby poważnie, ale żołnierze odrobinę przyspieszyli.

Po jakimś czasie ze wzgórza zjechało jedenastu jeźdźców, którzy skryli się w gęstym, ponurym i nieprzyjemnym lesie.

V

Tak jak mówił pojmany wilkołak, po pewnym czasie wąska, ledwo zauważalna pośród gęstej trawy ścieżka doprowadziła ich do powalonych drzew, które uniemożliwiły przejazd. Przeprowadzenie koni przez zwalone pnie, oplecione gałęziami wyjątkowo kłujących krzewów było nieprawdopodobieństwem. Za drzewami, nad lasem wznosiło się posepnie wyglądające wzgórze, porośnięte starymi świerkami. Ponad nimi płynęła w niebo niemal niezauważalna strużka dymu — widocznie ktoś nieumiejętnie rozpałał ognisko.

Dziesiątka polujących na wilkołaki zsiadła z koni i spętała je. Zwierzęta poczuły nieznajome, niepokojące zapachy i niezadowolone zarżały, a potem zajęły się szczypaniem wysokiej trawy. Ludzie zaś zaczęli sposobić się do wypadu do legowiska swojego zagadkowego i straszego wroga.

Conan wyjął z podróżnego worka kolczugę i założył ją na kurtkę. Wrogów co prawda nie było jeszcze widać, ale a nuż jakiś ciekawski wilkołak zechce się przekonać, co to za niedźwiedź w ludzkiej postaci trzeszczy gałęziami i głośno przeklina na cały las. Rozejrzał się, wyciągnął z worka prawie pustą butelkę, wyjął zatyczkę i łyknął palmowego wina.

Tymczasem strażnicy kłócili się zażarcie, kto ma zostać przy koniach. Wypadło na Ranna, ku jego wielkiemu żalowi. Młody Cymmerianin długo i wymyślnie przeklinał, aż wreszcie Erhard palnął go w kark, dodając przy tym, że jeśli jeszcze jakaś beczelnie uśmiechająca się barbarzyńska gęba chce powojować z wilkołakami, to może zaraz, drąc się na całe gardło, rzucić się biegiem przez zarośla, niech tylko poczeka, aż pozostali odejdą na bezpieczną odległość. Rann mruknął coś o wiecznym krzywdzeniu mieszkańców północnych krajów. Próbował zwrócić się o pomoc do Conana, a gdy nic nie wskórał, demonstracyjnie, nie patrząc na nikogo podszedł do koni i usiadł pod ogromnym świerkiem, niewidoczny pod jego rozłożystymi gałęziami.

Pozostali jeszcze sprawdzili broń, niektórzy po chwili wahania w ślad za Conanem zakładali kolczugi. Vellan, dziwnie poważny, wyjął swoją kolczugę, potrzymał w ręku, popatrzył na nią w zadumie i znowu schował do worka. Potem, unikając zdziwionych spojrzeń towarzyszy, zajął swoje miejsce w szyku pomiędzy Ilmajnenem i idącym na końcu barbarzyńcą.

— No, chłopaki, Mitra jest z nami... — powiedział półgłosem Erhard. — Postarajcie się nie trzeszczeć gałęziami, nie wpadać na siebie i nie kłać. Rozumiem, że to ostatnie trudno wam będzie zrobić, ale mimo wszystko spróbujcie... Idziemy gęsiego, powoli i ostrożnie. — Po tym wstępie dziesiątnik przeszedł przez powaloną, z lekka już nadgniłą sosnę i rozsuwając rękami krzewy, zaczął zagłębiać się w gęstwinę.

— Stój, Erhardzie — powiedział cicho Conan.

— Czego chcesz? — zasyczał tamten ze złością, gniewnie patrząc to na wążącego gdzie nie potrzeba barbarzyńcę, to przed siebie.

— Często miałem okazję przekradać się obok różnych nie do końca zwyczajnych strażników, i dlatego pozwól mnie i... — Cymmerianin w zadumie popatrzył na zastygły oddział — ...Emertowi pójść na czele.

Szarooki Bossończyk opuścił swoje miejsce w szyku i podszedł do dowódcy.

— Brałeś kiedyś udział w wypadach przeciwko Piktom? — zapytał Conan.

Emert skinął głową i krótko odpowiedział:

— Tak, umiem być niesłyszalny.

— I niewidoczny — dodał półgłosem barbarzyńca i odwrócił się do dziesiątnika: — Idźcie za nami w odległości dwustu kroków. Naprzód!

Po tych słowach zniknęli wśród zwalonych drzew jak dwa bezgłośnie cienie.

— A to ci dopiero! — zachwycił się Halmun. — A takiego niedźwiedzia udawał!

— Prosiłbym, żebyś się zamknął. — Valso dotknął ramienia Vanira. — I patrz przed siebie, a najlepiej pod własne nogi.

— Dobra, dobra — mruknął ze złością jednooki i zaczął się wpatrywać w ziemię przed noskami swoich butów.

Conan i Emert ostrożnie stąpali po suchych gałązkach. Mimo usilnych starań, pod ich nogami co chwila rozlegał się głośny trzask. Najwidoczniej skupisko powalonych drzew było nie do końca dziełem natury. Oczywiście leżało tu mnóstwo pni, przewróconych silnymi zimowymi wiatrami, ale na wierzchu walały się liczne suche gałązki, najwyraźniej rozrzucone rękami człowieka. Albo łapami wilkołaka...

Posępny świerkowy las milczał, nie śpiewały ptaki, nie bzyczały owady, tylko gdzieś daleko z tyłu zawył wilk. Szybko zapadał zmierzch. Z prawej strony przez sterczące gałęzie drzew Conan zauważył purpurowy pas nieba i zachodzące słońce. Mimo woli Cymmerianin zapatrzył się, na chwilę przestał uważać, co ma pod nogami, potknął się o porośnięty mchem pień i poleciał do przodu, prosto na ostre, sterczące w różne strony kawałki suchych gałązek. W duchu już słyszał potworny trzask, jaki rozlegnie się po jego upadku. Ale nic takiego nie nastąpiło. Emert zdążył złapać idącego przed nim barbarzyńcę i stękając z wysiłku nie pozwolił mu upaść. Conan wyprostował się, skinieniem głowy podziękował Bossończykowi, ale ten tylko lekceważąco wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że w podobnej sytuacji Cymmerianin zapewne postąpiłby tak samo.

Zwałowisko drzew nieoczekiwanie się skończyło. Wydawało się, że będą tak szli jeszcze ze dwieście kroków, ale po obejściu kolejnych pni — łatwych do pokonania, tylko strasznie trzeszczących — zwiadowcy znaleźli się pośród zwykłych drzew. Za nimi kryła się polana, kończąca się czarną rozpadliną — wejściem do jaskini. Długo oczekiwane i nieosiągalne wzgórze było tuż przed nimi.

Dwaj ludzie obeszli polanę, uważnie rozglądając się na boki i wsłuchując się w każdy szmer. Nie spotkali ani jednej żywej duszy. Zdaje się, że wilkołaki były tak przekonane o niedostępności swojego legowiska, że nawet nie wystawiły wart. Najwidoczniej martwiły się też losem swoich dwóch braci, którzy nie wrócili z napadu na karawanę...

Conan szybko znalazł sobie idealny punkt obserwacyjny, skąd miał piękny widok na wejście do jaskini. Z lewej strony polana płynnie przechodziła w zarośnięte krzewami zbocze wzgórza i właśnie tam ulokował się Cymmerianin, a potem posłał Emerta po pozostałych.

Zwiadowcy nie spotkali nikogo w okolicy, jednak sama polana nie była pusta — przed czarną jamą wejścia do podziemi dwa wilkołaki rozpałały ognisko. Nie za bardzo im to szło, co chwila szczyrzyły zęby i warczały na siebie. Kilka innych wilkołaków wyszło z jaskini i rozłożyło się na trawie, grzejąc się na słońcu, jak zwyczajne leśne zwierzęta.

Po jakimś czasie nadeszła cała dziesiątka ludzi Emerta. Ostrożnie rozlokowali się w kryjówkach i szykowali broń do walki. Wilkołaki na dole wreszcie uporały się z ogniskiem. Przez chwilę krążyły zadowolone wokół płomieni, po czym pobiegły zameldować o tym starszemu — smoliście czarnemu stworzeniu, siedzącemu oddzielnie. Starszy wysłuchał ich, skinął ohydny łbem prawie jak człowiek, a potem odwrócił się do jaskini i krótko zawył jakiś rozkaz.

Próżnujące na polanie wilkołaki zaczęły się podnosić i siadać na bierwionach wokół ogniska. Z jaskini zaczęto wyprowadzać jeńców — Brythuńczyków. Nieszczęśnicy nie mieli już nawet sił się bać, tylko ciężko oddychali i patrzyli na popychające ich, szczyrzyące zęby wilkołaki.

Conan odniósł wrażenie, że zaraz zacznie się jakaś ceremonia, zapewne składanie ofiar. Niby wszystko było gotowe — ofiary są, widzowie też się już zebrali, jednak starszy półwierz przez cały czas tak samo nieruchomo siedział na swoim miejscu. Pozostali cierpliwie czekali.

Barbarzyńca domyślił się, że czekają na tamtych dwóch. Nie doczekają się!

Najwidoczniej starszy też tak pomyślał, bo z niezadowoleniem zawarczał i machnął łapą. Po jego rozkazie wilkołaki ożywiły się, zerwały się ze swoich miejsc i rzuciły w stronę jeńców. Ludzie zaczęli krzyżeć z przerażenia, spróbowali uciekać, ale ciągle skuci jednym łańcuchem zaplątali się i poupadali na ziemię.

Każdy z wilkołaków wybrał sobie jednego niewolnika czy niewolnicę i uwolnił ich z łańcuchów. Dwoje ludzi pozostało bez przydziału.

Czarny przywódca podszedł do pobratymców, wlokąc nieprzytomną Brythunkę za kołnierz koszuli. Z lekkim współczuciem i pogardą popatrzyli na ludzi i machnął łapą. Wschodzący nad lasem księżyc mrocznie zaśnił na długich, krzywych szponach. Jeden z Brythuńczyków chwycił się za rozerwane gardło i oblewając się krwią ciężko padł na trawę. Drugi przeraźliwie krzyknął, podniósł ręce i zakrył nimi szyję i twarz. Wilkołaki zaśmiały się ochryple, a czarny przywódca błyskawicznym ruchem przejechał człowiekowi po brzuchu. Krzyk przeszedł w chrypienie, jeniec zgiął się, próbując utrzymać wysypujące się wnętrzności, ale na próżno — śliskie od krwi ręce bezsilnie rozsunęły się, potem ugięły się nogi... Najstraszniejsze było to, że ten leżący na własnych kiszkach człowiek żył. Nie krzyczał już, ciężko i szybko oddychał...

Przywódca stada nawet nie spojrzał w jego stronę. Z obrzydzeniem wytarł szpony o grubą lnianą koszulę swojej niewolnicy i razem z innymi stanął w kręgu wokół ogniska. Tym razem wilkołaki nie siedziały lecz stały. Odgródzone ciałami niewolników od wesołego rudego ognia, od czasu do czasu spoglądały na nocne niebo.

Na co te potwory czekają, na pełnię? — pomyślał Conan i ostrożnie przesunął się odrobinę do przodu. Cymmerianinowi bardzo się to wszystko nie podobało. Nie wstrząsnęło nim podwójne zabójstwo — to była rzecz najzupełniej zwyczajna, do niej barbarzyńca odniósł się zupełnie obojętnie. Jemu samemu zdarzało się za jednym zamachem zabić więcej osób, i to dużo okrutniejszymi sposobami, niż wulgarne podcięcie gardła czy wypruwanie flaków. Conanowi nie spodobały się niepokojące przygotowania przy ognisku, otaczała je złowieszcza atmosfera. Przecież wilkołaki to demony i twory magii. Dziwnie dzisiaj rano umierały... No, pierwszego, co oczywiście, zabiła magia miecza, ale drugiego wykończyły zwyczajne bossońskie strzały, a jego krew była czerwona, jak u człowieka... Dużo, bardzo dużo w tym wszystkim tajemnic... Dlaczego na przykład Vellan nie założył kolczugi?

Od takich pytań bez odpowiedzi Conanowi pękała głowa. Na dole wilkołaki w dalszym ciągu stały w kręgu i w łapach, jak w żelaznych imadłach, ścisnęły co jakiś czas tracących przytomność jeńców. Conan obejrzał się i zobaczył, że Vellan znajduje się najdalej od niego i postanowił, że po walce będzie musiał zadać mu parę pytań. Bo że dojdzie do walki, barbarzyńca nie miał wątpliwości. Trzeba tylko poczekać na odpowiedni moment — gdy potwory zajmą się swoim przeklętym rytuałem, wtedy należy się na nie rzucić...

Conan zdecydowanie odpędził od siebie wszystkie inne myśli i zaczął koncentrować się przed czekającą go walką. Bładozółte oko pełni oświetlało widmowym światłem czarne postacie wilkołaków, rzucających dziwaczne cienie. Nad głową Conana przeleciała pohukująca sowa, zaszeleściło skrzydłami stadko popiskujących nietoperzy. Wiatr ucichł i w ciszy, jaka zapadła, słychać było trzask polan w płonącym jasno ognisku wilkołaków.

Przywódca szajki spojrzał na nocne niebo i usatysfakcjonowany skinął głową do swoich myśli. Po czym podniósł z ziemi niewielki worek, rozwiązał go i jednym gwałtownym ruchem wsypał zawartość do ognia. Płomień zahuczał, wzbil się aż do wierzchołków najwyższych sosen i...

—wilkołaki zgodnym chórem wykrzyknęły coś niezrozumiałego, co dla ludzkiego ucha brzmiało jak *rarg werzeg gruhw*, i pchnęły swoich jeńców w ogień. Okrzyki przerażenia przeszły we wrzask bólu i szybko umilkły. Magiczny płomień pożarł ciała i spopielił kości.

Smoliście czarny przywódca zaczął wypowiadać urywane słowa zaklęcia i ognisty słup otworzył się niczym kielich kwiatu. Każdy płonący purpurowo szkarłatnym światłem,

pochylony do przodu płatek dostał się jednemu wilkołakowi, tylko przywódca ze swoim nieprzytomnym jeńcem stał w oddaleniu, dalej rzucając czary.

Wilkołaki wzięły się za łapy i teraz z góry wszystko to wyglądało jak ogromne koło, którego środek tworzyło ognisko. Magiczne płatki wyglądały jak szprychy, pierścień wilkołaków był obręczą. Czarodziejska moc wyczuwalnymi gorącymi falami wsączała się w potwory i z chwili na chwilę stawały się one coraz silniejsze. Wydawało się, że wchłaniają życiową siłę umarłych wrogów... i zapewne tak właśnie się działo.

Conan pojął, że nadszedł decydujący moment. Wszystkie wilkołaki oprócz przywódcy były bezbronne — wystarczyło podejść, brać je gołymi rękami, i uważać, żeby się nie oparzyć... Barbarzyńca ostrożnie wysunął miecz z pochwy. Klinga świeciła jasno, niemal promieniując białoniebieskim zimnym ogniem. Cymmerianin wsunął oręż z powrotem do pochwy, żałując że nie wziął ze sobą płaszcza. Klinga była gorąca i lekko drżała. Od dotyku miecza Conan doznał dziwnego uczucia, jakby to wszystko już widział, tylko zapomniał, gdzie i kiedy. Szczególnie wyraźnie przemknął przed nim obraz młodego chłopca i jedno niezrozumiałe słowo, jarzące się błękitnym światłem...

Conan uległ niespodziewanemu uczuciu. Zaczął macać dłonią wokół siebie, znalazł kamień wielkości kurzego jaja, odchylił pochwę i przyłożył go do miecza, mamrocząc jedno słowo, które nie wiadomo skąd pojawiło się w jego pamięci — *elewem*. Klinga rozbłysła oślepiająco, wilkołak na dole, nadal wykrzykujący zaklęcia, powoli odwrócił głowę — jego uwagę zwrócił wybuch jasnego światła.

Oczy zwierza nagle rozszerzyły się i zaczęły wyglądać jak dwie przejrzale truskawki, to ich źrenice zapłonęły demonicznym ogniem. Na zboczu wzgórza podniosła się wysoka ludzka postać z błyszczącą gwiazdą w prawej ręce i szerokim gestem cisnęła tę maleńką gwiazdę w środek magicznego ogniska. Wilkołak odniósł wrażenie, że czas się zatrzymał, a ziemia usuwa mu się spod nóg. Lśniący ogień rozpałał się coraz bardziej, poszybował wysokim łukiem i zaczął powoli spadać w buszujący ogień...

Przywódca przerwał zaklęcia, odepchnął nieprzytomną dziewczynę, która upadła jak worek i przeraźliwie zawył:

— Nieeee!

Ale nie zdołał już pomóc swoim braciom, mocno połączonym magicznym ognistym kręgiem.

Conanowi czas się nie dłużył. Posłuchał głosu intuicji, i ze zdziwieniem zobaczył, że początkowo nic się nie działo. Lśniący jak diament najczystszej wody odłamek skały po prostu roztopił się w krwawym płomieniu — w każdym razie tak wydawało się barbarzyńcy. Ale po chwili...

Ze środka ogniska buchnął białoniebieski płomień. Sięgnął do wilkołaków. Przeważający skowyt bólu, który wyrwał się z dwudziestu gardeł, uświadomił zadowolonemu Cymmerianinowi, że jego przypuszczenia się sprawdziły.

Conan podniósł z ziemi miecz — teraz mógłby przysiąc, że zagadkowa broń promienieje radością. Oparł się o niego i patrzył, jak biały ogień pożera wilkołaki, tak samo jak przekłety płomień ich ogniska pożerał nieszczęsnych Brythuńczyków.

Ostro rozbłysło oślepiająco białe światło, chóralne wycie ucichło i na miejscu dwudziestu ohydnych nocnych potworów leżały kupki popiołu. Ognisko momentalnie zgasło i przywódca, jedyny, który przeżył, cofnął się, potknął o walające się pod jego nogami polano i upadł.

— Weźmiemy go żywcem! — zaryczał Conan i susami pomknął na dół. Ogarnięci jego bojowym zapalem, w ślad za barbarzyńcą pobiegli bracia Gunderzy i Ilmajnen. Pozostali członkowie oddziału zaczęli ostrożnie schodzić za nimi.

Smoliście czarny przywódca spopielonego stada wstał i głucho zaryczał. Barbarzyńca, który zbiegł ze wzgórza, zatrzymał się pięć kroków przed nim i podejrzliwie spojrzął na zrodzoną z czarnej magii istotę.

Wilkołak miał imponujące mięśnie — pod gęstą krótką sierścią przetaczały się niczym stalowe kule. Z półotwartej paszczy pomiędzy żółtawymi kłami, których pozazdrościłby mu każdy wilk, zwisał jasnoczerwony wilgotny język, z niego kapłała piana; w wypukłych czarnych oczach zastygł ból.

— No, który pierwszy? Ty, cymmeryjski psie? — powiedział wyraźnie wilkołak, prostując plecy, zaciskając i rozluźniając pięści.

Conan zaatakował. Zadał dwa szybkie ciosy na krzyż, jednak wilkołak błyskawicznie się uchylił, przekoziołkował do przodu i znalazł się pod nogami barbarzyńcy. Conan spróbował kopnąć go w pysk, ale chybił. Wilkołak pochwycił przeciwnika za kostkę i bez specjalnego wysiłku, wymachując nad głową masywnym ciałem, cisnął barbarzyńcę w krzaki jeżyn. Osłupiały Cymmerianin wyleciał jak kamień z procy, przeorał kłujące zarośla, zostawił za sobą sporą przesiekę i wyrzwał głową w stary pień. Drewno na takie traktowanie zareagowało żalonym skrzypnięciem i rozsypało się. Barbarzyńca podrapał sobie twarz i ręce, rozerwał prawie nowe spodnie, potłukł łeb i cicho zaklął. Przed oczami najpierw przesunął mu się szereg różnokolorowych plam, a potem wszystko zasnuło się czernią i na jakiś czas świat kompletnie przestał interesować Conana. O to właśnie chodziło wilkołakowi...

Gdy Cymmerianin obejmując rękami trzeszczącą głowę dochodził do siebie, Ilmajnen wyprzedził Gunderów i rzucił się na spokojnie stojącą i jakby czekającą na człowieka ohydną czarną istotę. Hyperborejczyk zadał cios, ale nie dość szybko i pewnie, leśny zabójca zaś błyskawicznym ruchem pochwycił rękę z długim wąskim ostrzem, a drugą łapą złapał Ilmajnena za gardło. Człowiek próbował się wyrwać, ale nie mógł nawet drgnąć — łapy przywódcy były jak stalowe imadła.

— Wpadłeś! — Wilkołak z triumfalnym uśmiechem ścisnął przegub Hyperborejczyka tak, że zatrzęszczały kości i miecz wypadł z rozchyłonych palców. — Pamiętasz nasze spotkanie w Pohjele?

Twarz Ilmajnena pobladła i pokryła się kropelkami potu, ale nie można mu było odmówić odwagi. Bracia Gunderzy dopiero dobiegli do brzegu polany, Conan kiwał się jak wendyjski bożek, siedząc na piętach i bezskutecznie próbując wstać. Hyperborejczyk zrozumiał, że nie uda mu się wyjść z tego z życiem. Skrzywił się i plunął wilkołakowi w pysk:

— Szkoda, że cię wtedy nie dostałem!

— Oczywiście — zgodził się wilkołak. Puścił gardło człowieka i wytarł się. — Widać taki los... Żegnaj!

Przywódca głośno ryknął i uderzył rozpostartymi palcami w pierś Ilmajnena. Jego łapa przebiła kolczugę, zanurzyła się w ludzkim ciele, i odszukała pulsujący szybko woreczek serca. Hyperborejczyk przenikliwie krzyknął. To nie był krzyk człowieka, lecz zwierzęcia, które pozbawia się czegoś najcenniejszego na świecie — życia...

Czarny potwór zaryczał zwycięsko i wyrwał łapę z rany. Ciało Ilmajnena zwiotczało i zważyło się pod nogi zabójcy. Wilkołak uniósł nad głowę łapę ze lśniącymi w świetle księżyca szponami i krótko zawył. Kawalek mięsa, ociekający ciężkimi kroplami krwi, kilka razy konwulsyjnie drgnął i ucichł. Wilkołak zerknął na zamarłych na skraju polany Gunderów, zanurzył kły w czymś, co niedawno jeszcze było ludzkim sercem, potrząsnął głową, przełknął, a potem drwiąco rzucił:

— No, kochani, podejdźcie bliżej, potrzebuję tylko waszych serc!

Gart szeptem zaklął i zaczął obchodzić wilkołaka z prawej strony po obwodzie koła, trzymając miecz przed sobą, Giliom zaś ruszył w lewo.

Conan, który wreszcie ocknął się i wstał, ze wściekłym okrzykiem rzucił się na wilkołaka od tyłu. Leśne stworzenie tylko się uśmiechnęło i odskoczyło w prawo; jednocześnie podstawiło

Conanowi nogę i lekko popchnęło go w plecy. Cymmerianin z rozpędu zarył nosem w ziemię, przed oczami znowu zatańczyły mu kolorowe plamy...

Obaj Gunderzy rzucili się do ataku jednocześnie, ale i im poszło nie lepiej. Gart dostał kopniaka w pachwinę, wypuścił miecz, zgiął się w pół i jęcząc zrobił kilka kroków, a Giliom po ciosie łokciem w brzuch (nie pomogła mu nawet kolczuga) i pięścią w twarz, udał się przetartą przez barbarzyńcę ścieżką prosto w zarośla jeżyn.

Wilkołak po unieszkodliwieniu obu braci powoli podszedł do leżącego na trawie, niezbyt przytomnego Cymmerianina, i kopnął go w bok. Barbarzyńca podniósł głowę, obejrzał się, i z udawanym żalem w głosie powiedział:

— I teraz właśnie czeka cię koniec...

Wzniesione do uderzenia szpony otoczył czerwony blask, ale łapa nie zdążyła spaść. Nocne powietrze ze świstem rozcięła długa, ciężka strzała, wilkołak zawył i popatrzył na swoje przebite przedramię.

— Poznając... Emert, bossoński bękarcie, i ty tutaj? No, jakimi to jeszcze starymi przyjaciółmi ucieszy mnie los?

Pozostawił Conana na podeptanej trawie, z westchnieniem żalu wyrwał z rany zakrwawione drzewce i wpatrzył się w ciemność.

— Oho, ryże bydlę też tu przyszło? I ty, Valso? — Ostatnie imię wymówił z nieukrywanym wstrętem.

Chudy Zingarczyk pobladł i mocniej ścisnął rękojeść swojej wygiętej szabli.

— I nierozłączni wujaszek z kuzynkiem także tu zajrzeli! — ciągnął kpiąco wilkołak. — Jednego tylko nie rozumiem: co wśród was robi ten przeklęty barbarzyński wyrodek? — Kopnął podnoszącego się Cymmerianina w brzuch, ale ten tylko zgrzytnął zębami i uparcie wstał. — Zuch — pochwalił go wilkołak i odwrócił się do dziesiątki, która otoczyła polaną. — Będziemy walczyć zgodnie ze starym obyczajem? A może tchórz was obleciał?

Valso szarpnął się, ale Erhard przytrzymał go za ramię i przecząco pokręcił głową.

— Tchórze! — zaszczekał wilkołak, odwracając się to do jednego, to do drugiego. — No, zabijcie mnie! Was jest dziewięciu, ja jeden, na pewno zwyciężycie, na co jeszcze czekacie?!

Tymczasem Conan, potrząsając głową jak ogłuszony byk podczas walki w Zingarze, chwiejnym krokiem podszedł do Erharda.

— Proszę, barbarzyńca oży! — powitał go drwiąco wilkołak. — Czy ty się chociaż domyślasz, kto stoi obok ciebie, z kim dzielisz jadło i miejsce przy ognisku? Nie? No to ja ci zaraz otworzę oczy!

Głowa barbarzyńcy huczała z bólu, ale zdobyte w czasie walki strzępy informacji, aluzji i podejrzeń zaczęły stopniowo układać się w coś takiego, że Conanowi po prostu nie chciało się wierzyć.

— Na co otworzysz mi oczy, demonie? — burknął Cymmerianin, pocierając głowę.

— Demonie... — Wilkołak uśmiechnął się całą paszczą. — Taki ze mnie demon, jak i z ciebie! My też jesteśmy ludźmi, tylko trochę innymi... Erhard mógłby opowiedzieć ci dużo więcej niż ja. Prawda, Erhardzie?

Dziesiątnik, starannie unikając wzroku wilkołaka, wymamrotał coś na temat kuglarskich sztuczek. Zabrzmiało to dość nieprzekonująco.

— A może — wilkołak nie przestawał sobie kpić — pokażemy waszemu przyjacielowi barbarzyńcy...

Nie zdążył dokończyć. Stojący z boku Emert gwałtownym ruchem podniósł naciągnięty łuk i puścił cięciwę. Strzała przeszła wilkołakowi gardło, zakrztusił się słowami i krwią. Zachłystując się, bulgocząc i chrypiąc, czarny półzwierz zdołał tylko wydusić:

— Bądźcie... przekleci...

Następna strzała głęboko wbiła mu się w oko, przewracając go na plecy, a gdy Conan podbiegł do drgającego wilkołaka w nadziei, że usłyszy jeszcze choćby słowo, przywódca byłego stada już nie oddychał, patrząc szklistym wzrokiem w czarne nocne niebo.

Barbarzyńca odwrócił się do milczącego i niewzruszonego Emerta i ze złością wykrzyknął:

— Po co? Po co to zrobiłeś? Nie chciałeś, żeby on mówił, żebym się czegoś dowiedział, tak?

— Uspokój się — powiedział Erhard cicho i twardo. — Nie skrywamy przed tobą żadnych tajemnic. Kiedy przyjdzie czas, wszystkiego się dowiesz...

— Powiedz teraz! — zażądał Cymmerianin, ale na próżno. Erhard milczał. Oddział stał w ciszy wokół nich, jedni oglądali noski swoich butów, inni gwiazdy, jeszcze inni kołyszące się krzaki jeżyn, skąd na czworaka wyląził podrapany Giliom.

— W taki razie ja powiem! — oświadczył stanowczo Conan, widząc, że nikt nie ma zamiaru otwierać ust. — Wszyscy jesteście wilkołakami!

Dziwne, ale po tych słowach Erhard odetchnął z ulgą, a Vellan otwarcie się zaśmiał. Zdziwiony barbarzyńca popatrzył na rozweselonych wojowników, nie rozumiejąc, czego ma się teraz spodziewać.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — Dziesiątnik położył rękę na ramieniu Cymmerianina. Nicco zbity z tropu Conan zaczął mamrotać:

— No... Zaproponowałam wam, żeby walczyć zgodnie ze starym obyczajem... Znał wasze imiona... Nazywał was starymi znajomymi...

— Oczywiście, że nas znał! — przerwał mu Vellan. — Przecież od dawna polujemy na wilkołaki! Każdy z nas w swoim kraju dowodził oddziałem: ja w Brythunii, Giliom w Gunderlandii, Erhard tutaj, na Kresach... A tego typu — wskazał ciało wilkołaka — znamy od dawna. Ten stary zabójca nie daje, to znaczy nie dawał spokoju wielu ziemiom.

— Posłuchaj — dodał Erhard, widząc wahanie barbarzyńcy. — Przecież masz miecz, który nie znosi obecności wilkołaków! Popatrz na niego, świeci się?

— Nie, zimny jak lód — przyznał Conan, macając broń. Już nie był taki pewien.

— Proszę — ciągnął dziesiątnik tonem nauczyciela, który wyjaśnia nierozgarniętemu uczniowi najprostsze rzeczy. — A jak się jarzył, gdy wilkołaki były jeszcze daleko! Zobacz — Erhard zdecydowanym ruchem wyciągnął rękę i położył dłoń na klindze — nic się ze mną nie dzieje, a co się stało z tamtym potworem przy trakcie? A trzymamy to w tajemnicy, ponieważ nie chcemy, żeby byle kto dowiedział się o naszym bractwie. Przyjmujemy zawsze tylko dziesięciu sprawdzonych ludzi... No co, rozwialiśmy twoje wątpliwości?

Chociaż wszystko opowiedziane było bardzo gładko i wyglądało dość prawdopodobnie, Conan nadal czuł, że coś tu nie pasuje, coś się nie zgadza, choć to wrażenie zostało prawie pogrzebane przekonującymi mowami Erharda i Vellana. Dlatego po krótkim namyśle Conan burknął: „Wierzę wam” i wyciągnął rękę do dziesiątnika.

— Cieszę się, że wilkołakowi nie udało się oplatać cię pajęczyną kłamstw — nieco patetycznie powiedział Erhard, ściskając jego dłoń. — A teraz trzeba pochować biednego Ilmajnena. Wilkołaki też pochowamy, w końcu starych wrogów należy szanować również po śmierci.

— Spalmy ich — zaproponował Conan. — W ten sposób Hyperborejczyk szybciej dostanie się do swojego nieba, a wilkołak nie zdoła zmartwychwstać. — I mruknął do siebie pod nosem: — Chociaż to bardzo dziwne, że te stworzenia giną od zwykłej broni, tak jak ludzie.

Erhard usłyszał mamrotanie barbarzyńcy. Wysłał pozostałych, żeby zebrali drewno na pogrzebowy stos i odwrócił się do Cymmerianina:

— Przypomnij mi dzisiaj, żebym podczas postoju opowiedział ci wszystko, co wiem o wilkołakach i ich magii.

— Przypomnę — kiwnął głową Conan.

Wkrótce przed jaskinią wilkołaków wyrosła wielka sterta chrustu, na której położono ciała Ilmajnena i zabitego przywódcy stada, oraz trupy dwóch niewolników i Brythunki, tej, którą

wybrał dla siebie czarny półzwierz. Kobieta nie była ranna, zdaje się, że umarła ze strachu. Halmun wchodził do podziemi, ale nie znalazł tam niczego interesującego. Jakieś odzienie, miejscowe i brythuńskie, jadło, broń. Nic cennego — ani pieniędzy, ani klejnotów, tylko w najdalszym kącie leżała skórzana torba, wypchana jakimiś papierami. Ponieważ Vanir nie umiał czytać, po prostu wziął torbę ze sobą, i wręczył Erhardowi.

Dziesiątnik na widok tego, co przyniósł rudobrody, wyrwał mu z rąk papiery, przebiegł oczami kilka listów i radośnie wykrzyknął:

— Hej, ale mamy szczęście! Tu są rozkazy i rozporządzenia miejscowego przywódcy kierowane do tej szajki! Potem przeczytam dokładniej, może jest w nich jakiś ślad. — Ostrożnie złożył pergamin i podał go Ertelowi — Strzeż tego jak żrenicy oka, nicponiu!

— Oczywiście, wujku — odezwał się niezadowolonym tonem obrażony Ertel. — Przecież wiesz, że można na mnie polegać.

— Uważaj — pogroził mu na wszelki wypadek dziesiątnik i poszedł do dogasającego ogniska.

Po jakimś czasie oddział wyruszył przez ciemny nocny las z powrotem do powalonych drzew, gdzie czekał na nich zmęczony niepewnością niecierpliwy Rann.

VI

Po dziesięciu dniach wędrówki po miejscach dawnych zabójstw bojowy zapal oddziału wyraźnie opadł. W torbie, zabranej z jaskini wilkołaków, nie znaleźli żadnych specjalnie cennych informacji. Listy przeważnie zawierały odpowiedzi na informacje o dokonanych napadach, pochwały i tym podobne rzeczy.

Imię głównego wilkołaka, jeśli taki istniał, nigdzie nie zostało wymienione. Za pomocą mapy z zaznaczonymi miejscami i datami napadów, Erhard i Conan określili (porównując ze swoim planem), ile mniej więcej szajek wilkołaków grasuje na Kresach. Okazało się, że trzy.

Pewne fakty w listach wskazywały na to, że rozkazy rozsyłane są z ziem Brythunii i na to, że w Pajgorii istnieje jakieś wsparcie. Listy często się na nie powoływały, ale nigdzie nie było powiedziane, co to właściwie takiego.

Możliwe, że gdyby wojownicy posiedzieli przed jaskinią parę miesięcy, trafiłby im się jakiś goniec, ale to było tak mało prawdopodobne, że nie opłacało się czekać.

Nie sprawdziły się również nadzieje Conana na znalezienie świadków napadów wilkołaków. Chłopi tylko się trzęśli i bełkotali: — Nnie, ppanie, ramy niczego nnie widzieliśmy i nnie słyszeliśmy...

I tak było wszędzie. Czasem barbarzyńca miał ochotę wyjąć miecz i posiekać tych wszystkich żalonych tchórzy na małe kawałeczki, taki budzili w nim wstręt.

Kolejna próba odgadnięcia miejsca następnego napadu do niczego nie doprowadziła. Leśne istoty przestały być przewidywalne, ale pozostały tak samo okrutne. Zabijały wszystkich bez wyjątku, pojawiając się to tu, to tam...

Dziesiątka spotkała po drodze królewskiego gońca konnego, który poprosił o wodę. Głośno przełykając pił z bukłaku, a potem opowiedział, że do króla przyjeżdżali wodzowie zachodnich klanów, żądając poskromienia rozbójników i zabójców. Damall odpowiedział na to dość ostro, iż skoro zawsze twierdzili, że go nie uznają, to niech się teraz ratują własnym sumptem, a on i tak nie ma wojowników...

Pod koniec jedenastego dnia na miejsce postoju oddziału przybiegł wystraszony leśniczy i powiedział, że dwie staje za lasem wilkołaki napadły rankiem na wioskę Grazy i zabiły pięć albo i sześć rodzin. Erhard zaproponował, żeby natychmiast udać się na miejsce i spróbować dogonić stado po gorących śladach. Conan, któremu Królestwo Kresowe obrzydło na amen, z westchnieniem się zgodził. Pomyślał, że jeśli w tej wiosce nie znajdą choćby niteczki, która mogłaby doprowadzić ich do gniazda żmij, a raczej wilczej nory, plunie na to wszystko i pojedzie do Aquilonii. Albo do Nemedii, do starego przyjaciela Moraddina, służącego obecnie w Tajnej Straży Nimeda. Moraddi już dawno go zapraszał...

Pogoda znowu się zepsuła i wąska leśna ścieżka prowadząca do Grazy rozmiękła i pokryła się błotem. Konie z trudem szły, tonąc w ciamkającej cieczy, a ich jeźdźcy co chwila klęli przez zęby. Płaszcz z grubego materiału nie mogły ochronić przed lejącymi się z zasnutego ciemnoszarymi chmurami nieba strumieniami zimnego deszczu. Cały oddział przemókł do suchej nitki, co nie sprzyjało poprawie nastrojów. Deszcz padał od rana, to pokapując, to lejąc jak z cebra — wydawało się, że gdzieś w niebie ktoś przewiercił dziurę, przebijając się do oceanu Zachodniego i wkrótce całe Kresy przemienia się w jedną wielką głęboką i niewiarygodnie błotnistą kałużę.

Cymmerianin pomimo swojego żelaznego zdrowia zaczął się nie najlepiej czuć. Kilka razy kichnął ogłuszająco, dał ostrogę koniowi i podjechał do Erharda.

— Długo jeszcze będziemy tak moknąć? — zainteresował się ponuro.

— To już niedaleko — pocieszył go dziesiątnik. Conan pokręcił żałośnie głową, wstrzymał konia i znalazł się obok ponuro zgarbionego w siodle Vellana. Długie jasne włosy

Brythuńczyka ociekały wodą, rzadkie kosmyki przykleiły się do jego czoła i policzków, z prostego nosa kapalo, bezmyślne spojrzenie utkwione było w plecy jadącego przed nim Ertela.

— Ej, Vellan — zawołał półgłosem Conan.

Młodzieniec drgnął i zerknął na Cymmerianina. W zazwyczaj kpiących niebieskich oczach gościł smutek i tęsknota, jednak ich przyczyną nie była długa i męcząca jazda w ulewnym deszczu. Gdzieś na samym dnie oczu Vellana czał się starannie skrywany strach.

Czego on się boi?...

— Posłuchaj, po tej walce przed jaskinią nie powiedziałeś mi w końcu, dlaczego schowałeś kolczugę — zaczął Conan. — Właściwie to twoja sprawa, ale nie daje mi spokoju...

— Dobrze — Vellan po krótkim namyśle skinął głową. — Podjedź bliżej, opowiem ci...

Zainteresowany możliwością wyjaśnienia chociaż jednej z licznych zagadek, Cymmerianin uderzył swojego wierzchowca obcasami w bok i chlasnął lejcami po szyi. Jadący sobie spokojnie po błocie cisawy wałach, który nie spodziewał się po swoim panu czegoś podobnego, rozeźlony potrząsnął łbem i bryknął w lewo, silnie uderzając konia Vellana. Wierzchowiec Brythuńczyka zarżał i rzucił się w bok. Jego kopyta zaczęły się ślizgać po błocie i próbując zachować równowagę rozpaczliwie podskoczył...

Z przenikliwym wrzaskiem: Conan, niech cię demony! jasnowłosy Brythuńczyk wyleciał z siodła, niczym odmawiający zapłaty za piwo włóczęga z „Korony i kostura”.

Cymmerianin jak urzeczony obserwował jego lot i stropiony podrapał się po karku. Biedny Vellan z głośnym pluskiem wylądował w błocie i pozostawiając za sobą szeroki ślad, przejechał się po nim z dziesięć metrów.

Gdy już podniósł się z trudem, zgodny śmiech jego towarzyszy omal nie zwałił go z nóg. Ertel, mocno wczepiony w grzywę swojego niegdyś mlecznobiałego, a teraz szarego w brązowe kropki żrebca, wykrztusił:

— Vell, przewróć no się jeszcze na plecy i pogrzej na słońeczku... Będiesz miał gotowy chodzący pomnik na swoją cześć...

Brythuńczyk pluł i parskał jak wściekły kot. Spróbował otrzeć dłońmi twarz, ale tylko mocniej się upačkał. Ulewa jednak szybko zmyła z niego większość błota, gdy tylko podniósł głowę. Mamrocząc niezrozumiałe przekleństwa wspiął się na siodło. Conan zrozumiał, że to nie jest najlepsza pora na zadawanie pytań.

Jeźdźcy dotarli wreszcie do wsi Grazy, przycupniętej na brzegu posepnego mokrego sosnowego lasu. Osada wyglądała na wymarłą, nawet psy nie wylażyły ze swoich bud, żeby jak należy obszczekać nieproszonych gości. Oczywiście w takiej głuszy nie mogło być mowy o jakiejś gospodzie czy zajeździe... Erhard podjechał do bramy pierwszego domu, jaki zobaczyli — porządnej, zbudowanej z okrągłych belek chaty, ze spadzistym dachem pokrytym dranicą i świerczyną. Na głośne stukanie przez długi czas nikt nie reagował, tylko z budy kilka razy leniwie zaszczekał ogromny szary chart. Wreszcie drzwi domu powoli się uchyliły, i na progu z niewielką latarnią w ręku pojawił się niski krzepki chłopiec, otulony w podartą owczą skórę.

— Kogo Nergal przyniósł w taką pogodę?! — krzyknął głośno, na próżno wpatrując się w zapadający deszczowy mrok; najwidoczniej starał się ukryć lęk.

— Straż królewska! — wrzasnął w odpowiedzi Erhard. — Otwieraj wrota!

Ale gospodarz domu cały czas stał w drzwiach, próbując rozpędzić mrok ognikiem ledwie palącej się w latarni świeczki.

— A skąd mam wiedzieć, że nie jesteście zbójami albo potworami? — zapytał w końcu. Zaczął się cofać i wyraźnie miał zamiar schować się w domu.

— Bałwan! — nie wytrzymał dziesiętnik. — Zbójca już dawno przeszyłby ci strzałą gardło! Otwieraj wrota!

— Nie, nie — chłop pokręcił zdecydowanie głową. — Poczekajcie do rana. Rozwidni się i wtedy zobaczymy, kim jesteście...

— Emert, zastrzel tego przygłupa! — zawył Erhard, ale niegościnnie typ, nie czekając na wykonanie rozkazu, zniknął w domu i nogą zatrzasnął za sobą drzwi. Emert wrzucił ramionami, opuścił uniesiony już łuk i schował strzałę do kołczanu. Dziesiętnik zaklął cicho przez zęby, z nienawiścią popatrując na zamknięte wrota i częstokół wyższy od człowieka. W ostro zakończone pale wbite były długie gwoździe i nie wykluczone, że po drugiej stronie płotu czekały wilcze doły, wnyki albo inne pułapki...

— Zdaje się, że gdzieś w pobliżu powinna płynąć rzeczka — wymamrotał Vellan, schodząc z konia. Deszcz częściowo zmył z niego błoto, ale czyściochowi Brythuńczykowi to nie wystarczało. — Pójdę się umyć.

Erhard oprowadził wzrokiem szybko znikającą w ciemności postać i obejrzał swoich wojowników. Na wszystkich twarzach można było odczytać absolutną niechęć do dalszego moknięcia na deszczu i jednocześnie obawę, że za chwilę dziesiętnik wyda rozkaz wspinania się po płocie. Tylko Conan wyglądał na spokojnego i popatrywał na częstokół z lekką pogardą. W młodości Cymmerianin z przyjemnością wspinał się na skały dwa, trzy razy wyższe od tego żalostnego ogrodzenia, i jego zdaniem tylko człowiek bardzo leniwy albo bardzo gruby mógłby mieć problemy z pokonaniem go...

Baczny wzrok Erharda spoczął na Conanie.

Pewnie, jak gdzieś trzeba wleźć, zaraz się woła Cymmerianina, pomyślał Conan. Właściwie dlaczego Rann nie może wejść, w końcu jest młodszy... No dobrze, zaraz im pokażę, jak się to robi...

Conan zeskoczył z konia i zaklął, gdy do jego butów chlusnęło rzadkie błoto. Podszedł do częstokołu, ściągnął buty, podwinął spodnie, potem zdjął kolczugę i pas z kindżałami. Miecz wisiał mu za plecami. Barbarzyńca zdjął buty, wylał z nich błoto i podał razem z pozostałymi rzeczami stojącemu obok Erhardowi:

— Przypilnuj mi ich.

Dziesiętnik w milczeniu powiesił na szyi swojego konia kolczugę i pas, a buty z niechęcią wziął za chlewki i postawił jak najdalej od siebie.

— Ale śmierdzą — zdziwił się ze wstrętem.

— Powąchaj własne — burknął Conan, prowadząc wałacha do płotu. Oddział z ciekawością patrzył, jak barbarzyńca ostrożnie staje na siodle i próbuje wypatrzeć, co jest po drugiej stronie płotu. Jakież krzaki, szopa... A, wszystko jedno!

Conan wyciągnął miecz i jednym ciosem ściął dwa ostre wierzchołki, chwycił rękami za sąsiednie, pozbawione gwoździ pale, podciągnął się lekko i stanął na przygotowanym miejscu. Jeszcze raz się rozejrzał, a potem mocno się odepchnął i zeskoczył na podwórko.

Z głośnym pluskiem klapnął w błoto, z radością uświadamiając sobie, że chyba uniknął ewentualnych pułapek. Pies zaczął ujadać, jednak nie miał zamiaru wysuwać nosa ze swojej budy. Ostrożnie zaskrzypiały drzwi, ale natychmiast wbiła się w nie długa i ciężka strzała, zatrzasnęły się więc z powrotem. Gospodarz rozsądnie postanowił nie ryzykować swoim drogocennym życiem.

Conan wstał, powoli podszedł do bramy, obejrzał masywną sztabę, a raczej belkę zasuwę i z uśmiechem zaczął pocierać brudną ręką od dawna nie goloną twarz.

— No, długo tam jeszcze? — doleciało zza płotu. — Zasnąłeś? A może siły ci brakuje?

— Nie brakuje, nie brakuje — zawarczał Cymmerianin. Splunął na dłonie, mocno objął belkę, zdjął ją ze skobli i rzucił w błoto. Aby otworzyć tę przeklętą bramę, musiał jeszcze odciągnąć ciężkie skrzydło.

— Nareszcie — niemal zajęczał Erhard, gdy wejście na podwórze stanęło otworem. — No, już ja tego drania...

Oddział podjechał do ganku i zsiadł z koni. Conan wciągnął buty, które dziesiętnik mimo wszystko mu dostarczył, wyjął miecz z pochwy i stanął po lewej stronie drzwi. Miejsce po prawej stronie futryny zajął Rann, a Emert z naciągniętym łukiem stanął na wprost.

Barbarzyńca obejrzał się na nich, jakby pytając czy są gotowi. Gdy skinęli twierdząco głowami, uderzeniem pięści otworzył drzwi, omal nie wyrwijając ich z zawiasów. Rann z bojowym okrzykiem rzucił się do wnętrza i natychmiast zacharczał i zachwiał się do tyłu. Oszołomiony Conan zdążył tylko pochwycić osuwające się ciało, i usłyszeć w głębi domu tupot uciekających nóg. Do chaty z rykiem wpadł Halmun, za nim pobiegli Gunderzy i Ertel.

Cymmerianin ostrożnie posadził Ranna i oparł go o ścianę. Było ciemno, choć oko wykol. Barbarzyńca krzyknął:

— Dajcie pochodnię!

Obok niego ktoś nieudolnie zaczął krzesać ogień.

— Szybciej! — popędził go Conan.

Rann chyba jeszcze oddychał, ale coraz ciszej i ciszej...

Malutki jęczyzek ognia zatrzepotał w garści trocin na podłodze. Od niego błyskawicznie zapalono szczapę i pomarańczowy chwiejny płomyczek oświetlił bladą twarz Ranna i sterzcący z jego piersi po lewej stronie głęboko wbity bełt z kuszy. Przed wystrzałem z tak bliskiej odległości nie obroniła go nawet kolczuga — ciężka strzała wbiła się po samo upierzenie, po srebrzystych kółkach rozbiegły się ciemne strużki krwi.

Gdzieś w domu rozległy się głuche uderzenia, łoskot przewracanych mebli, a potem wrzask. Conan uśmiechnął się niewesoło i zakrył niewidzące oczy swojego młodego rodaka. Bogowie, przecież to był tylko ciekawski chłopak, który nasłuchiwał się różnych historii i chciał wkroczyć w ów niezajomy i niebezpieczny świat... Ciekawe, na co liczył ten nieszczęsny chłop, gdy naciskał spust swojej broni? Teraz on i jego rodzina na pewno już są martwi, ale Rann od tego nie zmartwychwstanie! Cóż, zginął w boju i teraz wejdzie do pałacu Croma... Co za głupia, niepotrzebna śmierć!

Z tyłu rozległ się tupot i Conan obejrzał się. Wrócił Halmun i pozostali, z pochodniami. Miecze Gunderów lśniły czarno w chwiejnym, niepewnym świetle pochodni, a z ogromnej siekiery Vanira spadały ciężkie krople. Rudobrody spojrzął na twarz Cymmerianina i zrozumiał wszystko. Westchnął, podszedł do ciała i potrząsnął siekierą. Krew zrosiła martwą i spokojną twarz Ranna.

Conan drgnął i z lekkim roztargnieniem zapytał:

— Po co to robisz?

Nie zwracając na barbarzyńcę żadnej uwagi, Halmun dźwięcznym basem smutno powiedział:

— Oto krew twoich zabójców. Przyjaciele pomścili cię, i dusze tych, którzy to zrobili, będą wiecznie służyć ci w domu Lodowego Giganta...

To nie tak, pomyślał Conan. — Jego dusza przyjdzie do tronu Croma... Ale reszta się zgadza...

— Widzę, Conanie, że jesteś mistrzem w otwieraniu cudzych bram! — rozległ się kpiący głos. Na progu pojawił się ukontentowany nocną kąpielą Vellan i nagle umilkł. — Rann... — wyszeptał zdrętwiałymi wargami. — Ale jak...?

— Wdarliśmy się tu, a jakiś pies zaczął się w ciemności. Rann szedł pierwszy i dostał strzałę z bardzo bliska. Nawet kolczuga mu nie pomogła — odpowiedział głucho Cymmerianin, wstając z klęczek.

— Jego zabójca poniósł zasłużoną karę. Ciało są w domu, możesz sobie popatrzeć. — Halmun drapieżnie wyszczerzył zęby. Vellan ze wstrętem pokręcił głową — doskonale wiedział, jak wyglądają trupy po ciosach Vanira.

Conan poszedł w stronę wyjścia i przekraczając próg rzucił przez ramię:

— Nie wiem, jak wy, ale ja nie chcę spać w tym splugawionym domostwie. Wolę szopę z sianem.

— Racja — skinął głową wchodzący Erhard. — Tam będzie dużo przyjemniej. Rano urządzimy Rannowi godny stos pogrzebowy...

Conana obudził delikatny kuksaniec w bok. Cymmerianin powoli wynurzał się ze słodkiego snu. Ziewnął szeroko, przeciągnął się tak, że zatrzeszczały kości, i dopiero wtedy otworzył oczy. Zazwyczaj nie pozwalał sobie na takie przyjemności i od razu zrywał się na równe nogi gotów do walki, ale dzisiaj, po nocy na miękkim aromatycznym sianie (do pełnego szczęścia brakowało tylko dziewczyny!) miał ochotę troszkę się powylegiwać.

Okazało się, że obudził go Erhard, już ubrany i uzbrojony. Po szopie smętnie snuli się Vellan i Halmun, szukając swoich rzeczy, rzuconych wczoraj w pośpiechu gdzie popadło. Rudobrody wydał triumfalny okrzyk, gdy wyciągnął ze sterty w kącie swój zniszczony prawy but, którego brakowało mu do pary. Brythuńczyk z zawiścią popatrzył na Vanira, i posepnie zapytał nie obudzonego jeszcze do końca Conana, czy nie widział gdzieś jego, Vellana, kurtki, bo ci żartownisie gdzieś ją schowali...

— Zbieraj się, zaraz tu wszystko spalimy i jedziemy do starosty — powiedział rozdrażniony dziesiętnik, wychodząc z szopy. — Przy okazji, deszcz przestał padać.

Conan z radością klepnął się po udach:

— Najlepsza nowina w ciągu ostatnich dni! Vellan, czy ta stara szmata tam, w kącie, to przypadkiem nie to, czego szukasz...?

Wkrótce potem oddział stał przed domem, w którym leżał Rann. Ściany były obłożone słomą i oblane znalezionym w piwnicy olejem. Giliom, nie skąpiąc kopniaków, wyganiał z chlewu wszystkie zwierzęta.

Najpierw Conan, potem wszyscy po kolei rzucili pochodnie na wielką stertę przed gankiem. Przesiąknięta olejem słoma natychmiast się zajęła i wkrótce cały dom znalazł się w ognistym kręgu.

— Jedźmy stąd — burknął Halmun, wsiadając na konia.

— Na główny plac — poparł go Erhard, i pierwszy skierował konia w stronę drogi.

Wieś zaczęła huczeć, jak strwożony ul. Z domów wybiegali chłopci i chwytali się za głowy — ogień buchał coraz silniejszy, a wiatr wiał w stronę sioła. I jak na złość niebo zrobiło się czyste i jasne, bez jednej chmurki. Tak piękne dni w Królestwie Kresowym można było policzyć na palcach jednej ręki, ale teraz nikt się z tego nie cieszył — przeciwnie, twarze kmieci, i tak posepne i nieprzyjemne, stawały się jeszcze bardziej mroczne, choć wydawało się, że to już niemożliwe... Niektórzy pogardliwie spluwali pod nogi. Wielu z nieskrywaną nienawiścią zerkano na dziewięciu uzbrojonych jeźdźców, powoli i z godnością przejeżdżających przez wieś. Prawdę mówił szaman, że słowa „obcy” i „nieszczęście” oznaczają to samo...

Conan z ciekawością przyglądał się milczącym chłopom. Wszyscy byli niscy, mieli długie ręce i kwadratowe podbródki. Wyglądali na krzepkich, ale niskie czoła świadczyły, że chłopci nie są zbyt rożgarnięci. Najwyraźniej we wsi panowała wspólnota rodowa, z nieuniknionym w taki przypadku kazirodztwem.

Za wojownikami stopniowo zaczął zbierać się tłum i do placu podjechali już w towarzystwie eskorty złożonej z połowy wsi Grazy. Druga połowa zebrała się na placu, przykuśtykali nawet sędziwi starcy. O płonącym domu chwilowo zapomniano.

Conana lekko niepokoił fakt, że każdy mieszkaniec wziął ze sobą jakąś broń — jedni widły, inni topory, jeszcze inni po prostu pałki — jak najdłuższe i najgrubsze. Kobiety ścisnęły w rękach sierpy, pogrzebaczki i patelnie, dzieciaki niosły spore kamienie. Zdaje się, że chłopci z całą powagą przygotowali się do bójki. Najpierw barbarzyńcę rozśmieszył ich wojowniczy wygląd, ale potem, gdy obliczył, że na każdego z oddziału przypadnie dwudziestu — trzydziestu kmieci, przestał chichotać. Widły nie mogą wprawdzie równać się z porządnym mieczem, ale przecież człowieka można zabić nawet patelnią...

— Co za przyjemne miejsce i jacy gościnni ludzie — wymamrotał półgłosem Vellan. — Zdaje się, że zaraz nas będą łać...

Tłum nie wchodził dalej na plac i dziewięciu jeźdźców znalazło się w ogromnym nieprzyjaznym kręgu milczących wieśniaków. Jakiś czas panowała pełna napięcia cisza, zakłócana tylko krzykami ptaków i stukaniem kopyt nerwowo przestępujących z nogi na nogę koni. Pierwszy nie wytrzymał Erhard:

— No, co się gapicie, jak woły na malowane wrota? Gdzie starosta?

Z szeregów wystąpił tęgi starzec z siwą brodą sięgającą do połowy piersi, w porządnej, tkanej w domu odzieży. Bystre zielone oczy ze złością patrzyły spod krzaczastych siwych brwi na nieproszonych gości. W rękę starosta trzymał wysoki, ozdobiony fikuśną rzeźbą kostur z zakończeniem w kształcie wyszczerzonego wilczego łba. Kostur był wykonany z rzadkiej na tych ziemiach białej brzozy.

— To wasza sprawa? — zapytał groźnie starosta, wskazując kosturem wzbijający się nad domami słup czarnego dymu. Głos starca idealnie pasował do wyglądu zewnętrznego — był nieprzyjemny, ostry i przenikliwy.

— No i co z tego? — Wzruszył ramionami Erhard. — Gospodarz domu odmówił wpuszczenia straży królewskiej. Z jego ręki padł nasz towarzysz. Pomściliśmy go i urządziliśmy mu pogrzebowy stos. — Dziesiętnik obejrzał się i popatrzył na dym. — Ładnie się pali...

Znowu zapadła cisza. Tłum cicho szumiał i szeptał pomiędzy sobą, a oddział zbił się w zwartą grupę. Obok Conana znalazł się Ertel i powiedział:

— Czegoś tu nie rozumiem... Tam za lasem, niedaleko stąd, jest moja wieś. Urodziłem się w niej, ale nigdy nie słyszałem, żeby obok nas mieszkaly takie wyrodki... w dosłownym znaczeniu tego słowa. Skąd oni się tu wzięli?

— A skąd się w ogóle biorą ludzie? — odburknął barbarzyńca. — U nas w Cymmerii klany niegdyś wojowały ze sobą i też zdarzały się nieszczęścia płynące z kazirodztwa. Ale wodzowie w porę się spostrzegli i teraz młodzież bierze żony z sąsiednich klanów. A w Czarnych Królestwach albo u koczowników w Turanie to zupełnie normalna sprawa. Tam dopiero potworki się rodzą...

— Potem mi opowiesz, dobra? — przerwał Ertel Cymmerianinowi, który nieźle się rozgadał. — Zdaje się, że ten stary łajdak chce coś odpowiedzieć naszemu dowódcy.

Rzeczywiście, starzec po zastanowieniu dość spokojnie oświadczył:

— Zabiliście jednego z nas. Za to może być tylko jedna kara — śmierć. Wydajcie nam zabójcę i możecie jechać, dokąd chcecie. Obiecujemy, że umrze on szybką i lekką śmiercią. W przeciwnym razie wszyscy pożegnacie się z życiem. Taki jest mój wyrok. — Trzy razy stuknął kosturem o ziemię i głośno dorzucił: — Przywołuję na świadka Ojca Wilka!

Tłum zaczął krzyżeć radośnie, a wojownicy wpatrywali się zdumieni w starostę.

— Oszalałeś, starcze — powiedział Erhard. — Oddaj swój kostur młodszemu i mądrzejszemu. Jeśli tkniecie nas choćby palcem, spadnie na was straszny gniew króla i z waszej wsi nie zostanie nawet popiół.

— Ale zalewa — zachwycił się Ertel półgłosem. — Król ma w głębokim poważaniu jakąś tam zaginioną dziesiątkę. Ostry bój w imię ratowania własnych skór mamy raczej zapewniony.

Conan skinął głową:

— I ten stary na pewno wie o tym nie gorzej od nas.

Starzec, do głębi rozgniewany takim brakiem szacunku dla jego wysokiego stanowiska, pokrył się czerwonymi plamami i drżącym głosem powiedział:

— Wasz król nic nas nie obchodzi. Wydajcie nam zabójcę!

— Już się rozpędziłem — rzucił jadownicę Erhard, ściskając rękojeść miecza. — A nie chcesz mnie pocałować w tyłek?

— Zabijcie ich! — krzyknął wyprowadzony z równowagi starosta, wymachując kosturem. — Wyrwijcie im bezwstydną języki!

— Do broni! — zakomenderował Erhard i wyciągnął miecz. — Emert, zastrzel tego krzykliwego osła!

Niewzruszony Bossończyk natychmiast naciągnął cięciwę, ale starca zdążył zasłonić jakiś młody chłopak, który dostał strzałę w serce. Po twarzy łucznika przebiegł lekki cień niezadowolenia i Emert sięgnął po drugą strzałę. Starzec nie czekał, aż Bossończyk wypełni rozkaz, i zanurkował w dalsze szeregi tłumu, który go wchłonął. Chłopi tymczasem zaczęli zacieśniać krąg wokół rozglądających się na wszystkie strony wojowników. Poleciały pierwsze kamienie i sprzęty domowe.

Giliom krzyknął i chwycił się za twarz — ostry odłamek granitu rzucony czyjąś wprawną ręką rozbił mu czoło. Oczy zalewała krew, i Gunder co chwila ocierał je ręką. Ale chłopci też ponieśli pewne straty — strzały Emerta wyławiały z tłumu najsilniejszych i najbardziej bezczelnych.

Gliniany garnek z hukiem rozleciał się na kawałki przed kopytami konia barbarzyńcy. Wałach przestraszony odskoczył, jeźdźcem porządnie zatrząsło. Conan wymamrotał: „Nienawidzę wyrodków...”, uderzył konia obcasami i rzucił się do ataku. Tłum radośnie zawył i lawiną runął mu naprzeciw. Zaczęła się jatka, trudno bowiem nazwać to bitwą...

Przewaga liczebna nie przyniosła kmieciom korzyści — przepychali się, deptali po sobie, przewracali, a tymczasem ogromna siekiera Halmuna oraz dwuręczny miecz Vellana jak straszne kosy cięły wieśniaków, których chroniła tylko odzież. Conan z rozpędu zbił koniem najbardziej wyrywnego chłopka, zarąbał w biegu mężczyznę z toporem i wbił się w tłum, tratując ludzi koniem i rozdając na prawo i lewo śmiertelne ciosy. Życie straciło około sześciu ludzi stojących najbliżej barbarzyńcy. Reszta rzuciła się do ucieczki. Nie mogli dosięgnąć Cymmerianina, chociaż widły kilka razy przelatowały niebezpiecznie blisko jego nóg. Dostało się za to koniowi — zad zwierzęcia pokrył się potem i licznymi krwawiącymi rankami. Wałach żałośnie rżał, zaczął się potykać i odwracać łeb w stronę jeźdźcy. W wypukłych oczach konia można było wyczytać niemy wyrzut i skrajne zmęczenie.

Cymmerianin zdecydował, że szkoda męczyć niewinne zwierzę — zeskoczył z siodła, uderzył konia dłonią po zadzie, żeby czym prędzej stąd uciekał i nie płatał się pod nogami.

— Chodźcie tu, tchórzliwe świnię, znajdziecie własną śmierć! — Po tym bojowym okrzyku, chłopci, którzy już się szykowali, żeby go zaatakować, wystraszeni umknęli, a Conan pobiegł na pomoc braciom Gunderom. Nie było im lekko — pod Giliomem zabito konia, Gart też puścił swojego wierzchowca i teraz bracia ramię przy ramieniu odpierali wściekłe, ale bezsensowne ataki. Pod ich nogami leżało już kilka trupów.

Barbarzyńca spadł na kmieci jak huragan. Przypominał rzeźnika, który dzieli krowie tusze: zamach i rozbryzguje się krew, pada rozcięte niemal na pół ciało, drugi zamach — i czyjaś głowa wlatuje w górę, nieoczekiwanie porzucając swojego właściciela... Kmieci w przerażeniu zaczęli uciekać przed wściekłym Cymmerianinem, niczym owce przed wilkiem, atakującym stado. Niektórzy rzucali broń i padali na kolana, błagając o litość, ale Conan chyba nawet tego nie zauważał, w każdym razie ręka nie drgnęła mu ani razu. Zostawiając za sobą straszną przesiekę, szybko znalazł się obok Gunderów. Zazwyczaj lekkomyślny Gart najpierw ze wstrętem popatrzył na porąbane ciała, potem na ciężko dyszącego i pokrytego krwią Conana i z niemal zabobonnym strachem powiedział:

— Tak bestialsko zabijasz...

— Zdaje się, że ratuję wam tyłki! — oburzył się Cymmerianin, ale gdy się odwrócił, sam mimo woli drgnął. — Zagalopowałem się... Dobra, pójdę zobaczyć, co tam z Valso...

Tymczasem wioskowy plac zaczął coraz bardziej przypominać pole wyjątkowo krwawej bitwy. Wszędzie wałyły się trupy i ciężko ranni, o których przeklinając, na czym świat stoi, potykali się walczący. Erhard, Halmun i Valso, przyciśnięci do ściany jednego z wychodzących na plac domów, odpierali wielką kupę atakujących chłopów. Ogromny Vanir bez wysiłku

rozbijał czaszki swoją potworną siekierą o dwóch ostrzach, kmiecie uciekali przed nim niczym przed demonem, mamrocząc zaklęcia, odpędzające siłę nieczystą. Erhard też się nieźle trzymał, jego miecz wyglądał jak lśniąca przedłużenie prawej ręki. Najgorzej powodziło się Zingarczykowi — jego wygodna w pojedynczych starciach szabla złamała się niemal od razu, bo nie wytrzymała uderzenia pałki, i teraz Valso bronił się tym, co mu w ręce wpadło — to toporem, to widłami. Towarzysze starali się go osłaniać, ale wrogów było tak wielu, że nie zawsze im się to udawało. Błada twarz Zingarczyka pokryła się potem, Valso po kilku bolesnych uderzeniach zachwiał się i gdyby nie Halmun, który w porę zadał cios siekierą, przebito by go widłami. Zresztą na nogach Valso i tak się nie utrzymał — uderzony pałką w splot słoneczny bez świadomości upadł pod nogi dziesiętnikowi i Vanirowi.

Ertel i Vellan cudem zachowali jeszcze konie i teraz galopowali po placu, mordując wszystko, co się ruszało. Jedyńm człowiekiem, który okazywał spokój był Emert, niewzruszenie siedzący na koniu i bez ustanku rażący śmiertcionymi strzałami najbardziej niebezpiecznych wrogów.

Conan nagle zauważył starostę — biała rozczochrana broda mignęła za plecami chłopów na brzegu placu.

Zaraz mi, bratku, zatańczysz, pomyślał barbarzyńca i ruszył w jego stronę, odbijając po drodze nieśmiało pojedyncze ciosy.

Vellan krzyknął przenikliwie — jakiś kmić podkrał się do niego i wsadził widły w lewe biodro, przygważdżając go do boku konia. Napastnik nie zdążył jednak ucieszyć się ze swojego zwycięstwa — Brythuńczyk przegiął się w siodle i uderzeniem swojego dwuręcznego miecza rozbił mu czaszkę. Potem z okrzykiem: Zabiję wszystkich! — wyszarpnął widły i ze wstrętem odrzucił od siebie. Z czterech ran chlusnęła krew, Vellan zaklął, oderwał kawał koszuli i próbował przewiązać biodro.

Nad wioską unosił się szczeł broni, przedśmierne krzyki i jęki rannych. Pomimo liczebnej przewagi kmiecie przegrywali bój — już trzydziestu ich ziomków nie miało nigdy podnieść się z podeschniętej ziemi i dwa razy większa liczba skazana została na kalectwo. Najsilniejsi i najbardziej bezczelni już ponieśli karę, pozostali byli bardziej ostrożni, starali się unikać spotkań z Halmunem i Conanem. Ale wojownicy Erharda też nie wyszli bez szwanku. Najgroźniej ranni byli Valso i Vellan ze swoim przebitym biodrem.

— Zwyciężamy! — wrzasnął triumfalnie Ertel i podrzucił w górę swój miecz, ale nie złapał go z powrotem — klinga zatoczyła łuk i wbiła się w ciało jakiegoś nieszczęśnika, który poległ na samym początku starcia. Ertel trochę się zdziwił takiemu zachowaniu broni i przez chwilę nieruchomo siedział w siodle; drapał się po karku i najwidoczniej rozmyślał nad tym, po jakie licho właściwie to zrobił.

Z tej sprzyjającej okoliczności nie omieszkał skorzystać jeden z ocalałych chłopów, uzbrojony w topór. Z wyciem rzucił się na zadumanego Ertela. Miał zamiar odrąbać mu nogi albo co się uda. Plan jednak nie wypalił — w bojowym zapale kmić podbiegł zbyt blisko i Ertel spokojnie kopnął go w twarz, trafiając obcasem prosto w nos. Głowa atakującego gwałtownie odskoczyła do tyłu, rozległ się krótki chrzęst i pechowy zabójca gruchnął na ziemię ze złamaną szyją. Ertel prychnął, ale nie kusił więcej losu; nachylił się z siodła i wyszarpnął swoją broń z ciała.

Tymczasem zaczęła się walna ucieczka z placu boju. Pierwsze porzuciły go kobiety i dzieci, za nimi pociągnęli również mężczyźni, najpierw ci najbardziej tchórzliwi. Albo najbardziej rozsądni.

Conan wreszcie przedarł się do uciekającego starca i natychmiast rzucił się na chroniących starostę najlepszych wojowników sioła. Ale ci najlepsi niezbyt różnili się od tych trochę gorszych, w każdym razie Cymmerianina bali się jeszcze bardziej. Conanowi sprawiło prawdziwą przyjemność obserwowanie, jak przerażenie wypełza na twarze chłopów, jak zaczynają drżeć kwadratowe podbródki, jak przepychając się, kmiecie próbują skryć się przed

zimnym spojrzeniem błękitnych oczu... Najbardziej działał na nich widok pokrytego krwią, ogromnego i strasznego miecza.

Barbarzyńca musiał więc zabić jedynie dwóch czy trzech, a i to tylko dlatego, że zbyt wolno schodzili mu z drogi. Starosta stał przed Conanem zbieleły jak własna broda, i trzęsący się niczym w ataku padaczki. Upaść nie pozwolił mu tylko kostur, którego starosta uczeplił się, jak tonący słomki. Starzec zamknął oczy, żeby nie widzieć okrutnego uśmiechu i powoli wznoszącego się miecza.

Nieoczekiwanie przed barbarzyńcą, jakby spod ziemi, wyrósł człowiek w dziwnej odzieży — płaszczu ze skóry ogromnego wilka z kapturem z wilczego łba. Na szyi nieznajomy miał naszyjnik z zakrzywionych wilczych kłów, proste skórzane ubranie było obwieszane figurkami rozlicznych zwierząt, kostkami, zębami i innymi sucho stukającymi amuletami.

Szaman, domyślił się Conan. Szamani bez wątplenia należeli do czarowników, a czarowników Cymmerianin nienawidził i dlatego bez zastanowienia zamachnął się na przeciwnika, decydując się odłożyć rozprawę ze starostą.

Ale zanim miecz Cymmerianina opadł, szaman gwałtownie wyciągnął spod kosmatego płaszcza matowoczną kulę z pływającymi w środku czerwonymi ognikami i podsunął barbarzyńcy pod nos. Ten zdziwiony popatrzył na niezrozumiałą rzecz, która znalazła się nagle przed jego oczami... Purpurowe punkty w nieprzeniknionej czerni były takie spokojne, takie urzekająco piękne... Miecz wypadł z nagle osłabłych palców, a świadomość zaczęła się rozpląwać w bezdennych głębiach kuli... Ciężkie ciało zachwiało się do przodu i stuknęło o ziemię u nóg szamana.

VII

— Północny potworku, jesteś jeszcze w krainie snów?

— Raczej w szamańskiej kuli!

Głosy dolatywały z daleka i dźwięczały głucho, jakby ich właściciele siedzieli w wielkiej beczce.

— Trzeba go obudzić. Daj mu powąchać tego twojego świństwa, może się ocknie.

W nos Conana uderzył ostry ohydny zapach korzenia anyżowego, zmieszanego z czymś absolutnie nieznanym. Smrodliwy korzeń, dzięki intensywnej woni, pomógł barbarzyńcy dojść do siebie i Conan powoli podniósł bardzo ciężką głowę, która natychmiast odpowiedziała ostrym bólem. Po ciele Conana przebiegł dreszcz. Cymmerianinowi zrobiło się niedobrze, spróbował się pochylić do przodu, ale coś mocno trzymało go w jednym położeniu. To „coś” wpiło mu się w ciało, powodując nową falę bólu i Conan jednak wymiotował. Po tym poczuł się nieco lepiej i wreszcie udało mu się rozkleić oczy i rozejrzeć się.

To, co zobaczył, wcale go nie ucieszyło. Po pierwsze był zupełnie nagi, po drugie mocno przywiązany do grubego słupa. Nieco dalej widać było jeszcze jeden słup z nieruchomą ludzką postacią i jeszcze jeden... Słupy ustawione były w kręgu, za nimi majaczyły ciemne świerki, a w centrum rozległej polany wznosił się ogromny drewniany bożek. Conan przyjrzał mu się, choć początkowo oczy odmawiały mu posłuszeństwa, i zrozumiał, że bożek przedstawia wilkołaka... Dużo mniej sympatycznego niż w naturze.

Ogromna paszcza zwierza była uchylona i wysmarowana w środku czymś ciemnym — zapewne krwią. Oczy pomalowano na jaskrawoczerwony kolor. Posąg był wstrząsająco podobny do modelu, rzeźbiarzowi udało się w martwym drewnie oddać czujność ohydneho stworzenia i jego gotowość do skoku.

Ciekawe, pomyślał Conan. Może twórcą tego dzieła też był wilkołak? Jest taki podobny...

Słupy z jeńcami ustawiono w krąg wokół bożka. Po prawej stronie Conana znajdował się Vellan, jego jasne włosy zlepione były krwią, najwidoczniej Brythuńczykowi w walce rozbili głowę. Niedbale związana opaska na biodrze poszarzała. Vellan był blady i często oblizywał wyschnięte wargi.

Z lewej strony na sznurach wisiał Valso. Zingarczyk przez cały czas kaszłał, pluł krwią i ogólnie źle wyglądał.

Naprzeciwko Cymmerianina znajdował się zupełnie spokojny Halmun. Podchwycił błędzące spojrzenie barbarzyńcy, mrugnął do niego jak spiskowiec i uśmiechnął się. Twarz Emerta jak zwykle nie wyrażała niczego, poza pobłażliwą pogardą. Gart z całych sił starał się wyglądać na niewzruszonego, ale z niepokojem popatrywał na starszego brata. Powieki Gilioma zlepily się krwią, sączącą się z rany na czole, i twarz wyglądała jak przerażająca czerwona maska. Ostatni słup był zasłonięty posągiem, i Conan nie mógł zobaczyć, kogo tam przywiązali. Ośmiu ludzi z oddziału znalazło się w niewoli, a to znaczyło, że jeden jest wolny... albo martwy. Ale Cymmerianin bardzo wątpił, żeby Erhard albo jego kuzyn pozwolili tak po prostu dać się zabić jakimś tam niemytym kmiotkom.

Conan, który odzyskał już pełnię władz umysłowych, odwrócił głowę i półgłosem zawołał Vellana. Musiał wołać dwa razy: Brythuńczyk zdaje się zupełnie nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i kto go woła. Wreszcie zrozumiał i z trudem się odezwał:

— Conan, to ty?

— A któż by — burknął Conan. — Kogo nie złapali?

— Erhard jest tam, widzę go — powiedział powoli Vellan. — A więc uciekł Ertel...

— Ej, wy tam, zamknijcie się! — rozległ się gniewny okrzyk, po którym nastąpił cios w zęby. Cymmerianin uderzył głową w słup i z nienawiścią popatrywał na chłopca, który powiesił sobie na pasie jeden z mieczy Garta. Po rozbitym podbródku popłynęła strużka krwi, Conan

nabrał jej w usta i soczyscie splunął nią w twarz gapiącemu się kmiotkowi, dorzucając życzenie:

— Żebyś zdechł, łajdaku!

Kmieć lekko pobladł, szybko się wytarł, i wyciągnął klingę z pochwy. Barbarzyńca z pogardą obserwował jego niezgrabne ruchy. Tak, tacy są zdolni tylko do zarzynania bezbronych jeńców...

Chłopa powstrzymał gniewny okrzyk szamana, krzątającego się u stóp bożka i kmiotek ograniczył się do kilku ciosów w twarz i żebra. Wreszcie odszedł, z niezadowoleniem mamrocząc coś pod nosem. Warstwa mięśni ochroniła Cymmerianina przed poważniejszymi obrażeniami. Za uszkodzoną fizjonomię to bydlę zapłaci mu później...

Po polanie snuli się tylko ci chłopci, którzy odpowiadali za to, żeby jeńcy byli cali i zdrowi, oraz szaman z pomocnikiem, przygotowujący ceremonię. Conan nie miał żadnych wątpliwości, że cały oddział wkrótce zostanie w wyjątkowo ohydny sposób złożony w ofierze nieznanemu bóstwu. Ta myśl wcale nie poprawiła mu nastroju.

Mocno przeredzona ludność wioski Grazy kłębiła się za sosnami, stamtąd co chwila dobiegały zawodzenia i groźne okrzyki.

Szkoda, że nie zdążyliśmy wszystkich zabić, po raz kolejny pomyślał barbarzyńca. Ale jeszcze wszystko można naprawić... Gdyby tylko udało mu się uwolnić ze sznurów, to skręcenie karku strażnikowi nie powinno nastęczać zbyt trudności. A właśnie, sznury...

Conan napiął mięśnie, poruszył ramionami, ale pęta nie tylko nie pękły, lecz mocniej wpiły się w ciało. Jednak Cymmerianin nie poddawał się.

— Daj spokój — wychrypiał Valso, znowu spluwając krwią. — Są mocniejsze od okrętowych lin. Nawet tobie nie uda się ich rozerwać...

Barbarzyńca nie słuchał go i szarpnął się ze wszystkich sił. Na dłuższą chwilę obezwładnił go ból, a spod sznurów trysnęła krew.

— Do licha! Cromie, nie zostawiaj mnie tym łajdakom... — wyszeptał Conan i splunął.

Tymczasem szaman najwidoczniej zakończył już przygotowania i stanął u podnóża szczerzącego zęby bóstwa, patrzącego jaskrawo-czerwonymi oczami gdzieś ponad ludźmi, w gęstwinę sosnowego lasu.

— Członkowie rodu! — przemówił szaman. Chłopi ucichli, podszli bliżej, stanęli za słupami. — Zbyt daleko odeszliśmy od pradawnych praw. Ojciec Wilk rozgniewał się na nas i posłał swoje dzieci, żeby poprzez przelaną krew przemówić nam do rozsądku. Dzisiaj w nocy z jego karzącej dłoni zginęli najwięksi grzesznicy Helst i Erelin ze swoimi rodzinami. A potem przodek zesłał nam ostatnią próbę — królewskich żołnierzy, tych zabójców i krwio pijców! Płacąc życiem naszych braci pokonaliśmy ich — szaman szerokim gestem objął słupy z przywiązanymi jeńcami. — I dzisiaj nasz bóg będzie zadowolony! Podczas składania ofiar wszyscy pokajamy się przed Ojcem i on znowu ześle nam swoją łaskę!

Akurat... — pomyślał posepnie Conan, czujnie rozglądając się na boki. Sytuacja wyglądała na beznadziejną...

Szaman podniósł nad głową wielki, wygięty nóż i obrzucił spojrzeniem tłum. Chyba wpadł w rytualną ekstazę, bo następne słowa wypiszczał, wyraźnie naśladując głosy wilkołaków:

— Zacznijmy taniec Oczyszczenia!

— Lepiej idźcie się umyć. — Vellan już zupełnie doszedł do siebie i nawet spróbował splunąć na posąg, ale ślina nie doleciała i żołnierz westchnął rozczarowany.

Na polanę wbiegli kmiecie, wzięli się za ręce i utworzyli korowód wokół ohydneho bóstwa. Za słupami chyba działo się to samo — dobiegały stamtąd okrzyki i tupot nóg. Kilka osób założyło na siebie skóry wilków, i zaczęło biegać na czworakach, co chwila wysoko podskakując i wyjąc. Ktoś zaczął wybijać rytm na bębnie, zrobionym z wydrążonego pnia i naciągniętej na niego kozłej skóry. Conanowi ten dźwięk przypomniawszy tam-tamy w Czarnych Królestwach. Przenikliwie zaświstały wierzbowe fujarki, jakiś kmieć przyniósł ze sobą lutnię,

pochodzącą nie wiadomo skąd, i zaczął bezlitośnie szarpać jej biedne struny. Rozległy się rozzdzierające dźwięki. Vellan, który nieźle grał na tym instrumencie, aż zaszlochał ze złości, a potem odwrócił się do barbarzyńcy i z wściekłością wychrypiał:

— Niech no ja się tylko uwolnię, znajdę i zabiję to bydło! Wyrwę serce, zębami przegryzę gardło! Tak się znęcać nad instrumentem! — Jego głos przeszedł w krzyk.

Cymmerianin ze współczuciem pokiwał głową, ledwo powstrzymując śmiech. Cała ta ceremonia — dzikie skoki, kakofonia dźwięków i korowód wokół bożka wywoływały u niego atak niepowstrzymanej wesołości. Zresztą nie tylko u niego — nie mający słuchu muzycznego Halmun na początku gapił się na to wszystko, a potem odrzucił do tyłu głowę — na tyle na ile pozwolił mu słup — i ryknął śmiechem, bez trudu zagłuszając cały zgiełek. Nawet szaman zastygł ze wzniesionym nad głową nożem. Kazał wszystkim zamilknąć, podszedł do Vanira i długo, uważnie mu się przyglądał, wywołując kolejny atak wariackiego śmiechu.

— Oszalałeś...? — ostrożnie zapytał szaman rudego. Conan pomyślał, że podobnie głupiego pytania jeszcze w życiu nie słyszał. Jaki szaleniec przyzna, że ma coś nie w porządku z głową?

— Oszalałem? — Halmun nie mógł się uspokoić i śmiał się tak, że słup, do którego był przywiązany, zauważalnie drgał.

— Nie boisz się śmierci? — ciągnął nic nie rozumiejący kapłan Ojca Wilka.

— Śmierci? — zachichotał Vanir. — Śmierci nie będzie, a jeśli nawet, to nie nasza! — Zaczął więc się ze śmiechu. Conana ucieszyła wesołość rudego, ale na razie nie widział nic, co mogłoby przeszkodzić kapłanowi po prostu poderżnąć im gardła.

Szaman machnął ręką na weselącego się Vanira — widocznie doszedł do wniosku, że więzień nagle zwariował. Powoli ruszył wzdłuż słupów, wpatrując się w twarz każdego jeńca. Zatrzymał się przed Giliomem, podniósł za włosy jego opuszczoną głowę, skrzywił się na widok maski z zakrzepłej krwi i krótko zarządził:

— Umyć!

— Potem poszedł dalej. Drugi raz zatrzymał się przed Valso i bacznie obejrzał ze wszystkich stron chudego, bez przerwy kaszłającego Zingarczyka. Zdaje się, że oględziny usatysfakcjonowały szamana, bo gdy już odszedł na kilka kroków, głośno oznajmił:

— Oto pierwsza ofiara dla Ojca Wilka! Śpiewajcie!

Znowu gruchnęła rozzdzierająca uszy kakofonia. Gdyby mógł, Conan zatkałby uszy. Obok zajęczał Vellan.

Tymczasem wszyscy wyjący mieszkańcy Grazy stanęli w kręgu, a szaman wymachując rękami i kreśląc przed sobą jakieś niezrozumiałe figury zaczął podchodzić do pobladłego i lekko drżącego Valso. Zingarczyk bał się, bardzo się bał, próbował się opanować, ale nie potrafił. Prawe oko, a potem cały policzek zaczęły drgać w nerwowym tiku, Valso dziwnie zamachał głową i zachrypiał. Nagle wycie i stuk bębna zagłuszył krzyk Erharda:

— Valso, nie! Trzymaj się! I tak nie uda ci się przerwać sznurów!

Ciekawe, o czym on mówi? — zdziwił się Conan. Czyżby Valso dysponował jakąś magią? Co on takiego chce zrobić, że Erhard się nie zgadza?

Szaman tanecznym krokiem doszedł do Valso, pomachał ostrzem przed jego gardłem, potem ujął nóż w dwie ręce i wznosił wysoko nad głową robiąc zamach. Zingarczyk zamknął oczy, zebrał siły i plunął na kapłana.

— Dobrze! — wrzasnął Conan i też splunął, ale chybił.

— Poczekaj, barbarzyńco, przyjdzie kolej i na ciebie — zasyczał kapłan wycierając twarz i znowu robiąc zamach. — Siłą, jaka została mi dana, darowuję to stworzenie Ojcu Wilkowi! Ojcie, przyjmij naszą ofiarę i jego duszę!

Nóż zaczął powoli opadać na pierś Zingarczyka, gdy w powietrzu zaświstała samotna strzała. Szaman wypuścił broń i trzęsącymi się rękami schwycił za drzewce, sterczące z jego

lewego oka, a potem padł na ziemię. Nad polaną przeleciał krzyk przerażenia, mieszając się wrzaskiem radości, który wyrwał się z gardel jeńców.

— Dajcie mi tego łuczника, niech go ucałuję! — krzyczał Valso.

Tłum odstał do tyłu, a potem rzucił się z rykiem w stronę słupów i przywiązani wojownicy przestali się śmiać. Zdaje się, że chłopcy mieli zamiar rozerwać ich na strzępy...

— Stójcie! — Ostry władczy głos zagrzmiął, jak się zdawało, gdzieś z góry. Rozsuwając sosnowe gałęzie, na polanę wszedł... wilkołak.

— Crom! — zdziwił się Conan, ale po zastanowieniu poprawił się: — Nie, to musi być ktoś inny...

— Wydaje mi się, że mnie wzywaliście? — zapytał pokryty jasną skórą półwierz cofających się mieszkańców Grazy.

— Wzywaliśmy, Ojcie — zawołał starszyna. — Przyjmij tych obcych w darze od swoich niegodnych synów! Nasz szaman zginął, a my nie wiemy, co czynić!

— Popęłnił błąd w rytuale i zapłacił za to — powiedział zimno wilkołak. — A wy czyńcie, co uważacie za stosowne. Chociaż najlepsze, co moglibyście zrobić, to pójść i się powiesić. Może wtedy przestalibyście hańbić moje imię swoimi jękami! Wszyscy won! Aha, broń obcych i ich rzeczy zostawcie tutaj, przyda im się, gdy będą wchodzić do Niebieskiego Królestwa! A teraz — w tył zwrot!

Kmiecie w przerażeniu porzucali broń i rzeczy wojowników i przepychając się, krzycząc i szlochając zaczęli biec po ścieżce, prowadzącej najwidoczniej do Grazy.

Nikt nie zwrócił uwagi, że jeden z uczniów szamana nachylił się nad ciałem swojego martwego nauczyciela, wyrwał głęboko wbity strzałę, potem wyciągnął spod odzienia ciemną matową kulę, wyszeptał nad nią jakieś zaklęcie i biegiem rzucił się za uciekającymi mieszkańcami Grazy.

Gdy krzyki oddalających się chłopów zamilkły, na polanę wbiegł Ertel. Padł na kolana, odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się na cały głos. W ślad za nim z zarośli wyszło troje uśmiechniętych młodych ludzi — dwaj chłopcy, podobni do siebie jak dwie krople wody, i dziewczyna. Chłopcy byli dość wysocy, ubrani w zielone stroje myśliwskie, uzbrojeni w łuki i kindżały. Dziewczyna była nieco niższa, ciemne kręcone włosy swobodnie spadały jej na ramiona, szeroka chłopska koszula nie kryła bujnych, wznoszących się przy każdym oddechu piersi, ładny nos i wesołe brązowe oczy podkreślały kpiący wyraz jej ślicznej buzi. Conan mimo woli zapatrzył się na nieznaną, a potem pomyślał, jak głupio muszą wyglądać — on i pozostali wojownicy — starannie przywiązani do słupów niczym przeznaczone na świąteczny obiad indyki. Obrońcy Kresów, nieustraszeni przeciwnicy wilkołaków, nie ma co...!

Wszyscy przybyli, oprócz umierającego ze śmiechu i tarzającego się po trawie Ertela oraz przemieniony w człowieka wilkołak zaczęli rozwiązywać jeńców. Wilkołak, który przyjął ludzką postać okazał się dokładną kopią przybyłych młodzieńców, byli więc bliźniaczymi braćmi.

— Trojaczki? — zapytał rozcierając zdrętwiałe ręce Vellan. Razem z wolnością wróciło mu również poczucie humoru.

— Jak widzisz — uśmiechnął się jeden z młodzieńców.

— I wszyscy jesteście wilkołakami? — posępnie zainteresował się ciągle jeszcze przywiązany Conan.

— Tak, a masz coś przeciwko temu? — Grający rolę Ojca Wilka krzątał się wokół słupa, przecinając krępujące Conana sznury. — Przy okazji, wcale nie miałem ochoty na przeobrażenie się. I gdyby nie prośby Ertela i Seleny... Już od dawna jesteśmy bardziej ludźmi niż wilkami. Wilkołaki wcale nie są takie złe, jak ci się wydaje, w każdym razie większość z nich.

— Ale jest sporo takich, których należałoby udusić od razu po urodzeniu — pokręcił głową Conan i ruszył w stronę rozrzuconych rzeczy.

— Wśród ludzi znacznie częściej zdarzają się zwierzęta w człowieczej skórze — zauważył ze smutkiem wilkołak i przeszedł do następnego słupa. — Ilu ty, na przykład, zabiłeś w ciągu swojego życia?

— Nie wiem, nie liczyłem — mruknął Conan, wciągając spodnie. — Setka by się pewnie zebrała...

— Dużo więcej! — wtrącił się Vellan. Kuśtykał po polanie w poszukiwaniu swoich rzeczy wśród porzucanych szmat i przedmiotów. — Na koncie tego krwiożerczego dzikusa, który dopiero niedawno nauczył się prawidłowo sznurować spodnie, jest wiele tysięcy bezlitośnie zgubionych niewinnych dusz! Nie dalej jak wczoraj ta liczba powiększyła się jeszcze o dwadzieścia... a może trzydzieści?

— Vellan, schowaj swój plugawy język gdzieś głęboko, a najlepiej wsadź go sobie w tyłek — poradził mu posępnie Conan.

— Nie stać cię na nic dowcipniejszego? — nie mógł uspokoić się Brythuńczyk, — No tak, zapomniałem, przecież jesteś barbarzyńcą! Wszystkie cymmeryjskie zarciki zalatują latrynami i...

— Dostyc — powstrzymał tę wymianę uprzejmości wilkołak. — A ja w ciągu swojego życia nikogo nie zabiłem i jakoś żyję. Myśl o ludzkim mięsie budzi we mnie wstręt.

— Gratuluję — burknął Cymmerianin zapinając pas, i nagle wybuchnął przekleństwami, tak strasznymi, że nawet Ertel przestał się śmiać i z otwartymi ustami gapił się na barbarzyńcę. Przez gęsty strumień przekleństw przesączało się jedno mniej więcej zrozumiałe zdanie:

— Gdzie jest mój miecz?!

W tym samym momencie wszyscy zaczęli gorączkowo rozglądać się na boki, szukając drogiego, jedyne na świecie przedmiotu, który zdołałby uciszyć wydzierającego się Cymmerianina. Jeden z trojaczków zbiegł w dół po ścieżce i wrócił z ciężkim długim przedmiotem, przypominającym pochwę.

— To chyba twoje?

Conan niemal wyrwał mu broń z rąk i lekko wysunął ostrze. Jego twarz rozjaśnił uśmiech i barbarzyńca odetchnął z ulgą.

— A już myślałem, że trzeba będzie przetrząsnąć całą wieś...

— Conanie — odezwał się zdumiony Ertel. — Przeklinasz jeszcze wymyślnej, niż mój wujek. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś podobnego jest możliwe... Nie wstyd ci przed dziewczyną?

— On nie zna takiego słowa — z poważną miną oznajmił Vellan.

— Słowa, „dziewczyna”? — natychmiast podchwycił Ertel. — A to miał pecha...

— Nie, dziewczyny to on zna bardzo dobrze — parsknął Brythuńczyk. — Ale jak każdy barbarzyńca, pojęcia nie ma, co to takiego wstyd...

— Zaraz przywiążę was obu do słupów — z niedobrym uśmiechem obiecał Conan. — I zawołam wilkołaki. Na pewno nie odmówią darmowego obiadu.

— Za co? — Obaj wojownicy radośnie zachichotali. — My tylko tak... Żartowaliśmy sobie! Nie przywiązuj nas!

Wzajemna wymiana złości została przerwana przez radosny dziewczęcy okrzyk:

— Wujek!

— Córko! — Dopiero co uwolniony Erhard mocno objął ciemnowłosą dziewczynę. — Aleś ty wyrosła! Dawno nie byłem w domu...

— A ty się postarzałeś — powiedziała z niepokojem dziewczyna, zaglądając Erhardowi w oczy.

Dziesiątnik z uśmiechem pogładził siwe wąsy.

— Jeszcze pożyję, jeśli tylko kochający krewniak i inne dzikusy nie wpędzą mnie wcześniej do grobu. Nigdy bym nie przypuszczał, że można coś takiego wymyślić...

— Można i gorsze rzeczy — warknął pod nosem Conan, zerkając na dziewczynę. Zdaje się, że zwali ją Selena... Zaczęła dawać o sobie znać długa wstrzeźliwość. Barbarzyńcy przypomniawszy sobie, że na świecie oprócz bijatyk i wina są jeszcze piękne kobiety.

Dziewczyna też czasem spoglądała na potężnego Cymmerianina, obok którego jej brat, przecież także też nie ułomek, wyglądał na zdechlaka. Rudobrody Vanir był jeszcze potężniejszy, ale urody Imir mu poskapił. A Conan... nagle zapragnęła przytulić się do niego i nie pozwolić, by ją wypuścił z objęć.

Na polanie zapachniało dymem, to Gart rozpałił u stóp posągu ognisko. Halmun nabrał w kociołek wody z płynącego nieopodal źródła i teraz gotował ją nad ogniem. Kaszlącego Valso posadzono blisko płomieni, a gdy woda w kociołku zaczęła bulgotać, Halmun wrzucił do niej garść suchych liści i ziół. Z kociołka popłynął gorzkawy, przyjemny zapach. Halmun wyciągnął z worka pognieciony miedziany kubek, wlał do niego wywar, i podał parujący napój Valso:

— Napij się, to ci pomoże.

Zingarczyk parząc się wypił aromatyczną ciecz, skinał z wdzięcznością, odchylił głowę na plecy i popatrzył na wysokie jesienne niebo.

— Co robimy dalej? — zadał interesujące wszystkich pytanie Vellan. Usiadł i wyciągnął ręce w stronę ognia. — Wprawdzie żyjemy, ale mam straszną ochotę wypruć komuś kiszki. I to jak najszybciej.

— Proponuję wrócić do Grazy i pofolgować sobie — powiedział Cymmerianin i popatrzył na okopconego bożka. — Jakoś się nie chce palić...

— Zapali się — machnął ręką Giliom, któremu brat opatrywał ranę na czole.

— Propozycja wcale interesująca — zaczął w zadumie Erhard. — Ja sam mam parę długów do spłacenia. Ale w końcu jesteśmy strażą królewską, a nie rozbójnikami na trakcie!

— Pierwszym, którego zabiję, będzie ten „muzykant”, który znęcał się nad biedną lutnią — obiecał Vellan. Trzymał na kolanach swój dwuręczny miecz i wyglądał osetką szczyby na klindze. — Co oni nim robili, drwa rąbali, czy wbijali gwoździe? — burknął oburzony, znajdując na lśniącym ostrzu jeszcze jedną rysę.

— Moim zdaniem powinniśmy najpierw wrócić do domu, w łaźni posiedzieć, pojeść, dziewczynki, tego no... — zaproponował z uśmiechem Ertel, leżąc na trawie i pogryzając poząłkę żdźbła. — Coście się tak uczepili tej wsi?

Wtedy oburzyli się już wszyscy, nawet zazwyczaj milczący Emert.

— No, ciebie nie przywiązywali do słupa!

— I nie znęcali się!

— Kiedy nas męczyli, on sobie pewnie piwo żłopał!

— Zamknij się i nie zabieraj głosu, nikt cię o zdanie nie pytał!

— Pomysł zły nie jest, ale najpierw do Grazy...!

Dyskusję podsumował Conan:

— Pójdziemy do wsi, ale nie zrobimy rzezi. Zachowamy ich plugawe duszyczki, jednak poweselić się nie zaszkodzi. A potem — jadło i piwo!

Decyzja została jednogłośnie przyjęta radosnymi okrzykami.

Podczas sporu nikt nie zwrócił uwagi na dziwne rzeczy, jakie działy się z trupem szamana. Najpierw powoli zaczęła pulsować matowa kula. Wyglądało to tak, jakby serce kapłana skamieniało, wypadło z piersi i biło obok niego. Potem kulę i ranę połączyła strużka czarnego dymu. Rozrosła się, przemieniła w coś na kształt sznura i w okrwawionym oczodole coś się poruszyło. Ciałem szamana wstrząsnął dreszcz, ocalałe oko lekko się uchyliło i zaczęło spod powieki obserwować siedzących przy ognisku ludzi.

Strumień czarnego dymu nagle się urwał. Jednocześnie oko się otworzyło i nieboszczyk niezgrabnymi szarpnięciami zaczął wstawać na nogi. Pierwszy zobaczył go Vellan, zdumiony wytrzeszczył oczy, a potem wykrzyknął:

— Co się dzieje, do licha!

Conan odwrócił się i ostrzegawczo krzyknął:

— Hej, trup szamana ożył!

— A niech to... Przecież sam wsadziłem mu strzałę w oko! — wykrzyknął jeden z trojaczków.

— Popatrzcie, znowu idzie, jak żywy — wymamrotał Ertel. — Tylko jeszcze bardziej ohydny...

— Czary — oświadczył stanowczo Emert, sięgając po łuk. — Zaraz go...

Strzała trafiła chwiejącego się trupa w ocalałe oko. Szaman zachwiał się, ale szedł dalej, w biegu wyszarpując wbitą strzałę i łamiąc drzewce.

— Na dziewięć piekieł Zandru! — zawołał Vellan i zerwał się na równe nogi. — Dlaczego mamy takiego pecha? Nie dadzą spokojnie posiedzieć! Popatrzcie tylko co to bydlę robi!

W miejscu jednego oczodołu byłego szamana ziała krwawa dziura, z drugiego powoli wypływało wybite oko. Demon zatrzymał się, zastanowił i zrozumiał, że bez oczu daleko nie zajdzie. Wtedy wczepił się rękami w kości obu oczodołów i z chrzęstem je wyłamał. W powstałych otworach natychmiast pokazało się dwoje czerwonych oczu na chwiejących się nóżkach, przypominających oczy kraba. Selena wykrzywiła buzię i odwróciła się z obrzydzeniem. Conan nie wiedział, czy ma się śmiać, czy dla odmiany trochę przestraszyć — stworzenie wyglądało na niebezpieczne, tylko nieruchawe. Ciekawe, czy dobra stał dałaby radę temu pomiotowi Nergala?

— Ale z ciebie brzydal, przyjacielu — powiedział z zalem Vellan, idąc naprzeciw istocie, która znowu zaczęła kuśtykać w stronę ludzi. — A w ogóle to nam przeszkadzasz!

Cios oburęcznego miecza był wymierzony w szyję, w nadziei, że istota raczej nie zdoła wyhodować sobie nowej głowy i zdechnie ku ogólnej radości wszystkich obecnych na polanie ludzi i nieludzi. Jednak trup zdażył zasłonić się ręką. Brythuńczyk pomyślał, że za jednym zamachem ubije dwa zające, ale się przeliczył — blada cienka łapka szamana okazała się mocniejsza od hartowanej stali, miecz wyleciał z ręki Vellana w jedną stronę, a jego zdumiony właściciel w drugą. Stworzenie, nie zwracając na niego uwagi, potoczyło się dalej.

Brythuńczyk usiadł na zwiędłej trawie, wznosił oczy ku niebu i natchnionym głosem powiedział:

— Mitro, pomóż twojemu synowi, poraż tę przekłętą istotę ciemności ognistą strzałą, dobrze? — Nic się jednak nie stało. Vellan wstał więc, podniósł miecz i powiedział: — Nie chcesz? Dobrze, trudno, sami sobie jakoś poradzimy... Conan, ty podobno masz magiczny miecz, palnij tego trupa, a nuż się rozsypie?

— Dość żartów — przerwał mu Erhard. — Conanie, naprawdę spróbuj go zaatakować!

Nieboszczyk w końcu doszedł do ogniska, wokół którego już nikogo nie było, i zaczął starannie zdeptywać ogień.

— Patrzcie, pamięta, czym się zajmował za życia! — zdziwił się barbarzyńca i wyciągnął miecz z pochwy. — No, wybiła jego ostatnia godzina!

— Najpierw go zabij, a potem się przechwalaj — burknął Erhard i półgłosem dodał: — Nie podoba mi się to wszystko...

— Tobie wiele rzeczy się nie podoba, wujku — poklepał go pocieszająco po ramieniu Ertel. — Nie przejmuj się tak...

— Zamkniesz ty się choć raz w życiu?! — huknął dziesiętnik.

— Robię to tylko dla ciebie, wujku — odezwał się Ertel przymilnym głosikiem i rzeczywiście zamilkł, patrząc na chodzącego po polanie martwego szamana. Ten obrzucił

spojrzeniem swoich dziwnych ruchomych oczu stojących nieopodal ludzi, i jego usta rozpląły się w dzikim uśmiechu, obnażając długie, krzywe kły.

— Mięso — miauknął pogardliwie i niespodziewanie skoczył żwawo w stronę oddziału.

— A nie mówiłem! — odwrócił się do wojowników Erhard. — Zdaje się, że teraz najlepsze...

— Uciekajmy! — wrzasnął Ertel, pierwszy zerwał się z miejsca i pobiegł w stronę najbliższego drzewa. — Może on za nami nie wlezie!

Po paru chwilach na opustoszałej polanie został tylko Conan ze swoim mieczem i Vellan, nie licząc demona, w zadumie drepającego pośrodku wolnej przestrzeni.

— Zjeżdżaj! — krzyknął Cymmerianin do Brythuńczyka.

— Za nic! — uciał Vellan.

— Przecież on cię zeżre — ostrzegł go Conan.

— Udławi się! — zapewnił Brythuńczyk, nie ruszając się z miejsca.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Cymmerianin i obejrzał się. Szaman stał dziesięć kroków od nich i spoglądał taksująco na miecz.

— Nie chcesz spróbować, pomioście demonów? — zaproponował obojętnie Conan, machając klingą. Demon przecząco pokręcił głową, spojrzał na Vellana i też zrezygnował z bliższej znajomości z nim, za to na widok oblepionego ludźmi świerka uśmiechnął się z zadowoleniem. Ten uśmiech bardzo nie spodobał się siedzącemu najniżej Erhardowi.

— Nawet o tym nie myśl — uprzedził stworzenie, które podbiegło do drzewa i spróbował wleźć wyżej, ale miejsca wyżej były zajęte. — Conanie, dlaczego stoisz, on zaraz zrobi sobie ze mnie śniadanie!

— Raczej obiad — odezwał się Ertel, który przezornie wdrapał się na sam czubek.

— Znacznie mnie pocieszyłeś, krewniaku! — odgryzł się Erhard. Conan postanowił, że nie porzuci dowódcy w biedzie i pobiegł, by przeciąć drogę kuśtykającemu nieboszczykowi. Jednocześnie krzyknął do Vellana:

— Pamiętasz, gdzie leżało ciało? Przejdź się tam, może znajdziesz coś pożytecznego!

Demon był trochę szybszy od barbarzyńcy i kiedy Conan podszedł, były szaman już jakiś czas skakał, próbując dosięgnąć wściekle przeklinającego Erharda krzywymi szponami, które przed chwilą mu wyrosły.

— Do licha, co się dzieje? Idź precz, paskudo! — zawodził dziesiętnik, ale martwemu szamanowi bardzo spodobały się jego nogi w skórzanych spodniach. Biedny Erhard przytulił się do szorstkiego pnia i starał się jak najwyżej wciągnąć swoje nieszczęsne kończyny.

— Chodźcie chłopaki, zrzucimy starego. I demon sobie podje, i nam będzie lżej — zaproponował ze złośliwym uśmiechem Ertel.

— Co?! — zawył Erhard, na chwilę zapominając o demonie. — Zrzućcie lepiej tego zasańca, i młodszy, i tłuściejszy!

— Nie, wujaszku — powiedział czule Ertel. — W tobie jest tyle żółci, że bydlę na pewno się otruje i zdechnie w strasznych mękach!

— Poczekaj, aż zejdziemy — obiecał dziesiętnik, dusząc się ze wściekłości i próbując kopnąć miauczące z niezadowoleniem stworzenie. — Tak ci tylek stłukę, że przez tydzień nie usiądziesz!

— Wujku, wiesz co, spluń na niego — zaproponował z góry złośliwy głos. — Twoja ślina zawiera tyle jadu, że potem nawet kości z biedaka nie znajdziemy!

Erhard zawył ze złości, ale posłuchał rady. Niestety, chybił i wściekle wrzasnął:

— Gdzie jest ten po trzykroć przeklęty barbarzyńca?!

— Tutaj, tutaj — dodał dziesiętnikowi otuchy Conan, który stał pięć kroków od celu, opierając się na mieczu i patrząc na to widowisko.

— No to dlaczego stoisz jak słup? Kończ z nim! — rozkazał Erhard i po raz kolejny podkurczył nogi.

— I mam stracić bezpłatną rozrywkę? — oburzył się Conan. — Nigdy w życiu!

— Rób co mówię! — nie dopuszczającym sprzeciwu tonem wrzasnął dziesiętnik, ledwie nie spadając przy tym z gałęzi.

— Rzeczywiście, Conanie, zabij go — poprosiła czule Selena. — Tak tu niewygodnie...

— Dobrze — zgodził się barbarzyńca. — Nigdy nie potrafiłem odmówić kobiecie...

Z widoczną niechęcią podszedł do podskakującego demona, poczekał na odpowiedni moment i uderzył z rozmachem. Miecz z brzękiem odskoczył, nie wyrządzając demonowi żadnej krzywdy.

— A niech to Nergal! — zaklął Conan i podał tyły. — Wykrakałem... Przedtem bał się mojego miecza, a teraz już się nie boi.

Szaman odwrócił się, zostawił w spokoju Erharda, który odetchnął z ulgą, i pobiegł za czmychającym gdzie pieprz rośnie Cymmerianinem. Na drzewie zaczęto radośnie gwizdać i pohukiwać, okrzyki mieszały się z radami:

— Włóż na drzewo!

— Kopnij go w tyłek!

— Niech na cię zeżre, nie przejmuj się, potem postawimy ci pomnik!

— Spluń mu w oczy!

— Żartownisie zasrani — warknął Conan i zaczął biegać dookoła okopconego posągu. Demon gonił go, przez cały czas miaucząc, wyjąc i domagając się mięsa. Conan po ośmiu okrążeniach dostał zadyszki i miał już tego wszystkiego dosyć, tym bardziej, że świerk trząsał się od śmiechu i okrzyków dodających otuchy. Ertel proponował wszystkim chętnym zakłady o wynik wyścigu pomiędzy martwym szamanem i żywym barbarzyńcą. Z ogólnego wycia wyróżnił się bas Halmuna, który oznajmiał, że stawia trzy złote monety na Cymmerianina przeciwko jednej na demona.

Conan zatrzymał się gwałtownie i odwrócił. Trup nie zdążył wyhamować i zdumiony ryknął, gdy z rozmachu dostał ciężkim butem w pierś i gruchnął na ziemię. Barbarzyńca skoczył na niego i zaczął go z pasją deptać, wkładając w to całą złość, jaka nagromadziła się w nim w ciągu tego idiotycznego dnia. Ze świerku dobiegły zachwycone okrzyki.

— Chłopaki, wychodzi na to, że tylko żelazo się go nie ima — oznajmił zaskoczony Cymmerianin, słuchając suchego chrzęstu pod nogami. — O, kości trzeszczą!

— Nic dziwnego, jak taki kloc po nim skacze — odezwał się znajomy do bólu zjadliwy głos. Conan w myślach obiecał sobie, że potem obowiązkowo będzie musiał coś zrobić z ukochanym krewniakiem Erharda. Na przykład przywiązać do jego szyi kamień młyński i zrzucie Ertela do wyschniętej studni.

— Skocz mu na przyrodzenie! — zaproponowano z drzewa.

— Ten, kto ma taki wspaniały pomysł, niech sam sobie skacze — odciął się Cymmerianin i rozejrzał na boki: — Vellan, dlaczego się nie odzywasz? Umarłeś? Znalazłeś coś?

— Znalazłem! — odkrzyknął Brythuńczyk. — Tutaj na skórze leży czarny kamień i bije jak serce.

— No to rąbnij w niego! — zaryczał Conan, Nie przestawał skakać i usłyszał, jak na świerku kilka głosów zgodnie liczy: raz, dwa, trzy...

To z pewnością Ertel namówił braci-wilkołaków i Halmuna, żeby liczyć skoki Cymmerianina.

Vellan wymamrotał coś z determinacją i uniósł меч. Rozległo się uderzenie i zdumiony krzyk. Brythuńczyk odleciał na kilka metrów, rąbnął o drzewo i spadł na trawę. Pokiwał głową i pod nosem mruknął:

— Pora nauczyć się latać...

Conan przestał wdeptywać demona z zaświatów w ziemię i poszedł w stronę kuli. Na pożegnanie rzucił przez ramię:

— Poleż trochę, kochaniutki, zaraz wracam.

Szaman nie miał zamiaru leżeć, ale iść za Cymmerianinem też się nie zdecydował. Potrząsając głową i trzeszcząc stawami polazł w stronę drzewa.

— O nie — zajęczał Erhard. — Conanie, błagam cię, szybciej!

Barbarzyńca uniósł ciężką i ciepłą kulę, przez jakiś czas uważnie się jej przyglądał, obrócił w rękę, a potem z całej siły cisnął w najbliższy słup. Kula odbiła się od słupa, i uderzyła w brzuch Cymmerianina, który zupełnie się tego nie spodziewał. Leżał teraz na trawie, chciwie łapiąc ustami powietrze. Trup był już pod drzewem i w oczach się regenerował. Erhard próbował zwrócić jego uwagę na barbarzyńcę albo znajdującego się w równie opłakanym stanie Vellana. Stworzenie pozostało głuche na wszelkie prośby i znowu z uporem zaczęło sięgać do spodni dziesiątnika.

Barbarzyńca, który poczuł się nieco lepiej, wstał i najpierw chciał kopnąć nieczułą na razy kulę, ale zrezygnował i odwrócił się do chwiejącego się Vellana, wskazując swój miecz:

— Może tym spróbować?

— Jak chcesz — wrzucił ramionami Brythuńczyk i warknął: — Od tej pory nic mnie już nie zdziwi.

Conan popluł na dłonie i uderzył, wkładając w cios całą swoją siłę. Po jego dłoniach przebiegł lekki dreszcz, klinga zaślśniła i rozbiła kulę na dwie połowy. Nastąpił jaskrawy wybuch i na trawie nie pozostał żaden ślad po magicznym przedmiocie. Lśnienie miecza od razu zbladło.

— Crom mnie jeszcze nie opuścił — wykrzyknął uradowany Cymmerianin, ale gdy się odwrócił, zamarł ze zdziwienia. Zniszczenie talizmanu w żaden sposób nie wpłynęło na demona, który ciągle tak samo skakał wokół świerka. Zapewne kula gwarantowała mu nietykalność...

— Erhard, poczęstuj go mieczem! — krzyknął Conan.

— Podejź i sam go poczęstuj! — burknął rozdrażniony dziesiątnik. Otarł rękawem pot z czoła i z nienawiścią zezował na dół, gdzie kłapał zębami i warczał ożywiony trup.

— Dobrze — zgodził się Conan i zaczął skradać się do drzewa.

Demon znowu nie zauważył zbliżającego się Cymmerianina i zareagował dopiero wtedy, gdy barbarzyńca klepnął go w ramię. Odwrócił swoją ohydną, jakby kocia mordę z krabimi oczami i Conan w tym samym momencie trzasnął go w nią pięścią. Były szaman runął na gruby pień świerku.

— Wracaj do swojego pana, Nergala! — Z tymi słowami Cymmerianin uderzył demona mieczem w brzuch. Klinga nie napotkała żadnego oporu i lekko weszła w ciało, przyszpilając wyjącego dziko potwora do drzewa.

— Nareszcie! — rozległo się na świerku powszechne westchnienie ulgi.

Demon już nie wył, jedynie chrypiał. Trzeszczały kości, gdy pochylał się coraz niżej. Naciągnięta skóra na plecach nie wytrzymała i z głośnym trzaskiem pękła, a z pęknięcia ze świstem wyleciał strumień czarnego śmierdzącego dymu. Dał się słyszeć cienki przenikliwy pisk, jakiego nie wydaje żadne żywe stworzenie. Demon, który wypełznął z magicznej kuli, pożegnał się ze światem i wrócił tam, skąd przybył. Nagły poryw wiatru rozwiął ciemny obłok, unoszący się nad ciałem, a przebity mieczem trup zaczął się kurczyć i schnąć, póki nie rozsypał się w żółty proch. Conan wyszarpnął miecz, który utkwiał w pniu i teatralnym gestem wsunął go z powrotem do pochwy za plecami.

— Złaćcie, gnojki! — krzyknął, podnosząc głowę. — Szaman ostatecznie i bezpowrotnie porzucił nasz świat! Zdaje się, że ktoś tu obiecywał piwo!

Na górze zatrzeszczały gałęzie i wojownicy jeden za drugim zaczęli schodzić na dół, porzucając swoje tymczasowe schronienie.

Erhard zszedł pierwszy i stanowczym krokiem podszedł do barbarzyńcy z mocnym postanowieniem, aby obić przekłemu dzikusowi mordę. Jednak im bliżej był spokojnie stojącego i uśmiechającego się Cymmerianina, tym więcej miał wątpliwości co do powodzenia

tej akcji. Conan na pewno będzie chciał mu oddać, a gdy barbarzyńca oddawał, z ofiarą bywało kiepsko...

Dlatego dziesiętnik po prostu stanął obok i czekał, aż oddział zejdzie na dół. W milczeniu wyłamywał sobie palce.

Bracia wilkołaki i Seleną od razu poszli do domu — przygotowywać dla strażników łaźnie, jadło i pokoje. Zabrali ze sobą Valso, który czuł się coraz gorzej.

Ostatni na zwiędłą trawę zeskoczył Ertel, cały czas tak samo rozradowany. Stracił nieco rezon na widok dziesiętnika, który szedł w jego stronę z groźnym wyrazem twarzy.

— No, wujku, nie chowaj urazy — młodzieniec ugodowo podniósł ręce i cofnął się przezornie. — Przecież to były tylko żarty...

— Nie będę chował urazy, skądże — zgodził się Erhard. — Tylko przyleję ci, jak należy.

Dziesiętnik rzucił się na ukochanego krewniaka, jak głodny wilk na zdobycz. Ertel zawył nie gorzej niż ginący demon, odwrócił się i pobiegł przed siebie, odprowadzany zgodnym śmiechem.

— Idziemy do wsi zwracać długi! — krzyknął za nimi Conan i pierwszy zaczął iść po ścieżce, prowadzącej do Grazy. — Jak skończycie, przychodźcie do nas!

Oddział ruszył za Cymmerianinem, a w ślad za nimi leciały żałosne krzyki Ertela:

— Nie zostawiajcie mnie na pastwę tego zwierzęcia! Wujkuuu!

VIII

Starosta wsi Grazy wszedł na pospiesznie zбитy pomost i powiódł kosturem po zebranych niezbyt licznym tłumie ocalałych mieszkańców sióła.

— Współplemieńcy! — zaczął uroczyście, odchrząkując. — Potrzebny nam jest nowy szaman. Proponuję wybrać najgodniejszego spośród uczniów padłego w boju Karija...

Jego mowę przerwał wybuch głośnego szczerego śmiechu i wesołe pytanie:

— Padłego w boju? Ciekawe, czy uduszenie zalicza się do heroicznej śmierci podczas bitwy?

Chłopi pokręcili głowami, szukając tego, który ośmiela się bezczelnie przerywać ich staroście.

— Niemożliwe... — wyszeptał żałośnie któryś z nich.

I było czemu się dziwić — na plac niespiesznie wyszły niedawne ofiary — żywe, wesołe, zadowolone, z ognikami okrucieństwa w oczach. Wojownicy przeszli do pomostu przez żywy korytarz, utworzony z rozstępujących się chłopów. Podbródek starosty zadygotał i starzec mocno ścisnął swój kostur.

— Przecież zabrał was Ojciec Wilk! — wykrzyknął drżącym głosem.

— Zabrał, zabrał, a jakże — przytaknął Conan. — Tylko ochrzanił go w niebiosach za takie wygłupy, a nas z honorami odesłali z powrotem. Nasza pora umierania jeszcze nie nadeszła, za to dla was właśnie nastał dzień spłaty długów. — I uśmiechając się drapieżnie do pobladłego starca, barbarzyńca wyciągnął miecz z pochwy.

Jakaś kobieta zapiszczała przeraźliwie i rzuciła się do ucieczki. Jej przykład okazał się zaraźliwy; mieszkańcy wioski z wyciem zaczęli uciekać z placu.

Conan zauważył w tłumie kmiecia, który go pilnował, i któremu winien był wdzięczność za rozbity podbródek. Z triumfalnym okrzykiem: — Wpadłeś! — odepchnął z drogi kilku trzęsących się ze strachu chłopów, i chwycił swojego próbującego się ukryć dręczyciela za kołnierz koszuli.

— Aaa, nie zapomniałeś? — Cios w kość policzkową rzucił poszarzałego i bełkoczącego coś chłopca na ziemię. Pewnie nawet by się z niej nie podnosił, ale silna ręka oderwała go od nagrzanego słońcem szorstkiej ziemi i szarpnięciem postawiła na nogi.

— Coś taki słabowity? — W ślad za drwiącym pytaniem ogromna pięść jak kamień wbiła się w żołądek kmiecia. Chłop zgiął się w pół. Conan chwycił go za włosy i odwrócił twarzą do siebie, a potem zadał mu kilka szybkich prostych ciosów, które złamały biedakowi nos i przemieniły jego uzębienie w chrzęszczące kruszywo. Na tym jego męki pozornie się zakończyły — Cymmerianin wypuścił swoją ofiarę i po prostu stał i patrzył, jak jego wróg z jękiem pełźnie po ziemi i rozmazuje krew na twarzy. Zresztą, co to za wróg? Przydrożne gówno, szkoda nawet brudzić miecz...

Chłop z trudem wyjącał:

— Zlituj się... Mam troje dzieci...

Klinga z lekkim szelestem opuściła pochwę.

— Wstań! — zażądał Conan. — Przyjmij śmierć jak mężczyzna, a nie jak baba!

Kmieć jeszcze mocniej przytulił się do ziemi, mamrocąc zakrwawionym ustami coś o łasce. Na krótką chwilę w duszy Cymmerianina zagościła litość, ale szybko zgasła, gdy barbarzyńca przypomniał sobie, ilu zginęło wspaniałych wojowników, którzy ze szlachetności lub głupoty darowali życie pokonanym. Sam raz puścił wolno przywódcę rozgromionej rozbójniczej szajki Olgierda i srogo za to zapłacił. Dlatego teraz kopnął skulone na ziemi i żałośnie pojękujące stworzenie i powtórzył:

— Wstawaj, albo zarąbię cię jak wściekłego psa.

Najwidoczniej w kmieciu ocknął się honor, bo powoli wstał, otarł rękawem krew i wyprostował się, patrząc zamglonymi oczami w niebo nad głową Cymmerianina. Conan skinął z aprobatą głową, zamachnął się mieczem...

— Tatusiu! — Do znieruchomiłego chłopca z głośnym szlochem podbiegła może dziesięcioletnia rozczochna dziewczynka, mocno się przytuliła i objęła jego nogi. Kmieć drgnął, spróbował oderwać dziecko od siebie, potem coś zaszeptał. Dziewczynka odwróciła się i podeszła do zastygłego ze wzniesionym mieczem Cymmerianina. Wyglądała przy nim jak kruszynka, ale zdecydowana była nie gorzej od niego.

— Zabij mnie, barbarzyńco — powiedziała wyraźnie. — Mój tata zawinił wobec ciebie, był okrutny, ale ty już mu za to odpłaciłeś. Nie zabijaj go, weź lepiej mnie.

— Córeczko — zaszlochał kmieć i rzucił się do nieruchomego barbarzyńcy. Ten bez zamachu uderzył go końcem rękojeści w twarz, odrzucił na zakurzoną ziemię, a potem schował miecz do pochwy za plecami.

— Biegnij do domu — Conan popchnął dziewczynkę w stronę wyjścia z placu. — Nie zabiję twojego taty. Dość już dzisiaj przelano krwi.

Dziewczynka posłuchała, ale odchodząc przez cały czas oglądała się — czy straszny barbarzyńca spełni swoją obietnicę? Conan splunął, zirytowany kopnął leżącego na ziemi chłopca i poszedł na poszukiwanie swoich. Mieszkańcy Grazy, których spotykał na drodze, odskakiwali pod ściany domów. Mamrotali modlitwy i unikali wzroku posępnego Cymmerianina.

Obok mostu leżał trup starosty z posiniałą twarzą i wywalonym językiem. Obok niego leżały kawałki połamanego kostura. Conan z obrzydzeniem ominął zwłoki, noskiem buta kopnął szczapy, które zostały z kostura, skręcił w pierwszą ulicę i wpadł na radośnie uśmiechających się braci Gunderów i Vellana, który troskliwie niósł uratowaną lutnię.

— Nie masz pojęcia, Conan — zaryczał Brythuńczyk z zachwytem, na widok barbarzyńcy, — jak się wyżyłem na tym, za przeproszeniem, muzykancie!

— Zabiłeś go? — przerwał mu Cymmerianin.

— Nie ja, Giliom — machnął głową Vellan. — Okazuje się, że on też ma słuch muzyczny!

— A kto załatwił starostę? — zapytał Conan.

— Erhard. Jak on go dusił! Mmmm... — Vellan z rozkoszą przewrócił oczami i zagrał na lutni triumfalny akord. — A Ertel biegał dookoła i krzyczał, że mogą służyć jako modele do posągu karzącej sprawiedliwości.

— ...Na co dziesiętnik odpowiadał, że jak tylko skończy z tą kreaturą, będzie można przystąpić do sporządzania drugiego posągu: śmierć nadmiernie gadatliwego krewniaka z ręki kochającego wujaszka — dodał Gart.

— A gdzie reszta? — zapytał barbarzyńca, parszcząc i wyobrażając sobie widowisko, które stracił, gdy zajmował się chłopem.

— Zbierają się przy drodze — odparł Vellan i poszedł przodem, grając na lutni jakąś bardzo wesołą piosenkę. Gunderzy śpiewali.

Na obrzeżach Grazy na oddział czekał nieco osowiały Ertel. Najwidoczniej dziesiętnik jednak stłukł złośliwego krewniaka, by pomścić wszystkie zarciki w czasie przymusowego siedzenia na świerku. Ertel zgłosił się na przewodnika i wszyscy kupą poszli za nim, ze śmiechem przypominając sobie, jak zemścili się na swoich oprawcach. Conan szedł w milczeniu na końcu — nie mógł zapomnieć o tchórzliwym kmieciu i jego malutkiej córce. Czy słusznie postąpił... ?

Cymmerianin zamyślił się, nie słyszał, że go wołają i ocknął się dopiero po bolesnym kuksańcu w bok.

— Conan, dlaczego tak przycichłeś? A może śpisz na stojąco? — Erhard odchrząknął i głośno się wysmarkał, ale nie doczekał się odpowiedzi i powtórzył: — Co zrobiłeś z tym łajdakiem, który nakładł ci po gębie?

— Puściłem go — burknął Conan, wpatrując się w ciemnozielone świerki, rosnące po lewej stronie drogi.

Ertel i Vellan popatrzyli na siebie i stali się czujni, jak gończe psy, które poczuły zwierzynę.

— I dobrze zrobiłeś! — powiedział Ertel. — Tylko pomyśl, może gdzieś na Szarych Równinach zostanie ci to policzone jako jedyny dobry uczynek spełniony w ciągu całego twojego długiego i krwawego życia, i przeniosą cię do jakiegoś bardziej sympatycznego miejsca...

— Chociaż na zupełne przebaczenie raczej nie możesz liczyć — podchwycił Vellan. — Tysiące zgubionych przez ciebie dusz będzie głośno wyc i błagać, żeby zrzucić cię w najgłębsze piekielne otchłanie...

Mogliby tak gadać w nieskończoność, dlatego Conan bardzo uprzejmie zapytał Vellana, czy nie chce wypróbować na swojej głowie twardości nowo nabytej lutni, a Ertela czule objął za szyję, uniemożliwiając biedakowi wykrztuszenie choćby jednego słowa. Dopiero gdy przed nimi pokazały się pierwsze chaty z bierwion, Cymmerianin wypuścił sapiącego Ertela, dał mu na pożegnanie porządnego kopniaka w tyłek i krzyknął:

— Nie będę ci przecież robił wstydu przed rodziną!

— O, dziękuję ci bardzo! — Oswobodzony żartowniś pokłonił się błazeńsko barbarzyńcy. — Nigdy ci tego nie zapomnę i dzieciom opowiem!

Cymmerianin ze smutkiem pomyślał, że dziwkarzy, pijaków i kpiarzy poprawić może tylko grób, a i to nie wiadomo czy na pewno. Machnął więc na Ertela ręką.

Wioska nie różniła się zbytnio od sąsiadującej z nią Grazy, przynajmniej zewnątrz — takie same mocne domy, pokryte dranicą i słomą, małe okna, po dwa na każdej ścianie, zaciągnięte byczymi pęczkami, wysokie częstokoły i porządne wrota.

Za to ludzie byli dużo sympatyczniejsi. Wielu wybiegało z domów, żeby przywitać się z Erhardem. Dziesiętnik kiwał w odpowiedzi głową, gładził wąsy i mamrotał:

— Jeszcze mnie tu nie zapomnieli...

Ertel doprowadził oddział mniej więcej do połowy wsi, skręcił w niewielki zaułek, zatrzymał się przed dębową bramą i zawołał:

— Hej tam, otwórzcie, jesteśmy głodni!

— I brudni — dodał Vellan, z przykrością potrząsając swoimi niegdyś jasnozłotymi włosami. Teraz były to szare strąki, gdzieniegdzie pozlepiane krwią w kołtuny.

Za bramą zakrzętało się, dało się słyszeć skrzypienie wyciąganej zasuwy i skrzydła powoli, z dostojeństwem się rozchyliły, a jeden z witających gości trojaczków zapraszająco machnął ręką. Wojownicy weszli na podwórze i hurmą podeszli do domu. Dom nie był tak zadbane, jak inne zabudowania we wsi. Ganek nadgnił, belki poczerniały i tylko dach ktoś troskliwie łątał, żeby nie przeciekał.

— Twój? — Zapytał Conan Erharda, wskazując dom.

— Mój — westchnął ze smutkiem dziesiętnik. — Dziesięć lat tu nie byłem... Dziesięć bardzo długich lat.

Na ganek wyszła Selena w fartuchu i z dużą drewnianą łyżką w ręku. Pomachała oddziałowi i krzyknęła:

— Idźcie się myć! Tam jest dla was przygotowana czysta odzież, a te szmaty upierzcie i powieście nad strumieniem. Jak nie będzie deszczu — splunęła zabobonnie — to do jutra wyschnie. Kiedy się ze wszystkim uporacie, obiad już będzie gotowy.

— No chłopaki, zaraz się dowiecie, co to znaczy prawdziwa łaźnia — obiecał im Erhard.

— Kiedyś już się myłem w łaźni, u jednego z waszych klanów... — zaczął Conan, ale Ertel wykrzywił wargi i pogardliwie rzucił:

— I to ma być mycie? Siedzą wszyscy w jednej balii, od czasu do czasu wrzucają do środka gorący kamień... A u was, w Cymmerii, to w ogóle nigdy się nie myją!

Conan trochę się obraził, ale postanowił, że nie będzie zaczynał z tym gadułą — przecież Ertel właśnie na to liczył.

Niewielki czarny domek z jednym malutkim oknem bez widocznego komina nad dachem stał nieco na uboczu, za strumieniem, w cieniu dwóch ogromnych dębów. Wszystkie zabudowania gospodarcze — chlew, szopa na siano i ziarno — znajdowały się jakieś sto kroków od niego.

— Daleko schowaliście ten wasz przybytek czystości — parsknął Vellan, który jako pierwszy otworzył małe drzwi, pochylił się i wszedł do środka. — Oho, ktoś na uprzedził! — oznajmił, wskazując starannie złożoną odzież.

W przedsionku — rozbieralni wzdłuż ścian ustawione były szerokie ławy, a po lewej stronie od wejścia stał stół. Naprzeciwko znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do łaźni. Ertel natychmiast tam zajrzał i zameldował:

— Tam wasi zbawcy zajmują się Valso. Jeśli nawet po tych zabiegach nie wyzdrowieje — trzeba go będzie dobić, żeby się nie męczył. Rozbierajcie się, co tak stoicie!

Pierwszy uporał się Erhard. Rzucił swoje ubranie do wielkiego kosza pod stołem i zanurkował w odmęty pary. Natychmiast rozległ się jego oburzony głos:

— Sio stąd! I tak już za długo tu siedzicie!

Z łaźni, przepychając się i chichocząc, wybiegli bracia-wilkołaki. Conan przypomniał sobie, że nie zapytał ich o imiona, ale nie zdążył tego naprawić — chłopcy szybko się ubrali i wyskoczyli na zewnątrz.

Jeden za drugim za maleńkimi drzwiami znikali Ertel, Emert, nierozłączni Gunderzy i Halmun. Vellan otworzył drzwi na oścież i stojąc na progu z zachwytem jęknął:

— Bogowie, jak dawno nie myłem się w porządnej łaźni!

Conan był ostatni — nijak nie mógł poradzić sobie ze swoimi rzeczami, zwłaszcza z mieczem, którego nie było gdzie powiesić. Zza drzwi dobiegały wesołe krzyki, plusk rozlewanej wody i głośnie chłoszczące uderzenia. Pochodzenie większości dźwięków było zrozumiałe, ale te uderzenia nieco zdumiały Cymmerianina, który nigdy nie był w brythuńskiej łaźni, ze złością więc cisnął odzież i uchylił drzwi.

Zobaczył dość duży pokój z okopconymi ścianami, ze stertą rozgrzanych kamieni pośrodku. Obok stały dwie pękate beczki, nad jedną z nich unosiła się para, skupiająca się pod sufitem w powoli przemieszczające się kłęby. Wzdłuż ścian stały szerokie trzykondygnacyjne ławki — półki. Powietrze było tak gorące, że nawet przyzwyczajony do rozpalonego oddechu pustyni barbarzyńca w pierwszej chwili omal się nie udusił, ale po jakimś czasie przyzwyczał się i mógł rozejrzeć.

Na jednej z półek Erhard okładał miotłką z dębowych liści swojego kuzyna, a ten wydawał okrzyki zadowolenia. Na widok stojącego na progu Cymmerianina dziesiętnik parsknął i zawołał:

— Conanie, nie stój jak słup, bierz ceber, nalej sobie wody i chodź tu. A ty wstawaj, dość tego wylegiwania się! — I Erhard klepnął młodszego krewniaka miotłką po głowie.

Conan posłuchał rady, nabrał pełen ceber gorącej wody i wszedł na półkę obok Erharda.

— Ee, nie — pokręcił głową dziesiętnik. — Wodę postaw na drugą półkę, tam się zazwyczaj myją, na pierwszej się odpoczywa. — Pochylił się do leżącego na dolnej ławce Zingarczyka i zawołał: — Valso, żyjesz jeszcze?

Valso odpowiedział słabym, ale niewątpliwie twierdzącym skinieniem głowy. Erhard ciągnął:

— A wyparzają się na trzeciej... Ertel, przecież ci powiedziałem — zjeżdżaj stąd! Idź się umyć, a ja teraz zajmę się barbarzyńcą. Kładź się... Hej, niech ktoś poda miotłę!

Conan z rozkoszą wyciągnął się na gładkim wypolerowanym drewnie, dziesiętnik zaczął machać nad nim miotłką. Fale gorącego powietrza przyjemnie rozgrzewały ciało, wyganiając z niego zmęczenie i ból, mięśnie rozluźniły się...

Gdy barbarzyńca chwiejnie wyszedł z łaźni, czuł się jak nowo narodzony. Skóra była przetarta niemal do dziur i stała się gładka jak u niemowlęcia.

Tak, pomyślał Cymmerianin, Erhard i Ertel mieli rację, prawdziwe mycie może być tylko w łaźni...

Na stole w przedsionku oprócz zawiniątek z czystymi ubraniami pojawiło się coś nowego — pызaty spotniały dzban i wielki drewniany kufel. Conan wyszedł pierwszy, pozostali jeszcze się myli, antałek więc w całości należał do niego. Barbarzyńca uniósł wieczko i ostrożnie powąchał — tak jest, wspaniale jęczmienne piwo!

Conan nalał sobie pełny kufel, klapnął na ławkę i pomyślał, czy nie warto by ochlapać się trochę w strumieniu? Ertel i Halmun kilka razy biegali tam i z powrotem...

Gdy tak rozmyślał, pociągając gorzkawy cierpki napój, drzwi łaźni uchyliły się i wysunęła się stamtąd mokra i rozczochrana głowa Ertela.

— Chłopaki, barbarzyńca już żłopie piwo! — zaryczał oburzony. — Szybko, bo dla nas nie zostanie!

W przedsionku zrobiło się od razu gwarnie i ciasno. Wszyscy przepychali się do dzbana, wywiązała się mała bójka — Ertel i Vellan wspólnymi siłami próbowali odebrać Conanowi kufel, ale nie udało im się i musieli pić prosto z baryłki.

Akuratnie ułożone zawiniątka ktoś przezornie oznakował kawałkami pergaminu z imionami. Ponieważ nie wszyscy umieli czytać, Ertel zaczął je rozdawać, a raczej rozrzucać, specjalnie przy tym wszystkie pomieszał. Conan dostał tkaną szarą koszulę, kurtkę z jeleniej skóry z frędzlami i takie same spodnie. Oczywiście, nikt nawet nie pomyślał, żeby wyprać swoje stare rzeczy — Erhard kazał im po prostu wrzucić je do kosza; potem przyśle się służącą, która się tym zajmie.

W domu wszystko było już przygotowane na przyjęcie gości. Do sali wstawiono wielki długi stół, na którym stało mnóstwo różnych rzeczy: upieczony w całości prosiak, wieprz z różną, mięso jelenia w sosie czosnkowym, kotlety z kury, zupa na podrobach i grzyby smażone z cebulą, jęczmienny chleb i pierożki z różnym farszem... Obok każdego talerza stały dwa dzbany z różnymi rodzajami piwa. Wina nie było dużo — pięć butelek na cały stół.

Selena jako gospodyni zapewniła wszystkim, że jedzenia na stole nie zabraknie, a piwa jest osiem rodzajów i każdy może napełnić dzban z beczek, stojących w kącie. Jej dalsze słowa utonęły w ogólnym mlaskaniu i chrupaniu — oddział rzucił się najedzenie.

Najpierw Conan odciął sobie kawałek wieprzowiny, polał ją wszystkimi sosami i przyprawami, po które mógł sięgnąć, i wepchnął do ust. W ślad za wieprzowiną powędrował pierożek z wątróbką, potem porcja kotletów, jelenie mięso... Wszystko to zostało zalane ogromną ilością piwa, bo barbarzyńca nieustannie zaglądał do beczek i próbował wszystkich rodzajów. Najbardziej niezwykle danie — grzyby — zostawił na zakąskę, ale gdy sięgnął drewnianą łopatką do ogromnej michy okazało się, że ktoś już zdążył opróżnić ją do czysta. To smutne odkrycie nieco zepsuło Conanowi nastrój, ale Erhard z uśmiechem szepnął coś Selenie i wkrótce przed Cymmerianinem znalazł się talerz pełen grzybów. Z wdzięczności Conan cmoknął Selenę w policzek i nawet nie zauważył, jak ona się zmieszała.

Wreszcie żołądki zostały napełnione tak dokładnie, że sama myśl o zjedzeniu jeszcze choćby kęsa budziła wstręt. Zaczęły się światowe rozmowy, z rzadka przerywane bekaniem i dłubaniem z zębach.

Conana najbardziej interesowało pochodzenie wilkołaków i próbował wypytać o to trojaczki, dowiadując się wreszcie, jak mają na imię — Hevrill, Maren i Randell. Co prawda barbarzyńca przez cały czas ich mylił i nie do końca rozumiał, dlaczego mieszkają w domu Erharda. Czy nie mogli postawić swojego?

Rendell, wyglądający na najpoważniejszego z braci — to właśnie on odegrał rolę Ojca Wilka przed mieszkańcami Grazy — próbował wyjaśnić nalegającemu i lekko wstawionemu Cymmerianinowi historię pojawienia się na świecie wilkołaków.

— Zrozum, Conanie — zaczął wilkołak, nie zapominając o tym, żeby dolewać piwa sobie i rozmówcy. — Istnieje Księga Początków, według której modlimy się do naszego Stwórcy. Ona głosi... — Rendell na chwilę się zamyślił, po czym śpiewnie zadeklamował: — „Był dzień, i stworzył Stwórca ziemię, był drugi dzień, kiedy stworzył różne zwierzęta, ptaki i inne lądowe stworzenia, a potem nastał trzeci, gdy uczynił Stwórca bogów i rzekł: »Oto dzieci moje ukochane, one będą panować nad stworzonym przeze mnie światem«. Wtedy wstał jeden z bogów o jasnym obliczu i powiedział: »Nie mamy nad kim panować, albowiem nie ma na ziemi bydłał rozumnych, podobnych nam«. — »Dobrze — powiedział Stwórca, — stworzę na wasz obraz i podobieństwo waszych poddanych — ludzi«,.. Uff!

Wilkołak zamilkł, żeby złapać oddech i napić się ze swojego kufła, a zaciekawiony Conan zapytał:

— A więc bogowie, tak samo jak i my, ludzie, są tworamii jednej Siły?

— Aha — skinął głową Rendell. — Legendy przypisują stworzenie ludzi Mitrze, ale to nie tak — Mitra tylko poprosił o stworzenie ludzkiego plemienia.

Cymmerianin zastanowił się nad tym, co usłyszał i pomyślał, że takiej interesującej historii na wszelki wypadek warto wysłuchać do końca i zapamiętać, a potem niecierpliwie zapytał:

— I co było dalej?

— Ludzie rozproszyli się po całej ziemi i wkrótce zaślepieni pychą przestali czcić bogów — ciągnął niespiesznie swoją opowieść wilkołak. — Rozgniewał się stwórca i rzekł: „Powołam do życia takie istoty, które wyglądać będą jednocześnie jak oni i jak ich wrogowie — wilki. Niechaj one staną się moją karzącą dłońią!” Tak się stało. Na świecie pojawiło się plemię wilkołaków i przez długi czas według słów Stwórcy zabijały ludzi, a ci nie mogli się im przeciwstawić. Wtedy patrzący na to wszystko Crom zstąpił z niebios i długo rozmawiał z wodzami potężnego narodu, z którego pochodzili potem twoi rodacy, Cymmerianinie. Nie pamiętam nazwy tego narodu — dodał przepraszającym tonem Rendell. — To było dawno, jeszcze przed Wielkim Potopem i założeniem Valuzii i nazwa nie zachowała się w naszych podaniach. Wtedy Wielki Kowal postanowił pomóc ludziom i wykuł z metalu lśniącego jak gwiazda piękny miecz. Pokrył ostrze runami bogów i przekazał mu część swojej Mocy, a potem nałożył zaklęcie — tylko potomek tego narodu, który już dawno odszedł na Szare Równiny, może obudzić potęgę miecza. A charakter tej broni był taki, że w obecności przemieniającego się wilka czy półwilka i każdej innej magicznej istoty zaczynał się świecić. Jego imię brzmiało Rangildor, co w wolnym przekładzie znaczy „Gwiazda zrywająca maski”. Crom dał ten miecz w darze wodzowi ludzi i wilkołaki zaczęły ponosić klęskę za klęską.

Rendell przerwał opowiadanie, żeby napić się piwa, i widząc nieudawane zainteresowanie Conana, zakończył swoją opowieść:

— Stwórca dowiedział się o tym i rozgniewał na Croma... Ale wybaczył mu, ponieważ bogowie byli jego tworamii i on sam darował im wolną wolę. Stwórca sprawił, że wilkołaki nie musiały zabijać ludzi i powiedział: „Teraz jesteście wolnym narodem, i możecie postępować tak, jak uważacie za stosowne”. Wilkołaki postanowiły zawrzeć pokój z ludźmi i tak się stało, chociaż ludzie nie zapomnieli i nie wybaczyli nam czasów, gdy wilkołaki były Karzącą Dłonią Stwórcy i nienawiść do naszego rodu żyje w waszych sercach po dziś dzień... To wszystko. — Wilkołak smutno westchnął i wychylił resztę piwa.

Conan z pewnym niedowierzaniem popatrzył na swój miecz, teraz oparty o ścianę. Nie, to niemożliwe... Może to jakaś późniejsza podróbka, wykonana przez potężnego czarownika i umiejętnego mistrza?

— A nie można by... mm... poczytać tej waszej Księgi? — zapytał ostrożnie Cymmerianin, dolewając wilkołakowi piwa. — Albo chociaż na nią popatrzeć?

— Nie — Rendell pokręcił głową. — Crom zabronił dawać ją komukolwiek... A zwłaszcza tobie!

Conan pomyślał, że się przesłyszał. Popatrzył bacznie na lekko zmętniałe od wypitego piwa zielone oczy wilkołaka i zapytał:

— Crom zabronił?

— Aha! — zamaszycie kiwnął głową Rendell. Położył ręce na stole, oparł o nie głowę i wymamrotał: — Wybacz, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć...

— Wiesz co, przyjacielu, chyba za dużo wypiliśmy — powiedział ze współczuciem barbarzyńca. — Ja sam w młodości upijałem się do takiego stanu, że widziałem bogów... Prześpij się, dobrze ci to zrobi. A właśnie, Erhardzie, spać też tutaj będziemy?

— Dlaczego tutaj? — zdziwił się dziesiętnik, popijając piwo. — Dla każdego przygotowany jest pokój... A co, już chcesz iść spać?

— Po takiej łaźni i takiej kolacji? — zdziwił się Conan. — Ja już śpię, nie widać?

— Chodź, zaprowadzę cię, bo jeszcze zabłądzisz. — W sali pojawiła się Selena, stając za krzesłem Cymmerianina i kpiąco się uśmiechając.

— Odprowadź mnie — powiedział barbarzyńca, z trudem podnosząc się z miejsca. — Dość, wystarczy, życzę wszystkim miłego wieczoru, a ja idę spać...

Conan i dziewczyna wyszli z sali. Powędrowali długim korytarzem i zatrzymali się u przedostatnich drzwi.

— To tutaj — powiedziała cicho Selena. — To twój pokój.

— A czyj jest ten ostami? — zapytał barbarzyńca i popchnął drzwi.

— Zdaje się, że tego zabawnego Brythuńczyka, Vellana... Conan!

— Co? — Barbarzyńca się odwrócił, a dziewczyna wspięła się na palce i mocno pocałowała go w usta. Cymmerianin nawet nie zauważył, kiedy jego ręce znalazły się na jej sprężystych pośladkach. Selena jeszcze mocniej przycisnęła się do jego potężnej piersi, niemal mruczając z zadowolenia. Conan burknął: — Sama chciałaś, żeby potem nie było pretensji... — Chwycił ją na ręce i kopniakiem otworzył drzwi.

Lekko się zataczając, szedł korytarzem obzarty Vellan. Przed drzwiami pokoju Conana nagle zatrzymał się, podejrzliwie pokręcił głową, potem nachylił się do szczeliny obok futryny i zaczął uważnie nasłuchiwać. Zza drzwi dobiegały stłumione, ale bardzo niedwuznaczne jęki. Twarz Brythuńczyka skrzywiła się w złośliwym uśmiechu, Vellan czknął i zachwiał się.

— Co za lubieżny bawół — wymamrotał półgłosem, wchodząc do swojego pokoju. — I dlaczego te wszystkie baby tak na niego lecą? A ja mam teraz przez całą noc słuchać, jak oni się tam zabawiają...

Rano Conan leżał na miękkim, wypchanym świeżą słomą sienniku. Miał minę zadowolonego kota, który do woli najadł się gospodarskiej śmietany, i pociągał ciemne piwo z wielkiego kufła.

Selena wyszła wcześniej rano, ale barbarzyńca wiedział, że dzisiejszej nocy też tu wróci... Przynajmniej jedno pozytywne wydarzenie podczas tego pobytu na Kresach! Kto by przypuszczał, że u nich są nie tylko wilkołaki, ale i takie piękności...

Przyjemne myśli o przyjemnych rzeczach brutalnie zakłócił mu Vellan, który bez pukania otworzył drzwi na oścież, zatrzymał się na progu i oparł o futrynę. Jego twarz zasnutą była smutkiem.

— Oj, barbarzyńco, barbarzyńco — zaczął z głębokim westchnieniem Brythuńczyk. — Co z ciebie za samolubne bydlę... Zupełnie nie troszczysz się o samopoczucie innych. Ja na ten przykład przez całą noc nie mogłem zasnąć. Jak myślisz, dlaczego?

Dzisiaj rano Conan mógł znieść choćby setkę prowokacji Vellana, i dlatego wyszczerzył zęby i przedrzeźniał pełen udawanej żalości ton Brythuńczyka:

— Wybacz mi, Vellanie, nie gniewaj się... O, zaley swój smutek piwem, jeszcze powinno coś tam być.

— Zrobię to tylko dlatego, że jesteś moim przyjacielem. — Vellan z miną człowieka wyświadczającego bliźniemu ogromną przysługę wszedł do pokoju, chwycił za niemal pełny kufel i kilkoma łykami go osuszył. W rzeczywistości wczoraj wieczorem Brythuńczyk spał jak suseł i nie słyszał ani jednego dźwięku, ale nie mógł, po prostu nie mógł zmarnować takiej okazji do kpin z przyjaciela...

— A właśnie, skoro już tu jesteś... — Barbarzyńca odebrał mu kufel i nappełnił piwem ze stojącego obok glinianego dzbana. — Trzeci raz cię pytam, a ty mi wreszcie odpowiedz. Dlaczego wtedy, pod jaskinią wilkołaków, schowałeś koleczugi?

— Teraz to nieważne — opędził się zasmucony nagle Vellan i poszedł w stronę drzwi. Na progu zatrzymał się, zawahał i wreszcie z niechęcią powiedział: — Miałem przecucie. Taki mnie smutek ogarnął, myślałem, że wkrótce zginę i zrobiło mi się wszystko jedno, jak umrę. A okazało się, że los postawił krzyżyk na Ilmajnenie...

— Posłuchaj — Cymmerianin zainteresowany usiadł na łóżku. — Czy śmierć Ranna też przeczułeś?

Vellan posępnie skinął głową:

— Tak.

— A więcej nic nie przewidujesz? — dopytywał się Conan.

— Na razie nie... — Brythuńczyk w zadumie poskrobał nieogolony podbródek. — Chyba że twój rychły zgon od nadmiaru kwaśnego piwa i intensywnych rozrywek z dziewczynami... — Zdążył wyskoczyć za drzwi, zanim Conan chwycił z podłogi but i cisnął nim w niepoprawnego kpiarza. Na korytarzu dały się słyszeć szybko oddalające się kroki i stłumiony śmiech. Barbarzyńca westchnął, zrozumiał, że zaraz cały oddział dowie się, jak i z kim spędził noc i zastanowił się nad niemal nierozwiązywalnym problemem — wstać czy nie wstawać?

Wreszcie postanowił mimo wszystko się podnieść. Jego odzież, uprana i wysuszona, wisiała na krześle przed łóżkiem. Cymmerianin popatrzył na swoją starą koszulę i pomyślał, że nadaje się tylko do szorowania podłóg. Łata na łacie i poszarzała od częstego używania, pokryta tłustymi plamami i zaciekami od piwa. Conan zgniótł ją, wrzucił pod krzesło i popatrzył na koszulę, która dostał wczoraj w łaźni. Ta też nie przypadła mu do gustu.

Musiał sięgnąć po swój podróżny worek. Grzebał w nim, dopóki nie wyciągnął wspaniałej białej jedwabnej koszuli z fałdzistym wycięciem na piersi, którą miał jeszcze z czasów piractwa w Kordawie. Załoga jego statku na widok tej koszuli pokładała się ze śmiechu, ale Czabela, księżniczka i ukochana córka króla Zingary Ferdugo, z całkowitą powagą zapewniała go, że w takim czymś jest mu szalenie do twarzy. Conan polegał znacznie bardziej na zdaniu i guście księżniczki niż oświadczeniach własnej załogi...

Cymmerianin porównał swoje nowe i stare spodnie i wybrał te pierwsze. Ostatnie dni wykończyły i tak już zniszczone hajdawery i teraz nadawały się one tylko jako dywanik pod łóżko. Zużyte rzeczy Conan rzucił w kąt pokoju, razem z koszulą. Ale nową kurtkę postanowił zachować na lepsze czasy. Stara była dużo wygodniejsza i jeszcze całkiem możliwie wyglądała.

Barbarzyńca założył szeroki pas z kindzalem, zarzucił miecz na plecy i z westchnieniem żalu opuścił sypialnię. Oddział w pełnym składzie siedział w sali i zdaje się, że podejrzenia Conana co do szybkiego rozprzestrzeniania się plotek były w pełni usprawiedliwione — powitały go uśmiechy i porozumiewawcze mrugnięcia.

Stół zajmowały pozostałości po wczorajszej uczcie i barbarzyńca, głodny jak wilk, rzucił się na jadło. Ertel przez jakiś czas go obserwował, potem z zachwytem pokręcił głową:

— Jedz wolniej, barbarzyńco, bo się jeszcze udławisz, a my będziemy musieli cię ratować...

Conan burknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego i machnął ręką.

— Nie czekajmy, aż on się napcha — powiedział Erhard. — Pytanie brzmi: co robimy dalej? Conan wreszcie uporał się z kawałkiem zimnego jeleniego mięsa.

— Co robimy, co robimy — przedrzeźnił dziesiętnika, wycierając usta rękawem. — Wracamy do ruin waszego pałacu, a co innego! Poskarżymy się na nieuchwytny wilkołaki, pochwalimy się zlikwidowaniem szajki i może skapną jakieś pieniądze. Tymczasem wilkołaki znowu gdzieś się pokażą i wtedy je złapiemy!

— W takim razie, kiedy wyruszamy? — zapytał ziewając Halmun.

— Dzisiaj — wzruszył ramionami Conan. — Im wcześniej, tym lepiej.

Z tym wszyscy się zgodzili — rzeczywiście, nie ma co siedzieć w zagubionej wśród lasów wiosce.

— Erhard, będziesz miał konie dla wszystkich? — Zainteresował się Vellan.

— Znajdą się — skinął dziesiętnik. — Poprosimy sąsiadów. Idźcie do stajni, wybierzcie sobie.

— Pojadę z wami — rozległ się dźwięczny dziewczęcy głosik i na progu pojawiła się Selena w zielonym męskim stroju, w którym było jej bardzo do twarzy. Przy pasie chwiała się wygięta szabla, za plecami sterczał niewielki łuk. Erhard wytrzeszczył oczy i niezbyt pewnym głosem oświadczył:

— Nie ma mowy, córko!

— Dlaczego, wujku? Umie jeździć konno i walczyć — uparcie tupnęła nogą dziewczyna. — Chcę być razem z Conanem.

— Taak — powiedział przeciągle dziesiętnik, mrużąc ze złością oczy. — Więc to o to chodzi... No, Cymmerianinie, wyjdźmy na chwilę przed dom. A ty się stąd nie ruszaj! — krzyknął groźnie na dziewczynę, która już miała iść za nimi.

Wyszli na dwór i Conan od razu poleciał na ścianę domu, jak się okazało, bardzo twardą.

— Przyznaj się, łajdaku — zasyczał Erhard jak rozzłoszczona kobra. — Spałeś z moją siostrzenicą?

— Tak i co z tego? — zapytał Conan i natychmiast otrzymał cios w szczękę, który zwałił go na ziemię.

— Od dawna o tym marzyłem — z posepnym zadowoleniem powiedział dziesiętnik. Potarł dłoń i splunął prosto na but barbarzyńcy. — Zhańbiłeś niewinne dziecko!

Conan usiadł, pokręcił głową, pomacał szczękę, upewnił się, że wszystkie zęby są na miejscu, a słysząc ostatnie słowa Erharda roześmiał się:

— Niewinne? Nie wiem, z kim ona straciła dziewictwo, ale to na pewno nie byłem ja!

— Co?! — wrzasnął purpurowy ze złości Erhard. — A to ścierwo!

— O kim on mówi, o mojej miłej siostrzyczce? — zainteresował się Ertel, wyprowadzając ze stajni gniadego wierzchowca. — Wujku, ja też już dawno straciłem dziewictwo! No co, nie oburzasz się?

— Jazda stąd — odezwał się ponuro zdenerwowany dziesiętnik. — Wszystkie baby to dziwki...

— Nie wszystkie — Conan wreszcie wstał, podniósł się, otrzepał i powiedział do dziesiętnika: — A właśnie, oddaję dług.

— Jaki dług? — zdziwił się obojętnie Erhard, po czym dostał w nos tak, że przed oczami zawirowały mu różnobarwne iskierki, a ziemia usunęła się spod nóg.

— Teraz już żaden — barbarzyńca poszedł do stajni, a Ertel złośliwie zachichotał.

— Wszyscy mieszkańcy Północy to łajdaki — stwierdził Erhard wycierając krew, która chlusnęła mu z nosa.

Jednak dziesiętnikowi nie udało się pozbyć Seleny i gdy patrzył na jadącą obok Conana krewniaczkę mógł tylko półgłosem kląć przez zęby. Nie miał żalu do Cymmerianina — w końcu była to normalna wymiana ciosów, a Selena była dorosłą dziewczyną, samodzielnie decydującą, co chce robić.

— Conanie, czy mógłbyś się ze mną ożenić? — zapytała ostrożnie Selena. Na twarzy Cymmerianina odbił się wysiłek umysłowy. Długo marszczył czoło, drapał się po karku i w końcu westchnął i uczciwie się przyznał:

— Chyba nie. — Widząc jednak zmartwioną minę dziewczyny, dodał: — Przynajmniej na razie. Nie chcę się jeszcze wiązać małżeńskimi węzłami...

— Jasne — powiedziała przeciągle rozczarowana dziewczyna. Cóż, na razie musi się zadowolić skromną rolą przyjaciółki. W końcu to też niemało.

Droga biegła przez równinę, to znów zanurzała się w lasach, to wspinała się na łagodne wzgórza. Świeciło słońce, już od trzech dni nie spadła ani kropla deszczu, za to zaczęły się przymrozki. Jesień miała się ku końcowi i powoli, ale nieuchronnie nadciągała ostra północna zima.

Cymmerianin z niepokojem pomyślał o tym, że nie ma najmniejszego zamiaru ugrzęznąć tu do wiosny. Zimą wilkołaki na pewno zapadną w sen zimowy, bo niby dlaczego miałyby się tłuc po zaspach — a oni, oddział myśliwych, będą siedzieć i czekać? Nie, trzeba odgonić od siebie takie rozważania, lepiej myśleć o dziewczynie, która jechała obok niego, albo o magicznym mieczu za plecami...

Z mieczem okazała się jeszcze bardziej zagmatwana sprawa niż z wilkołakami, które zastraszyły całe Kresy. Dzisiaj rano Conan odszukał cierpiącego na kaca Rendella i próbował jeszcze raz wypytać go o tajemniczą księgę, o której opowiadał poprzedniego wieczoru. Młodzieniec szczerze się zdziwił i oświadczył, że pojęcia nie ma, o czym wczoraj mówił z Cymmerianinem. Księga Początków, czy też Księga Bytu już dawno zaginęła i uważa się ją za niemal legendarną relikwię jego rodu, ale ani dziad, ani pradziad, ani nawet dziad pradziada nie mieli jej w rękach... Barbarzyńcę wszystko to nieco zdumiało. To prawda, że wczoraj niezłe sobie popili, ale Rendell nie sprawiał wrażenia pijanego w sztok i rozmawiał zupełnie normalnie i sensownie.

Podczas tych rozważań uparcie powracała do Conana myśl, którą na próżno próbował odgonić, uważając za efekt wczorajszej libacji... A do głowy przychodziło mu ni mniej ni więcej tylko to, że wczoraj ustami Rendella przemawiał do niego sam Crom! Wtedy mogłoby się okazać, że za plecami barbarzyńca nosi ten sam Rangildor — „Gwiazdę zrywającą maski”. Conan nie chciał wierzyć w podobne brednie i nawet poklepał się po policzkach w próżnej nadziei odegnania dziwnych myśli.

Vellan obserwował barbarzyńcę. Podjechał do niego i zaproponował swoją pomoc w poklepywaniu, na co Cymmerianin łagodnie go poprosił:

— Zejdź mi z oczu, łajdaku.

— Proszę uprzejmie! Ja do niego z sercem, a on... — Brythuńczyk zrobił urażoną minę, wstrzymał konia i podjechał do Halmuna. Jechał potem obok niego dłuższy czas i coś mu tłumaczył.

I wszystko było pięknie, dopóki na drogę nie wyskoczył... wilkołak.

IX

Ohydne stworzenie, wyglądające jak zadziwiająca mieszanina wilka i człowieka z trzaskiem przedarło się przez gęste poszycie, zatrzymało się i z rozmachem upadło na zwiędłą trawę. Przez jakiś czas wilkołak po prostu leżał z mordą wciśniętą w szeleszczące suche zarośla, oddychał ze świstem, szeroko otwierając zębatą paszczę. Po krótkim odpoczynku podniósł się z trudem, ale przez cały czas się rozglądał. Wykuśtykał na drogę, gdzie zamarli zdumieni jeźdźcy. Najwidoczniej nie miał już siły biec. Wyglądał nie najlepiej — w szarej sierści zaplątały się opadłe liście i różne śmieci, gdzieś tam widniały ciemne plamy krwi, prawa łapa przyciśnięta była do rany na boku... W żółtych oczach wilkołaka zastygła rozpacz pomieszana ze zmęczeniem, długi język wisiał na brodzie, odrywały się od niego strzępy piany, jak u zagonionego na śmierć psa. Potwór, który wcale nie wydawał się straszny, tylko nieszczęśliwy i ogromnie zmęczony, wytoczył się na trakt, przestraszył rżące konie i chwycił Erharda za strzemień:

— Pomóżcie mi, proszę was... Chcą mnie zabić... — ochryply drżący głos wilkołaka zniżał się do szeptu.

— Kto? Ludzie? — zapytał ogromnie zdumiony dziesiętnik i wstrzymał tańczącego pod nim konia.

— Nie... — zajęczała istota i nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach, wypuściła strzemień i usiadła pośrodku drogi. — Wilkołaki...

Conan podjechał bliżej i od razu chwycił za miecz. Zamierzał dobić tę kreaturę, która nie wiadomo skąd spadła im na głowę, ale Erhard powstrzymał go gestem.

— No, opowiedz nam szybko, dlaczego twoi kompani uganiają się za tobą — zażądał nieco wyniośle dziesiętnik. — Wtedy niewykluczone, że ci pomożemy...

Wilkołak nie zwrócił uwagi na protekcyjny ton człowieka. Po nieprzeniknionej ciemności i bezlitosnym prześladowaniu rozbłysnął przed nim nieśmiały promyk nadziei na ratunek. Chrypiąc i próbując złapać oddech, urywanie zaczął:

— Zrozumcie mnie dobrze, ludzie — nie mam jeszcze dwudziestu lat... W takim wieku łaknie się przygód i sławy... Kiedy zaproponowano mi wstąpienie do bojowego oddziału, byłem szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu! Ale gdy nocą przyszło mi napadać na niewinnych ludzi, zabijać ich bydło, a potem jeść... — wilkołak zgął się z obrzydzenia. — A nasz Główny żądał, żebyśmy zabijali coraz więcej...

— Kim jest ten Główny? — przerwał mu Erhard.

— Nie wiem — odpowiedział żałośnie siedzący na ziemi półwilk. — Przywódca naszego stada pewnie go znał, ale my byliśmy zwykłymi myśliwymi...

— A jak wam dostarczano rozkazy? — natychmiast wtrącił się Conan.

— Czasem przybiegali posłańcy z listami, w których wskazywane były miejsca przyszłych napadów, a potem przywódca odsyłał gońców z doniesieniami o naszych wyczynach. — Wilkołak wreszcie uspokoił oddech i niepewnie wstał. — A niedawno wszystkie stada dostały rozkaz wzmożenia ostrożności — ktoś wyciął w pień jeden z naszych oddziałów i nie zostawił po sobie żadnych śladów...

Rozległy się zduszone chichoty, a Erhard z dumą oświadczył:

— Bardzo nam miło — to nasze dzieło.

— Niemożliwe! — pokręcił głową półwilk i ze szczerym przerażeniem popatrzył na otaczających go ludzi. — Ilu was było na początku?

— Jedenastu — parsknął Vellan. — Gadaj, dlaczego uciekłeś przed sławą, bohaterze?

— Oni ciągle żądają trupów! — ostro powiedział wilkołak, łyskając żółtymi oczami. — A ja mam dosyć! Powiedziałem, że odchodzę z oddziału i wracam do domu. Ale nic z tego... Przywódca oświadczył, że nikt nie może opuścić lasu przed ostatecznym zwycięstwem.

Zapytałem, kiedy nastąpi to ostateczne zwycięstwo. A on nadał się i z patosem oświadczył, że odetchnąć swobodnie zdołamy tylko wtedy, gdy na ziemi nie będzie już ani jednego człowieka! Ani jednego! — powtórzył zdenerwowany półzwierz i wyszczerzył zęby. — No, czy nie wariat? A ja nie mam ochoty dostać widłami w bok albo strzałą w oko! Postawili mnie na warcie, mój towarzysz zdrzemnął się, a ja skoczyłem w las — i tyle mnie widzieli! Tylko że nie miałem szczęścia — przywódca postanowił sprawdzić warty, zauważył, że mnie nie ma i ruszyła pogoń... Raz mnie dogonili, ale się wyrwałem... To wszystko — stworzenie żałośnie popatrzyło na zastanawiającego się Erharda i ostrożnie zapytało: — Nie przegonicie mnie?

— Nie — powiedział zdecydowanie dziesiętnik i odwrócił się do Cymmerianina. — Uśmiechnął się do nas los! Rozbijemy jeszcze jedną szajkę, a jeśli weźmiemy żywcem przywódcę — zdobędziemy cenne wiadomości!

— Poczekajcie — wtrącił się nieśmiało wilkołak. — Za mną goni całe stado... Wśród nich są też tacy, którzy uwierzyli w słowa o naszym przeznaczeniu... Prawdziwi maniacy to tylko przywódca i trzech takich, jak on; pozostali już od dawna chcą wrócić do domu, ale się boją!

— Możesz nam ich pokazać? — zapytał rzeczowo Erhard. Wilkołak zastanowił się i skinął łbem. — Doskonale! Spróbujemy unieszkodliwić waszych opętańców, a jeśli ty przemówisz do rozsądku swoim przyjaciółom, pozwolimy im uciec i wrócić do domów. Przygotować broń! — Dziesiętnik wyciągnął miecz z pochwy i podał ciężko dyszącemu wilkołakowi swój kindżał: — Potrzebujesz broni — bierz!

Stworzenie wzięło nóż, poobracało go w szponiastych, podobnych do zwierzęcych łapach i oddało broń:

— Dziękuję, jakoś sobie poradzę...

Oddział zsiadł z koni i ustawił się w półkole, pozostawiając za sobą konie i pilnującą ich Selenę. Przez jakiś czas panowała zwykła leśna cisza zakłócana tylko rzadkimi okrzykami ptaków i skrzypieniem drzew, ale potem czułe ucho Cymmerianina wyłowiło trzask gałęzi, łamanych albo przez wielkie zwierzę, takie jak niedźwiedź, albo kilku skradających się po lesie ludzi. Trzask stawał się coraz wyraźniejszy i głośniejszy: prześladowane uciekiniera stado szybko się przybliżyło.

— Idą — oznajmił półgłosem Cymmerianin. Stojący obok niego Emert ledwie zauważalnie pochylił głowę, kiwnął twierdząco i płynnym ruchem nałożył pierwszą strzałę na cięciwę.

Poszycie rozstało się i na przylegającą do drogi polanę wyszedł pierwszy gość — duży półwilk z gęstą piękną sierścią o popielatosrebrzystym odcieniu.

— Przywódca — wyszeptał zdenerwowany wilkołak, który chował się z tyłu.

Przywódca stada zatrzymał się i zupełnie ludzkim gestem zasłonił oczy przed ostrym jesiennym słońcem; popatrzył na milczący oddział w lśniących kolczugach. W ślad za nim z leśnej gęstwiny jak bezgłośnie cienie wynurzyli się pozostali — co najmniej piętnaście stworzeń w wilczej i półwilczej postaci. Ustawili się za nieruchomym przywódcą, w zdumieniu popatrywali na siebie i wymieniali się cichymi warknięciami.

— Wasi opętańcy są tutaj? — zapytał ledwie słyszalnie Conan, nie odwracając głowy.

— Tak — takim samym szeptem odpowiedział zbiegły wilkołak. — To ci, którzy stoją po lewej i prawej stronie przywódcy, czarni bracia. I tam, dalej, ten biały z płonącymi oczami... On jeden taki się urodził.

— Może poczęstować ich strzałami? — zapytał spokojnie Bossończyk, sprawdzając napiętą cięciwę.

— Niech oni zrobią pierwszy krok — zaprotestował Erhard. — Poczekajmy, nie mamy się dokąd spieszyć...

Conan zupełnie się z nim nie zgadzał — on osobiście bardzo spieszył się do Aquilonii, ale nic nie powiedział.

Wzajemne wpatrywanie się w siebie leśnych stworzeń i ludzi ciągnęło się dość długo. Pierwsze straciły cierpliwość wilkołaki. Jeden z czarnych braci zerknął na przywódcę, coś

niegłośno zaryczał i po aprobującym skinieniu wystąpił z szeregu na dziesięć kroków i krzyknął:

— Ej, wy tam! Oddajcie nam naszego kompana i zjeżdżajcie, gdzie pieprz rośnie!

— Aha, do najbliższego zakrętu — niegłośno, ale tak, żeby wszyscy słyszeli, dorzucił Vellan. Ściana kolczug nie odpowiedziała na propozycję wilkołaków i nie ruszyła się z miejsca.

— Nie chcą — poskarżył się czarny półzwierz, odwracając się do przywódcy.

— W takim razie umrą — wzruszył obojętnie ramionami przywódca, nie grożąc, lecz raczej wygłaszając oczywistą prawdę. — Jeszcze nikt nie przeżył ataku stada wilkołaków. — Naprzód!

Szereg wilków i stworzeń na dwóch nogach, ale z wilczymi pyskami, powoli ruszył przez polanę po zwiędłej i łamliwej trawie w stronę traktu.

— Ładnie idą, równo — zauważył dziesiętnik, lepiej układając miecz w dłoniach.

— Brak tylko bębnow i fletów — dodał Ertel. — I łopoczących sztandarów. No, zaraz zaczną zabijać.

— Co się ciskasz, przecież to nie pierwszy raz — mruknął Vellan. — Mógłbyś się już przyzwyczać...

— Jak podejda na trzydzieści kroków, pošlij strzałę przed przywódcą — rozkazał Erhard, odwracając się do Bossończyka. — Jeśli dalej będą szli, strzelaj w białego.

Gdy ostrzegawcza strzała zatrzepotała pod nogami przywódcy stada, ten zatrzymał się i z nieskrywaną drwiną zapytał:

— Jak rozumiem, następny krok zostanie ukarany śmiercią?

— Dokładnie tak! — krzyknął Erhard.

— Oddajcie nam tchórza, który chowa się za waszymi plecami, i odejdziemy — wilkołak przycisnął łapy do piersi, uśmiechnął się i powtórzył: — Tak, odejdziemy.

— Nie, mój drogi — z przesadnym żalem odezwał się dziesiętnik. — On jest pod naszą ochroną i dostaniecie go dopiero po naszych trupach.

— To się da zrobić. — Przywódca wyszczerzył rzędy białych kłów. Jednak jego uśmiech nieco zbladł, gdy Valso wyszczerzył zęby w ten sam sposób. Conan na szczęście tego nie zauważył, za to zobaczył, że wilkołak już nie wygląda na tak pewnego siebie, jak przed chwilą. Przez jakiś czas się wahał, decydując się czy walczyć z ludźmi, czy nie, potem gwałtownie potrząsnął głową i rzucił oczekującemu stada rozkaz:

— I tak i tak umrzemy... Naprzód!

Jego „i tak i tak” nieco zastanowiło Conana, ale czasu na rozwiązywanie kolejnej zagadki już nie było. Wilkołaki przekroczyły fatalną granicę trzydziestu kroków i długimi skokami pomknęły w stronę ludzi.

Niemal natychmiast zaświstała strzała i biały wilk z krótkim wyciem grzmotnął na ziemię, żeby już nigdy się z niej nie podnieść. Drugą strzałę miał otrzymać jeden z czarnych braci, ale w porę przekoziółkował, odleciał w bok i strzała przepadła gdzieś w lesie... Trzecią Emert musiał posłać z bardzo bliska, za to drugi czarny nie zdążył uskoczyć i z przebitym sercem padł pod nogi Bossończyka. Jego brat wściekle zawył, rzucił się na, jak sądził, najbardziej bezbronnego wojownika — stojącego bez broni Cymmerianina. Nie miał pojęcia, że ludzka reakcja może być tak błyskawiczna i już w locie zdążył mimochodem zdziwić się lśniącemu ostrzu, które poleciało w jego stronę i utkwilo mu w piersi. Wilkołak zawył, chlusnął krwią i padł kilka kroków od szeregu, odrzucony ciosem barbarzyńcy. Konwulsyjnie drgając zaczął przemieniać się w człowieka.

Reszta stada, i tak niezbyt rwąca się do boju, zatrzymała się. Niektórzy z leśnych zabójców zaczęli się niepewnie wycofywać, zerkając na zbawczy i taki bliski las. Leżąca na ziemi istota ostatecznie zmieniła postać. Teraz wyglądała jak śmiertelnie ranny młody mężczyzna, na oko Brythuńczyk. Chłopak podniósł głowę, rzucił na oddział ostatnie płonące nienawiścią spojrzenie, zadrgał jeszcze kilka razy i ucichł na zawsze.

Srebrzysty przywódca zagryzł ze zdziwieniem wąskie czarne wargi i z zabobonnym strachem popatrzył na mieniący się w słońcu miecz. Wreszcie podniósł głowę i obrzucił bacznym spojrzeniem stojących przed nim ludzi, jakby starał się dokładnie każdego zapamiętać.

— Zabiliście moich najlepszych wojowników — powiedział powoli. — Możecie świętować, ludzie... Ale ja jeszcze wrócę! — Z tymi słowami gwałtownie odwrócił się i rzucił się pędem w stronę cicho szeleszczących gołymi gałęziami drzew na obrzeżu lasu. Zdaje się, że przywódca liczył na zaskoczenie, ale przeliczył się — Emert niespiesznie podniósł łuk i dwie strzały przeszły uda uciekającego półzwierza. Przywódca krwawiąc przebiegł jeszcze kilka kroków, po czym ugięły się pod nim nogi i przekoziółkował po zmarzniętej trawie.

— Nie! Z powrotem, wracać!

Rozpaczliwe wezwanie rannego przywódcy nie zostało usłyszane. Stado w biegu przemieniło się w wilki, nie oglądając się i nie zatrzymując, pomknęło w las. Uratowany wilkołak padł na cztery łapy. Po kilku chwilach przybrał postać wilka, jak wąż prześliznął się pomiędzy nogami ludzi i rzucił się w ślad za uciekającymi towarzyszami.

Leżący przywódca stada próbował dopełznąć do najbliższych krzaków. Odpychał się rękami i włókł za sobą pokaleczone nogi. Conan i Erhard okazali się szybsi. Barbarzyńca przyłożył do gęstej srebrzystej sierści wilkołaka, próbującego z wyciem się uchylić, swoją klingę. Stworzenie zaczęło się szamotać, z jego paszczy wyrwał się opętańczy krzyk, ale nie mógł już nic zrobić — przemiana przebiegała pomimo jego woli. Wkrótce na trawie w bezsilnej wściekłości, gryząc własne palce, wił się jasnowłosy Brythuńczyk z piękną, ale okrutną twarzą, teraz wykrzywioną bólem i nienawiścią.

— Macie, czego chcieliście! — niemal zaryczał, szczerząc zęby jak zwierzę. — I tak niczego się ode mnie nie dowiecie!

— Daj spokój — machnął ręką Erhard. — Nie takim jak ty rozwiązywaliśmy języki. Najważniejsze to znaleźć do człowieka odpowiednie podejście. — Dziesiętnik łagodnie pogładził wilkołaka po zjeżonej grzywie włosów. Ten szarpnął się i próbował ugryźć, za co dostał po twarzy.

— Nie jestem człowiekiem! — wrzasnął przeraźliwie były przywódca i jednocześnie próbował odpełznąć dalej. — Jestem karzącą dłońią Stwórcy! Świat pograżył się w grzechu i tylko my możemy oczyścić ziemię, zanurzając ją we krwi! Wy, niższa rasa, nie jesteście godni, by żyć, i wszyscy umrzecie! Wszyscy! Wszyscy! — Jego głos urwał się i wilkołak zaczął kaszleć.

— Nie lubię szalonych fanatyków. — Erhard wykrzywił się pogardliwie.

— A kto ich lubi! — odezwał się Vellan. — Od takich pewnie nawet bogowie się odwracają...

— Nie jestem szalony — cicho, ale twardo powtórzył wilkołak, patrząc gdzieś ponad głowami ludzi. — A wy wszyscy umrzecie, gdy Główny dowie się, kto napadł na jego wojowników...

— Zgadza się, stuknięty — zgodził się Conan i zjadliwie zapytał: — I skąd to niby Główny dowie się o twojej bohaterskiej śmierci? Myślisz, że te pętaki już mkną do niego na skargę? Oni są szczęśliwi, że ich od ciebie uwolniliśmy i mogą wracać do domów! A ty nie myśl sobie, że uciekniesz — będziesz spał z moim mieczem na gardle!

Przywódca popatrzył na stojącego nad nim barbarzyńcę i nieoczekiwanie zagadkowo uśmiechnął się i wymamrotał:

— Ucieknę od ciebie... Zaraz...

— Trzymajcie go za ręce! — wrzasnął Erhard, gdy zrozumiał, co chce zrobić wilkołak, ale było już za późno. Rzeczywiście, z przestrelonymi nogami trudno uciekać, ale droga na cmentarz zacząć się może w dowolnym miejscu... Zanim Cymmerianin rzucił się do przodu,

żeby przeszkodzić przywódcy, ten podniósł ręce i przejechał sobie szponami po szyi. Krótki trzask rozrywanych żył, ledwie słyszalny krzyk, chlustająca jasnoczerwona krew i po wszystkim... Conan wstał i ze złością kopnął trupa.

— A jednak uciek! — Barbarzyńca wskazał kciukiem niebo. — Choćby tam, ale uciek!

— Prędeż tam — Erhard wskazał ziemię. — Szkoda... Mógłby nam wiele opowiedzieć... I skąd się biorą tacy nienormalni?

— Szkoda gadać — uciał Conan. — Ale przynajmniej o jedną szajkę mniej i ludziom będzie się spokojniej żyło. Jedźmy stąd, zdaje się, że zaczynam tęsknić za naszym królem...

Wrócili na trakt i wskoczyli na siodła. Okrzyk: Poczekajcie! zmusił oddział, który już ruszył, do zatrzymania się. Zza drzew, wymachując rękami, wyskoczył uratowany wilkołak i podbiegł do Erharda.

— Wszyscy wracamy do domów — oznajmił, zatrzymując się obok konia dziesiątnika. — Dziękuję wam... Proszę, weź to, może się przyda... — podał Erhardowi paczkę przewiązanych rzemieniem kart pergaminu, pokłonił się oddziałowi i kłusem pobiegł w stronę lasu.

Dziesiątnik popatrzył w ślad za nim, prychnął, rozwiązał rzemyk i zaczął szybko przeglądać papiery. Gdy skończył, rozczarowany wzruszył ramionami i wsunął je do sakwy przy siodle.

— Co to? — zainteresował się Conan.

— Kolejne archiwum — odezwał się Erhard. — Potem poczytamy dokładniej. Na pierwszy rzut oka coś mogłoby się przydać...

— Mam nadzieję, że więcej nikt nam nie spadnie na głowę i nie trzeba będzie nikogo ratować — zauważył Cymmerianin, uderzając piętami swojego konia.

— Poproś swojego Croma, może tak sprawi. — Dziesiątnik poszedł za jego przykładem i zajął swoje miejsce na czele oddziału.

Crom okazał się łaskawy dla barbarzyńcy i jego przyjaciół — pozostałą część drogi do stolicy Królestwa Kresowego pokonali bez nieoczekiwanych przygód.

Podczas jednego z postojów Erhard i Conan uważnie przejrzeni podarowane archiwum. Niemal niczym nie różniło się ono od tego, które znaleźli w jaskini — rozporządzenia, doniesienia i powtarzające się żądania wzmożonej ostrożności i czujności. Jeden list bardzo zainteresował Cymmerianina — mówiło się w nim o ogólnym zgromadzeniu wszystkich stad w jednym miejscu, wskazanym na mapie, narysowanej na odwrocie pergaminu. Spotkanie miało się odbyć za pięć dni. Jakież było zdumienie barbarzyńcy, gdy okazało się, że mapa przedstawia środkową część Kresów, a obok stolicy stoi gruby krzyżyk, zrobiony cynobrem. Oprócz tego, na mapie zaznaczono kilkanaście punktów — najwidoczniej były to kryjówki stad — a w północnych lasach nieopodal gór widniał rysunek mogiły z czaszką. Conan zastanowił się, parsknął, poprosił dziesiątnika o tusz i niezbyt umiejętnie namazał drugą mogiłę na miejscu punktu położonego nieopodal tamtego, ale bliżej południa.

— Zostały trzy, jak to określił nasz bezimienny włochaty przyjaciel, bojowe oddziały — stwierdził Cymmerianin. — I wszystkie postanowiły spotkać się obok waszej zaplutej stolicy.

— Otoczmy ich wojskami i za jednym zamachem załatwimy wszystkich — zaproponował z przekonaniem Erhard. — Tylko będziemy musieli się spieszyć.

Po tej rozmowie postoje stały się krótsze i oddział dojechał do stolicy nie w cztery, jak planowali, a w trzy dni.

Ruiny w głównym mieście Królestwa Kresowego w ciągu minionego miesiąca niemal się nie zmieniły. Może tylko przybyło wyłomów i na murach pojawiła się straż. Ale powracającą dziesiątkę wpuszczono bez zbędnych dyskusji — pogłoski o ich bohaterskich czynach zdążyły się już rozejść. Jak oznajmili wartownicy przy bramie, król kazał przyprowadzić do siebie Erharda i Conana od razu, jak tylko powrócą.

Damall wyglądał na mocno postarzałego — pod oczami sine kręgi, spojrzenie zmęczone i nieobecne, leżące na poręczach tronu ręce wyraźnie drżały.

Albo pije bez przerwy, albo w ogóle nie śpi, pomyślał Cymmerianin. Stał razem z Erhardem przed tronem i cierpliwie czekał, aż Jego wysokość raczy zwrócić uwagę na przybyłych. W sali panowała cisza, słychać było tylko gwizdzący w szczelinach podłogi wiatr i chrapliwy oddech władcy Królestwa Kresowego. Wreszcie dziesiętnik postanowił przerwać to przeciągające się milczenie i uprzejmie chrząknął. Król drgnął, gdy zobaczył swoich stojących w pozie „spocznij” wojowników i lekko się uśmiechnął.

— Wybaczcie, że kazałem wam czekać... W ostatnich dniach rzadko śpię, a teraz jakbym się zdrzemnął... Zresztą, chyba tylko mi się zdawało... — Głos Damalla był cichy i smutny. — Opowiadajcie, jak tam wasze sukcesy w chwalebnym dziele walki z wilkołakami, bo do nas dotarły takie niewiarygodne plotki, że nie wiadomo już, w co wierzyć, a w co nie...

Conanowi bardzo nie spodobał się głos króla. Tak jakby Damall miał zamiar umrzeć i już sobie wykopał mogiłę... Trzeba by go było trochę ożywić. Zaprosić na polowanie? A może zaciągnąć do „Korony i kostura”?

Opowiadali na przemian, uzupełniając nawzajem swoje relacje. Król nieco poweselał, gdy wysłuchał opowiedzianej przez Conana historii o ożywionym szamanie i oddziale na świerku, ale gdy barbarzyńca skończył, znowu wpadł w przygnębienie. Zaaprobował plan dziesiętnika, by pozostać w stolicy i poczekać na ruch ze strony wilkołaków, chociaż nie ukrywał, że wolałby, by to jego wojownicy uganiaли się za leśnymi zabójcami, a nie odwrotnie.

Słyszając o mającym się odbyć zebraniu potworów w pobliżu stolicy Damall spochmurniał, a plan Erharda, aby otoczyć i zniszczyć to towarzystwo, odrzucił. Oświadczył, że nie można wykluczyć pułapki, poza tym nie ma teraz w mieście odpowiedniej ilości żołnierzy. Osłabiać granic albo ochrony zamku władca nie miał zamiaru, ale zgodził się na propozycję wysłania zwiadowców na miejsce zebrania.

Na twarzach wojowników odmalowało się niezadowolenie, wywołane odmową zrealizowania ich planu totalnej likwidacji wszystkich grasujących po Kresach oszalałych i opętanych ideą wymordowania ludzi wilkołaków. Wtedy Damall nieoczekiwanie oświadczył:

— Posłuchajcie, gotów jestem podwoić obiecaną nagrodą, tylko wykończcie ich. Tak mi ostatnio ciężko na sercu...

Conan pewnym siebie tonem zapewnił posepnijącego w oczach Damalla, że dołoży wszelkich starań i za dziesięć — dwadzieścia dni nie będzie w Kresach ani jednego wściekłego wilkołaka. Erhard wyraźnie powątpiewał w te obietnice, ale przytakiwał Cymmerianinowi.

Po audiencji u Damalla przyjaciele na długo ugrzęźli w „Koronie”, gdzie, jak się okazało, już się rozgościł cały oddział. Pogromcy wilkołaków właśnie byli zajęci opowiadaniem swoich przysłów tłumowi zainteresowanych słuchaczy i spożywaniem kwaśnego piwa w ogromnych ilościach. Po tym, jak już wszystkie prawdziwe i nie całkiem historie zostały opowiedziane i z właściwym zainteresowaniem wysłuchane, dziesiątka udała się do koszar, a Conan do swojego pokoju w hotelu, na spotkanie czułych objęć pięknej Seleny...

Ludzie nie mogli wiedzieć, że słyszając o rozgromieniu drugiego oddziału, Główny zmienił termin zebrania i trzy ocalałe stada spotkały się w wyznaczonym miejscu tego samego dnia, w którym dziesiątka myśliwych triumfalnie wjechała do stolicy. Wilkołaki doskonale znały swój cel, jakim było przejście królewskiego zamku i zabicie wszystkich ludzi, których spotkają na swojej drodze.

X

Tej nocy Damallowi udało się na krótko zasnąć niespokojnym snem. Królowi śniły się koszmary i w każdym z nich ginął. Damall z krzykiem budził się i znowu próbował zasnąć... Wszystko wokół wydawało mu się przepojone groźbą, chociaż za drzwiami dyżurowało dwóch osobiście wybranych przez króla i oddanych strażników, w wąskie okna sypialni wstawione były ciężkie okiennice, zamknięte na zasuwę i nawet przewód kominowy w kominku od dawna zakratowano.

A jednak Damall bał się. Leżał na zbyt dużym dla jednego człowieka łożu, naciągał pled z niedźwiedziej skóry niemal na nos, zapadał się w koszmary i z przerażeniem się budził. Wysokie kamienne ściany starożytnych komnat wydawały mu się sklepieniem grobowca, z którego nie ma wyjścia. Teraz król zazdrościł każdemu ze swoich poddanych, a zwłaszcza Erhardowi i Conannowi, którzy byli u niego w dzień. Na pewno siedzą sobie teraz w gwarnej karczmie, gdzie jest dużo ludzi i nie ma miejsca dla sił nieczystych...

Po kolejnej krótkiej drzemce, wypełnionej przerażającymi snami, Damall otarł z czoła zimny pot i przysunął bliżej wezglowia łoża swój dwuręczny miecz. Tym razem śniło mu się, że wilkołak zabił strażników przed drzwiami, wszedł i pochylił się nad nieprzytomnym ze strachu człowiekiem. Ze lśniących kłów potwora kapłała gęsta ślina, a z paszczy buchał smrodliwy oddech...

— Czego się boisz, królu? — zabrzmiał w ciszy sypialni donośny kpiący głos. Serce Damalla spróbowało wyrwać się z piersi, a potem załomotało jak szalone, ale trzeba przyznać królowi Kresów, że nie podskoczył i nie wrzasnął, tylko sięgnął ręką po miecz i powoli odwrócił głowę w stronę dźwięku...

— Zawsze byłeś odważny, ale tylko trochę — przyznał głos z krótkim śmieszkiem. — Zapal świecę, przy świetle przyjemniej rozmawiać...

Na próżno starając się opanować drżenie rąk, król zaczął krzesać ogień i wkrótce niewielki języczek pomarańczowego płomienia zapłasał na knocie grubej woskowej świecy, umocowanej w masywnym srebrnym świeczniku na stole obok łoża. W oczekiwaniu, aż świeca się rozpali, Damall siadł na łożu i podniósł lichtarz wyżej. Niezbyt jasne drżące światło wyciągnęło z ciemności bladą, twarz mężczyzny w podeszłym wieku.

— To ty? — Zdziwił się i jednocześnie odetchnął z ulgą król. — Aleś mnie przestraszył! Po co przyszedłeś o tej porze? I jak cię przepuściła straż?

— Zaraz się dowiesz, czego chcę — uśmiechnął się gość. — A co do straży, to są tysiące sposobów pozbycia się jej...

— Moi wojownicy są nieprzekupni — odciął się Damall, chociaż nie był o tym do końca przekonany.

— A kto mówi o pieniądzach? — Gość wyszczerzył długie wilcze kły.

— Niemożliwe — słabnącym głosem wyszeptał król i ścisnął szorstką rękojeść miecza. — Nie...

— Możliwe — twardo i zimno rzucił późny gość. — Rozerwałem im gardła, zanim zdążyli krzyknąć. Zostaw ten miecz, już ci się nie przyda.

Wilkołak chwycił leżącą na brzegu łóżka pochwę, nie pozwalając królowi wyciągnąć z niej zbyt długiego dla walki wręcz miecza, i ciężko skoczył na skrzypiące łożo... Ale pod poduszką Damall ukrywał jeszcze jednego asa...

Wilkołak uśmiechnął się, wyciągnął łapę do gardła, jak sądził bezbronny człowieka i w tym samym momencie dłoń przeszła mu ostry ból. Potwór z zaskoczeniem utkwiał wzrok w głębokiej, długiej ranie, która pojawiła się na zewnętrznej stronie dłoni, jakby nie rozumiał, skąd ona się tu wzięła. Na widok osłupienia nocnego zabójcy Damall zaryzykował i wykorzystał swoją jedyną szansę ratunku; rzucił się na wilkołaka, celując w brzuch.

Nie chybił — kindżał aż po rękojeść wbił się w lewą stronę trzewi. Istota cicho zawyla i całym ciężarem opadła na człowieka. Damall rozpaczliwie próbował się wyrwać, ale zwierz nawet ranny, okazał się silniejszy. Usiadł na przeciwniku i zacisnął szczęki na jego gardle.

W obliczu śmierci, król zdołał jeszcze wychrypieć:

— Bądź przeklęty, zdrajco... — i zdziwił się tej lekkości i spokojowi, które powoli ogarnęły jego zmęczone ciało i umysł...

Wilkołak napił się krwi do woli i teraz leżał na łożu, ciężko dysząc i regenerując siły po tej krótkiej walce. Wreszcie podniósł się, z jękiem wyszarpnął klingę z brzucha i z pogardą kopnął nieruchome ludzkie ciało.

— Bądź przeklęty! — powtórzył kpiąco. Odciął kindżałem kawałek materiału od zasłon i przewiązał nim ranę, która choć głęboka, nie była niebezpieczna. Gdy skończył, sięgnął na stolik przy łożu i wziął koronę królów Kresów — złotą obręcz z trzema wykutymi dębowymi liśćmi. Poobracał nią, przymierzył i parsknął:

— Idealna... Jeszcze tylko drobiazg — trzeba zostać królem.

Z żalem odłożył koronę, która słabo załśniła, i trzymając się za zraniony bok, wyszedł z sypialni.

Conan właśnie zdążył zasnąć, gdy od strony pałacu dobiegły go głośnie wrzaski przerażenia oraz zwycięskie wycie. Zerwał się z łóżka, czym obudził przestraszoną Selenę, i przez jakiś czas próbował zorientować się, co się dzieje.

W pierwszej chwili wydało mu się, że jakiś kot z głupoty wszedł do psiarni, ale potem usłyszał w wyciu znajome nutki, z westchnieniem wstał i zaczął się pospiesznie ubierać.

— Idę z tobą — oświadczyła natychmiast Selena.

— Siedź tu — burknął z niezadowoleniem Cymmerianin, zakładając spodnie i buty. — Nie płacz się pod nogami... Nawet w nocy człowiek nie ma spokoju! Zaraz wszystkich pozabijam, żeby nie przeszkadzali spać, i wracam.

Kurtki nie chciało mu się zakładać. Wziął miecz, który wyczuwalnie zadrżał w ręku i mienił się błękitnym światłem, zbiegł po niepewnych schodach i wyskoczył w noc. Pobiegł w stronę ruin królewskiego zamku.

Przed wejściem do głównej galerii w kałuży własnej krwi leżał martwy strażnik z rozerwanym gardłem. Barbarzyńca przeskoczył przez zagradzające drogę ciało, skręcił za róg i stanął twarzą w twarz (a raczej: w pysk) z leśnym zabójcą. Człowiek i wilk w osłupieniu gapili się na siebie przez chwilę. Pierwszy ochłonął Conan. Jednym zamaszystym uderzeniem ściął półzwierzowi głowę i pobiegł dalej. Po drodze napotkał wiele trupów strażników oraz parkę wilkołaków; na widok Cymmerianina przezornie uskoczyły za stertę kamieni... Obok drewnianej bramy nowego pałacu leżał przebity kopią wilkołak, który próbował pełznąć. Zwierz ryknął słabo na widok uzbrojonego człowieka.

A za drzwiami pewnie znajdę dwa trupy, pomyślał przelotnie Conan, i krótkim ciosem dobił wijące się stworzenie. Tak właśnie było — obaj strażnicy mieli przegryzione gardła. Omijając ciała i starając się nie wejść w kałuże krwi, barbarzyńca biegł dalej. Gdzieś na przedzie — zdaje się, że w sali tronowej — rozlegały się przenikliwe krzyki, triumfalne wycie i szczęk mieczy.

Cymmerianin zjawił się w samą porę — około tuzina wilkołaków wciskało w kąt trzech ocalałych strażników zamku. W panującym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na pojawienie się jeszcze jednej osoby. Wilkołak, który miał obserwować wejście do sali tronowej na widok człowieka ze świecącym w mroku mieczem rozsądnie zmył się, porzucając swoich braci na pastwę losu.

Nie było im łatwo — barbarzyńca bezszelestnie runął na stado, pierwszym ciosem ściął głowy dwóm potworom, które mu wlażyły pod rękę, a trzeciemu przywrócił ludzką postać i zabił jednym krótkim uderzeniem. Podniesieni na duchu strażnicy rzucili się do przodu i wkrótce na kamienne płyty chlusnęła wilcza krew...

Wszystko skończyło się zadziwiająco szybko i niemal bez strat. Conan próbował dowiedzieć się od oszołomionych strażników, czy ktoś zauważył, skąd pojawiły się wilkołaki, ale oni tylko rozkładali ręce — potwory znalazły się w pałacu niespodziewanie i rzucały się na wszystkich napotkanych ludzi.

— A Jego wysokość? — przypomniał sobie nagle ktoś z ochrony pałacu. — Co z królem? Może wilkołaki dobrały się również do niego?

— Tego by tylko brakowało! — krzyknął Conan. — Idziemy sprawdzić!

Po drodze do królewskich komnat, położonych w głębi dziwacznie zbudowanego pałacu, ludzie natknęli się na kilka nocnych kreatur, próbujących ucieczki. Przed drzwiami komnaty króla leżeli dwaj martwi strażnicy. Dręczony niedobrymi przeczuciami Cymmerianin pchnął nie zamknięte drzwi i wszedł. Ocalała straż pałacowa tłoczyła się na zewnątrz.

Na stoliku na cienkich nóżkach, obok zalanego krwią łóża, równo paliła się świeca. Jej nikły blask wydobywał z mroku bladą twarz Damalla z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w nicłość. Za drzwiami zabrzmiał stłumiony szloch.

I tak się to wszystko dla ciebie skończyło, z nieoczekiwanym smutkiem pomyślał barbarzyńca. Zdecydowanie wyciągnął rękę i zamknął oczy nieboszczykowi. Zarznięty we własnym pałacu, we własnym łóżku... Zdaje się, że nawet próbował się bronić...

Za sterczącą za drzwiami strażą coś się poruszyło i czyjś zaniepokojony głos domagał się, żeby go natychmiast przepuścić do króla. Wreszcie do komnaty wdarł się mężczyzna w podeszłym wieku, ubrany w ciężki aksamitny szlafrok, z opaską na lewej ręce. Miał krótkie, starannie podcięte wąsy i długie wijące się włosy, a gdy szedł, dziwnie przechylał się na lewą stronę. Nieznajomy zamarł, w osłupieniu wpatrując się w łóżko i leżącego na nim Damalla.

— On nie żyje? — zapytał przeliskając ślinę, chyba tylko po to, żeby coś powiedzieć.

— Jak widzisz — rozłożył ręce barbarzyńca. — A ty kim jesteś? Co ci się stało?

— Jestem doradcą króla. Byłem... — poprawił sam siebie nieznajomy. — Usłyszałem hałas i krzyki w środku nocy, wyskoczyłem na korytarz i wpadłem na wilkołaka. Rozdarł mi bok i rękę, ale uratował mnie jeden ze strażników, niechaj jego dusza zazna spokoju na Szarych Równinach...

— Rozumiem — skinął Conan i wyszedł z komnaty, zostawiając roztrzęsionego doradcę i przerażoną straż. Niech sobie sami decydują, co robić dalej. Ciekawe, kto teraz zostanie królem Kresów?... Co za kraj! Niee, trzeba się stąd zmywać i to jak najszybciej...

Rano Conana obudził Erhard — Selena już o świcie gdzieś wyszła. Okazało się, że doradca pragnie widzieć bohaterów Królestwa i głównych uczestników niedawnego polowania na wilkołaki.

Przed „Koroną i kosturem” stali mieszkańcy pałacu i stolicy, z ożywieniem omawiający wydarzenia minionej nocy. Młyn plotek i pogłosek mełł w najlepsze, a najważniejsze pytanie brzmiało — kto zajmie tron? Cymmerianin miał wrażenie, że zna odpowiedź, ale postanowił, że na razie nie będzie się spieszył z prezentowaniem swojego zdania.

Doradca przyjął ich w sali tronowej. Krew z płyt już została zmyta, trupy wilkołaków i strażników sprzątnięte, leżały teraz na podwórku. Conan od niechcienia zapytał, ile ich jest — okazało się, że zginęło osiemnaście potworów i ponad czterdziestu ludzi. Sala była już z grubsza gotowa na przyjęcie gości, jeśli w ogóle można tak powiedzieć o ponurym i zimnym pomieszczeniu z poprzecieranymi kobiercami na ścianach.

— Wszyscy wiedzą, jak się nazywam? — Doradca nieboszczyka króla przechadzał się przed tronem, z rękami założonymi za plecy. Conan przecząco pokręcił głową, Erhard zmarszczył czoło i próbował sobie przypomnieć, ale szybko się podał.

— Hiarell — przedstawił się doradca i po chwili dodał:

— Wezwałem was tutaj, żeby oznajmić wam moją decyzję. Nie muszę chyba wyjaśniać, co to za kraj i dlatego, żeby nie dopuścić do wojny domowej, tymczasowo przyjmuję na siebie obowiązki króla we władaniu Kresami...

— Umarł Damall, niech żyje Hiarell — wymamrotał półgłosem Cymmerianin. — Do licha, trzeba się było z kimś założyć...

— Nie — sprzeciwił się stanowczo Hiarell, słysząc słowa barbarzyńcy. — To zupełnie nie tak! Kiedy tylko pojawi się godny pretendent, ustąpię mu miejsca i powrócę do bardziej odpowiadającego mi stanowiska doradcy...

— Po co tak odwracać kota ogonem — przerwał mu Conan. — Osobiście wszystko mi jedno, kto będzie wycierał tyłkiem to stare krzesło, przez pomyłkę nazywane tronem! Interesuje mnie jedynie to, czy pozostaje w mocy moja umowa z Damallem i nic więcej.

Cymmerianin pogratulował sobie w myślach zdobytej dawno temu umiejętności przekonującego łgania. To prawda, że niepokoił się, czy dostanie w końcu coś ze skarbcza Kresów, ale i ten doradca Hiarell, który miał zamiar wcisnąć sobie na głowę koronę i wleźć na tron, też nie był mu obojętny. Barbarzyńca nie wiedział dlaczego, ale bardzo mu się ten typ nie podobał.

— Oczywiście, że pozostaje! — odpowiedział zdumiony Hiarell. — Nie może być mowy o tym, żeby nad naszym krajem nadal znęcały się wilkołaki! A właśnie... — Poszperał za pazuchą i wyciągnął ciężką sakiewkę. — Łap, to zapłata za dobrą służbę, sto złotych monet.

Conan złapał przyjemnie dźwięczący woreczek i zważył go w ręku. Nastrój mu się nieco poprawił, ale nieprzyjazny stosunek do doradcy nie uległ zmianie. I nie pomogło pełniącemu obowiązki króla nawet to, bez żadnych sprzeciwów zaakceptował pretensje Conana odnośnie podwojenia zapłaty za likwidację wilkołaków ani to, co Hiarell oznajmił Erhardowi:

— Wczoraj został zabity kapitan straży pałacowej. Sądzę, że będziesz odpowiednim człowiekiem na to stanowisko.

Awansowany dziesiętnik poweselał, trzasnął obcasami, podziękował doradcy i zapewnił go o swoim absolutnym i całkowitym poparciu. Na tym audiencja się zakończyła, a przyjaciele od razu poszli oblewać otrzymaną nagrodę do „Korony i kostura”.

Gdy za barbarzyńcą i dziesiętnikiem drzwi się zamknęły, Hiarell przysiadł na brzegu tronu, z ulgą odetchnął i otarł pot z czoła. Ci dwaj, których słuszenie się obawiał, na razie byli niegroźni. W swoim czasie wymyśli, jak się ich raz na zawsze pozbyć, a póki co mogą się nawet przydać.

Conan i Erhard siedzieli naprzeciwko siebie i pili za wszystkich, czyje imiona mogli sobie tylko przypomnieć. Mimo że karczma była zapchana gośćmi, dla nich błyskawicznie zwolniono stolik — wystarczyło, żeby Erhard wskazał go palcem. Do „Korony i kostura” raczyło zajrzeć dwóch bohaterów ostatnich dni, nieustraszonych obrońców Kresów! Wstydlive zajście z kupcem Stewartem na szczęście zostało wymazane z pamięci obywateli, ustępując miejsca mniej lub bardziej chwalebnyemu czynom, przypisywanym Cymmerianinowi.

Zdaje się, że niektórzy uważali go nawet za ziemskie wcielenie surowego Croma. Barbarzyńca nie miał właściwie nic przeciwko temu, chociaż pewne opowieści były kompletną bzdurą, na przykład to, że Cymmerianin zabija wilkołaki samym spojrzeniem, a jego miecz miota błyskawicę... Słyszając podobne brednie kątem ucha Conan uśmiechał się, ale nie spieszył ze sprostowaniem — niech sobie ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie.

Barbarzyńca i Erhard siedzieli sobie i pili, a cała karczma nie spuszczała z nich wzroku. Wielu tak się zagapiło i zasluchiwało w przekazywane plotki, że nie zauważyli, jak dwaj sprytni złodziejaskowie, z wyglądu Zamoryjczycy, kręcą się w tłumie, odcinają sakiewki, radośnie się uśmiechają, i od czasu do czasu złośliwie popatrują na Cymmerianina. Conan już dawno zauważył tę dwójkę i teraz bawił się na całego, licząc, ilu ludzi złodzieje zdążą uwolnić od najwidoczniej ciężącego im złota, zanim zostaną złapani za rękę.

Jeden ze złodziejasków zebrał daninę z co najmniej dwudziestu gapiów, a teraz sięgnął po ciężką sakiewkę potężnego strażnika, leniwie popijającego piwo. Wydawało się, że strażnik jest całkowicie pochłonięty widokiem upijających się bohaterów Kresów, ale wystarczyło, by zręczne palce Zamoryjczyka z zaciśniętą w nich zaostrzoną na krawędzi złotą monetą dotknęły sakiewki, gdy spoczęło na nich ostrze kindżału.

— Jeszcze chwila i odrabię ci rękę — obiecał strażnik, nawet się nie odwracając. Złodziej z miną absolutnej pokory wobec losu oddalił się w drugi koniec sali. Jego towarzysz bezczelnie zamierzył się na sakiewkę Erharda, ale Conan czule pogładził rękojeść stojącego obok stołu miecza. Zamoryjczyk podniósł ręce w pokojowym geście i natychmiast się ulotnił.

Do stołu nieoczekiwanie przysiadł się nie znany przyjacielom młody jasnowłosy Brythuńczyk o pięknych rysach twarzy. Conan i Erhard mieli już trochę w czubie, ale byli jeszcze w pełni władz umysłowych, popatrzyli więc na niego niebotycznie zdumieni. Brythuńczyk ze zrozumieniem chrząknął i gestem nakazał im nachylić się nad stołem.

— Pamiętacie trakt hyperborejski? — zapytał półgłosem. — I nieco dziwne spotkanie?

— Aa — pierwszy domyślił się Conan. — Jesteś tym... uciekinierem od sławy?

Chłopak skonfundowany kiwnął głową:

— Tak. Jadę do domu i chciałbym powiedzieć wam co nieco na pożegnanie. Po pierwsze, Główny przebywa gdzieś tu, w stolicy. Nie mam żadnych dowodów, ale jestem przekonany, że tak właśnie jest. Po drugie, wczoraj w walce zginęli wszyscy przywódcy bojowych oddziałów. — Brythuńczyk wziął pusty kufel Erharda, nalał sobie piwa ze stojącego na stole antałka i uniósł go w żartobliwym geście gratulacji: — To głównie twoja zasługa, Conanie. Wasze zdrowie!

— Oddaj kufel — zażądał lekko zaszokowany taką bezczelnością Erhard.

— Zaraz — chłopak dopił piwo i oddał kufel właścicielowi. — I po trzecie, udało mi się dowiedzieć, że wszyscy, którzy nadal żądni są ludzkiej krwi, zbierają się w ruinach świątyni Czarnolicych. Tam również mają przybyć nowi przywódcy z Brythunii.

— Dlaczego z Brythunii? — nie zrozumiał Cymmerianin. — Co to, swoich już nie macie?

— W mojej ojczyźnie jest prawdziwe wilcze gniazdo — powiedział ze smutkiem chłopak. — Myślę, że teraz zbiegli się tam wszyscy szaleńcy z całego świata. I jeszcze gadają, że przebywa tam teraz naczelny Przywódca, który odnalazł Księgę Bytu... Słyszeliście o niej?

— Słyszeliśmy — przytaknął Conan, przypominając sobie dziwną rozmowę we wsi Erharda. — Niewesoło to wygląda... Co jeszcze powiesz niedobrego?

— Nastąpi wielka masakra — westchnął Brythuńczyk. — Dostanie się wszystkim, i wilkołakom, i ludziom. Przeleje się morze krwi... Ale wydaje mi się, że możecie ich jakoś powstrzymać. — Uśmiechnął się z wysiłkiem. — Jeśli znajdziecie się w Brythunii i będziecie potrzebowali pomocy — odszukajcie mnie. Mieszkam w Pajgorii, ulica Latarników, trzeci dom licząc od początku. Właśnie, znowu zapomniałem się wam przedstawić — Jaref, do usług. — Wstał i krótko się skłonił. — Pójdę już, przyjdzie mi jeszcze jechać cały dzień...

Brythuńczyk wyszedł, w ślad za nim wyskoczył jeden ze złodziejasków, który podczas rozmowy kręcił się podejrzenie blisko nich i próbował coś usłyszeć. Conan popatrzył za rzeźmieszkiem, zdecydowanie wstał od stołu i rzucił Erhardowi:

— Pójdę się odlać. Zamów jeszcze piwa, dobra?

Barbarzyńca szybko przeszedł przez tłum, który rozstał się z szacunkiem, pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Dzień był jasny i mroźny, pod nogami chrzęścił cienki lód. Obok niego na gniadej kobyle przejechał Jaref, za nim obładowany workami koń. Chłopak pomachał na pożegnanie stojącemu na progu „Korony i kostura” barbarzyńcy i pogalopował w stronę bramy.

Złodziejaski gdzieś się ulotnił, ale gdy Conan rozejrzał się dookoła, zauważył, że skoczył w zaułek za karczmą. Cymmerianin niespiesznie poszedł na róg, zatrzymał się i nasłuchiwał. Złodziej stał w milczeniu, przestępując z nogi na nogę, i najwyraźniej na kogoś czekał. Wreszcie dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki i niski głos zapytał:

— No?

— Brythuńczyk wygadał strażnikowi i barbarzyńcy o zebraniu w porzuconej świątyni, o wodzu i całej reszcie — powiedział szybko złodziej.

— Sprzątnąłeś tego zdrajcę? — przerwał mu głos.

— Nie zdążyłem, od razu skoczył na siodło i uciekł — tłumaczył się złodziejaszek.

— Bałwan! — huknął właściciel niskiego głosu, przerywając tłumaczenia Zamoryjczyka.

— Kto, panie? — ostrożnie zapytał złodziej.

— I ty, i on! — rzucił rozdrażniony nieznajomy. — Upewniłeś się chociaż, że nikt cię nie śledzi, barani łbie?

— Oczywiście — powiedział obrażony Zamoryjczyk. — Gdy wychodziłem, barbarzyńca martwił się tylko o kufel...

— Trzeba szybko usunąć i jego, i tego nowego setnika — powiedział przeciągle zadumany głos. — Za dużo wiedzą... Albo się domyślają. Masz tu za swoją pracę.

Rozległ się dobrze znajomy barbarzyńcy dźwięk: brzęk monet przesypanych z rak do rąk.

— Dziękuję, zawsze rad jestem ci służyć, panie... — wymamrotał złodziejaszek takim przypoehlebnym tonem, że barbarzyńcy na sekundę zrobiło się niedobrze.

— Zamknij się i zjeżdżaj — warknął jego rozmówca. — Nie tędy, tępaku! Idź dookoła, a ja wyjdę z tej strony.

Lekkie kroki Zamoryjczyka oddaliły się w przeciwny koniec zaułka, a jego podejrzany pracodawca poszedł w stronę barbarzyńcy. Conan wyciągnął z pochwy kindżał, palcem sprawdził ostrość i to, czy dobrze leży w ręku.

Zza rogu niespiesznie wyszedł ciężki, nieogolony kucharz z „Korony i kostura”. Gdy zobaczył czekającego na niego Cymmerianina, zamarł na miejscu, otworzył usta i wpatrzył się w niego okrągłymi oczami.

— Co za spotkanie! — ucieszył się barbarzyńca i nie pozwalając wilkołakowi nawet otworzyć ust, wsunął mu kindżał pomiędzy żebra. Grubas zacharczał, a Cymmerianin wepchnął go z powrotem w uliczkę i posadził pod ścianą. Wąski zaułek, który tworzyła tylna ściana pałacu i karczma, zazwyczaj wykorzystywany był przez gości „Korony i kostura” w celu załatwiania większych i mniejszych potrzeb, i zapachy zwały z nóg. Conan nie mógł uwierzyć, że kucharz i złodziejaszek zdołali tak długo prowadzić tu rozmowę.

Grubas klapnął prosto w stertę nieczystości i z nienawiścią wpatrywał się malutkimi oczami w barbarzyńcę.

— Taak, a teraz szybko powiesz mi, kto jest twoim panem, a wtedy zachowasz swoją żalną skórę — zaproponował rzeczowo Conan, zaciskając palcami nos i walcząc z pragnieniem jak najszybszego wyjścia stąd.

— Możesz mnie ciąć na kawałki, i tak nie powiem — odezwał się kucharz.

— Nie powiesz — zgodził się barbarzyńca. — A jeśli na przykład zacznę cię karmić gównem, którego jest tutaj pod dostatkiem, to co wtedy?

Grubas uśmiechnął się:

— Nie będziesz sobie brudził rąk... Wal, ja i tak umrę, jesteś przecież tym słynnym myśliwym polującym na wilkołaki...

— Wielka szkoda, ale masz rację — z udawanym żalem westchnął Conan i krótkim ciosem przebił serce wilkołaka.

Trzasnęły drzwi karczmy i w stronę zaułka zatupały czyjeś malutkie nogi.

— Guri! — krzyknął przenikliwy głosik. — Barbarzyńca się gdzieś zmył...

— Pewnie, że się zmył — potwierdził Cymmerianin, idąc w stronę wyskakującego zza rogu złodziejaszka i demonstracyjnie machając zakrwawionym kindżałem. — Co, myślałeś, że jesteś najmądrzejszy? Takich jak ty jem na zakąskę...

Zamoryjczyk pobladł, cofnął się, odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Kindżał wbił mu się dokładnie pomiędzy łopatki. Upadł do przodu, twarzą prosto w kupę gówna. Conan

podszedł, wyszarpnął kindżał, podniósł za włosy głowę pechowego złodzieja i poderżnął mu gardło. Potem spokojnie odwrócił się do ściany i bez pośpiechu zrobił to, po co właściwie przyszedł...

Gdy Cymmerianin w doskonałym nastroju wkroczył z powrotem do karczmy i usiadł na skrzypiącym taborecie naprzeciw Erharda, były dziesiętnik burknął:

— Ciebie to tylko po śmierć posłać... Chciałeś nas zatopić, czy co?

— Nie, zatrzymałem się, żeby z kimś pogadać... — mruknął barbarzyńca. — No co, jeszcze po jednym?...

Rano Cymmerianina znowu bolała głowa. A gdy po długich poszukiwaniach okazało się, że w pokoju nie ma ani Seleny, ani kropli piwa, Conan gotów był zmieść wszystko, co stanie na jego drodze do „Korony i kostura”. Na szczęście, obeszło się bez niewinnych ofiar — mieszkańcy stolicy wiedzieli już, co oznacza kac północnego dzikusa, i pospiesznie schodzili mu z drogi.

W karczmie było parę osób, które szybko przywarły do ściany, gdy grzotnęły wejściowe drzwi i niski, lekko schrypnięty głos zaryczał na całą salę:

— Piwa, albo zaraz wszyscy pójdą w odwiedziny do Nergala!

Gospodarz w milczeniu postawił na stół pełen dzban ciemnego jęczmiennego piwa. Conan osuszył go trzema łykami i wyciągnął rękę po następny. Po drugiej porcji w głowie mu się nareszcie rozjaśniło i barbarzyńca z niewielką pękatą baryłką pod pachą ruszył na poszukiwania nowo mianowanego sernika. Znalazł go tutaj, w karczmie, za wsuniętym w najdalszy kąt stołem. Erhard spał niespokojnie, opierając się o ścianę, ale zapach piwa cudownym sposobem zmusił go do rozklejenia powiek. Pierwszym słowem, które z siebie wydusił było:

— Daj.

Po zlikwidowaniu połowy zawartości baryłki setnik ożywił się na tyle, że zażądał zakąski. Potem obaj próbowali postanowić, co robić dalej z wilkołakami i w ogóle ze wszystkim, co się wyprawia w Królestwie. Conan zgodził się, że wyruszyć ze stolicy trzeba najpóźniej jutro i wyburczał:

— Mam już tego waszego Królestwa wyżej uszu. Czuję, że ugrzęzę tu na zimę...

— Nigdzie się ta twoja Aquilonia z Piktami nie podzieje — zaczął Erhard, ale jego słowa zagłuszył okropny skrzypiący pisk, dobiegający z ulicy.

— Bramy nie nasmarowali, czy co — skrzywił się setnik. Zatykał uszy i wyrzwał przez otwarte okno karczmy. — A, to nasz herold.

Pośrodku placu stał chudy wysoki człowiek w obszarpanej odzieży z herbem Damalla na piersi — głową wieprza, przeciętą mieczem — i w przekrzywionej malutkiej czapeczce z bażancim piórem. Herold ze wszystkich sił daj w pogiętą długą miedzianą trąbę, z oblaźłą pozłotą i wyblakłym proporczykiem. Z okien okolicznych domów zaczęły wysuwać się głowy obudzonych hałasem mieszczan, w muzykanta poleciały jajka i inne produkty żywnościowe nie zawsze pierwszej świeżości. Każdemu celnemu rzutowi towarzyszyły okrzyki radości, zagłuszające przenikliwe piski trąbki. Wreszcie herold schował swój instrument, odchrząknął i zaczął:

— Jego wysokość król Królestwa Kresowego, Hiarell Pierwszy!

— Wiedziałem! Umarł król, niech żyje król! — parsknął Conan. — Chodźmy popatrzeć. Dawno nie byłem na niczyjej koronacji...

Kilku żołnierzy z ochrony pałacowej wywlokło na plac tron i postawiło go na najczystszy miejscu, na rozpostartym uprzednio wypłowiałym dywaniku. Sami ustawili się dookoła. Po chwili pojawił się były doradca nieboszczyka Damalla, w kompletnym odświętnym stroju, w płaszczu, z berłem i w koronie. Zdziwiona ludność wysypała się z domów i otoczyła plac. Zaczęli przekrzykiwać się i snuć domysły, co teraz nastąpi.

Conan i Erhard niespiesznie, jak przystało bohaterom ostatnich dni, wyszli z karczmy i stanęli w pewnym oddaleniu. Wkrótce obok nich nie wiadomo skąd pojawili się Ertel i Selena, potem naszedł z nieodłącznym uśmiechem Vellan, pod rękę z ładną, ale zbyt mocno umalowaną kobietą. Z koszar nadbiegli przed chwilą obudzeni Halmun i Valso.

— Co się dzieje? — zainteresował się Ertel, pokazując ręką plac, ludzi i stojący pośrodku tron, na którym zasiadał nowy władca Kresów.

— Zmiana władzy, wszystko w świetle prawa — wyjaśnił Conan. — Zaraz wam opowiedzą, jaki niedobry był Damall i jak będzie wam się dobrze działało za nowego władcy.

— A ja myślałem, że to znowu wilkołaki — powiedział rozczarowany Vellan. — Warto było zrywać się i myć?... No dobra, skoro już tu jesteśmy, to posłuchajmy.

Przewidywania barbarzyńcy spełniły się niemal co do joty. Ogłoszono, że Damall „poległ tragicznie z rąk plugawych wilkołaków”, a następnie Hiarell z dramatycznym wyrazem twarzy obwieścił, że zgodnie z jednomyślnym wyborem rady przy nieżyjącym królu Damallu”, tron Kresów zajmować będzie on, Hiarell, uznany za „najbardziej godnego”, a wszystko po to, aby „uniknąć dalszych nieporządków”, jakie mogłyby zakłócić spokojne życie Królestwa. Tłum gwizdał, od czasu do czasu rozlegały się niezrozumiałe okrzyki, ale generalnie ogłoszenie nowego pomazańca bożego przebiegało gładko.

— Dalej nie będzie już nic ciekawego — oświadczył barbarzyńca, gdy Hiarell przeszedł do opisu swoich planów na przyszłość i rozmyślał o losach kraju. — Chodźmy coś zjeść!

Mały oddział dość nieuprzejmie odwrócił się plecami do nowego króla i ruszył w stronę „Korony i kostura”, aby uczcić pamięć zmarłego monarchy i zdecydować, gdzie pojechać dalej.

CZEŚĆ DRUGA

I

Wschodzące słońce musnęło pierwszymi promieniami ruiny byłej głównej wieży dawnego pałacu, pokryte cieniutkimi koronkami przymrozku. Dzisiaj nic nie przeszkadzało złotemu niebiańskiemu oku — nad całym Królestwem Kresowym rozpościerał się przezroczysty błękit z lekkimi obłoczkami.

Powietrze było mroźne i świeże, a tak znienawidzona przez Conana deszczowa jesień powoli, ale nieodwołalnie wycofywała się, jakby wyczerpała już cały zapas niebiańskiej wilgoci. Za nią, władczo popędzając jesień swoim lodowatym oddechem, nadciągała nie—koronowana królowa północnych ziem — zima.

Już za kilka dni skuje lodowym pancierzem jeziora i nieprzebyte bagna, srebrzystym śnieżnym kożuchem otuli pola i lasy, ukołysze do snu czekające pierwszych podmuchów mroźnych wiatrów zwierzęta...

Cienki promyczek przebił się przez szczelinę niedokładnie zamkniętych okiennic i musnął nieogolony policzek Conana, który spał za stołem obejmując brzuchaty gliniany dzban. Barbarzyńca drgnął, wymamrotał coś, wreszcie otworzył oczy. Rozejrzał się i zrozumiał, że znajduje się w zajeździe, w swoim pokoju... Szkopuł tkwił w tym, że kompletnie nie pamiętał, jak się tu znalazł.

W przypadku trąconym dzbanie coś zabulgotało. Świadczyło to niezbitcie, że w środku jest jeszcze trochę wczorajszego piwa. Conan duszkiem osuszył naczynie, wstał i z szerokim ziewnięciem przeciągnął się tak, że zatrzeszczały kości. Po całym ciele rozlało się przyjemne zmęczenie. Barbarzyńca uśmiechnął się zadowolony i podszedł do okna. Otworzył okiennice na oścież i z rozkoszą wystawił twarz na słońce, pełną piersią wdychając świeże zimne powietrze. Cymmerianin, wychowany w górach z ich wiecznymi zimnymi wiatrami, uwielbiał taką pogodę i teraz pozwolił sobie na chwilę wspomnień.

Cymmeria... Czasem Conan poważnie się zastanawiał, czy nie posłać do wszystkich demonów kuszące, ale sprzedajne i smrodliwe miasta południowych krajów i nie wrócić do dzikiego i wolnego życia na zaśnieżonych górskich łąkach. Ciekawe, czy żyje jeszcze ktoś z jego klanu? Przed oczami Conana jakby we mgle zaczęły się przesuwać niby dawno zapomniane, ale jednak troskliwie zachowane w pamięci surowe twarze — matka, ojciec, krewni i przyjaciele... Vanirowie, z którymi wyruszył na swoją pierwszą wyprawę... Nagle z głębin pamięci wypłynęła okolona rozwianymi żółtymi włosami twarz Asyryjczyka i z rudymi, wiszącymi wąsami i niewielką szramą. Bezmyślny, spokojny uśmiech Conana znikł, a na jego miejscu pojawił się krzywy uśmieszek. No tak, tyle lat minęło, a on jeszcze pamięta tego łajdaka, swojego pierwszego wroga na śmierć i życie, który po raz pierwszy kazał szesnastoletniemu chłopcu z wolnego górskiego klanu poczuć gorzki i porażki i własną bezsilność. Sinfiotli. Tak, tak właśnie się nazywał.

Stara nienawiść nagle wybuchła z nową siłą i Conan wściekle i wałnął pięścią w parapet, aż drewno jęknęło żałośnie. Z gardła Cymmerianina wydostały się niezrozumiałe, ochryple dźwięki.

Przechodzący w dole kupcy ze zdumieniem podnieśli głowy, ale na widok mrocznego barbarzyńcy natychmiast przestali się tym interesować i przyspieszyli kroku, by jak najszybciej się oddalić.

Tak pięknie rozpoczęty poranek zepsuły mu nie w porę odświeżone wspomnienia. Zły na samego siebie, Conan zaczął zbierać porozrzucane po pokoju rzeczy i wkładać je do wytartego podróżnego woreczka.

Gdy już skończył z tymi porządkami i zakładał kolczugę, drzwi pokoju otworzyły się z hurgotem. Wyglądało na to, że kopnął je człowiek dorównujący siłą Cymmerianinowi i tak

samo zły. Tym kimś, czego należało się spodziewać, był nowo mianowany setnik. Barbarzyńca nie oglądając się rzucił przez ramię:

— Erhardzie, całą siłę włożyłeś w to uderzenie, czy coś ci jeszcze zostało?

— Tak witasz przyjaciół? — burknął niezadowolony Erhard. — A to mi dowcipniś! I tak ci daleko do Vellana, czy mojego krewniaka, żeby mu wrzód na tyłku wyskoczył. — Setnik podszedł do stołu, zajrzał do dzbana i z przykrością powiedział: — I piwo całe wyłopałeś...

Conan zawiązał dużo teraz lżejszy worek, zarzucił go na plecy i skierował się do wyjścia. Erhard z rozczarowaniem poobracał w rękach naczynie, które nie spełniło pokładanych w nim nadziei i rzucił je za siebie, trafiając w nadal otwarte na oścież okno. Z dołu dobiegł odgłos tłukącego się glinianego naczynia i czyjś żalony jęk. Cymmerianin ze zdziwieniem obejrzał się, ale Erhard stał z niewinną miną i z zainteresowaniem przyglądał się pełznącemu po ścianie wielkiemu karaluchowi.

— Co stoisz jak pień? — zaatakował natychmiast barbarzyńcę setnik, wypychając go z pokoju i nie pozwalając zauważyć nieobecności nieszczęsnego naczynia. — Drapiesz się, jakbyś miał wszy! Rusz no się! A właśnie, ogoliłbyś się chociaż... A może brodę zapuszczasz?

Conan wzruszył ramionami. Nie rozumiał, co ugryzło Erharda i zafrasowany przesunął ręką po podbródku. Rzeczywiście, co za szczecina. Trzeba będzie na najbliższym postoju popracować kindżalem...

Na opustoszałym podwórku z okrzykami i śmiechem ustawiała się w szereg cała dziesiątka polujących na wilkołaki bohaterów. Była wśród nich Selena. Wyglądała bardzo efektownie w nowej, srebrzystej kolczudze. Za plecami wojowników przestępowały z nogi na nogę parskające konie i wydmuchiwały z nozdrzy kłęby ciepłej pary.

Conan przerzucił worek z rzeczami przez siodło swojego gniadego konia i stanął jako pierwszy w szeregu, który wreszcie się ustawił.

Erhard obejrzał podwładnych groźnym okiem spod zmarszczonych brwi i powoli przeszedł się wzdłuż krótkiego szeregu. Oddział wstrzymał oddech i pożerał dowódcę oczami. Jedynie Conan i Ertel patrzyli na Erharda z otwartą kpiną.

Nagle setnik zatrzymał się i obrzucił wyciągniętych jak struny wojowników dziwnym i nie pasującym do tej chwili spojrzeniem, w którym mieszała się czułość i zmęczenie.

— Słuchajcie — zaczął cicho, czym zmusił obecnych do nasłuchiwania. — Wszyscy chyba zdają sobie sprawę, że to, czym się zajmowaliśmy przez cały poprzedni miesiąc, można uznać za dziecinne igraszki? Z obecnego pochodu wróci połowa, jeśli niejedna trzecia oddziału. Jeśli ktoś chce się wycofać — może zrobić to teraz i przysięgam, że nikt nie będzie miał mu tego za złe. — Erhard nieoczekiwanie zawiesił głos i gwałtownie się odwrócił. Nieruchomy szereg milczał. Setnik odetchnął i na widok napiętych i skupionych wojowników uśmiechnął się:

— Wszyscy zostają? W takim razie na konie. Czekają nas wielkie czyny!

Kawalkada przemknęła klusem po zarośniętym łopianem podwórku obok nielicznych gapiów, którzy wyszli sobie popatrzeć, a teraz życzyli im szczęścia i szczęśliwego powrotu. Wojownicy minęli na wpół rozwaloną bramę i wypadli na hyperborejski trakt.

Król obserwował ten odjazd. Odszedł od zakratowanego zardzewiałą kratą wąskiego okna wieży i uśmiechając się do swoich myśli usiadł przy stole. Stare pióro zaskrzypiało po pergaminie, aż rozbryznął się atrament. Potem zapieczętowany osobistą królewską pieczęcią rozkaz natychmiast dostarczono do koszar kapitanowi straży pałacowej. Po przeczytaniu dowódca ze zdumieniem pokręcił głową i rozkazał trzydziestu swoim żołnierzom szykować się do bezzwłocznego wyruszenia w drogę.

Droga ze stolicy Kresów do przedgórzy Graaskalu zazwyczaj zajmuje około tygodnia. Gońcy, przy częstej zmianie koni, mogą pokonać ją w ciągu trzech — czterech dni. Oddział Erharda, mimo pośpiechu, nie miał zamiaru zagonić koni na śmierć. Poza tym, rozbity kopytami i kołami trakt zamarzł i nie chlupotał, co sprawiało, że podróż można było nawet

uznać za przyjemną. Blade, niemal białe słońce świeciło całymi dniami, rzadko kryjąc się za chmury. Nie grzało jednak, a dni i noce stawały się coraz zimniejsze i oddział ze śmiechem zakładał przezornie zabrane ze sobą kozuszki.

Conan rozkoszował się pięknem mijanego krajobrazu. Po obu stronach drogi przez długi czas ciągnął się gęsty las świerkowy, pokryty błękitnym szronem, cicho dźwięczącym na wietrze. Ale po dwóch dniach wysokie piękne świerki zastąpiły niskie dęby z gruzelkowatymi, fikuśnie poprzeplatany gałęziami, na których kołysały się ostatnie ocalałe liście. Barbarzyńca przestał gapić się na boki. Rozmawiał z Seleną albo przysłuchiwał się nieustannym przekomarzaniom Vellana i Ertela. Zdaje się, że ta dwójka miała szczerzy zamiar przegadania się nawzajem.

Trzeciego dnia wędrówki niebo zachmurzyło się — pojawiły się niskie, szare chmury i spadł pierwszy w tym roku śnieg. Miękki i puszysty, powoli, ale konsekwentnie przysypywał czarną wijącą się wstęgę drogi i ogołocone drzewa, padał na krótko przystrzyżone końskie grzywy... Przez coraz gęstszy śnieg z trudem można było wypatrzeć pojawiające się na horyzoncie ostre jak wilcze kły szczyty coraz bliższego Graaskalu.

Trakt przywiódł dziesiątkę porządnie zmarzniętych podróżników do sporej wsi z nieodłącznym zajazdem na głównym placu. Wieś zwana Hezer była ostatnią na ich drodze w góry. Bliżej ludzie nie odważyli się osiedlać, bo bali się widm, które podobno ciągle jeszcze bląkały się na ruinach byłej świątyni wyznawców Boga z Czarną Twarzą. Conan śmiał się w duchu z takich strachów, chociaż już nie raz przekonał się na własnej skórze, że martwi wrogowie potrafią być dużo groźniejsi od żywych. Zresztą, jak mówiła świętej pamięci Belit? Martwi nie gryzą...

Wojownicy zsiadli z koni i przywiązali je do długiego koniowiązu przed drzwiami karczmy, noszącej symboliczną nazwę „Ostatnia przystań”. Ciekawskim chłopcom Erhard niedbale rzucił garść srebrnych drobnych monet, dodając rozkaz:

— Zatoszczcie się o konie!

W przestronnej i czystej sali karczmy oświetlonej kilkoma kopcącymi oliwnymi lampkami było wyjątkowo pusto, tylko dwaj czy trzej mężczyźni wyglądający na miejscowych bywalców, pociągali z ogromnych glinianych kufli tanie miejscowe piwo.

Oddział wpadł do środka i z hałasem rozsiadł się na ciężkich ławach otaczających największy stół. Słyszając przekleństwa i brzęk zdejmowanej broni, z otworzonych na oścież drzwi kuchni wyszedł długowłosa mężczyzna z bujną ciemną brodą i skrzyżowanymi na piersiach rękami. Uważnie obejrzał późnych gości i dźwięcznym basem zapytał:

— Czego życzą sobie panowie królewscy strażnicy?

— Dużo piwa, potem dużo żarcia, a potem znowu piwa! — wrzasnął Erhard, uderzając pięścią w stół. — I dziewczyn, jak się jakieś znajdują!

Gospodarz lekko się uśmiechnął, czego można było się domyślić tylko po lekkim drganiu brody i szybko rozczarował Erharda:

— Pierwsze i drugie zaraz będzie, a dziwek tu nie trzymamy. Nie oplaca się...

— To niesprawiedliwe! — oburzył się natychmiast Ertel. — Temu nieokrzesanemu barbarzyńcy dostaną się więc wszystkie przyjemności, a nam figa? Co to ja, rudy?

— A co, nie? — Siedzący obok Vellan wyciągnął rękę i przejechał po słomianych włosach przyjaciela.

— Vellan, jeśli nie jesteś już w stanie rozróżnić kolorów...

Rodzając się awanturę przerwał melodyjny brzęk ołowianych kufli. Do stołu z kuszącym kołysaniem biodrami podeszła sympatyczna pulchna służąca z tacą w rękach. Umiejętnymi ruchami postawiła przed każdym gościem kufel, umieściła pośrodku stołu sporą beczułkę i tak samo niespiesznie się oddaliła. Ertel gwizdnął z zachwytem i próbował ją objąć, ale oberwał tylko ciężką tacą po łapach. Cofnął obolałą dłoń i urazą popatrzył na dziewczynę, ale ta nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem i z dumnie uniesioną głową odpłynęła do kuchni. Wojownicy

roześmiali się, rzucając pod adresem Ertela złośliwe rady i komentarze. Ten popatrzył na nich wilkiem i z rzadka się odcinał; od razu stracił dobry humor.

Gospodarz, który wrócił do sali, postawił na stół dwa wielkie drewniane półmiski. Na jednym było pieczone mięso, na drugim jęczmienne placki. Półgłosem powiedział:

— A moje służące, panowie strażnicy, lepiej zostawcie w spokoju. Wszystkie są zamężne. Mężowie pięści mają mocne, a krewnych z pół wsi...

— My też nie ułamki — mruknął Vellan i pogładził rękojeść opartego o stół miecza.

— Dlatego właśnie mówię — wzruszył ramionami gospodarz. — Przelew krwi nie jest mi tu potrzebny. — Odwrócił się i po chwili zniknął za kuchennymi drzwiami.

Vellan najwyraźniej miał zamiar coś za nim krzyknąć i nawet wstał, nie wziął jednak pod uwagę, że obok niego siedzi Conan. Barbarzyńca nie namyślał się długo, zatkał nieznośnemu gadule usta ręką. Vellan oburzony warknął, szarpnął się, ale jak już Cymmerianin chciał kogoś zatrzymać na miejscu, to nie po to, żeby pozwolić mu się wyrwać. Brythuńczyk zrozumiał to, zaprzestał bezskutecznych prób odzyskania swobody i gestem pokazał, że będzie milczał. Barbarzyńca popatrzył na niego z niedowierzaniem, jakby zastanawiał się, czy warto wierzyć tej obietnicy, ale w końcu zdecydował się cofnąć ręce.

— Dzikusie, nie można było poprosić? — Oburzony Vellan jednym haustem wypił kufel piwa i nalał sobie drugi.

— Nie warto zadzierać ze wszystkimi — odpowiedział poważnie Cymmerianin, wybierając z półmiska jak największy kawałek mięsa. — A prośby na ciebie nie działają, to już wiem od dawna.

— Ma rację — poparł barbarzyńcę Erhard — Obaj, ty i Vellan, nie stróście niewinnych minek, tylko trzymajcie swoje języki na uwięzi.

— I ręce też — warknął Halmun. Po rudej brodzie Vanira ciekł gęsty sos, białe zęby z trzaskiem rwały soczyste mięso.

— Uspokójcie się, chłopaki — ciągnął setnik. — Dziewczyny nam nie uciekną, wrócimy i poweselimy się w „Koronie i kosturze” tak, że ludzie długo to będą pamiętać...

— Aha, wiecznee odpoczywaaaniee... — grobowym głosem zanucił na melodię marsza żałobnego posepny Ertel, a Vellan dodał:

— No, żeby tylko przeżyć...

— Zamknijcie się! — wyjątkowo zgodnym chórem wrzasnęli pozostali, ale nastrój już był zepsuty.

Conan ukradkiem obserwował przyjaciół. Przyglądał się bacznie każdemu i myślał, że może któryś z nich po raz ostatni tak wieczerza — wśród przyjaciół, pod dachem, w bezpiecznym i ciepłym domu.

Valso zakrztusił się i rzucił na stół niedojedzony kawałek mięsa, patrząc na niego niczym na zajadłego wroga.

— Nie mogę jeść, wszystko w gardle mi staje. — Jego głos był mroczny i cichy. — Mam niedobre przecucia...

— Ja też — cichutko wyszeptał Vellan, ale nikt go nie usłyszał — wszyscy na wyścigi zaczęli uspokajać Zingarczyka.

— Przecucia to brednie! — krzyczał Ertel prosto do ucha Valso. — Miałem taki przypadek... Akurat skończyłem szesnaście lat, budzę się i czuję — stracę dziś coś ważnego — a co, nie wiadomo. Cały dzień się męczyłem, kiedy wychodziłem z domu, to tylko sakiewkę ze sobą zabrałem i przywiązałem ją do pasa czterema sznurkami. No i co myślisz? Wieczorem miałem już tego wszystkiego dosyć, upiłem się mocnym jęczmiennym piwem, i gdy tak leżałem nieprzytomny, dziewczyny zaciągnęły mnie na siano... — Ertel zrobił znaczącą pauzę i chytrze spojrzął na zaciekawionych towarzyszy. — I wtedy sprawdziło się moje przecucie — straciłem dziewictwo...

Karczma drgnęła od wybuchu głośnego śmiechu, nawet Valso lekko uśmiechnął się bladymi wargami.

— Nie zamartwiaj się więc, może i tobie zdarzy się coś przyjemnego — zakończył opowieść Ertel i napił się piwa. Zingarczyk z roztargnieniem skinął w odpowiedzi głową i popatrzył na swój kufel z czapką wspaniałej piany.

Nikt nie zauważył, że siedzący naprzeciwko Valso Brythuńczyk pobladł i często oblizując wargi wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w towarzysza. Ale Vellan nie widział ani karczmy, ani przyjaciela. Śnił na jawie niczym palacz żółtego lotosu. Przed nim pojawiła się wielka polana obok leśnej drogi. Postacie walczących ludzi, biegające konie bez jeźdźców, brzęk mieczy, Valso, niezgrabnie spadający na zakrwawiony i podeptany śnieg... Nie!

Obraz znikł i przez kilka męcząco długich chwil Vellan miał wrażenie, że płynie po nieprzeniknionej czarnej rzece. Potem pojawił się przed nim nowy obraz — zaśnieżona górską przełęcz i jakieś ogromne stworzenia, przypominające zębate jaszczurki, pokryte gęstą białą sierścią. Biegły w dół po zboczu, zręcznie omijając sterczące spod śniegu czarne kamienie...

Vellan jęknął przez mocno zaciśnięte zęby. Ten niezrozumiały dźwięk sprawił, że Conan obejrzał się i z niepokojem popatrzył na Brythuńczyka. Vellan siedział wyprostowany jak khitajski bożek, drgał niczym w febrze, na policzkach płonęły mu krwiste rumieńce, a lekko rozszerzone, niewidzące oczy wpatrywały się w ścianę naprzeciwko. Barbarzyńca zatroskany pokręcił głową i postanowił na razie nie ruszać Vellana, poczekać, co będzie dalej.

...Miejsce, z którego wieje starożytnym czarnym złem, trupy ludzi i wilkołaków na pokrytych rzadkim śniegiem wyszczerbionych granitowych płytach, blask słabego zimowego słońca na długich ostrzach... Stygnące na mrozie strużki przelanej krwi... Dwa straszne stworzenia krążące wokół jakiegoś wzniesienia, w ciemnej posepnej sali... Światło, przekłete oślepiające światło, czarnopurpurowe martwe promienie... Boli!

— Boli... — Vellan zaczął rzeźić i zachłysnął się krwią, która chlusnęła mu z ust, a potem ciężko zwałił się na stół, przewracając stojące obok kufle i miski. Wojownicy zerwali się i zaskoczeni nachylili się nad Brythuńczykiem, Conan uniósł jego głowę i poklepał po policzkach. W oczach wojownika na chwilę pojawił się rozumny wyraz, ale za chwilę Vellan ostatecznie stracił przytomność. Barbarzyńca ostrożnie położył go na podłodze, na pospiesznie rozłożonych płaszczach i rzucił setnikowi:

— Będziemy musieli tu przenocować. Vellan jest nieprzytomny, a nie możemy go zostawić...

Gdyby Brythuńczyk nie leżał pod stołem bez świadomości, z pewnością popędzałby do ostatniej jazdy, a wydarzenia przyjęłyby zupełnie inny obrót. Ale Vellana uniosła ciemna rzeka niepamięci.

Erhard przytaknął:

— Dobrze. Gospodarzu! Ile macie wolnych pokoi?

— Cztery — odezwał się z kuchni dźwięczny bas.

— Tak — zaczął liczyć Erhard. — Gunderzy raz, Valso i Halmun dwa, Ertel i Vellan trzy, Conan i Selena cztery... Bierzemy wszystkie!

— Dobrze — gospodarz raczył zajrzeć do sali. — Trzy srebrne monety za dzień. Mój syn pokaże wam, gdzie są pokoje.

Setnik pytająco popatrzył na Conana, którego nagroda była już w połowie przepita i przegrana. Cymmerianin wyjął z sakiewki przy pasie trzy monety i rzucił je na stół:

— To za kolację i za pokoje.

Błyszczące monety natychmiast zniknęły w dłoni roztropnego czternastoletniego chłopca, tak samo ciemnowłosego i mocno zbudowanego jak i ojciec.

— Conan i Halmun, odnieście Vellana na górę! — Rozkazywać Erhard lubił zawsze, ale wraz ze służbowym awansem ta pasja przeradzała się w niebezpieczną namiętność.

Dwóch siłaczy bez trudu podniosło bynajmniej nie lekkiego Brythuńczyka i niespiesznie poszło za puchnącym z dumy chłopcem. Na pierwsze piętro zajazdu prowadziły skrzypiące drewniane schody, znajdujące się w głębi sali naprzeciwko drzwi wejściowych. Chłopiec wspiął się po stopniach, skręcił w prawo mrocznym korytarzem, ominął troje jednakowych drzwi i zatrzymał się przy czwartych.

— To wasze pokoje — dwa z lewej i dwa z prawej strony — powiedział łamiącym się głosem i wskazał ręką. Cymmerianin kopniakiem otworzył najbliższe drzwi. Malutki pokój z jednym wąskim oknem, zamkniętym szczelnie okiennicami; drewniany stół z plamami tłuszczu i rozlanego piwa. Do niego przysunięte były trzy jednakowe kulawe krzesła, na podłodze pod ścianami leżały cztery brudne sienniki. Patrząc na nie od razu człowiek zaczynał myśleć o stadach „domowych zwierzątek”, czyli wszach, pchłach i pluskwach. Przekrzywiony żelazny piecyk, który ledwo się tlił i górka węgla obok niego. To było całe wyposażenie pokoju.

— Ej, chłopcze, a w tych materacach nic nie ma? — zapytał Conan, wskazując siennik noskiem buta.

— Nie — pokręcił głową chłopiec. — Wczoraj wynosiliśmy je na mróz.

— To mnie cieszy — wymamrotał Cymmerianin. — Kładźmy go. Ostrożnie położyli Vellana pod lewą ścianą, przykryli kilkoma płaszczami. Chłopak dorzucił do piecyka węgla, w pokoju od razu zrobiło się trochę cieplej i cała trójka zeszła na dół. Chłopiec dostał od barbarzyńcy miedzianą monetę, podziękował skinieniem głowy i pobiegł pomagać do kuchni.

Za stołem ciągle jeszcze rozmawiano o nagłym zaślabnięciu Vellana. Ertel uważał, że jego przyjaciel za dużo wypił, ale większość nie zgodziła się z tym: wszyscy pili to samo piwo z tej samej beczki i nic im nie było! Conana niezbyt interesowała ta rozmowa: co się stało, to się nie odstanie, Vellan się ocknie i sam wszystko powie, a domysły do niczego dobrego nie prowadzą. Dlatego barbarzyńca wziął swój kufel i podszedł do baru, szerokiej deski położonej na dwóch beczkach. Chciał porozmawiać z gospodarzem i, jak się uda, czegoś się dowiedzieć.

Właściciel zajazdu chyba wyczuł zamiary Cymmerianina i gdy ten stuknął pustym kuflem o deskę baru, zaproponował:

— Wypijemy po jednym? Ja stawiam.

Conan nigdy w życiu nie odmawiał darmowej wypitki i dlatego radośnie zasalutował karczmarzowi ciężkim kuflem:

— Twoje zdrowie!

— I twoje — odezwał się krótko gospodarz.

Wypili i zaczęli w milczeniu przyglądać się sobie. Milczenie zdecydowanie nie odpowiadało barbarzyńcy, wyciągnął więc rękę i zaproponował:

— Może się poznamy? Jestem Conan z Cymmerii, najemnik.

— Że z Cymmerii, to widać z daleka — z lekkim uśmiechem burknął karczmarz. — Mnie zwą Revald i moja ojczyzna jest tutaj, na Kresach. — Mocno uściśnął dłoń barbarzyńcy swoją włochatą łapą. — Wypijmy w takim razie za znajomość...

Złapali za brzęczące kufle i przez chwilę rozkoszowali się ciemnym piwem o przyjemnym aromacie chmielu. Pierwszy znowu zagaił Conan, sarkając w duchu, że Revald należy do tych ludzi, którzy niechętnie rozmawiają z nieznajomymi.

— Jak ci się tu powodzi w takiej gruszy? Nie sądziłem, że ktoś zdecyduje się otworzyć karczmę tak daleko od ludzkich siół.

— Na życie wystarcza — wzruszył ramionami Revald. — Ze wsi przychodzą przeważnie pod wieczór, wypić kufel, dwa, karawany się czasem zatrzymują.

Conan nie chciał wprawdzie od razu kierować rozmowy na interesujące go tematy. Bał się, że i bez tego niezbyt gadatliwy karczmarz zamilknie zupełnie i pośle go do wszystkich demonów, ale mimo wszystko zaryzykował:

— A ostatnio... nie działo się tu u was nic... dziwnego?

Revald stał się czujny i podejrzliwie zerknął na barbarzyńcę:

— A dlaczego tak cię to interesuje?

— Królewska służba. Tylko ciii — wyszeptał Conan jak spiskowiec, kładąc palec na ustach.

— Trzeba było tak od razu mówić — odrzekł zupełnie nie zdziwiony, a nawet ucieszony karczmarz. Dopił piwo i wygodnie oparł się o bar. Gestem pokazał Cymmerianinowi, żeby się nachylił.

— Dziwnego, mówisz? Było coś takiego... Zaczęło się z pół miesiąca temu. Wiesz przecież, że Hezer to ostatnia wioska na hyperborejskim trakcie? Dalej do samego Graaskalu są już tylko lasy i popioły. Zaczęli pojawić się w tych stronach samotni jeźdźcy. Najpierw pojedynczo, potem po dwóch, a trzy dni temu cały strumień. A dzisiaj oprócz was nikt tą drogą nie jechał!

— Tak? — Udał niezwykle zdziwienie Conan, ale w duchu triumfował. Informacje nie kłamały, ślad, jeszcze ciepły, był dosłownie przed nimi...

— Najszczęsza prawda! — Revald położył rękę na sercu, z trwogą popatrzył na sufit i dodał: — Niech mnie Mitra porazi, jeśli kłamię!...

— Opowiadaj dalej — przerwał mu Cymmerianin, widząc, że karczmarz ma zamiar wygłosić dłuższą przysięgę. Revald na chwilę zamarł z otwartymi ustami, potem potrząsnął głową, zebrał myśli i ciągnął:

— Znaczą się, jadą... niemal wszyscy się u mnie zatrzymywali, nawet liczyłem — siedemdziesięciu i sześciu. Dumni tacy, słowa zbędnego nie powiedzą, płaszcze na wszystkich czarne... Tfu! — Splunął ze złością na bar i natychmiast opamiętał się i wytarł ślinę ścierką. — Piwo pili, wieczerali, na napiwki nie skąpili, ale i tak nieprzyjemnie...

— Rozumiem — powiedział przeciągle Conan i chciał już wrócić do stołu, ale coś sobie przypomniał i zapytał: — Mówiłeś, że dalej na trakcie nikt nie mieszka? Dlaczego?

Karczmarz obejrzał się i przysłonił usta ręką.

— Graaskal to niedobre miejsce. Tam, wysoko w górach, pełno jest zburzonych i porzuconych świątyń dawno zapomnianych bogów. Mówią, że gnomów tam mnóstwo... Wcześniej na przedgórzach osiedlali się ludzie, ale po pojawieniu się Czarnolicych niektórzy zniknęli, inni przenieśli się do Brythunii. Wioski stoją opustoszałe. — Revald ze smutkiem machnął ręką. — Mieszka w nich siła nieczysta. Nie radzę wam tam iść. Na dziesięciu ryzykujących wejście do porzuconych wsi tylko jeden wracał żywy, a na dziesięciu, którzy wrócili, tylko jeden zachował rozum. Najmniej szkodliwe z paskudztw, które tam żyją, są jaszczury droho. Wielkie stworzenia długości trzech — czterech kroków, pokryte białym futrem...

— Futrem? — Teraz Conan naprawdę się zdumiał: o włochatych jaszczurkach jeszcze nie słyszał.

— Tak, długie gęste futro. A po co tam niby ludzie by łazili, na spacer czy jak? — Uśmiechnął się krzywo Revald. — Futra na targach stoją jeden do jednego — ile waży, tyle złota kosztuje. I mięso jest niezłe. Droho są ciepłokrwiste, w smaku niemal nie różnią się od dobrej wieprzowiny.

— Pożyteczne zwierzęta, nie ma co — zgodził się Conan.

— Jedyna przeszkoda — przymilnym głosem oznajmił karczmarz. — że droho mają pełną paszczę zębów wielkości porządnego kindżału i, o ile mi wiadomo, nie są zbyt przyjazne.

— Aa — uniósł brwi Cymmerianin. — Rozumiem... Jeszcze po kuflu? Ściemniało się szybko, jak to w zimie. Śnieg, który zaczął padać rano, walił coraz gęściejszy, wielkie białe płatki wirowały w zimnym powietrzu, osiadały na koniach i tajały, spływając w dół strumyczkami wody. Zwierzęta niezadowolone drgały, parskały, przestępowały z nogi na nogę i machały ogonami.

Conan, który niechęć wyjrzał przez uchylone drzwi, zaklął:

— Na Croma! Nasze konie! Przecież one zamarzną!

Wojownicy popatrzyli na siebie. Już się najedli i napili do oporu, i ogarnęła ich senność. Wszyscy rozumieli, że barbarzyńca ma rację, ale nikomu nie chciało się wstawać i wychodzić z

cieplej karczmy na mróz i śnieg. Gunderzy opuścili wzrok i w milczeniu obracali w rękach kufle z piwem. Halmun położył głowę na dłoniach i udawał, że twardo śpi, nawet z cicha pochrapywał. Erhard wpatrywał się w łażącą po ścianie na pół żywą muchę. Ertel uśmiechnięty od ucha do ucha pokazał palcem na Conana — sam powiedziałaś, sam zrób.

Tylko jeden człowiek nie odwrócił wzroku — niewzruszony Emert. Bossończyk w milczeniu wstał, odsunął kufel i talerz z niedojedzonym mięsem, zarzucił kożuszek i wyszedł na zewnątrz. Conan wyszedł za nim.

Poryw wiatru rzucił im w twarz garść mokrego lepkiego śniegu. Barbarzyńca roześmiał się i otarł oczy rękawem. Szalejąca zamieć przypominała mu Cymmerię.

Gniady koń, nazwany przez Conana Wichrem, przywitał swojego pana radosnym rzeniem i wsunął ciepły pysk w jego dłoń — może przyniósł coś dobrego? Barbarzyńca podał mu kawałek placka. Koń z wdzięcznością popatrzył na człowieka ogromnym ciemnym okiem z chytrymi iskierkami i zgarnął poczęstunek samymi wargami, apetycznie przy tym cmokając.

Conan i Emert nie zdążyli odwiązać nawet dwóch koni, gdy drzwi karczmy trzasnęły i na ulicę wyszli Giliom i Gart. Popatrzyli na Cymmerianina z miną winowajców i zaczęli rozplątywać lejce.

Gdy już odprowadzili wszystkie zwierzęta do stajni i nasypali im do żłobów owsa, Conan i jego towarzysze wrócili do sali. Wypili po kufelku i postanowili udać się na spoczynek.

Barbarzyńca długo mościł się na swoim sienniku, wiercił się i sprawdzał, czy nie rzucił się na niego jakiś sześcionogi „gryzoń”. Pomimo jego słusznych obaw, nic podobnego się nie stało. Synek gospodarza powiedział prawdę — sienniki rzeczywiście były czyste. Po obfitym jadle i nie mniej obfitym napitku Cymmerianin marzył już tylko o śnie. Dlatego gdy Selena ściągnęła koszulę i obnażyła swoje sprężyste piersi ze sterzącymi sutkami i wyzywająco kołysząc biodrami podeszła do jego łóżka, Conan odwrócił ją i leciutko i klepnął we wspiane pośladki:

— Idź się prześpij i mnie pozwól odpocząć.

Selena urażona wydeła wargi, ale nie zdecydowała się na kłótnię z barbarzyńcą i dumnie oddaliła się do swojego kąta.

Wiejska dziewczucha, a chodzi jak wytrawna dziwka, pomyślał obojętnie Conan, odwrócił się do ściany i błyskawicznie zasnął.

Revald wypchnął z karczmy zbyt długo siedzących pijaków i wyszedł na ganek. Zamieć ustała, chmury rozwiały się i pusty wiejski plac zalało blade światło młodego księżyca. Świeży śnieg mienił się tysiącami tęczyowych gwiazdek, drzewa wydawały się mieszkaniem dziwnych nieuchwytnych istot...

Karczmarz zdjął zachlapany tłuszczem fartuch i skrzyżował gęsto owłosione ręce na piersi, pokrytej skórzanym bezrękawnikiem ze skomplikowanym wzorem jaskrawoczerwonych sznurów. Lubił czasem przed zamknięciem karczmy postać tak na ganku, popatrzeć na śpiącą wieś i pobliskie góry za nią.

Z lewej strony zabrzmiał tętent kopyt galopującego konia, stłumiony puszystym śnieżnym kobiercem. Dźwięki przybliżyły się i Revald stał się czujny — kto to może być o tak późnej porze?

Na plac wjechał jeździec tak pewnie siedzący w siodle, że na chwilę w duszy karczmarza zagościł zabobonny strach — wydało mu się, że we wsi zjawił się legendarny centaur.

Centaurów nie ma — zabrzmiał w jego głowie stanowczy, lekko zachrypnięty starczy głos.

Nauczyciel Dekken! — omal nie krzyknął na głos Revald. Przed jego oczami pojawił się dawno zapomniany obraz — on i jeszcze pięciu chłopców słucha z otwartymi ustami starego, pomarszczonego jak pieczone jabłko staruszka. „I smoki bywają, i wampiry, i demony, i wiele innych istot...” Z biegiem lat Revald nie raz przekonywał się o słuszności słów swojego nauczyciela i zawsze uciekał przed takimi istotami. Wcale nie wstydział się swojego strachu.

Gdy jednak w Hezerze pojawił się wampir, który chciał pić krew niemowląt, właśnie karczmarz pierwszy wziął w ręce osinowy kołek i zaproponował sprawdzenie świeżych grobów na leśnym cmentarzu. Okazało się, że to była sprawka niedawno zmarłego starego pijaka szamana.

Kiedy rozkopano mogiłę, wszyscy cofnęli się przerażeni — była po brzegi wypełniona krwią... Revald już uniósł swój kołek, żeby ma zawsze zabić potwora, ale nie zdążył: na twarz nieboszczyka padł promień słońca. Od wycia, które się rozległo, świadkowie niemal ogłuchli. Gdy wrzask ucichł, w czarnym dole leżał tylko szkielet z kawałkami na wpół zetlałego ciała na poźółkłych kościach.

Nieznany jeździec tymczasem kłusem wjechał na plac. W swoim czarnym płaszczu z nisko opuszczonym kapturem i mrocznie lśnącymi oczami przypomniał bezcielesne widmo ze strasznych dziecięcych bajek. Revald na wszelki wypadek wykonał zabobonny znak, szybko się odwrócił, zanurkował w drzwi i przezornie nałożył na nie potężny skobel.

Karczmarz nie zdążył odetchnąć z ulgą, gdy na drzwi jeden po drugim spadły trzy ciężkie uderzenia. Revald drgnął, odchrząknął i spokojnie zapytał:

— Kogo tam przyniosło? Już zamknięte!

— Swoi — głos był niewzruszony i złowieszczy.

— Wszyscy swoi w domu siedzą, piwo piją — spróbował zażartować Revald, ale było mu kompletnie nie do śmiechu.

— Otwieraj, mówię. — W głosie pojawiły się nutki złości.

— A jak nie otworzę? — zapytał nieśmiało karczmarz. Otarł drżącą dłonią spocone czoło i na wszelki wypadek cofnął się od drzwi na parę kroków.

Zza drzwi dobiegł jadowity śmieszek:

— Jeśli chcesz stracić to, co ci się tam majta pomiędzy nogami, to możesz nie otwierać...

Revald przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał i doszedł do pocieszających dla siebie wniosków. Po pierwsze człowiek za drzwiami był sam, a w karczmie kupa ludzi, nawet królewscy strażnicy, po drugie tego, co mu się majta, nie miał zamiaru się pozbywać. Może ten typ za drzwiami ma schowaną za plecami sotnię, żeby wziąć szturmem nieszczęsną „Ostatnią przystań”. Na samą myśl o tym, co stałoby się później, Revaldowi zrobiło się zimno. Dobra, otworzy...

Nieznajomy przestąpił próg, ale dalej nie wszedł i nie zdjął kaptura. Płonące oczy szybko obejrzały pustą, dopiero co uprzątniętą salę i zatrzymały się na gospodarzu, skromniutko przestępującym z nogi na nogę tuż przed spóźnionym gościem.

— Warto by ci było co nieco odciąć — w ręku nieznajomego błysnął długi ilbarski kindżał — ale nie chce mi się brudzić broni. Przynieś mi kufel piwa, tylko migiem!

Revald w duchu ucieszył się słysząc słowa gościa. Pospieszenie odwrócił się, żeby skryć uśmiech i pobiegł do baru. Nieznajomy mówił groźnie, ale chyba był tylko chwalipiętą i zarozumialcem. Karczmarz zmusił go, żeby powstał chwilę na ganku, a on nawet nie dał mu po gębie. Panowie królewscy gwardziści — karczmarz zjeżył się — za takie traktowanie nie tylko by mu mordę obili, ale jeszcze skopaliby go, upili się na umór najlepszym piwem, połamali wszystko, co wpadłoby im w ręce i odjechali nie płacąc ani miedziaka.

Nieznajomy cały czas stał obok uchylonych drzwi w kałuży wody, która ciekła z jego płaszczu. Wziął przyniesiony przez Revalda kufel, wypił kilka porządnych łyków i z zadowoleniem odetchnął:

— Prawie tydzień piwa nie piłem! Chyba nawet ci za nie zapłacę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie. — Popatrzył uważnie na Revalda, ale karczmarz gapił się na niego z taką szczerością i oddaniem, iż wydawało się, że czcigodny gospodarz zaraz wysunie język i zacznie skamleć. Gość skrzywił się lekko, dopił piwo i gruchnął kuflem o futrynę. Revald osłupiał, ale nic nie powiedział.

— Posłuchaj uważnie — zaczął spóźniony jeździec półgłosem, chociaż wokół nikogo nie było. — Czy obok twojej karczmy przejeżdżał niewielki oddział — ośmiu mężczyzn i dziewczyna?

— Ależ oni u mnie nocują — machnął lekkomyślnie ręką karczmarz i w tym samym momencie ugryzł się w język, ale było już za późno.

— Wspaniale! — W zimnym głosie nieznajomego zabrzmiała radość. — A teraz słuchaj jeszcze uważniej. Nic im nie powiesz ani o mnie, ani o moich pytaniach, w ogóle nie wspomnisz ani słowem o tym, że nocą ktoś zachodził do karczmy. Bo inaczej... — Gość zrobił zrozumiały dla każdego gest, oznaczający szybką, ale bardzo bolesną kastrację. Revald przełknął ślinę i przestraszony zaczął czkać.

— Mądry jesteś. Masz tu za piwo i kufel. — Gość rzucił gospodarzowi przyjemnie ciężki woreczek, odwrócił się i wyszedł, z hukiem zamykając za sobą drzwi. Z pierwszego piętra dobiegł czyjś gniewny głos:

— Revald, przestań trzaskać drzwiami, bo zejdziesz i twoją mordą stuknę o ścianę!

Karczmarz nie zwrócił na to ostrzeżenie żadnej uwagi. Stał i uważnie wsłuchiwał się w stukot kopyt. Dopiero gdy dźwięk ten ucichł w oddali, Revald zdecydował się rozwiązać woreczek i włożyć do niego rękę.

— O Mitro — zajęczał cicho, widząc na swojej dłoni lśniące monety. Spóźniony gość w czarnym płaszczu zapłacił czystym złotem, tak rzadkim na ziemiach Kresów...

II

Ranek był cichy i mroźny, na bladym niebie świeciło czerwone słońce, śnieg poskrzypywał cicho pod nogami mieszkańców wioski. Conan obudził się i przez chwilę po prostu leżał z zamkniętymi oczami, i wsłuchiwał się w dźwięki budzącego się dnia.

Gdzieś zapał kogut, w sąsiedniej oborze zaryczała krowa, ze stajni przy zajeździe dobiegło ciche rzenie ich własnych koni.

W kącie pokoju spokojnie posapywała Selena, czasem pojękując we śnie. Za ścianą chrapał Halmun. Barbarzyńca uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie stare przysłowie: „Chrapanie Vanira może podnieść nieboszczyka z grobu albo zburzyć mury”. Dziwne, że ta wiejska chałupka jeszcze się nie rozpadła na kawałki. Na dole Revald klócił się ze służącymi, ale trudno było się zorientować, z jakiego powodu.

Wreszcie Conanowi znudziło się leżenie na twardym senniku i zachciało mu się piwa. Wstał, przeciągnął się z przyjemnością, ziewnął i po wąskich chwiejnych schodach zbiegł na dół. Tam już jedli śniadanie Gunderzy i Ertel, zmiatając jajecznicę z bekonem i szczypiorkiem. Od zapachu Cymmerianinowi pociekła ślinka i zaburczało w żołądku, dlatego zaczął przechodzącego gospodarza i zażądał:

— Dzban jasnego piwa i jajecznicę, taką samą jak oni mają, tylko z pięciu sztuk.

— Zaraz — wymamrotał nieuważnie Revald, który ciągle jeszcze miał przed oczami wczorajszego przerażającego gościa. Karczmarz nie wspomniał o nim ani słowem, chociaż Ertel przez cały ranek prawił mu złośliwości na temat trzaskających nocą drzwi i na wypródki z Gunderami wymyślał najbardziej nieprawdopodobne wyjaśnienia tego nadzwyczajnego wydarzenia.

Tuż przed odjazdem dziesiątki, gdy osiodłane konie czekały już na placu, Revald wyszedł na ganek i rzucił:

— Życzę wam powodzenia, przyjeźdźcie jeszcze kiedy... I bądźcie ostrożni.

— Zawsze jesteśmy ostrożni — parsknął Ertel. — Dlatego jeszcze żyjemy.

Keidy Vellen usłyszał lekkomyślne słowa przyjaciela poczuł klucie obok serca, a przed oczami stanęły mu wczorajsze niewyraźne obrazy... Mimo że barbarzyńca próbował go kilka razy wypytać, co się z nim właściwie stało, Brythuńczyk milczał, jak Czarnolicy na przesłuchaniu albo krótko odpowiadał, że niczego nie pamięta.

Wreszcie odczepił się od niego nawet Ertel, który z niezadowoleniem zauważył, że Vellana niedługo czeka starcza demencja. A co to oznacza, wystarczy popatrzeć na przykład, który stale mają przed oczami. Na szczęście dla krewniaka Erhard od rana był w dość dobrym nastroju i ograniczył się do słabego przekleństwa.

Wkrótce pozostawili wieś Hezer daleko za sobą, droga zanurzyła się w gęsty las. Wjeżdżając pod jego kosmate, pokryte śniegiem sklepienie, wojownicy mimo woli wstrzymali konie.

Widok wysokich zaśnieżonych świerków, wesoło skrzących się w promieniach zimowego słońca, był niesamowity. Wojownicy gapili się zachwyceni, jakby nigdy nie byli w zimowym lesie. Ścieżki pilnował tylko Emert, który nie miał zwyczaju zaprzętać sobie uwagi podobnymi głupstwami, a Conana co chwila szarpała za rękaw Selena, by pokazać mu to leżącą na gałęziach ogromną zmięję ze śniegu, to frędzle sopli, to przemykającego jelenia. Conan miał już powyżej uszu uroków przyrody i zaczynał się groźnie chmurzyć, ale dziewczyna zaabsorbowana widokami nie zauważała tego.

To właśnie Conan przegapił podejrzany prześwit. Emert ostrzegawczo krzyknął, jednak koń jadącego na czele Erharda już wjechał na zalaną słońcem polanę.

Droga przecinała ją i znowu pogrążała się w niebieskawym półmroku, znikając za ścianą nieruchomych drzew. Polana była pusta, i w pierwszej chwili Conan pomyślał, że Bossończyk podniósł fałszywy alarm.

Vellan jechał prawie na końcu, za nim niespiesznie truchtał koń Halmuna. Mroczne przecucia nie dawały Brythuńczykowi spokoju, a gdy zobaczył zaśnieżone pole, krzyk sam wyrwał mu się z gardła:

— Uciekajmy!

Pozostali ze zdumieniem się odwrócili. Gdy spostrzegli jego wykrzywioną i pobladłą twarz, zaczęli się niespokojnie rozglądać, aby znaleźć przyczynę nieoczekiwanego krzyku bądź też ujrzeć ewentualnego wroga.

I wtedy za oddziałem z ciężkim skrzypieniem zwałił się na drogę ogromny świerk. Wojownicy patrzyli jak zaczarowani na powolny, majestatyczny upadek drzewa. Rozległo się głuche uderzenie, od którego ze stojących w pobliżu świerków z szumem opadła śnieżna zasłona. Wtedy do krzyku Vellana przyłączył się również Emert i Conan, ale już było za późno — z przodu drogę przecięło im takie samo drzewo.

— Jasna cholera — splunął Ertel, i wtedy do jego uszu doleciało zduszone rżenie. Dźwięk dobiegał z gęstych zarośli na brzegu polany. Nasilał się z każdą chwilą i wkrótce po puszystym śniegu na otwartą przestrzeń wyjechało co najmniej trzydziestu jeźdźców, otaczając dziesiątkę. Wszyscy mieli na sobie jednakowe czarne płaszcze z kapturami, ale w dzień nie wydały się one Conanowi złowieszcze, tylko śmieszne. Mimo to barbarzyńca nie zaśmiał się — sytuacja temu nie sprzyjała. Polana pewnie już za chwilę przeistoczy się w pole bitwy, a jej wynik mógł być oplakany dla dziesiątki. Gdy przyszedli przeciwnicy czujnie patrzyli na siebie, królewscy strażnicy również stworzyli krąg, w środku którego ukryli Selenę.

Conan miał wrażenie, że czyste mroźne powietrze nad polaną nagle wypełnia się duszącymi oparami kushitskich bagien; zgęstniało jakby i stało się namacalne, rozrywało wypełnione do bólu płuca. Coś niedobrego zawisło nad lasem. Może sam czarny Erlik, bóg martwych, śmiał się, patrząc na swoje sługi, szykujące się do zebrania dla niego krwawego żniwa...

Czarne płaszcze i wojownicy przyglądali się sobie nawzajem. To była próba sił i Ertel ją przegrał. Z chłopaka opadła cała pyszałkowatość, wiercił się w siodle, oglądał się na boki i najwyraźniej stracił zimną krew, bo wykrzyknął kogucim głosem:

— Ej, o co chodzi, do stu demonów! Dajcie nam przejechać!

Po czarnym kręgu przeleciał cichy śmieszek:

— Przejeżdżaj, kto ci nie pozwala...

Ertel obejrzał się. — Wujek patrzył na niego z nieukrywaną pogardą, Conan cmokał językiem. Nagle czarne płaszcze spadły na śnieg, ukazały się błyszczące kolczugi i hełmy.

— A niech to Nergal, przecież to trzy pierwsze dziesiątki ze straży zewnętrznych murów! — zaklął oszołomiony setnik, odsuwając hełm i drapiąc się po karku. — Co tu się dzieje?

Pozostali mieli równie zdziwione miny. Gapili się, rozpoznając znajomych w ciągle milczących szeregach. Nie przyjaciół, ale zawsze... Conan ostrożnie wysunął miecz z pochwy. Ostrze ani drgnęło i nawet nie lśniło. Wilkołaków w pobliżu nie ma. Dobrze i to.

— Macie czelność pytać, co się dzieje? Zaraz wam wyjaśnię! — Gdyby był tu Revald, od razu rozpoznałby ten spokojny i słodko przymilny głos. — Po tym, co żeście nawyprawiali, powinno się was torturować po trzykroć i to w sposób najbardziej okrutny!

Chór oburzonych głosów wyraził gorące pragnienie dowiedzenia się, za jakie to przewinienia miałoby zostać tak okrutnie ukarani. Conan zaś pomyślał, że jeśli zaraz nie uda się załatwić tej sprawy polubownie (a wyglądało na to, że nie) to jemu i jego towarzysząkom lekko nie będzie.

Owszem, jeszcze nie tak dawno poradzili sobie bez specjalnego wysiłku z tłumem dwadzieścia — jeśli nie więcej! — razy liczniejszym niż ich malutki oddział. Jednak tłum ten składał się ze zwyczajnych kmieci, nieruchawych i kiepsko uzbrojonych. Teraz przewaga była

tylko trzykrotna, ale przeciwnicy niemal dorównywali im pod względem bojowych umiejętności.

Nie sądzę, pomyślał Cymmerianin, żeby któryś z tych łajdaków w czarnych płaszczach strzelał celniej od Emerta, umiał bić się dwoma mieczami lepiej niż Giliom, albo zdołał utrzymać się na nogach po uderzeniu oburęcznego miecza Vellana... Nie wspominając o siekierze Halmuna? No i ja sam też jestem coś wart, skoro do tej pory żyję — skromnie pochwalił sam siebie. — Z pewnością mielibyśmy szansę w walce jeden na jednego. Ale trzech na jednego...

Barbarzyńca ufał swojej sile i umiejętnościom. Martwił się jednak o pozostałych, a zwłaszcza o Ertela, który był mistrzem w pytlowaniu językiem, ale w odróżnieniu od gaduły Vellana nie walczył tak dobrze. W świadomości Cymmerianina zagnieżdżyła się niewesoła myśl, że wieczoru mogą nie powitać już w tym samym składzie. A może wtedy nawet nie będzie miał kto policzyć...

Tymczasem oburzony bezczelnością dziesiątki przywódca czarnych płaszczy ciągnął:

— Przecież to wy jesteście mordercami kobiet, dzieci i starców! Poza tym, jesteście podejrzani o napad na pałac tamtej tragicznej nocy — podniósł oczy ku niebu — gdy zginął Jego wysokość Damall. Jesteśmy narzędziem w rękach Stwórcy!

Conan stał się czujny — nie tak dawno słyszał już coś bardzo podobnego. Erhard wściekle zaryczał:

— A pocałuj ty nas wszystkich w dupę! Kto ci nakładł w uszy takiego gówna? Łgarstwo od początku do końca! Znajdziemy tego żartownisia i powiesimy go za jaja! Żeby coś takiego wymyślić...

Potok przekleństw przerwany został szmerem niezadowolenia w rzędach wojowników, którzy otoczyli polanę ciasnym kręgiem. Stojący na przedzie dowódca władczo podniósł rękę, zmuszając podwładnych do zamilknięcia, jednak Conan zdążył zauważyć, że każdy z przeciwników podsunął sobie bliżej broń. Taak...

Pięć kusz i ani jednego łuku, za to wszyscy mają kopie, a raczej krótkie piki z zaokrąglonymi końcami i kosmatym czarno-czerwonym temblakiem. Kolczugi zwyczajne, hełmy, lekkie okrągłe tarcze — do odbijania strzał, odpychania kopii i ześlizgujących się uderzeń miecza — zwykłe, drewniane, obciążone skórą. Miecze średniej długości, wygodne do walki z siodła. Kilku ma wsunięte za pas kiścienie, a jeden nawet krótką buławę z ostrymi trójkątnymi kolcami.

No, trzymajcie się za swoje drogocenne tyłki, obrońcy Kresów! Trzeba było jednak jechać do Aquilonii! Albo w gości do Morradina!

— Nie mam zamiaru się z wami kłócić — chłód w głosie dowódcy przenikał do szpiku kości. — Po prostu umrzecie. Naprzód!

Na sygnał dowódcy żołnierze nachylili piki i jednocześnie dali ostrogę koniom. Otoczona dziesiątka z przekleństwami na ustach wyciągnęła broń i przygotowała się do starcia.

Zaświstały pierwsze strzały — kusznicy czarnych płaszczy strzelali w pędzie i dlatego ani jeden z ciężkich bełtów nie trafił do celu. W odpowiedzi przeciągle zajęczała cięciwa ogromnego bossońskiego łuku i pierwszy przeciwnik pożegnał się z życiem. Ciało z przebitym gardłem zważyło się na bok i zawisło, zaplątane w strzemionach. Przez pewien czas galopujący koń włókł je za sobą, zostawiając na czystym śniegu pas krwi.

— Zastrzel dowódcę! — krzyknął do łuczника Conan. Emert spokojnie skinął głową i szarpnięta cięciwa znowu zadźwięczała na pociętej skórzanej bransolecie z czerwonymi zmijkami, ozdabiającej lewy nadgarstek strzelca. Dowódca lekko odbił żądłącą śmierć w porę podstawioną tarczą i kpiąco zachichotał. Na spokojnej twarzy Bossończyka pojawił się cień niezadowolenia i następna strzała wbiła się w oko wroga, którego kopia znalazła się niebezpiecznie blisko łucznika.

Po chwili rozległo się zgodne wycie, zagłuszające tępe uderzenia i zgrzyt żelaza po żelazie.

Kiedy Conan wspominał później ten dzień, doszedł do wniosku, że dziesiątkę od pewnej śmierci uratowało tylko to, że atakujący mieli krótkie lekkie piki, a nie ciężkie bojowe kopie na wzór poitańskich, z szerokimi płaskimi ostrzami. Cymmerianin spokojnie powitał lecącego na niego wroga i opuścił miecz dopiero w ostatniej chwili.

Ponad połowa kopii razem z końcówką spadła koniowi pod nogi, a oszołomiony utratą broni żołnierz nie zdążył ściągnąć lejców. Conan chwycił jego szyję w zgięcie łokcia i lekko pociągnął w swoją stronę. Młodzieniec wyleciał z siodła jak korek z butelki i gruchnął na śnieg. Już był martwy.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co doświadczony i nawykły do takich walk barbarzyńca. Gart przyjął pikę na pierś, pewien, że ochroni go kolczuga, i wyruszył na spotkanie z matką ziemią — poleciał prosto na zryty kopytami śnieg.

O tors Halmuna złamały się aż cztery piki, a Vanir siedział na koniu jakby nigdy nic. Jeden z atakujących ze złością stwierdził, że to tak, jakby rzucać w skałę. Miał szczęście — siekiera spadła tuż za jego plecami, rozrąbując grzbiet konia. Za to trzej inni napastnicy nie mieli tyle fartu. Pierwszemu świszczący w powietrzu zagięty topór ściał głowę, drugiego rozrąbał od obojczyka do pachwiny, a trzeciemu rozpruł brzuch. Kolejnego wroga zabił Vellan — przepuścił cwałującego wojownika i jakby mimochodem pogładził go mieczem po plecach.

Pod Giliomem zabito konia i padające zwierzę przycisnęło swoim ciałem nogę Gundera. Na szczęście atakujący jechali zbyt szybko i nie zdołali go od razu uśmiercić.

Jęki, krzyki, chrzęst śniegu i szczęk żelaza tworzyły straszny harmider. Conan rozejrzał się szybko i z radością zauważył, że z dziesiątki nikt oprócz Gunderów nie ucierpiał, wszyscy byli tylko podrapani, a Ertelowi rozpruto lewy rękaw.

Za to przeciwnik w pierwszym ataku stracił siedmiu ludzi. Gdy czarne płaszcze przegrupowały się i wyciągały miecze, Erhard, który zdążył już ochłonąć, zakomenderował:

— Rozsypcie się! Halmun, osłaniaj Gilioma! Selena, w las! Emert, jedź za nią i strzelaj jak najczęściej!

Dziewczyna posłusznie uderzyła konia lejcami i pogalopowała do leżącego drzewa, zagradzającego wyjazd z polany. W małej rączce ścisnęła rękojeść krzywej turańskiej szabli, lekkiej i pewnej. Na drodze dziewczyny znalazł się tylko jeden wróg. Jego uśmiezek wyraźnie dawał do zrozumienia, jaki los czeka ją w jego łapach.

Uśmiezek szybko zmienił się w grymas bólu. Selena nie cackała się i gdy przeciwnik próbował schwycić ją za rękę, po prostu przerzuciła szablę do lewej dłoni i błyskawicznie uderzyła z góry. Ręka napastnika nagle przestała go słuchać i odrąbana do samego ramienia zawisa wczepiona w kożuszek Seleny. Dziewczyna z odrazą strząsnęła ją, jak jadowitego owada i pomknęła dalej, nie interesując się już cicho wyjącym wrogiem, który zsunął się z konia i umierał na brudnym śniegu.

— Zuch dziewczyna! — wrzasnął zachwycony Conan. — Ośmiu, Erhard, ośmiu! Teraz już zostało po jednym łajdaku na każdego z nas! Zobaczysz, jeszcze zwyciężymy!

Selena porzuciła konia przed zwałonym drzewem, przeskoczyła przez nie i znikła w gęstwinie.

Halmun zszedł z konia, uniósł ciało zabitego wierzchowca Gilioma i pomógł Gunderowi wydostać się. Tymczasem Ertel próbował ocucić Garta. Gunder kaszłał i z trudem oddychał, jego brat kulał i też nie wyglądał dobrze. Odmówili stanowczo dosiadanania koni, woleli walczyć z ziemi.

Emert podjechał do krzaków na brzegu polany, skąd od czasu do czasu puszczał strzały, ale nie miał wielkiego szczęścia — lekko ranił tylko dwóch czy trzech.

Ocaleli wrogowie zebrali się i dyskutowali nad czymś z zapalem. Dziesiątka, posłuszna rozkazowi Erharda, rozpełzła się po polanie. Miało to zachęcić czarne płaszcze, by poszli w jej ślady. Napastnicy mieli inne plany — ignorując najbardziej niebezpiecznych wojowników,

czyli Halmuna, Conana i Vellana, zaatakowali pieszych Gunderów oraz Valso i Emerta samotnie snujących się z dala od reszty oddziału.

Gunderzy poczuli niebezpieczeństwo i rzucili się w różne strony — Gart pobiegł w kierunku Halmuna i pozostałych jeźdźców, Giliom w stronę pobliskiego lasu.

Strzały Bossończyka wreszcie znalazły swoje ofiary. Pierwsze dwie upadły z przebitymi na wylot sercami. Emers stwierdził, że widocznie mieli kiepskie kolczugi i wybrał następny cel, ale w tym momencie coś silnie uderzyło go w skroń, wypuścił łuk i zapadł się w ciemność.

Conan zdążył zobaczyć, jak jadący nieco z boku wojownik w czarnym płaszczu unosi kuszę, a potem Bossończyk spada z siodła. Trzech pieszych nie zdążyło mu pomóc.

Valso, który został sam, uniósł szablę i szykował się do pojedynku, ale najeżdżający na niego przeciwnik tylko się uśmiechnął i nacisnął spust kuszy. Bert trafił Zingarczyka w brzuch, nieco poniżej splotu słonecznego, przebił kolczugę jak igła cienką tkaninę i głęboko wszedł w ciało, rozrywając wnętrze. Ból napłynął gigantyczną, pochłaniającą wszystko falą, ale wysiłkiem woli Valso zdołał zatrzymać przytomność na granicy bezdennej przepaści oraz ciała w siodle i nawet udało mu się sparować pierwszy cios.

Gdyby Emert żył, pomyślał Cymmerianin z wściekłością, bezlitośnie chłuszcząc skaczącego przez wysoki śnieg konia.

Przeciwnik drwiąco zachichotał i wybił ciężką abordażową szablę ze słabnących rąk Valso.

Przyjaciele, gdzie jesteście? — zawołał w myślach Zingarczyk. Już raz uratowali mu życie, ale dzisiaj nie było obok nikogo... Valso podniósł coraz cięższą głowę i zobaczył za atakującym przeciwnikiem pięć tak znajomych, wykrzywionych przerażeniem i bólem twarzy.

Nie bójcie się, jestem z wami, zdołał jeszcze pomyśleć. Na twarzy Valso pojawił się dziwny, dziecięco szczery uśmiech, ostatni w jego życiu. Miecz spadł na nieosłoniętą szyję z prawej strony, uniósł się i uderzył z lewej... Ciągłe z tym samym uśmiechem Valso powoli pochylał się do przodu, wtulił twarz w gęstą grzywę swojego konia. Po rudej sierści zwierzęcia pobiegły cieniutkie strużki jasno-czerwonej i dlatego jeszcze bardziej przerażającej krwi.

— Niee! — wrzasnął Vellan. Przeciwnicy słysząc krzyk odwrócili się. Przed nimi był las i ciało łuczniaka, za nimi — wrogowie, nie było gdzie się wycofać.

Giliomowi, udało się dobiec do pokrytych szronem krzewów. Pochwycił nieprzytomnego Emerta i zaciągnął go pod najbliższy świerk, który ukrył ich pod rozłożystym namiotem kosmatych gałęzi. Na policzku Gundera zawisła samotna łza. Dzisiaj na jego oczach zginęli, zostali okrutnie zamordowani dwaj przyjaciele, a jego miecze jeszcze nie napiły się krwi... Ale co to? To przecież niemożliwe! Czujny Giliom nachylił się nad twarzą Bossończyka. Emert naprawdę oddychał! Co prawda oddech był ledwie wyczuwalny, ale żył! A tamci łajdacy jeszcze zapłacą za wszystko, co zrobili! Gunder poczuł, że zalewa go wściekłość, której nie jest już w stanie powstrzymać. Ostatni raz obejrzał się na bezpiecznie ukrytego pod gałęziami Emerta i wyskoczył spod świerku, trzymając miecze w pogotowiu. Gart powoli, z trudem, stawiał krok za krokiem. Dowłókł się do zwałonego drzewa, zagradzającego drogę powrotną, oparł się o nie plecami i zaczął czekać. Był obojętny na swój ból i możliwość bliskiej śmierci, martwiło go tylko to, że nie może pomóc przyjaciołom. Oddychał chrapliwie, mrużąc oczy od ostrego słońca, i jak urzeczony patrzył na śmiertelne starcie dwóch oddziałów.

Niemal od razu na stratowany śnieg z krótkimi przedśmiertnymi krzykami upadło pięciu wojowników w czarnych płaszczach. Pozostali spróbowali się wyrwać z powstałego ścisku, a miecze i siekiera bez ustanku wlatywały w górę... To była praca rzeźników.

Przed Conanem przemknęła niegdyś zarozumiała, a teraz przestraszona twarz dowódcy czarnych płaszczy, przemknęła i znikła, zalana krwią. Wydawało się, że Rangildor uderza sam, pociągając za sobą ściskającą go rękę. Słownawy zapach krwi upijał nie gorzej niż stare wino i sprawiał, że Conan zaczynał być pewien zwycięstwa.

Może właśnie dlatego los z nich zadrwił. Ocaleli przeciwnicy nagle zaczęli walczyć jak szaleńcy. Przewodził im ten, który zabił Valso. Conan na jego widok wydał ryk nienawiści i

kopnął konia obcasami. Wierzchowiec stanął dęba i rzucił się w wir walki. Jeden z wrogów nie miał szczęścia, koniec długiego miecza, opisujący w powietrzu lśniący łuk, musnął żyłę na jego szyi...

Halmun po raz kolejny zamachnął się ogromną siekierą. Jedyne oko Vanira wściekle łyskało, upodabniając go do jakiegoś potwora w ludzkiej postaci albo boga wojny, który zstąpił na ziemię. Zamach okazał się zbyt szeroki, Vanir nieostrożnie odsłonił bok, czego przeciwnik nie omieszkął wykorzystać. Kolczasta buława uderzyła z prawej strony, rozrywając ogniwa kolczugi.

W gorączce walki Halmun nawet nie poczuł, że jest ranny. Zadał cios kolejnemu przeciwnikowi, ale ten zręcznie się uchylił. Znowu zamach i znowu ciężka buława uderza w bezbronny bok... Halmun zaryczał ze wściekłości i bólu, i rąbnął toporem właściciela buławy. Krótki krzyk... stalowe ostrze rozłupało wrogowi czaszkę aż do karku. Ale buława zdążyła już zrobić swoje — po nogach Vanira ciekła gorąca lepka krew... Halmun zaczynał tracić siły.

Nieuchwytny wróg ciągle jeszcze krążył wokół niego, próbując cienką szabelką sparować ciosy bojowego topora. Halmun nie zdołał pojąć, jakim cudem lekka szabla mogła rozrąbać grube, okute żelazem dębowe stylisko, jednak rękojeść nagle stała się niemal nieważka i dwa ostrza załśniły pożegnalnie i wbiły się w śnieg.

Ręka Vanira legła na kindzale — legła, bo rudowłosy stracił zbyt dużo krwi i nie mógł już dorównać szybkiemu przeciwnikowi. Twarz Halmuna wyrażała tylko bezbrzeżne zdumienie, gdy szabla zbliżyła się do jego twarzy. Rana przecięła twarz Vanira na pół. Vanir zaryczał z bólu i urazy, i niepewną ręką rzucił kindzał. Przeciwnik bez trudu uchylił się i unosząc się w strzemionach zadał cios z góry. Włożył w niego całą swoją siłę i zrzucił wielkoluda na ziemię.

Niemal natychmiast krótko krzyknął Vellan, któremu rozpruto biodro. Gniady Wicher Cymmerianina potknął się i ciężko zwałił na przednie nogi. Barbarzyńca przekoziołkował i spadł na ziemię, ale natychmiast zerwał się, lekko odbijając wymierzony w głowę cios szablą. Ale kontrataku już nie było, zmęczona ręka drgnęła i zamiast uderzyć jeźdźca, Conan podciął nogi biednemu koniowi.

Cymmerianin był pewien, że to przenikliwe rzenie, przypominające krzyk człowieka, będzie go prześladować przez resztę życia. Starzeję się, skonstatował ze smutkiem. — Starzeję się...

Jeździec zdążył zeskoczyć z padającego konia, i gdy tylko poczuł pod nogami twardą ziemię, na złamanie karku zaatakował Cymmerianina. Conan wystawił przed siebie miecz. Przeciwnik całym ciałem rzucił się na ostrze. Barbarzyńca zaskoczony cofnął się o krok, starając się zachować równowagę, i potknął się o ciało szamoczącego się w agonii konia. Umierający wróg z ochryplym wyciem skoczył na barbarzyńcę, nadziewając się na klingę niczym niedźwiedź na rohatynę. Obaj wojownicy przewrócili się na śnieg i Conan wyrznął karkiem o czyjś hełm.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, było ochryple przeciągłe wilcze wycie. A może tak mu się tylko wydawało.

Barbarzyńca ocknął się. Czuł tępy ból w karku i ciężkie zmęczenie, które wypełniło ołowiem całe jego ciało. Ktoś — pewnie Selen — owinał jego pękającą z bólu głowę szmatą ze śniegiem, ale i tak...

Conan z trudem otworzył oczy. Nad sobą zobaczył intensywnie niebieskie i bez wątpienia poranne niebo. To znaczy, że leżał nieprzytomny przez całą noc? Zwyciężyli, ale za jaką cenę? Kto przeżył?

— Se-le-no — zawołał słabo Cymmerianin, nawet nie próbując się podnieść. Niemal od razu niebo zasłoniła znajoma miła i zaniepokojona twarzyczka.

— Jestem tu — powiedziała cicho dziewczyna. — Leż spokojnie, masz rozbitą głowę.

— Kto przeżył? — Z zamierającym sercem Conan zadał jedyne interesujące go w tej chwili pytanie.

— Zginął tylko Valso — odezwała się ze smutkiem Selena. — Emert ma porządnego guza na skroni i nie pamięta niczego oprócz noclegu w Hazerze. Gartowi chyba złamali żebro, ledwie może oddychać. Giliom bardzo utyka, ale poza tym wszystko z nim w porządku. Vellanowi rozpruli biodro i bok, a Ertel i wujek wyszli z tego z kilkoma niegroźnymi ranami.

— A Halmun?

Dziewczyna pomilczała chwilę, westchnęła i niechętnie odpowiedziała:

— Żyje, ale bardzo z nim źle — porąbali go niemal na kawałeczki. Pewnie nie dożyje wieczora... — Ledwie słyszalnie pociągnęła nosem.

— Przestań się mazać — powiedział posepnie Conan, z trudem wstał na nieposłuszne i zdradziecko drżące nogi. W głowie mu się kręciło, drzewa rosnące wokół polany skakały z miejsca na miejsce, ale barbarzyńcy mimo wszystko udało się nie upaść, choć z pomocą Seleny. Rozejrzał się. Polana wyglądała potwornie — czysty biały śnieg był stratowany i czerwony od przelanej krwi. Wszędzie leżały trupy. Dużo trupów, prawie trzydzieści...

— Wszyscy polegli? — zapytał Conan Erharda, który właśnie do nich podszedł, chociaż i tak znał odpowiedź.

— Wszyscy — skinął głową setnik i półgłosem dodał: — Cieszę się, że ci lepiej, chodźmy, Halmun umiera. Mówił, że chce cię zobaczyć.

Vanir leżał na stercie świerkowych gałęzi i niemal niczym nie różnił się od trupów na śniegu. Tylko od czasu do czasu na rozbitych wargach pojawiały się pęcherzyki krwi, wskazujące, że ten bezlitośnie poraniony człowiek jeszcze żyje. Jego twarz przypominała barbarzyńcy wydarzenia sprzed ponad dwudziestu lat. Gorące wydmy turańskich pustyń. Człowiek o imieniu Hassek, z tak samo przeciętą twarzą, pada na biały świecący się piasek, żeby już nigdy się z niego nie podnieść...

Ręce Vanira ścisnęły kawałki topora. Gdy na chwilę odzyskał przytomność, kaszląc krwią poprosił, żeby przynieść mu jego broń.

Conan nie płakał — nie umiał — ale dusza w nim wyła. Dopiero teraz, gdy przeżył na świecie prawie czterdzieści lat, zaczął pojmować prawdziwą cenę ludzkiego życia. Zwłaszcza, jeśli to życie przyjaciela.

Siedzący u wezglowia Emert nachylił się, nasłuchiwał przez chwilę, wstał, przecząco pokręcił głową i niemal bezgłośnie wyszeptał:

— To koniec.

Jedne oko Halmuna powoli otworzyło się i zobaczył nad sobą tego, którego chciał zobaczyć.

— Conanie — w gardle Vanira bulgotała krew, ale słowa były zrozumiałe. — Nie pożegnałem się tylko z tobą. Odchodzę do Imira i widzę cię po raz ostatni. Nasi bogowie niezbyt się lubią, ale teraz mnie to nie obchodzi... Żegnaj, Conanie. Jak na Cymmerianina niezły był z ciebie chłop...

Barbarzyńca uśmiechnął się smutno:

— Żegnaj, Halmunie. I ty byłeś porządnym człowiekiem, jak na Vanira.

Twarz Halmuna zaczęła szybko szarzeć, gasnący wzrok zatrzymał się na wierzchołkach zaśnieżonych świerków. Oddział w milczeniu stał wokół Vanira, nikt nie odważył się odezwać ani wyciągnąć ręki, by zamknąć jedyne oko zmarłego towarzysza. Nieoczekiwanie Conan uniósł głowę ku niebieskiemu niebu i przeciągle krzyknął; nie umiał opanować bólu.

III

— Erhardzie, jak wam się udało ich pokonać? Co się działo po tym, jak wyrznięłem o ziemię?

Setnik parsknął i pogładził wąsy, po czym zaczął niespieszną opowieść o wczorajszej walce.

— Jeszcze nie zdążyłeś upaść, gdy skądś wyskoczył Giliom. Wrzeszczał jak opętany, a rąbał tak, jakby demon w niego wstąpił. To właśnie on rozprawił się z zabójcą Valso i Halmuna, a ja i Ertel — Vellan wtedy już nie mógł utrzymać się w siodle — zaatakowaliśmy z przodu. Ci, co jeszcze żyli, nie wytrzymali i rzucili się w różne strony. Było ich już tylko pięciu. Jeden z głupoty próbował przeskoczyć pomiędzy mną i Ertelem. Pocięliśmy go na trzy kawałki. Na drugiego rzucił się Giliom, ściągnął go z konia i poderżnął mu gardło. Jeszcze jeden uznał Garta za łatwą zdobycz... Dwa miecze udowodniły mu, że nie miał racji. Zanim upadł na ziemię, przeszedł kilka kroków wlokąc za sobą kiszki. Czwartego zarażała Selena, gdy próbował przeleźć przez drzewo i uciec. Ostatniego załatwił Vellan. Nasz dowcipniś zrzucił go z konia i chłopak po prostu wyleciał z siodła, łamiąc sobie kark.

— Wyczerpująca opowieść. — Conan obejrzał się za siebie. Złowieszcza polana była już tylko niewyraźnym prześwitem pomiędzy wysokimi drzewami. Oddział pomniejszony o dwóch ludzi jechał powoli po zasypanej śniegiem drodze. Kierowali się w stronę posępnych szczytów Graaskalu, wznoszących się całkiem niedaleko i lśniących śnieżną bielą. Za nim nad cichym lasem wiła się ledwie zauważalna strużka siwego dymu. To dopalał się kolejny stos pogrzebowy.

W oddziale panowało przygnębienie. Vellan ledwo trzymał się w siodle, co chwila krzywiąc się od bólu w rannym biodrze. Gart często kaszłał, spluwał krwią i trwożnie popatrywał na brata, który wyglądał na bardzo zmaltretowanego. Na zazwyczaj obojętnej twarzy Emerta zastygło zdumienie.

Pomięć wracała do niego powoli, fragmentami, i Bossończyk co chwila potrząsał głową. Conana bolał kark. Błada Selena, która jechała obok niego, ciągle nie mogła pogodzić się z myślą, że własnymi rękami pozbawiła życia dwóch ludzi. Wujek i siostrzeniec wdychali ze smutkiem i milczeli.

Pogoda nie sprzyjała poprawie nastrojów. Niebo, rano pogodne, w środku dnia zasnuły gęste szare chmury. Z północy powiał przenikliwy wilgotny, zimny wiatr. Przed wieczorem zaczął sypać mokry śnieg.

Nocleg wypadł w lesie. Oddział znalazł niewielki parów, w którym można było skryć się przed nadciągającą zamiecią. Conan zanim zasnął długo wpatrywał się w pochmurne nocne niebo i sypiącą z niego niezliczoną ilość śnieżynek. Czasem spomiędzy chmur wyglądał podobny do wyszczerzonej czaszki księżyc. Gdzieś w oddali przeciągle zawył wilk, a może wilkołak? Wiatr podchwycił smętne dźwięki i uniósł je jak własne, ale czułe ucho Cymmerianina od razu wyłowiło różnicę. Stał się czujny, ale dźwięk już się nie powtórzył. Barbarzyńca przekreślił się na bok i zasnął niespokojnym snem.

Rano śnieg padał nadal, ale postanowili jechać dalej, zanim zasypie drogi. Na śniadanie musieli zadowolić się kawałkami wędzonego mięsa i połówką placka. Żołądek barbarzyńcy nie chciał pogodzić się z tak skąpą porcją i głośno domagał się dokładki.

Erhard skrył się pod drzewami przed śniegiem i wiatrem, rozłożył mapę. Przed przełęczą, za którą leżał wawóz z ruinami kaplicy Czarnolicych, było zaznaczone sioło Brinvelkton. Teraz nikt tam już nie mieszka, ale w pustych domach będzie można się schronić i przeczekać zamieć. Jeśli wierzyć mapie, do wioski pozostawało już niewiele drogi.

Gdy wreszcie przez szczelną zasłonę śniegu pokazały się ciemne zarysy domów, niemal wszyscy wojownicy z oddziału odetchnęli z ulgą — droga nie należała do najłatwiejszych.

Tylko Cymmerianin, który wychował się w takim właśnie klimacie, czuł się doskonale. Cieszył go nawet ostry wiatr, który rzucał w twarz garście mokrych płatków śniegu.

Sioło było wymarłe od dawna — to rzucało się w oczy. Martwo spoglądały puste okna, gdzie trzaskały rozeschnięte drzwi, niegdyś porządnie postawione izby teraz pochyliły się i poczerniały, na dachach widniały dziury. Niektóre budynki przemieniły się w sterty zgniłych bierwion...

Wojownicy przytuleni do końskich karków powoli posuwali się do przodu. Kolejny poryw wiatru zalepił oczy mokrym śniegiem, oślepiony na chwilę Conan potrząsnął głową, zamrugał. Nie miało sensu wycieranie twarzy rękawicami — pokryte były grubą warstwą śniegu. Wzrok powoli powrócił sam, i w pierwszej chwili Cymmerianin myślał, że oczy go mylą — kolejne dwa domy wyglądały na zupełnie całe! Okna zaciągnięte miką, drzwi szczelnie zamknięte, dach z dranicz w absolutnym porządku...

— Zdaje się, że mam halucynacje — powiedział stropiony Conan, odwracając się do Erharda.

— W takim razie ja też — burknął setnik. — Widzę cały dom, a ty?

— Ej, chłopaki! — Zachwycony okrzyk Ertela zagłuszył nawet nie milknące wycie wichru. — Jesteśmy uratowani! Śpię na piecu, zamawiam!

Domy rzeczywiście okazały się całe. Wewnątrz nie było dużo cieplej niż na dworze, ale za to nie wiał wiatr. Conan wszedł do środka, ze zdumieniem rozejrzał się, w dalszym ciągu nie dowierzając własnym oczom. W jedynym obszernym pokoju panował idealny porządek. Na podłodze leżały kolorowe tkane dywaniki, ławki pod ścianami zasłane były niedźwiedzimi i wilczymi skórami. Pośrodku znajdował się długi stół, na nim leżał lniana serweta, wyszywana w czerwone koguty. W przeciwległym kącie stał ogromny piec pobielony wapnem, a obok niego leżał stosik brzoźowych polan.

— Nie podoba mi się to wszystko — powiedział Vellan, mrużąc oczy. Nie wszedł jeszcze do izby.

Conan ściągnął zamrożoną rękawicę, nachylił się i przejechał ręką po żółtych, jakby dopiero co wystruganych deskach podłogi. Palce były czyste.

— Podłogę umyto najdalej dzisiaj rano — powiedział z przekonaniem. — Ani pyłku.

— Może zamieszkał tu jakiś myśliwy? — zasugerował Ertel. Nikt mu nie odpowiedział. Erhard popatrzył na sufit i odezwał się w zadumie, nie zwracając się do nikogo:

— Ciekawe, co jest na strychu?

— W sieni widziałem drabinę, można pójść i sprawdzić — wzruszył ramionami Conan. — Zaprowadźmy najpierw konie do stajni, a potem wszystko dokładnie obejrzymy. Myślę, że lepiej zostać tutaj niż na dworze.

— Oczywiście — odparł po chwili zastanowienia Vellan. — Tylko że to wszystko podejrzenie wygląda...

W stajni panował taki sam porządek, jak w domu. Ludzie zostawili zadziwiająco spokojne zwierzęta w stajni i wsypali im ostatnie funty owsa. Ertel popatrzył, jak chciwie pałaszują ziarno z toreb na obrok, i ze smutkiem powiedział:

— Żeby nam tylko nie przyszło obgryzać waszych kosteczek... Nam też kończy się zarcie.

Conan postanowił zajrzeć do sąsiedniego domu. Znowu zobaczył czysty pusty pokój, jakby gospodarze dopiero co wyszli... Barbarzyńca był przekonany, że pozostałe ocalałe chaty wyglądają tak samo. Na wszelki wypadek wyciągnął miecz z pochwy — klinga nie świeciła się. Czyli w okolicy nie ma śladu wilkołaków. Na Croma, czemu miecz reaguje tylko na nie? Cymmerianin nie mógł uwolnić się od uczucia, że on i jego towarzysze po uszy siedzą w dole kloacznym, tylko mają zatkałe nosy, i nie czują ohydny smrodu.

Conan, który niczego się właściwie nie dowiedział, wrócił do oddziału. Gunderzy byli już na strychu, ale nie znaleźli tam nic podejrzanego ani interesującego. Zwyczajne rupiecie i dwa ogromne kufry, okute zaśnieżonymi miedzianymi pasami i mocno zamknięte. Jeden taki stał

w izbie i Gart chciał w nim poszperać, ale Erhard zabronił wyłamywania zamków. A nuż gospodarze zaraz wrócą, a tu oni grzebali w ich rzeczach...

Postanowili natychmiast rozpalic w piecu. Vellan szybko wrzucił na ruszt przygotowane polana, i zaczął krzesac ogień. Wkrótce równo zahuczał wesoły płomień, i od pieca popłynęły na razie słabe, ale wyczuwalne fale ciepła. W domu ku zdumieniu oddziału nie znaleźli ani odrobiny jedzenia, musieli więc wyciągnąć resztę zapasów i zadowolic się czerstwymi plackami i z trudem zagrzanymi paskami wędzonej jeleniny.

Po obiedzie, jeśli tak można nazwać ten posiłek, wojownicy zaczęli rozchodzić się po kątach i szukać sobie miejsca do spania. Ertel, tak jak obiecał, wlaź na piec i długo klócił się z Vellaniem, który też nie miałby nic przeciwko wyciągnięciu się na ciepłych skórach nad rozgrzanymi ceglami. Właściwie miejsca na szerokim piecu starczyłoby dla czterech, ale Ertel dla zasady spychał Brythuńczyka na dół, dopóki nie wmieszała się Selena, która dała bratu sówkę w bok:

— Przestań, bo zaraz pójdziesz spać do stajni!

Poparł ją Erhard, groźnie spoglądając na siostrzeńca i grożąc mu pięścią. Ertel, zmuszony do ustąpienia, zaklął niezadowolony, ale przesunął się i ustąpił Vellanowi miejsce z brzegu.

Selena ułożyła się na dwóch zsuniętych i przykrytych niedźwiedzią skórą ławkach i skinęła na Conana, ale ten przecząco pokręcił głową:

— Nie, kochana, jeszcze nie jestem zmęczony. To miejsce jest jakieś takie... niedobre. Posiedzę, popilnuję.

Selena westchnęła rozczarowana i położyła się, a barbarzyńca siadł przy stole.

Bracia Gunderzy przysunęli jedną z ław bliżej pieca, zawinęli się w płaszcze i niemal natychmiast zasnęli. Erhard w zadumie chodził po pokoju, dorzucił dREW do pieca, po czym usiadł przy stole i oświadczył:

— Wiesz co, mnie też się nie chce spać, posiedzą z tobą, dotrzymam ci towarzystwa.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza, zakłócana tylko posapywaniem i pochrapywaniem. Conan siedział, wpatrzony niewidzącymi oczami w ścianę naprzeciwko, i zastanawiał się, jak mogliby pokonać wielką szajkę wilkołaków, która na pewno powita oddział w opuszczonej kaplicy. Nie licząc Seleny, zostało ich siedmiu. Siedmiu przeciwko sześciu dziesiątkom fanatycznych zabójców! Wprawdzie niejaką przewagę zapewnia im miecz Croma — jeśli to rzeczywiście on, ale w sumie wilkołaki mogłyby spokojnie zniszczyć oddział przewagą liczebną. Jest jeszcze szansa zabicia przywódcy z Brythunii, o którym mówił im Jaref, może wtedy pozostali rozproszyliby się. Ale raczej trudno się tego spodziewać.

W takim razie na co my właściwie liczymy? — zastanowił się Conan. Odpowiedzi na swoje pytanie nie znalazł i im dłużej o tym myślał, tym bardziej szalony i niewykonalny wydawało mu się ich zamiar...

Z zadumy wyprowadziło go powściągliwe pochrząkiwanie setnika, który miał już dość przyglądania się zagapionemu w ścianę barbarzyńcy.

— Erhardzie, wiesz coś o tym miejscu? Opowiedz, dobrze? — Conan wrócił już na ziemię. Setnik tylko na to czekał. Jego malutkie szare oczka rozbłyły i Erhard z radością zatarł rękę. Conan z przerażeniem zrozumiał, na co skazał się swoją nie przemyślaną prośbą. Opowiadanie będzie pewnie długie, przeciągnie się nie daj Crom do północy, a może i do rana... Trudno, trzeba się jakoś przemęczyć...

— Myślę, że pogoda się do jutra poprawi i rano będziemy mogli jechać dalej — zaczął zwyczajnie setnik, co Conana nawet lekko zdziwiło. — Ale do nocy czasu mamy dużo, przygotuj się więc i słuchaj.

Ostatnie żalosne nadzieje Cymmerianina roztopiły się jak masło na gorącej patelni. Westchnął z miną skazańca i kiwnął:

— Zaczynaj.

— Kiedyś, jakieś pięć lat temu, Bruwelkton było kwitnącą wioską — zaczął niespiesznie Erhard. — Przebiegała tędy droga do was, do Cymmerii. Górale często schodzili nią w dół, żeby sprzedać skóry i przepiękną broń. Chyba raczej wymienić, zazwyczaj na przedmioty użytku domowego, a w latach głodu najedzenie. Oczywiście ich bezpiecznie oszukiwano, i zdarzało się, że ci, którzy z nimi handlowali, stawali się bogaczami już po jednej jedynej udanej transakcji. Na przykład za wspaniałą miecz dawano worek jęczmienia albo pszenicy.

— Nigdy w życiu żaden Cymmerianin nie zamieniłby broni na worek parszywego ziarna, nawet gdyby zdychał z głodu! — zachnął się Conan.

Erhard wzruszył ramionami:

— Możliwe, że się trochę mylę, ale mniej więcej tak to wyglądało. Najbardziej znany przypadek, to gdy król Brythunii Eldaran zapłacił pięćdziesiąt tysięcy jakiemuś chłopu za miecz cymmeryjskiej roboty. Ciekawe, ile ten miecz kosztował chłopu? Worek kartofli? No, no, nie złość się, tak bywa... Życie w wiosce biegło swoim trybem, dopóki za przełęczą nie pojawili się Czarnolicy. — Erhard zamilkł, żeby pozwolić Conanowi zadać pytanie, ale Cymmerianin siedział w milczeniu pocierając obolały kark. — Gdy już się wyjaśniło, co oni wyprawiają, dla wioski oznaczało to koniec. Pozostała w niej jedna czwarta mieszkańców, reszta albo zginęła, albo uciekła na południe, na bardziej bezpieczne ziemie. Brinvelkton już się nie odrodziło, rok temu porzuciła je ostatnia rodzina. Od tamtej pory występuje tylko na mapach, a ludzie nazywają to miejsce Lo-Salim, tak jak Stefan.

— Co to za jakiś Stefan? — zapytał Conan. Już gdzieś słyszał to imię...

— O, Stefan to żywa legenda Królestwa Kresowego — ze skrywanym zachwytem powiedział Erhard. — Zazwyczaj określają go mianem Króla Opowieści, a raczej potwornych opowieści. To szlachcic, młodszy syna barona Volfera z Zamkowej Skały. Jest tutaj takie miejsce na wschód od Wrót Czaszki. Jak się patrzy z daleka — normalny zamek, z wieżami, otworami strzelniczymi, murami, tylko że nie ludzie go stworzyli, lecz natura. Potomek barona od dzieciństwa uwielbiał opowieści o demonach, duchach i innym plugastwie, a jego niańką została niegdysiejsza aktorka, która tego rodzaju historie mogła opowiadać od rana do wieczora. Po skończeniu osiemnastu lat Stefan, zamiast podtrzymać rodzinną tradycję sławy bojowej baronów Zamkowej Skały na turniejach i wojnach, po prostu uciekł z domu, wyruszył w wędrowną podróż po Kresach i okolicznych krajach, zbierając straszne historie. Z czasem zaczął tworzyć własne i opowiadał je w karczmach i zajazdach. Ludziom się podobały — kto nie lubi posłuchać o potworach siedząc w domu przy ogniu? Stefana wszędzie przyjmowano z radością, wieści o jego sławie dosięgły nawet królewskich uszu. Przyjmował go i Nimed, i Eldaran Brythuńczyk, a w Aquilonii znaleźli się tacy, co zapisują jego opowieści i płacą złotem za każdą nową bajkę... Tylko, że lepiej ich słuchać niż je czytać!

— A ty słyszałeś? — prychnął barbarzyńca. Teraz mu się przypomniało — rok temu w Kordawie plotli coś o jakimś chłopaku z Kresów, który wymyśla okropne historie. Wtedy wszyscy się z tego śmiali, przekonani, że życie często bywa straszniejsze od najkoszmarniejszych opowieści.

— Kiedyś — powiedział z dumą Erhard. — Trzy lata temu, w „Koronie i kosturze”. Wyobrażasz sobie, karczma pełna ludzi, ale żeby chociaż jedna mucha zabręczęła, kiedy Stefan mówi! Opowiadał wtedy o starej wiedźmie i jej malutkim wnuku...

— Miałeś mówić o Brinvelkton — przypomniał mu stanowczo Conan.

— Właśnie do tego zmierzam — obraził się zbity z pantałyku Erhard.

— Coś na to nie wygląda — burknął Cymmerianin.

— Wygląda, wygląda. Chodzi o to, że Stefan zna historię o opuszczonym miasteczku Lo-Salim. Przed nocą nie będę jej opowiadał, zbyt potworna. — Setnik obejrzał się i na wszelki wypadek dotknął wiszącego na szyi talizmanu. — Cała rzecz polega na tym, że miasteczko tylko wyglądało na opuszczone. Gdy zapadała noc, na polowanie wychodzili jego prawdziwi gospodarze — wampiry...

— Eee — powiedział pogardliwie barbarzyńca. — Co to za bajki! Byłem kiedyś w takim mieście, Dżanajdar się nazywa. Uciekałem gdzie pieprz rośnie, jak się gospodarze obudzili... A prawdziwe wampiry żyją w rabiryjskich górach, tylko prawie ich już nie ma.

Conan nieoczekiwanie przyłapał się na myśli, że z żalem wspomina niezwykle spotkanie, które miało miejsce prawie dziesięć lat temu w malutkim zamoryjskim miasteczku na przedgórzach Kezankii. Nazwę miasteczka zapomniał, ale za to zapamiętał sprytną żółtooką dziewczynkę, która urodziła się sto lat temu w Rabirach i wiernie służyła koronie Nemedii. Właściwie do Numalii przywiała Conana nadzieja zobaczenia wszystkich starych znajomych, pamiętających dawne zawadiackie dni... A w efekcie siedzi teraz w opuszczonej wsi, zasypanej śniegiem i słucha bajdurzenia starego setnika!

— Opowiadają — ciągnął tymczasem spokojnie Erhard — że Stefan przypadkiem przejeżdżał obok Bruwelkton, właśnie gdy ono opustoszało. Przejechał się po wsi, rozejrzał i roześmiał. Toż to prawdziwy Lo-Salim, powiedział. Od tamtej pory nikt inaczey tej wsi nie nazywa...

— Jesteś pewien, że nie mieszkają tu prawdziwi gospodarze? — zapytał Conan niby to złowieszczym szeptem. Erhard ostrożnie odchrząknął i z wyrzutem popatrzył na wesołego Cymmerianina:

— Tobie tylko śmichy-chichy w głowie... A mnie ten porządek w domu naprawdę niepokoi.

— W domach — poprawił Cymmerianin, poważniejąc. — Byłem w sąsiednim, tam jest tak samo. Jestem przekonany, że każda ocalała chała jest tak samo czysta i pusta.

— Niedobrze — podsumował posepnie Erhard. W ciepłym domu od razu zrobiło się nieprzyjemnie i wszystkie zasłyszane niegdyś straszne opowieści, z których człowiek śmieje się za dnia, zaczęły stawać się przerażająco realne. Conan przysunął do siebie miecz, a Erhard obrzucił pokój uważnym spojrzeniem, jakby próbował wyjaśnić, czy w ciemnych kątach i pod ławkami ktoś się nie chowa.

— Posłuchaj — przerwał ciszę Cymmerianin. — Jak myślisz, jest tu piwnica?

— Musi być — kiwnął głową Erhard. — A co?

— Rabiryjskim ghulom jest wszystko jedno, czy dzień czy noc, chociaż wolą polować nocą, a w dzień się chowają — powiedział powoli barbarzyńca. — Gospodarze Dżanajdaru mogli wyłazić na zewnątrz tylko w nocy i czekali na jej nadejście w jakiejś bezpiecznej kryjówce, gdzie nie przenika światło.

— Daj spokój — opędził się setnik. — Po co w takim razie domy stoją otwarte na oścież, a na ławach leżą skóry?

— Żeby tacy durnie jak my dali się złapać w pułapkę — rzucił Conan. — Puste izby, pełne dobra i ani jednej żywej duszy wokół... A gdzie, pytam, gospodarze?

— Zamknij się — warknął groźnie Erhard. — I bez twojego gadania mróz chodzi po kościach!

— Proszę bardzo...

Setnik nie mylił się. Gdy rozmawiali, pogoda rzeczywiście się poprawiła. Przestał wyc wiatr, niemal ustała zamieć — rzadkie płatki powoli wirowały i przyłączały się do swoich braci, grubą warstwą otulających ziemię. Chmury rozproszyły się, odsłaniając czarne nocne niebo z wielkim błyszczącymi gwiazdami i powoli płynącym okrągłym białym księżycem.

Conan wyszedł na ganek. Z rozkoszą wdychał zimne świeże powietrze, napływające z pobliskich gór, i z troską pomyślał, że jeśli we wsi napadało śniegu niemal do kolan, to na przełęczy jest pewnie nie lepiej. Przecież oni po prostu nie będą mogli przez nią przejść! Może poprosić Croma, żeby nie było więcej zamieci? Cymmerianin parsknął pod nosem. Surowy bóg z pewnością nie zniżyłby się do wypełniania próśb żalosnych śmiertelników. No i dobrze, sami sobie jakoś poradzimy...

Barbarzyńca spojrział na ciemne góry i nie wiedzieć czemu przypomniał mu się Revald i jego ostrzeżenia odnośnie kosmatych jaszczurek droho. Ciekawe, jak one wyglądają...

Zobaczysz — napłynęła nie wiadomo skąd pewność. Conan skrzywił się i jeszcze raz zerknął na czyste bezchmurne niebo. Jak na złość pełnia, czas wszelkiej siły nieczystej...

Jego rozmyślania przerwał dobiegający z domu głośny trzask i rozpaczliwy krzyk przerażenia. Conan zaklął, obrócił się na pięcie, wyrwał miecz z pochwy i pędem poleciał z powrotem.

Gdyby Stefan mógł zobaczyć to, co zobaczył Conan, na pewno ułożyłby wspaniałą potworną historię, od której słuchaczom włos jeżyłby się na głowie. A barbarzyńca poczuł tylko gorące pragnienie ucieczki.

Podłoga z desek pośrodku pokoju wybrzuszyła się i zatrzeszczała. Z wyrwy wysunęła się zielona łapa pokryta ohydnyimi plamami, przypominającymi trąd, z żółtymi grubymi pazurami, ułamanymi niemal u podstawy, i zaczęta w skupieniu wylamywać deski. Coś rwało się z piwnicy na zewnątrz. Najwidoczniej byli to właśnie nieobecni gospodarze.

Erhard z nienawiścią rąbnął łapę po nadgarstku, miecz jednak z brzękiem odskoczył, omal nie wrywając setnikowi dłoni.

Klinga Conana w dalszym ciągu się nie świeciła, ale uderzenie barbarzyńcy, poparte wściekłym wrzaskiem okazało się bardziej skuteczne — udało mu się nadržąć nadgarstek. Z głębokiej rany pociekła gęsta żółto — zielona ciecz, przypominająca gnój. Kreatura, kryjąca się pod podłogą zaryczała i szarpnęła się na górę. Roztrzaskane deski jak fontanna bryznęły na wszystkie strony i w pokoju pojawił się pierwszy wampir.

Z wyglądu nie był jakoś szczególnie odrażający, ale dość nieprzyjemny: człekopodobny stwór okryty zieloną, plamistą skórą, czerwonymi oczami i idiotycznym uśmieszkiem, demonstrującym rząd krzywych kłów. W dodatku od przybysza śmierdziało jak od kupy świeżego nawozu. Conan mimo woli cofnął się i zatkał nos. Stworzenie zamachało ranną ręką, ze zdumieniem popatrzyło na ciężkie ohydne krople, które z niej kapały, i rzuciło się na Cymmerianina, wyciągając łapy do jego gardła. Z dziury w podłodze tymczasem wyłaził nowy stwór.

Conan nabił potwora na miecz i pchnięciem przewrócił na plecy. Wampir grzmotnął głową o ścianę i osunął się na podłogę niczym worek z otrębami.

Gunderzy, których obudziły krzyki i piski, wskoczyli do pozostałych na piec, który przemienił się w najeżoną mieczami twierdzę. Jednak wampiry nie bały się stali, a z dziury zaczął wyłazić trzeci... Conan popatrzył na podnoszącego się przeciwnika, i gorączkowo próbował sobie przypomnieć, czego boją się wampiry. Pierwsze, co mu przyszło do głowy — kołek osinowy — było do niczego. Gdzie niby miały szukać teraz osiki, nie mówiąc już o tym, że nie rośnie ona w górach... Czosnek? Mieli, ale zjedli. Co jeszcze?

— Srebro! — ryknął nagle Cymmerianin i zaczął grzebać w sakiewce. Wampiry niezadowolone zasyczały. Dwa stwory próbowały dostać się na piec, ale napotkały zdecydowany odpór. Trzeci uśmiechając się lubieżnie popatrywał na Erharda. Od setnika dzielił go tylko stół. A z podłogi ciągle wyłaziły nowe wampiry...

Conan w końcu wyciągnął z sakiewki ciężką monetę i cisnął ją w stronę najbliższego potwora. Talar uderzył znieruchomiałego stwora w nos, przebił czaszkę i z brzękiem uderzył o przeciwległą ścianę. Wampir cienko zakwiczał i klapnął na podłogę, na oczach zdumionych ludzi rozplływając się w dymiącą kałużę gnojówki. Od zapachu, jaki zawisł w izbie, Conan omal nie zwymiotował.

Pokój wypełniły zwycięskie okrzyki i wycie agonii. Vellan wysypał całą zawartość swojej sakiewki na potwora, który uparcie próbował wdrapać się na piec, i wampir ściekł na podłogę jak płynny gnój. Erhard na odlew chlasnął monstrum zdjętym z szyi talizmanem i z zadowoleniem przyglądał się przemianie potwora w śmierdzącą kałużę na wyszorowanej podłodze.

Giliom zapalił pochodnię i zrzucił ją do piwnicy. Słaby płomyk oświetlił puste pomieszczenie z kamiennym sklepieniem, zielone kałuże na podłodze... Conan zaopatrzonego w kilkanaście monet zeskoczył na dół. Piwnica, czego bardzo żałował, okazała się pusta — ani kufrów, ani trumien umazanych ziemią z cmentarza, ani wampirów... Barbarzyńca jeszcze raz się obejrzał, gwizdnął rozczarowany, podskoczył, i chwycił rękami za krawędź włazu. Przyjaciele chwycili go za kurtkę i pomogli mu się wydostać.

— Uuu — Ertel otarł pot z czoła. — Mało w spodnie nie narobiłem ze strachu, gdy zaczęły wyłazić. Gdyby nie nasi wartownicy...

— Daj spokój — przerwał mu Vellan. — Te łajzy tak się rozbijały i darły, że umarłego by obudziły. A w spodnie zawsze zdążysz narobić, bez żadnych wampirów.

— Zdaje się, że teraz dom jest naprawdę do naszej wyłącznej dyspozycji — podsumował Erhard. — Z tutejszymi gospodarzami już się rozprawiliśmy, ale tacy zieloni chłopczkowie z kłami pewnie kryją się w każdej piwnicy. Co robimy?

— O świcie pojedziemy na przełęcz — odpowiedział za wszystkich Conan. — A teraz niech ktoś siądzie na warcie, a reszta idzie spać. — Aby dać przykład innym, położył się na ławce, przykrył niedźwiedzią skórą i błyskawicznie zasnął.

Barbarzyńcy przyśnił się wyjątkowo idiotyczny sen — że stoi na skale, przypominającej zamek, na dole podskakuje tłum wyjących wampirów, a na sąsiedniej skalnej półce siedzi człowiek w średnim wieku i pyta: „No, i jak się z tego wywiniesz? Jesteś bohaterem wszech czasów, i musisz wymyślić jakieś wyjście!”

„Nigdy nie chciałem być bohaterem! — odkrzyknął ze złością Conan. — A ty, kim jesteś? I dlaczego się uśmiechasz?”

„Jestem Stefan. — Człowiek lekko przechylił głowę. — Opowiadam różne historie. A bycie bohaterem to, wybacz, twoje przeznaczenie. Co masz zamiar zrobić?...”

Conan nie dowiedział się, jak skończyła się ta dziwna rozmowa na skale. Obudził go Erhard niedelikatnym szturchnięciem w ramię:

— Wstawaj, słońce już wzeszło, pora jechać.

Żołądek Cymmerianina burczał jak rozzłoszczony kot, domagając się śniadania, ale nie było nic do jedzenia. Kwestia prowiantu stała się teraz najbardziej palącą — jak mają walczyć na głodnego? Jadą wprawdzie na pewną śmierć, ale umieranie z pustym żołądkiem jest znacznie bardziej przykre...

Konie przeżyły tę noc spokojnie — nikt ich nie atakował i porządnie odpoczęły. Nie można było tego powiedzieć o ich panach — Gunderzy i Ertel przesiedzieli całą noc na straży, oczekując nowego ataku, i teraz spali na stojąco.

Wojownicy wyprowadzili zwierzęta z boksów, osiodłali i kłusem pojechali po głównej — i jedynej — ulicy sioła, niegdyś zwanego Brinvelkton, teraz znanego jako Lo-Salim. Mijali różne domy — całe i rozwalone.

— Patrzenie, plac — ostrzegł jadący na przedzie Ertel.

Domy rozstały się i jeźdźcy wypadli na wolną przestrzeń. Ściągnęli wodze, rozglądając się z przestachem. Wokół wyłożonego kamieniami kręgu tłoczyli się wczorajsi goście — zieloni i zębaci. Conan rzucił spojrzenie przez ramię — tak jest, na ulicy również były wampiry. Zamykały im odwrót.

A na samym środku placu, oparty na długim czarnym kosturze z zakończeniem w kształcie rozwartej głowy żmii, stał... Stygijczyk.

Conan pomyślał, że tym razem jednak ma halucynacje. Na wszystkich bogów, skąd w takiej dziurze jak Królestwo Kresowe wziął się Stygijczyk i to jeszcze mag? Jednakże odziany w czarną chlamidę i podbity nitrem płaszcz smagły człowiek nie miał zamiaru rozwiać się jak dym i całkiem realny stał pośrodku placu porzuconej wsi; z zainteresowaniem przyglądał się osłupiałemu oddziałowi i na razie nic nie robił.

Wojownicy wreszcie przestali się dziwić, zdrowy rozsądek nakazywał przyjąć rzeczy takimi, jakimi one są. Ruszyli. Konie powolnym krokiem szły przez plac. Conan ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co widzi. No, żeby to był hyperborejski czarownik, z tej ich przeklętej Białej Ręki albo szaman Piktów... Ale Stygijczyk?

Oddział podjechał do nieznanego i Erhard wstrzymał konia.

— Ej, nie wiesz, co się tu dzieje? — zapytał nieco stropiony setnik. Stygijczyk podniósł na niego wzrok, a potem szybko rzucił okiem na pozostałych. Gdy napotkał spojrzenie barbarzyńcy, ten poczuł, że albo dostanie wylewu, albo oszaleje. Czarne błyszczące oczy młodego człowieka w ciemnej odzieży wyrażały zrozumiałą ciekawość i... dobroć. Dobry Stygijczyk. Z równym powodzeniem można byłoby powiedzieć „żywy trup”, chociaż coś takiego akurat rzeczywiście czasami się zdarza lub na przykład, „czysty Zamoryjczyk” albo „pachnące gówno”. Conan z każdą chwilą czuł się coraz gorzej.

Tymczasem Stygijczyk zadowolony z oględzin odezwał się:

— Zważ mnie Totlant i zajmuję się tu magią praktyczną.

— Że co? — nie zrozumiał Erhard. — Jaką magią?

— Praktyczną — powtórzył spokojnie mag.

— Aaa — z miną znawcy odparł setnik. — Możemy jechać?

— Poczekajcie chwilę — poprosił uprzejmie Stygijczyk.

— Na co? — zainteresował się ostrożnie Vellan.

— Na atak moich wampirów, rzecz jasna — prychnął wesoło Totlant.

— A nie obeszloby się bez tego? — wyjątkowo zgodnym chórem wykrzyknęli Ertel i Vellan.

— Nie, nie — pokręcił głową Stygijczyk. — Nie ma mowy. Naprzód! — Rozkaz odnosił się już do przestępujących z nogi na nogę i szczerzących zęby stworów. Te tylko na to czekały, rozległo się rozdzierające wycie i pierścień wampirów zaczął się szybko zacieśniać.

— Są odporne na działanie słońca! — oznajmił Totlant, który z ojcowską dumą obserwował zbliżające się do oddziału zielone wyjące potwory.

— Niechby nawet na gówno! — zaklął Erhard. — Ileż to srebra trzeba będzie zmarnować przez takiego głupka jak ty! Skąd się tu wzięłeś?

Pierwszy szereg wampirów zbliżał się nieubłaganie, gdy na ich paszcze, oblizujące się na widok pysznego obiadu, spadł srebrny deszcz. Rezultat był ten sam co nocą — rozpaczliwy pisk i śmierdzące dymiące kałuże.

— Nieźle — pokiwał głową Stygijczyk. — Ale my robimy to inaczej.

Skierował swój kostur na najbliższego żywego stwora. Z czubka wystrzelił cienki niebieski promień i na sekundę otoczył potwora obłokiem mgły. Wampir zaczął się przemieniać — jego ciało wyschło, skóra poszarzała, przypominając teraz stary pergamin, i kreatura zaczęła wyglądać jak chodzący szkielet. Totlant z satysfakcją klasnął w dłoń:

— Z wampira robimy chodzącego trupa, któremu niestraszne jest srebro!

Promień szybko przebiegł po pozostałych wampirach. Wojownicy nie mieli zamiaru czekać na efekty, chlasnęli konie lejcami, przerwali łańcuch przemieniających się potworów i pogalopowali po głębokim śniegu, jak najdalej od koszmarnej wsi.

— Dokąd to? — krzyknął złośliwie w ślad za nimi Stygijczyk. — Jeszcze nie skończyliśmy!

Oczywiście, nikt się nie zatrzymał, tylko Ertel odwrócił się i wykrzyknął jakieś przekleństwo. Ożywione trupy przez jakiś czas próbowały gonić uciekających ludzi, ale potem ugrzęzły w śniegu i beznadziejnie zostały w tyle.

Conan odetchnął z ulgą, gdy konie wyniosły ich na drogę, wiodącą do przełęczy. Co za miejsce! Trzeba będzie w drodze powrotnej zajrzeć tu i spalić wszystko do fundamentów!

— No i jak ci się spodobało przedstawienie? — zapytał Ertela Vellan.

— Jedno wielkie gówno! — Skrzywił się Ertel. Potem posepnie dodał: — I dlaczego wszystkie nieprzyjemności spotykają właśnie nas? Wampiry, żywe trupy, i jeszcze stygijski mag na Kresach! Słowo honoru, zwykłe, znajome wilkołaki nadzwyczaj mnie ucieszą!

— No, no — mruknął z niedowierzaniem Brythuńczyk. — Jeszcze zobaczymy...

Konie szły ciężko pod górę, i wkrótce jeźdźcy musieli zsiść i iść obok, prowadząc zmęczone zwierzęta za uzdy. Przed nimi majaczyła przełęcz, ale droga do niej była jeszcze daleka...

... Stygijski mag Totlant odprowadził wzrokiem czmychający oddział, i roześmiał się na cały głos. Gdy się śmiał, wioskę otuliła biała kołysząca się mgła. Gdy się rozwiała, na białej równinie zostały tylko ruiny dawno porzuconych domów i nic więcej. Żadnych pustych, czystych izb, żadnych wampirów ani poruszających się trupów.

Totlant przestał się śmiać, nasunął na głowę kaptur płaszcza i pewnym krokiem ruszył za jeźdźcami, po drodze uśmiechając się do swoich myśli.

IV

Trzy dni po noclegu w Brinvelkton oddział dotarł piechotą na przełęcz — wszystkie konie zabito po drodze. Za to mięsa było teraz pod dostatkiem i Conan znowu poczuł się jak człowiek. Zarozumiale spoglądał na przygnębionych, z trudem idących po głębokim śniegu towarzyszy. Z pełnym żołądkiem Cymmerianinowi nic nie wydawało się straszne, a zwłaszcza góry. W dodatku niebo było pogodne, wiatr słaby, i wspinaczka mogła okazać się przyjemną przechadzką.

— Koniec — ledwo wydusił Erhard, gdy wspięli się na pokrytą śniegiem i lodem przełęcz. — Teraz już tylko kawałek prostej drogi, a potem w dół. Gdy rozprawialiśmy się z Czarnolicymi było lato i doszli tu w ciągu jednego dnia. A teraz wlecemy się jak żółwie, tylko ty skaczesz jak górską kozica... Słuchaj, Conan, i tak ci się nudzi, poleć no do przodu, zobacz, co tam słychać.

— Znaleźli sobie głupiego, żeby latał tam i z powrotem! — roześmiał się Conan. — Lepiej pójde pierwszy, a jak coś wyskoczy, zdążę was ostrzec.

Pozostali nie widzieli w tym nic śmiesznego i z wyraźnym niezadowoleniem patrzyli na radosnego Cymmerianina.

— Rzeczywiście mógłbyś pójść zobaczyć, co się tam dzieje — warknął Ertel, chuchając na zamrożone ręce. — Tutaj i tak nie ma z ciebie żadnego pożytku!

— Pójde, pójde — bez obrazy odrzekł Conan. — A wy się przestańcie wlec!

Szybko ruszył przed siebie, i wkrótce wyprzedził oddział o jakieś trzysta kroków. Dlatego właśnie Conan pierwszy zobaczył droho. Miał szczęście — śnieżnobiała sierść jaszczurki niemal zupełnie zlewała się ze śniegiem, zdradziły ją tylko błyszczące oczy.

Wojownicy mieli wyjątkowego pecha. Na przełęcz polowało stado siedmiu droho. Każdy doświadczony myśliwy zorientowałby się, że siedem jaszczurek na ośmiu ludzi oznacza pewną śmierć dla tych ostatnich...

Conan oparł się o wysoki kamień i obserwował, jak czarne figurki wojowników powoli ciągną po jego śladach. Dziwny ruch z tyłu oddziału sprawił, że Conan stał się czujny, i do bólu w oczach zaczął wpatrywać się w oslepiająco białą gładź.

Tylko nie to, pomyślał. Zdaje się, że moja przepowiednia jednak się spełniła. Droho.

W ślad za wojownikami, kryjąc się za zaspami i kamieniami ostrożnie skradało się wielkie białe stworzenie. Conan rozejrzał się i zauważył dwie inne jaszczurki, jak doświadczeni stratedzy zachodzące z flank. Czwarty zwierz nawet specjalnie się nie krył, podchodził z odległego końca przełęcz. No, z tą da sobie radę.

— Erhard! — jak można najgłośniejsz wrzasnął Cymmerianin. — Okrążają was droho! Szybciej!

Setnik usłyszał. Oddział przyspieszył kroku, spróbował biec. Z boku ich wysiłki wyglądały jak dreptanie w miejscu, ale jednak posuwali się do przodu. Droho, widząc, że zdobycz próbuje uciec, też przyspieszyły, ale Emert szybko wybił im z głowy atak na ludzi. Nie w porę wysunięta zza skały prześladowczyni zarobiła strzałę w oko i konwulsyjnie miotła się na śniegu. Jaszczurki zachodzące z boków zarobiły kilka bolesnych ukłuć, z wściekłością zasyczały i też się zatrzymały. Wojownicy dotarli do głazu, obok którego niedawno odpoczywał Conan, i bez sił padli na śnieg. Wszyscy oprócz Emerta — Bossończyk, mimo że tak samo zmęczony jak pozostali, nadal utrzymywał drapieżniki na dystans. Cymmerianin zszedł na drogę, chciał zająć się tym stworzeniem, które podchodziło od strony doliny.

Ogromna jaszczurka z czarnymi nieruchomymi oczami i zębatą paszczą tak była przyzwyczajona do natychmiastowej ucieczki każdego stworzenia, które zabłąkało się na jej tereny łowieckie, że nieco osłupiała, gdy nieduża dwunoga istota, z wyciem wymachująca

czymś błyszczącym, rzuciła się na nią. Droho z sykiem powoli wycofywała się — nie wiadomo, czego można się spodziewać po takim niezwykłym wrogu.

Conan dobiegł do białego kosmatego stwora i uderzył go w długi pysk. W błyszczących oczach jaszczurki pojawiło się takie zdumienie, że Conan omal się nie roześmiał — widziane to rzeczy, ktoś napadł na biedną jaszczurkę, ktoś ją zranił!

Po kilku następnych ciosach droho nie wytrzymała — odwróciła się i niezgrabnie zaczęła biec po zboczu. Rozsądek podpowiedział jej słusznie, że życie droższe jest od zdobyczy. Barbarzyńca nie miał zamiaru uganiać się za bezmózgim stworzeniem i wrócił do kamienia. Oddział czał się obok głazu, nieopodal krążyły dwie droho, od czasu do czasu sycząc z wściekłością.

— No i co? — zapytał Cymmerianina Erhard.

— Nic dobrego — wzruszył ramionami Conan. — Trzeba stąd zjeżdżać. Jedno bydlę odpędziłem, ale kto wie, ile ich tu się jeszcze kryje?

Wojownicy powoli poszli drogą, a jaszczurki w pełnej szacunku odległości szły za nimi — wiedziały już, co to takiego strzały. Śniegu na drodze robiło się coraz mniej, wojownikom lżej się szło, ale droho cały czas im towarzyszyły. Próbowali je atakować, ale nic z tego nie wyszło — mądre stworzenia szybko odbiegały na bezpieczną odległość, a potem kontynuowały swą wędrówkę.

— Za tamtym kamieniem zaczyna się zejście — oznajmił zmęczonym tonem Erhard, ocierając pot z czoła. — Prawie jesteśmy na miejscu.

Za wskazanym przez setnika kamieniem już na nich czekano. Wielka zaspą okazała się pełznącą droho. Zęby jaszczurki kłapnęły niemal przed samą twarzą Erharda.

— Tam jest jeszcze jedna! — wrzasnął Vellan, wskazując w lewo, gdzie zza kamieni wychodził kolejny śnieżny potwór.

— Otoczyły nas... — zduszonym głosem powiedział Ertel.

Co najmniej pięć jaszczurek nadciągało ze wszystkich stron. Najwyraźniej szykowały się już na pyszną obfitą kolację ze świeżej człeczyny.

— Do skał! Spróbujemy się bronić — zakomenderował Conan. Oddział ustawił się półkolem przed wysoką granitową skałą, wystawiając przed siebie miecze. Droho zbliżały się powoli, ale bezlitośnie. Były absolutnie pewne, że teraz już zdobycz nigdzie im nie umknie.

— Conan! — zawołał niegłośno Erhard. — Nie wydaje ci się, że pod nami coś trzeszczy?

Barbarzyńca zaczął nasłuchiwać — rzeczywiście, z dołu dobiegał niegłośny, ale wyraźny chrzęst.

— No i co z tego? — zbagatelizował sprawę Conan. — Żebyśmy tylko my nie zaczęli zaraz chrzęścić...

— Jakoś podej...

Cichy, ledwo słyszalny dźwięk przemienił się w głośny trzask i na oczach zdumionych jaszczurek ich obiad zapadł się pod ziemię.

Na początku rozległy się jęki. O różnym natężeniu i, jeśli można się tak wyrazić, różnej jakości. Powoli zastąpiły je okrzyki, stękanie i wreszcie ludzka mowa.

— Wszyscy żyją? — Drżący głos najprawdopodobniej należał do Vellana.

Conan pechowo wylądował na prawym boku, w którym coś wyraźnie zachrzęściło. Dlatego nie był do końca przekonany o swojej zdolności do życia i uczciwie odpowiedział:

— Prawie...

— Jak to prawie? — dobiegło z ciemności. — Częściowo żyjesz?

— Słuchajcie, będę was wywoływał po kolei — zaproponował rozsądnie Vellan. — Conan?

— Jestem. — Barbarzyńca usilnie masował bok.

— Erhard?

— Tutaj — zacharczał pełen bóleści głos. — Czyj tyłek się tu na mnie rozsiadł?

- Pewnie mój — odezwał się z jakiegoś kąta głos Ertela.
- Nie, ty siedzisz na mnie — uspokoił go Vellan. — Bądź tak dobry i zejdź. Gart, Giliom...
- Tutaj, tutaj — odkrzyknęli Gunderzy.
- A więc to Gart usadowił się na moich plecach? — zawarczał setnik.
- Przepraszam, dowódcu, tak wyszło... — wymamrotał Gart.
- Emert!
- Jestem — głos Bossończyka był jak zwykle spokojny.
- Selena?
- Żyję, żyję — odezwała się ze złością dziewczyna. Wkrótce Conan poczuł się znacznie lepiej. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, która wcale nie była tak nieprzenikniona, jak mu się początkowo wydawało — z góry przez dziurę wpadały promienie słońca.

Barbarzyńca zobaczył, że oddział jest na dnie wielkiej, wyrąbanej w kamieniu studni z jednym czerniejącym wyjściem, prowadzącym nie wiadomo dokąd. Cymmerianin pomacał ścianę i zrozumiał, że nikomu się uda się po niej wspiąć, nawet zręcznemu Vellanowi — pod palcami czuł wypolerowany gładki kamień, bez jednej szczeliny, o którą można by się zaczepić. No cóż, mogło być gorzej. Na przykład na dole mogło znajdować się jeziorko wrzącej lawy albo legowisko droho. A tak bardzo prawdopodobne, że spadli prosto w porzucone gnomie wyrobisko. Żeby jeszcze gdzieś niedaleko byli jacyś żywi ludzie... to znaczy gnomy...

Conan już wcześniej miał do czynienia z mieszkańcami podziemi. Nie za bardzo lubił wspominać swój pierwszy kontakt z nimi. Trafił wtedy na początkującego awanturnika, jakim sam wówczas był, a wspólna próba oczyszczenia gnomich skarbców nie zakończyła się powodzeniem.

Drugie spotkanie wypadło znacznie lepiej, jeśli nie liczyć faktu, że na trzy dni zostało poważnie zakłócone spokojne życie handlowego miasteczka Sultanapura i wybito mnóstwo ludzi, którzy pętali się pod nogami. Cymmerianin przez czysty przypadek wpakował się w historię poszukiwań ukradzionego skarbu górskiego plemienia, co w efekcie przyniosło poważne nieprzyjemności i jemu osobiście, i pozostałym zamieszonym w to ludziom. Ta historia miała jedną pozytywną stronę — barbarzyńca poznał wtedy półgnoma o imieniu Moraddin, byłego kapitana tajnej gwardii turańskiego króla, wyrzuconego z wojska z powodu intryg zawistników przeciwko nadzorcy kopalni miedzi. Moraddin był, zdaniem Conana, najlepszym wojownikiem od Vilayetu do Zachodniego oceanu... Barbarzyńca i potomek gnomów zaprzyjaźnili się i długo podróżowali razem.

Gdy przyjaciele rozstali się (a było to mniej więcej dwanaście lat temu) Moraddin został w Belwerusie na dworze króla Nimedda. Conan doskonale wiedział, że syn członka rady starszych, Grojna z Kezankii, zajmuje tam dość wysokie stanowisko i znowu pracuje w Tajnej Służbie. Mówiono, że Moraddin odpowiadał za bezpieczeństwo tronu i państwa, i stał się jednym z najbardziej zaufanych zauszników króla. Cóż, zawsze był piekielnie zdolny. Doskonale walczył mieczem, a i jego łepetyna działała znacznie lepiej niż u zwykłego rębajły...

Ale to wszystko przeszłość. Pytanie brzmi, co robić teraz? Pójść prowadzącym w głąb góry korytarzem, w nadziei, że natrafiana kogoś z miejscowych mieszkańców? Gnomy nie za bardzo lubią nieproszonych gości, zwłaszcza ludzi, jednak nie będą raczej przelewać krwi w swoim własnym domu. Wyrzucić na zbity pysk — proszę bardzo, ale może uda im się dogadać? Zwłaszcza, jeśli tutaj dotarły słuchy o tej dawnej historii w Turanie...

Krótko mówiąc, nie ma co łamać sobie głowy, robimy pochodnię i tuptamy przed siebie, a dalej się zobaczy, co i jak.

— Hej, który ma pochodnię? — zapytał Conan.

— Ja — odezwał się Giliom i jak można było sądzić po odgłosach, zaczął grzebać w worku. Zanim Cymmerianin doczłapał do niego, potykając się o porozrzucane wszędzie kamienie, Gunder już skrzesał iskrę i na koniuszku zatłuszczonej szmatki zatrzepotał jaskrawy pomarańczowy ognek. Conan wziął pochodnię, podniósł ją nad głowę i jadowicie zapytał:

— No, co, długo macie zamiar się wylegiwać?

Słowa Cymmerianina poskutkowały. Wojownicy z postękiwaniem zaczęli wstawać, brali zapalone pochodnie i ustawiali się szeregu. Ostatnia wstała Selena i kulejąc zamknęła szyć. Mężczyźni jednak nie ufali jej na tyle, żeby powierzać tak odpowiedzialne miejsce w ariergardzie i przesunęli ją na środek. Ostatni stanął Vellan.

— Wszyscy gotowi? — zapytał Cymmerianin.

— Gotowi... — W głosach ludzi brzmiało przygnębienie, ale teraz nie miało to znaczenia.

Przez jakiś czas korytarz, którym szli był jedyny, ale niedługo zaczęły go przecinać inne. Z niektórych przejść buchał żar kuźni, na sufitach migotały słabe odblaski dalekich ognii, i Conan nasłuchując mógł nawet rozróżnić uderzenia młota. Z innych, przeciwnie, ciągnęło lodowatym chłodem. Możliwe, że prowadziły gdzieś na powierzchnię, ale wojownicy woleli nie ryzykować — a nuż korytarz skończy się nagle skalną półką nad bezdenną przepaścią?

Przeszli tak spory kawałek drogi i nikogo nie spotkali. Barbarzyńca zaczął się już obawiać, że trzeba będzie zawrócić i znaleźć wyjście z podziemi. Ominęli kilka dyszących żarem tuneli i skręcili w jeden wyglądający całkiem zwyczajnie. Nie szli długo — mniej więcej po pięćdziesięciu krokach korytarz łagodnie skręcił, przeszedł w schody i zakończył się półokrągłą pustą salą oświetloną umocowanymi na ścianach oliwnymi lampami. W ścianach znajdowało się pięć okutych żelazem masywnych drzwi. Conan ze zdumieniem popatrzył na nie i odwrócił się do Erharda:

— Doszliśmy... Szkoda, że nie wiadomo dokąd. No co, zastukamy jak kulturalni ludzie? Do których?

— Wyjdą gospodarze i dadzą nam po karku — natychmiast wtrącił się Ertel.

— Zamknij się — burknął setnik. — Nie wszystko jedno, gdzie zastukamy? Spróbuj choćby w prawe.

Cymmerianin podszedł do wybranych przez Erharda drzwi i stanowczo uderzył w nie ręką miecza. Drzwi zadźwięczały, ale nie miały zamiaru się otworzyć. Barbarzyńca zawahał się, załomotał znowu. Głusi czy co? A może nikogo nie ma w domu?

— Dlaczego dobijasz się do mojego skarbcza, człowieku? Myślisz, że sam cię wpuści?

Osiem głów jednocześnie odwróciło się i osiem par oczu utkwilo w podziemnym mieszkańcu, który podszedł niezauważony. Nikt nie miał wątpliwości, że patrzy na gнома.

Gnom był wysoki — jego głowa sięgała Conanowi do piersi — prawie kwadratowy, z potężnie umięśnionymi włochatymi rękami, wiszącymi niemal do kolan, z gęstą czarną brodą, połączoną ze stertą nieuczesanych włosów w tym samym kolorze. Ubrany był tylko w skórzany osmalony fartuch z kupą błyszczących instrumentów, poupychanych po licznych kieszeniach. Krótko mówiąc, gnom wyglądał bardzo imponująco, i sprawił, że ludzie mimo woli cofnęli się.

— Jak się tu w ogóle znaleźliście? — zapytał zdumiony mieszkaniec podziemia. — Zresztą o tym jeszcze zdążymy pogadać. Skoro już tu jesteście, bądźcie moimi gośćmi. Drzwi pośrodku to pokój stołowy. Wejdźcie, rozgośćcie się, przebiorę się i zaraz przyjdę.

Conan nieco się zdziwił podobnej reakcji — był pewien, że zaraz zleci się cały tłum gnomów i wyrzucą nieproszonych gości z podziemi. Posłuchał jednak polecenia. Ciężkie grube drzwi lekko się przekręciły na nasmarowanych zawiasach. Wojownicy weszli i niezgrabnie usiedli na kamiennych ławach wokół owalnego kamiennego stołu, miejsce u szczytu pozostawiając gospodarzowi. Urządzenie pokoju obliczono na gnomów — dla ludzi wszystko było trochę za niskie, ale nikt nie robił z tego problemu.

Ludzie nie zdążyli się usadowić wygodnie na twardych ławach i zastanowić, co mają robić dalej, gdy na progu pojawił się gnom. Wyglądał tak elegancko, że Selena aż cichutko krzyknęła.

Mieszkaniec podziemia miał na sobie ciemnoniebieski kaftan, wyszywany w złote liście i przepasany szerokim pasem, z błyszczącymi różnokolorowymi kamieniami na sprzączce. Spodnie też miał niebieskie, na nogach skórzane buty z wygiętymi noskami, a na ufryzowane

włosy zawadiacko nasunięty beret z długim piórem. W obu rękach gnom niósł uroczyście tacę z potrawami. Postawił ją na stole, znowu zniknął, po czym wrócił z dwiema kolejnymi tacami. Teraz stół był już kompletnie nakryty.

— Jeśli wam to nie sprawi kłopotu, to w tamtej szafeczce są talerze, łyżki i widelce — zwrócił się spokojnie do swoich gości. Gdy Vellan, Gart i Selena biegali do szafki i z powrotem, na stole pojawiły się trzy okazałe butelki z żółtego szkła, wypełnione jakąś przezroczystą cieczą. Wszystkich, nie wyłączając Conana, zastanowiła ich zawartość, ale tylko Cymmerianin nie dał tego po sobie poznać.

— Poznajmy się. — Gnom usiadł na swoim miejscu i ściągnął z głowy beret. — Nazywam się Fram, syn Darta, mój przydomek — Posepny...

Ludzie po kolei przedstawili się.

— Aż się prosi o toast za znajomość — uśmiechnął się gnom. Wyciągnął korek z butelki i rozlał tajemniczą ciecz do kieliszków. Conan ostrożnie powąchał — zapach przypominał aromat białego wina, tylko był dużo mocniejszy. Co oni tu piją?

— Co to jest, czcigodny Framie? — zapytał Cymmerianin.

— Wódka — padła krótka, acz nie zupełnie zrozumiała odpowiedź. — U was na górze tego nie ma?

— Nie, tylko piwo i wino...

— Macie pecha. — Gnom pokręcił głową ze współczuciem. — A co się tyczy piwa...

Wstał, poszedł w głąb pokoju i wrócił z niewielką beczką.

— Kto chce, niech spróbuje tego. To wasze, ludzkie, z Brythunii. A właśnie, lepiej żeby kobieta wódki nie piła.

Selena otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale napotkała wzrok wujka i zamilkła. Musiała zadowolić się piwem. Pozostali wzniesli kielichy z przezroczystym nieznanym napitkiem.

— Ostatnia rada: pijcie jednym haustem — powiedział Fram. — Wasze zdrowie! — I wychylił kielich. Ludzie, obserwujący jego ruchy, zrobili to samo.

Conan miał wrażenie, że przez pomyłkę wypił ciekły ołów albo coś jeszcze gorszego. W gardle wybuchł mu ogień, nie mógł oddychać... Cymmerianin zakrzuszył się i sięgnął do najbliższego talerza po kawałek mięsa.

— Ledwie udało mi się złapać oddech — przyznał się po chwili. — Jak można pić coś takiego?

— Kwestia przyzwyczajenia — oznajmił gnom, żwawo pałaszujący jadło. — A teraz opowiedzcie, jak tu trafiliście.

— Najpierw powiedz, czym nas napiłeś — zażądał posepnym głosem Ertel, któremu łzy stanęły w oczach. — To jakaś trucizna...

— Przecież mówię, zwykła wódka. Skondensowane wino — powtórzył ze zdumieniem gnom. — Bierzesz funt cukru na funt dobrej pszenicy i gotujesz, zostawiasz, żeby sfermentowało, potem filtrujesz i tak dalej...

— Po co gnomom taka trucizna? — zainteresował się Vellan, który z trudem doszedł do siebie.

— Piwo na nas nie działa — pokręcił głową Fram. — Mnie na przykład, żeby się upić, tej beczułki byłoby za mało. A wódka jest mocna, wystarczy pół butelki. I przyjemniej, czujecie ciepło?

Czuli. Z żołądka powoli unosiły się leniwe fale, otulające ludzi sennością. Conan zrozumiał, że zaraz się upije, i rzucił się najedzenie. Gdy on jadł, Erhard opowiadał Framowi, jak trafili do podziemi. Gnom wysłuchał opowieści setnika i ze złością klepnął się po biodrze:

— Tyle razy mówiłem, że trzeba lepiej tłumić odgłosy w starych kopalniach! To ciągle słyszę: wszystko jest w porządku, nie ma obawy! — Fram najwyraźniej kogoś przedrzeźniał. — Mielicie szczęście, że sobie kości nie połamaliście! Wypijmy jeszcze po jednym — za wasz ratunek!

Tym razem Conan przezornie nalał sobie tylko pół kieliszka. Wypili, zakąsili, i Fram dalej wypytywał:

— A co was napadło, żeby włóczyć się po Graaskalu, i to jeszcze zimą?

— Słyszeliście o Czarnolicych? — odpowiedział pytaniem na pytanie Erhard, któremu już zaczynał się plątać język.

— Słyszeliśmy i widzieliśmy — kiwnął głową gnom. — Wcześniej tu niedaleko stała ich świątynia, ale rok temu zburzyli ją ludzie.

— Zburzyć zburzyli, ale pojawiła się w niej nowa siła nieczysta — wilkołaki.

— A, te... — Fram skrzywił się. — Pętają się tam i z powrotem, wyją po całych nocach, w pracy przeszkadzają... Żli są na nich nasi starsi!

Erhard momentalnie wytrzeźwiał.

— Czy wy... — zaczął ostrożnie setnik — nie pomoglibyście nam rozprawić się z nimi?

— O to nie mnie pytajcie — wzruszył barczystymi ramionami gnom. — Najlepiej idźcie do starszyny. Ale tam zaprowadzę was jutro, a teraz... Wypijemy jeszcze po jednym?

Conan czuł, że zasypia. Głowa mu ciążyła, i przez cały czas chciała opaść na pierś, ale Cymmerianin mężnie wypił również trzeci kieliszek... Potem zrobiło mu się wszystko jedno.

W ślad za nim przy stole zasnęli również pozostali. Fram wziął opróżnioną do połowy butelkę i osuszył ją trzema potężnymi łykami, a następnie również ulokował się obok stołu i zapadł w sen. Potężne chrapanie gнома zagłuszyło inne dźwięki.

Kiedy Conan obudził się i z trudem otworzył oczy, poczuł koszmarny ból głowy. Takiego kaca nie miał już dawno — nawet pijaństwa w „Koronie i kosturze” nie mogły się z nim równać — i już nigdy nie chciał przeżywać. Na dodatek zrobiło mu się niedobrze.

W cichej nadziei pomacał ręką dookoła siebie i znalazł szyjkę dzbana. W nim, chwała wszystkim bogom, jacy tylko istnieją, było piwo. Kilka łyków i hucząca głowa zaczęła powoli wracać do normy. Barbarzyńca spostrzegł, że leży w nieznanej komnacie, przykryty białą puszystą skórą, podejrzenie przypominającą skórę droho. Fakt, że kompletnie nie pamiętał, jak się tu znalazł, nie zdziwił go. Zresztą, wydarzenia wczorajszej kolacji również tonęły w alkoholowych oparach. Czym ich ten łądak gnom napoił?

Po kilku następnych łykach Conan z trudem usiadł i rozejrzył się. W pokoju były jeszcze trzy łóża: na jednym pojękiwał przez sen Erhard, na drugim jak nieprzytomny worek z kośćmi leżał Ertel, a na trzecim cicho posapywał Emert. U wezgłowia każdego łóża stał dzban z piwem. Przewidujący gospodarz zatroszczył się o swoich gości.

Cymmerianin, od czasu do czasu przypinając się do swojego dzbana, chwiejnie wyszedł z pokoju i znalazł się w znajomej półokrągłej sali. Obudzony żołądek barbarzyńcy głośno zaprotestował przeciwko zalewaniu go od rana piwem bez zakąski i Conan wyruszył na poszukiwanie czegoś do zjedzenia.

W sali stołowej, gdzie wczoraj tak wesoło świętowano znajomość, siedział przy stole Fram, pożerający obfite śniadanie. Wyraźnie ucieszył się na widok kompana. Gnom nie miał zamiaru odrywać się od swojego zajęcia, pomachał Conanowi na powitanie i gestem wskazał sąsiednią ławę. Cymmerianin był mu za to niezwykle wdzięczny, bo na razie nie mógł rozmawiać. Dopiero po kilku kawałkach świeżo podsmażonego mięsa i talerzu pysznych placków barbarzyńca otarł usta rękawem i zadowolony beknął:

— No, teraz można żyć...

— W takim razie pogadajmy — zaproponował gnom, wyciągając spod stołu kufel piwa. — Jesteś, o ile zrozumiałem, Cymmerianinem, a wasz naród słynie z kowalskich mistrzów. Może wiesz coś, co by mi się przydało?

— Prawie nic — przyznał się uczciwie Conan. — Mój ojciec był niezłym kowalem, jako chłopiec pomagałem mu, ale od tamtej pory minęło wiele czasu, a ja włóczyłem się po różnych krajach. Przecież jestem najemnikiem...

— Rozumiem — powiedział lekko rozczarowany Fram. — Trudno... Chcesz popatrzeć na świątynię, o której rozmawialiśmy wczoraj?

— To niedaleko stąd? — Conan próbował się zorientować, ile zdołali wczoraj przejść i wyszło mu, że do kaplicy Czarnolichych został jeszcze spory kawałek drogi.

— Nie pójdziemy do świątyni, tylko do okna, z którego jest doskonale widoczna — wyjaśnił gnom. — Okno jest obok.

Wyszli na korytarz, którym wczoraj przyszedł oddział. Fram powiedział, że ten tunel jest ich głównym traktem.

— Spadliście do kopalni pod wieczór, gdy robota wszędzie już się prawie zakończyła — wyjaśniał mu po drodze Fram. — Dlatego nikogo nie spotkaliście. Zazwyczaj kręci się tu mnóstwo gnomów.

Jakby na potwierdzenie jego słów, obok nich co chwila przechodziły grupki spieszących dokądś podziemnych mieszkańców. Niektórzy zatrzymywali się, żeby przywitać się z Framem i zerkali przy tym na barbarzyńcę. Nie wykazywali jednak zbytniego zdumienia, jakby wałęsający się po jaskiniach człowiek był najzwyczajszym zjawiskiem. Gdy zaskoczony Conan powiedział o tym Framowi, gnom zdziwił się jeszcze bardziej niż człowiek:

— Za kogo ty nas uważasz, za dzikie zwierzęta? To właśnie twoi rodacy napsuli nam najwięcej krwi, zwłaszcza ci, którzy ciągle próbują dostać się do naszych skarbów...

— Przepraszam, czcigodny, nie przyszło mi to do głowy... — wymamrotał zawstydzony Cymmerianin. Pomyślał, że sam też należał do zainteresowanych zawartością gnomich skarbców, dopóki nie pojął, że to beznadziejna sprawa, i lepiej odwiedzać skarbcie ludzi.

— Nieważne — Fram skrzywił się i machnął ręką. — Zdarza się. Teraz w prawo.

Skręcili w boczny korytarz i po trzystu krokach znaleźli się w malutkim pokoiku, oświetlonym promieniami słońca padającymi przez wyrąbane w suficie wąskie okna. Najwidoczniej pokój znajdował się na zboczu góry. Pod jedną ze ścian stało dziwne urządzenie, błyszczące wypolerowanymi miedzianymi i brązowymi częściami. Z wnętrza urządzenia wysuwały się dwie grube drewniane rury połączone miedzianymi pierścieniami. Jedna zagłębiała się w kamienną ścianę, obok drugiej stał nieznajomy rudobrody gnom, który z uwagą wpatrywał się w środek. Fram uprzejmie, ale stanowczo odsunął go, sam zajrzał do rury i zaczął kręcić przymocowanymi z boku malutkimi kółeczkami, co spowodowało, że rura płynnie przesunęła się w lewo.

— Tak, tak, aha... — mamrotał Fram. — Oto ona! Popatrz sobie.

Conan z niedowierzaniem podszedł do rury, wewnątrz której, jak się okazało, błyszczało coś szklanego.

Niemożliwe!

Przez sekundę wydało mu się, że jakimś cudem został przeniesiony poza górę, ale gdy się obejrzał, wszystko było jak przedtem: i malutki pokój, i Fram, i niepojęte błyszczące urządzenie. Jednak, gdy spojrzął ponownie, znowu z bliska zobaczył czarne ruiny.

W niewielkiej dolinie, zawalonej wysokimi zaspami śniegu, sterczały okopcone kamienne resztki ni to niedużej twierdzy, ni to świątyni. Pierwotnie budowla miała cztery niewysokie wieżyczki, połączone murami i ogradzające wielki, zwieńczony kopułą budynek. Drewniany strop kopuły był spalony i zawalił się do środka. Kilka ocalałych belek sterczało na zewnątrz, jak wyłamane żebra zdechłego zwierzęcia. Frontowa ściana runęła, jedna z wieżyczek również. Pozostałe znajdowały się w różnym stopniu zniszczenia. Nad ruinami krążyło stado jakichś ciemnych dużych ptaków, ale jakich, tego nie można było dojrzeć.

Coś niepokoilo Conana w tym niewesołym obrazie ogólnego spustoszenia. Brakowało jakiegoś ważnego szczegółu, tylko jakiego?

— Na Croma! — Wreszcie dotarło do niego, czego właściwie szukał. — Odeszły!

— Kto? — zapytał Fram, też patrząc przez rurę.

— Wilkołaki oczywiście! — odpowiedział rozdrażniony Cymmerianin. — Zmyły się, łajdaki! I gdzie ich teraz szukać?

— Nie denerwuj się — uspokoił barbarzyńcę gnom. — Nie przechodziły przez przełęcz, muszą więc się kryć gdzieś niedaleko w górach.

— A toś mnie pocieszył! — odciął się Conan. — Graaskal to takie maleństwo, w jeden dzień go można oblecieć!

— Nie gorączkuj się na próżno — mitygował go gnom. — Z tej doliny prowadzą dwie drogi — na północ i na wschód. Iść na północ to samobójstwo nawet dla wilkołaka. Tam nie ma żadnego zwierzęcia, na które można by zapolować, za to pełno jest przepaści, schodzących lodowców, można spaść w rozpadlinę albo utonąć w głębokim śniegu. Stawiam szlifowany diament przeciwko podartemu trzewikowi, że poszli na wschód. Wyżej w górach zachowało się jeszcze kilka ruin świątyń dużo bardziej starożytnych niż ta tutaj. My tam nie chodzimy — tam czuje się drżącą Moc, złą i okrutną. Myślę, że wasze wilkołaki, jeśli jakimś cudem wywęszyły za sobą pogoń, zaryzykowały i schowały się właśnie tam.

— Miejmy nadzieję — burknął zmartwiony Cymmerianin. Rzeczywiście, wspaniała rozrywka — łązić po zdradzieckich zimowych górach w towarzystwie droho i innych żarłocznych gadzin, i szukać, w jaką szczelinę schowały się plugawe stwory!

— Chodźmy — zaproponował gnom. — Wasi już się pewnie obudzili. Dzisiaj będzie rada starszych, na pewno zgodzą się jakoś pomóc ludziom zniszczyć zło w naszych górach. Torir — przewodniczący rady — jest bardzo zły na wilkołaki, bo niedawno odnalazły jeden ze skarbców jego rodziny i wyczyściły go do samego dna, nawet najmniejszego kamyczka nie zostawiły... Torir potem przez dziesięć dni chodził zielony ze złości. — Fram cichutko zachichotał w brodę.

Towarzysze Conana rzeczywiście dawno się obudzili i w pełnym składzie siedzieli teraz w pokoju stołowym. Dopijali resztki piwa, kończyli śniadanie i cierpieli na kaca. Ten zresztą szybko minął, zwłaszcza gdy Fram oznajmił o czekającej ich wyprawie do rady starszych podziemnego narodu.

Gnom przebrał się, założył beret i uprzejmie poprosił ludzi, żeby zostawili tutaj broń, ponieważ u władców należy zjawiać się bez złych zamiarów, a ludziom jako gościom jaskiń nic nie grozi. Dusza Conana głośno protestowała przeciwko nawet krótkiemu rozstaniu się z Rangildorem, ale w końcu z westchnieniem położył miecz i kindżał na kamienną ławę. Poczekajcie tu na mnie, pomyślał smutno. Pomimo rozstania z bronią nie poczuł, żeby coś w nim zmieniło się na lepsze. W niewesołym mrocznym nastroju Cymmerianin kroczył po mrocznym korytarzu u lewego boku przewodnika. Myślami był już w Aquilonii, na granicy Pustkowiec Piktów, gdzie wszystko jest proste i zrozumiałe, nie ma żadnych wilkołaków, gnomów ani innego tałatajstwa. Widział też w wyobraźni wygodny i piękny dom Moraddina, stojący na obrzeżach nemedyjskiej stolicy...

Krok po kroku oddział i jego przewodnik zagłębiali się we wnętrze góry, zbliżając się do serca siedliska gnomów. Główna droga nie stawała się ani trochę ładniejsza — przez cały czas ten sam polerowany szary kamień i lśniące ciemne przejścia. Ludzie i gnom szli dość długo. Fram wreszcie skręcił w lewo i zaczął schodzić po szerokich schodach. Przeszli pod ogromną arką, przypominającą splecione gałęzie dwóch pochylonych drzew i weszli do pomieszczenia, nazywanego przez gnomy Salą Siedmiu Królów.

Stojący na progu ludzie dostrzegli najpierw miękkie zielone światło, sączące się z licznych lamp. Ściany sali były wyłożone malachitem. Podwójny rząd ciemnoczerwonych jaspisowych kolumn prowadził gości do ogromnego postumentu z jednolitej bazaltowej bryły, na którym znajdowało się sześć, stojących na różnej wysokości, drewnianych tronów pokrytych rzeźbą i pozłotą. Siódmy tron — wyrąbany z szarego z żółtymi żyłkami granitu bez żadnych ozdób — stał na samej górze.

Wszystkie trony zajmowały gnomy w podeszłym wieku z długimi siwymi brodami. Ich żywe, uważne oczy bacznie przyglądały się nieproszonym gościom. Fram i ludzie pokłonili się. Starsi w odpowiedzi lekko opuścili głowy, dając do zrozumienia, że przyjęli oznakę szacunku. Pierwszy odezwał się gnom siedzący w najniższym rzędzie po lewej stronie:

— Czego chcecie od podziemnego narodu, ludzie?

Za ogólną zgodą pertraktacje miał prowadzić Conan. Prosił go tylko o jedno — żeby chwilę pomyślał, zanim zacznie mówić.

— Trafiliśmy przypadkiem do waszych podziemi — zaczął — ale gdy dowiedzieliśmy się, że wy również macie nieprzyjemności z powodu osiedlenia się na powierzchni wilkołaków, chcieliśmy zaproponować wam współdziałanie przeciwko tym stworzeniom. — I wiedząc, że tym można przeciągnąć na swoją stronę każdego gнома, Cymmerianin jakby mimochodem dodał: — Słyszeliśmy, że wilkołaki was ograbiły...

Twarz gнома zasiadającego na najwyższym tronie lekko się wykrzywiła i ostro zapytał:

— Co zatem proponujesz, człowieku? W górach kryje się co najmniej sześćdziesiąt wilków, zmieniających się w ludzi, a was... — obrzucił malutki oddział pobłażliwym spojrzeniem — was jest zaledwie ośmiu.

— Mieliśmy zamiar odszukać kryjówkę wilkołaków i z pomocą waszych wspaniałych wojowników zniszczyć je raz na zawsze! — Conan trzeźwo pomyślał, że szczypta pochlebstwa nie zaszkodzi, a pogłoski o niepokonanej armii gnomów krążyły po wszystkich krajach, od wschodu do zachodu. Inna sprawa, że nikt tej armii nie widział w akcji od przeszło dwustu lat.

— Nie interesuje nas państwo ludzi — oświadczył zdecydowanie przywódca gnomów i nie zwracając uwagi na wyciągnięte twarze wojowników, ciągnął: — Ale swojej domeny będziemy bronić zawsze i wszędzie.

Przez jakiś czas w sali panowała pełna napięcia cisza. Wszyscy czekali na decyzję przewodniczącego podziemnego plemienia, zajmującego granitowy tron. Conan współczuł mu w duchu. — chyba niewygodnie tyle czasu siedzieć na zimnym kamieniu. I tylek pewnie później boli...

— Ilu wojowników potrzebujecie? — zadał nieoczekiwane pytanie gnom. Conan nie zastanawiał się nad odpowiedzią:

— Pięćdziesięciu. Albo więcej. Ale myślę, że z taką liczbą też sobie damy radę.

— Dostaniecie stu hirdmanów — postanowił przywódca. — I damy wam Oko. Gdy znajdziecie legowisko wilkołaków za pomocą Oka natychmiast prześlecie nam prośbę o pomoc. Wojsko dojdzie podziemnymi tunelami do potrzebnego miejsca i nie będziecie musieli się więcej o nic martwić.

Starsi podnieśli swoje kostury i trzy razy jednocześnie zastukali nimi w bazaltową podłogę. Z ostatnim uderzeniem przewodniczący rady obwieścił:

— Niech się tak stanie w imię naszego Przedwiecznego Kowala i Wielkiego Długobrodego Ojca, naszego prarodzica!

— Niech się stanie — burknął półgłosem Conan. Oczywiście obiecana pomoc była nie bez znaczenia, ale trzeba jeszcze odszukać wśród zasypanych śniegiem gór te półwilki.

. Na tym się zakończyła audiencja. Przed wyjściem z sali na oddział czekał stary przygarbiony gnom, ściskający w rękach niewielką szkatułkę z ciemnego drewna, inkrustowaną szlachetnymi kamieniami. W szkatułce było matowosrebrne jajo, nieco większe od kurzego, wykonane z jakiegoś zagadkowego materiału przypominającego kamień, perłę czy może metal.

— To Oko — zamlaskał wargami gnom, wręczając ludziom błyszczące jajo. W dotyku okazało się ciepłe i lekko wibrowało, jakby w środku było coś żywego. — Strzeżcie go. Gdy dotrzecie na miejsce, rozbijcie je, ale w żadnym wypadku nie wcześniej!

Dziwny przedmiot z odpowiednią ostrożnością został położony do skórzanego woreczka. Wojownicy obiecali nie spuszczać z niego oka ani w dzień, ani w nocy.

Oddział wracał tym samym korytarzem. Rozprawiali, na ile ułatwi, czy też, przeciwnie, utrudni to wszystko ich zadanie. Conan nagle zamilkł w pół słowa, stanął jak wryty, a na jego twarzy pojawił się wyraz, wróżący czyjaś nieuchronną (i raczej niezbyt szybką) śmierć.

Ujrzał przed sobą dwa potężne gnomy, wlokące opierające się i histerycznie chichoczące stworzenie, obdarte i brudne, z obłąkanym błyskiem oczu. I chociaż stworzenie słabo przypominało człowieka, chociaż ta niegdyś wymuskana spiczasta bródka przemieniła się w gęste splecione brodzisko, a sam człowiek wyglądał jak zapuszczony żebrak, Cymmerianin rozpoznał go bezbłędnie.

— Omal... — wyszeptał barbarzyńca, czując że zmienia się w zwierzę, nie, po prostu wariuje z wściekłości. — Omal! — Teraz to był już dziki ryk. Świadkowie rozpięchli się na boki. — Zabiję! Ty wyrodku Seta!

Ochroniarze próbowali zasłonić swojego jeńca przed pędzącym oszalałym człowiekiem, ale z równym powodzeniem mogli próbować powstrzymać lawinę. Conan dwoma uderzeniami odrzucił oba gnomy i zacisnął ręce na chudej szyi byłego dowódcy ochrony karawany.

— Do Nergala, łajdaku!

W oczach Turańczyka pojawił się błysk zrozumienia, natychmiast zastąpiony dzikim przerażeniem. Cymmerianin nie żartował grożąc, że udusi go gołymi rękami. Omal zacharczał, zaczął się miotać, jak wyciągnięta na brzeg ryba, na próżno próbował się wyrwać, po chwili bezwolnie obwisł, wywalając na brodę posiniąły język.

Conan już chciał skrócić mu szyję, gdy na kark barbarzyńcy spadła czyjaś ciężka pięść. Po kilku chwilach ręce Cymmerianina rozwarły się, barbarzyńca zachwiał się i upadł na wznak. Wypuszczony Oma charcząc i chrypiąc odpełznął pod ścianę i zwinął się w kłębek.

— Taak — wyjęczał jeden z gnomów i potarł szczękę, na której po bliskim kontakcie ze ścianą czerwieniał ogromny siniak. — Skąd się wziął ten szaleniec? Jeńca by udusił!

— Czcigodny Framie, nie zabiłeś go przypadkiem? — zapytał z niepokojem Erhard, przysiadając obok nieprzytomnego Cymmerianina.

— Żeby takiego zabić albo chociaż uszkodzić trzeba by uderzyć moim młotem — machnął ręką gnom. — Zaraz się zerwie i znowu polecą w bójkę. Ciekawe, dlaczego mu się tak nie spodobał ten typ?

Jakby na potwierdzenie słów Framy, Conan poruszył się, coś niewyraźnie zamamrotał i otworzył oczy, pytając:

— Chłopaki, co to, już rano?

— Środek dnia — odpowiedział uprzejmie gnom. — Pora na obiad... Ej, trzymajcie go!

Ale Cymmerianin już odzyskał przytomność. Tak jak przewidział Fram, Conan znowu rzucił się do skulonego na podłodze Omala, ciągnąc za sobą wczepionego w jego ubranie gнома. Erhard i Vellan zawiśli na ramionach barbarzyńcy i wspólnym wysiłkiem udało im się utrzymać Conana w miejscu.

W barbarzyńcę jakby demon wstąpił — pluł śliną, kłął, obiecywał, że wszystkich potnie na rzemienie, jak się tylko wyrwie... Fram pomyślał z niepokojem, czy nie palnąc oszalałego Cymmerianina jeszcze raz po karku. Ale żadna głowa, nawet cymmeryjska, nie jest w stanie dwa razy pod rząd wytrzymać ciosu pięści gнома.

Sytuację uratował Erhard, który nieoczekiwanie silnie potrząsnął barbarzyńcą i zmusił go do odwrócenia się i zamilknięcia.

— Posłuchaj. Conanie — bardzo spokojnie i przekonująco zaczął setnik. — Jeśli natychmiast się nie uspokoisz, zwiążemy cię. Możesz wierzyć, że nam się uda. A potem poprosimy naszych drogich gospodarzy, żeby wrzucili cię do jakiejś porzuconej kopalni. Posiedzisz tam dzień, dwa i uspokoisz się. No?

— Już dawno trzeba było to zrobić — mruknął Ertel. — Tylko nie na dzień. Lepiej go nie wypuszczać aż do śmierci. Spokojniej będzie...

Conan szarpnął się, popatrzył na Erharda nienawidzącymi oczami, potem nieoczekiwanie przestał się wyrywać i pośepnie zażądał:

— Puśćcie mnie. Dobrze, nie zabiję go. Na razie...

— Mądry chłopak — pochwalił Cymmerianina setnik. — Tylko ty, czcigodny Framie, potrzyмай go jeszcze chwilę, na wszelki wypadek.

Erhard i Vellan ostrożnie cofnęli się, ale barbarzyńca nie ruszył się z miejsca. Omal, który przez cały ten czas przytulał się do ściany, jakby próbując wcisnąć się w nią, wstał niepewnie, chwiejnie podszedł do Conana i z dołu zajrzał mu w twarz. Cymmerianin zaryczał przez zaciśnięte zęby:

— Zabierzcie ode mnie tego padalca, bo nie ręczę za siebie!

Omala nadal bacznie przyglądał się barbarzyńcy, chociaż gnomy–ochroniarze ciągnęli go za sobą. Nagle zaczął szybko mamrotać:

— Wiem, szukasz wilkołaków. Takich dużych kosmatych stworów, z płonącymi oczami, z ostrymi zębami i pazurami... Chowają się w górach, Omala widział to miejsce... Chcesz, żebym cię zaprowadził?

Conan osłupiał. Ten szalony Turańczyk chyba wiedział, gdzie jest legowisko potworów. W takim razie zemstę można by odłożyć na później...

— Wiesz, gdzie są wilkołaki? — nie wierząc własnym uszom powtórzył Cymmerianin. — Możesz nas tam zaprowadzić?

Omala energicznie kiwnął głową — szalony czy nie, doskonale rozumiał, o co go pytają. Z jego niemytych włosów posypał się grad wszy. Kilka owadów upadło na spódnię Conana i ten z obrzydzeniem strzepnął je dłonią.

— Fram, wystarczy, nie musisz mnie już trzymać. Powiedziałem, że go nie ruszę!

Gnom zawahał się i puścił Cymmerianina. Conan przeszedł się tam i z powrotem po korytarzu, rozluźniając mięśnie i specjalnie nie zwracając uwagi na mamroczonego coś Omala.

— Gdzie go złapaliście? — zapytał ochroniarzy Conan. — I co chcecie z nim zrobić?

— Szedł przez przełęcz — odezwał się jeden z gnomów. — Pytaliśmy go dziesiątki razy, ale nie umiał powiedzieć, skąd się wziął w górach. A teraz chcemy go umyć i ostrzyć, jest zawszony jak bezpański pies!

— Przyprowadźcie go potem do Framy — poprosił setnik. — Zdaje się, że ten człowiek może nam się przydać.

— Dobrze. Idziemy, idziemy! — Strażnicy popchnęli jeńca, który już się nie sprzeciwiał i przycichł, i poprowadzili go dalej korytarzem.

V

Nad Graaskalem wschodziło słońce. Nieprzystępne górskie szczyty chłodno lśniły w jego ostrych promieniach. Conanowi, który dopiero wyszedł z półmroku gnomich podziemi na zaśnieżoną przestrzeń doliny, gdzie stała opuszczona świątynia, wydały się po prostu oślepiające. Zmrużył oczy i rozdrażniony popatrzył w niebo. Dobra pogoda zupełnie go dzisiaj nie cieszyła.

— Patrz, Vellanie, barbarzyńca złości się na słońce — usłyszał Conan za plecami jadowity jak zwykle głos Ertela. Cymmerianin od rana miał kiepski humor i dlatego gwałtownie odwrócił się do kpiarza, z zamiarem wymierzenia mu solidnego kopniaka. Jednak uśmiechnięty od ucha do ucha Ertel zdążył odskoczyć na bezpieczną odległość.

— Pościgamy się? — zaproponował, oglądając się na ewentualną drogę ucieczki. — Zakład, że mnie nie dogonisz?

Conan zgrzytnął zębami, pochylił się i wziął garść śniegu.

— Nie miałbym co robić, tylko biegać za tobą... — burknął barbarzyńca, a jego ręce w tym czasie lepity okazały śnieżkę. Ertel podejrzewał, że barbarzyńca coś szykuje, ale nie zdążył się uchylić. Cymmerianin z brzydkim uśmiechem niemal bez rozmachu cisnął swój pocisk, gdy tylko niepokorny żartowniś się odwrócił. Twarz Ertela dokładnie zalepił mokry śnieg, a on sam zaskoczony zrobił kilka kroków do tyłu, zachwiał się i runął w zaspę, z której natychmiast dobiegły niezrozumiałe przekleństwa, zagłuszone głośnym śmiechem i radami:

— Emert, oddaj barbarzyńcy swój łuk, ma lepsze oko niż ty!

— Conan, dlaczego nie rzucałeś śnieżkami w wampiry? Talent skrywałeś, co?

— Ertel, jak ci tam? Ej, patrzcie, on nawet nie może nic powiedzieć!

Ertel w końcu usiadł, otrzepał się ze wściekłością i zgiął ręce w nieprzyzwoitym geście.

Poprzedniego dnia wieczorem Fram oświadczył, że idzie razem z ludźmi. Oddział długo i usilnie próbował mu to odradzić, strasząc różnymi niebezpieczeństwami, ale gnom nie dał się przekonać. Ze swoich bezdennych kufrów wyciągnął miękka i giętka kolczugę, wykonaną z błyszczącego, przypominającego srebro metalu. Vellan natychmiast zainteresował się, po co gnomowi srebrna kolczuga — ochrona przed złymi duchami? Fram uśmiechnął się zagadkowo pod nosem i odparł, że zbroja wcale nie jest srebrna. Od razu posypały się pytania, ale gnom je ignorował.

Potem Fram uzbroił się w groźnie wyglądający topór na długiej rękojeści, Broń robiła jeszcze większe wrażenie niż pamiętna siekiera Halmuna. Złośliwy Ertel natychmiast poradził gospodarzowi jaskini, aby zabrał ze sobą swój wspaniały młot. Fram lekko się zdziwił i zadał całkiem rozsądne, ale zupełnie niestosowne w rozmowie z wielkim gadułą pytanie: po co?

Ertel tylko na to czekał. Zrobił zamyśloną minę, i pobłażliwym tonem rozpoczął wyjaśnienia:

— Czcigodny, swoim toporem zdołasz zabić może z pięciu ludzi, a młotem wyślesz do piekła co najmniej dziesięciu... Zważ, o ile korzystniej jest mieć dwa rodzaje broni!

Gnom rozumiał, że to kpiny, ale wyglądało na to, że się nie obraził. Przeciwnie, podziękował Ertelowi za tak pożyteczną radę i poprosił o pozwolenie uściśnięcia jego ręki w dowód wdzięczności. Nie dostrzegając chytrych iskierek w oczach gнома, Ertel z dumnym uśmiechem wyciągnął dłoń. Gnom leciutko ścisnął cienkie palce człowieka w swojej włochatej łapie.

Ertel nagle przestał się uśmiechać, zbladł i przygryzł dolną wargę, walcząc z pragnieniem krzyku. Palce gнома, przywykłe do gięcia stali, mogły bez specjalnego trudu zmiażdżyć ludzkie kości. Dłoń dowcipnisia była uwieczona niczym w imadle, żadnych szans na wyrwanie się.

Gnom patrzył Ertelowi w oczy i ścisnął rękę coraz silniej.

— Litości... — wyjąkał w końcu Ertel i Fram puścił jego dłoń.

— No. Na przyszłość najpierw pomyśl, a dopiero potem gadaj.

Ertel machał ręką, mamrocząc coś pod nosem. Po słowach gnoma nie wytrzymał i zaczął wrzeszczeć. Potok bezładnych przekleństw chlusnął na mieszkańca podziemi, ledwie go nie topiąc.

— Ty kamienny potworku! Myślisz, że jesteś najsilniejszy, co? Obyś wlaź w tyłek Nergala, ty bydlaku podziemny! A ja... A ja... — dalej nastąpiły takie drastyczne i wyszukane przekleństwa, że Vellan parsknął zdziwiony, nachylił się do Conana i szepnął:

— Wiesz, gdy straciłeś na polanie miecz, wydawało mi się, że słyszałem już wszystkie przekleństwa. Wygląda na to, że się myliłem.

Conan kiwnął głową. Na twarzy Framy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Gdy Ertel wreszcie osłabł, gnom z nie udawanym przerażeniem obejrzał się:

— Chwała Kowalowi! Myślałem, że zaraz góry runą. Ze wstydu...

— Ertel, prześcignąłeś nawet mnie — uśmiechnął się Cymmerianin, próbując palcem ostrość Rangildora. Klingą w dalszym ciągu można się było golić.

— Żeby tak ciebie ścisnął! — odciął się Ertel. — Posłuchałbym, co wtedy powiesz! — I zły jak tysiąc głodnych demonów, odwrócił się i zaczął grzebać w swoim podróznym worku, w dalszym ciągu przeklinając, ale bardzo cicho.

Conan z zadowoleniem pomyślał, że Ertel się teraz uspokoi. Przynajmniej na jakiś czas...

Rzeczywiście, żartowniś milczał obrażony, ale tylko do wyjścia z podziemi. Gdy tylko promyk zimowego słońca musnął jego posępną twarz, poweselał, uśmiechnął się i już chwili zaczął kpić z Conana i znowu zarobił śnieżką w twarz.

— No, Cymmerianinie — wyszczał Ertel, gdy tylko udało mu się wyleźć z zasy i wypluć śnieg z ust. — Poczekaj!

Żartowniś przypominał nastroszonego i mokrego, ale gotowego do bójki koguta. Conan prychnął, z chrzęstem wyprostował ramiona i poruszał pięściami.

— Czy dostąpię zaszczytu walki z tobą, o wielki? — Kwiecisty styl krajów wschodu barbarzyńca poznał jeszcze za czasów służby w turańskiej gwardii i czasem udawało mu się błysnąć.

— Że co? — Ertel z osłupienia nawet przestał się otrzępywać. Przysłuchujący się Vellan otwarcie zachichotał. Cymmerianin, przeklinając w duchu tępotę otoczenia, nie będącego w stanie docenić tego arcydzieła sztuki oratorskiej, ryknął:

— Będziesz się bił, łotrze, czy nie?

— Aa, mów tak od razu — powiedział Ertel. — A nie jakieś tam „dostąpię zaszczytu”... Jakbym nie wiedział, że sam czegoś takiego w życiu byś nie wymyślił.

— Za to oberwiesz dodatkowo — obiecał barbarzyńca i pochylił się po kolejną porcję śniegu.

— Dobra, dobra — machnął prawą ręką Ertel, wyraźnie nie mając ochoty na żadne „dodatki”. Lewą rękę przez cały czas trzymał za plecami. — Nie będę z tobą walczył. Jeszcze nie oszalałem.

— Rozumiem... — Rozczarowany Cymmerianin odwrócił się i melancholijnie strzepnął śnieg z dłoni. Stojący nieopodal Erhard z wyrzutem popatrzył najpierw na barbarzyńcę, potem na siostrzeńca.

— Jak słowo daję, dorosłe chłopcy, a zachowują się jak dzieci — warknął. — Idziemy, trzeba jeszcze obejrzyć kaplicę. Roboty mamy po uszy!

— Dobrze, wujku. — Ertel pokornie opuścił głowę i nieoczekiwanie wyrzucił do przodu lewą rękę. — Masz!

Cymmerianin, który spodziewał się tego, lekko się uchylił i odsunął się w lewo.

Z gardła Ertela wyrwał się krzyk złości, który przemienił się w pisk nie udawanego przerażenia. Twarz Erharda, stojącego za Conanem, była zalepiona mokrym śniegiem. Ostrymi

ruchami setnik otrzepał się i ze złością popatrzył na siostrzeńca. Gdyby wzrok mógł zabijać, z Ertela pozostałaby kupka spopielenych kości.

— Wujku, przysięgam na Mitrę, nie chciałem... — Pod groźnym spojrzeniem Erharda żartowniś pobladł i cofnął się. Nie zapomniał ciężkiej ręki starszego krewniaka i jego głos wyraźnie zadrżał. — Nie chciałem, celowałem w barbarzyńcę...

— Zamknij się — wysyczał ledwo powstrzymujący się sernik. — Wszyscy ustawić się dwójkami w kolumnę i za mną marsz! — Stał jako pierwszy, za nim chichoczący Conan i Emert. Dalej szli w milczeniu Gunderzy, przycichły Ertel z Seleną, Vellan i Fram. Omal początkowo, śliniąc się i mamrocząc coś bez związku, włókł się za oddziałem, ale potem setnik zawołał go, a Vellan pomógł mu przyspieszyć kroku porządnym kopniakiem. Podobnymi kopniakami Vellan częstował co jakiś czas człapiącego przed nim Ertela, bo uważał go za winowajcę wszystkich porannych nieprzyjemności. Ertel odwracał się i rzucał Vellanowi ponure spojrzenia, ale bał się przekląć czy oddać kopniaka. Setnik był wściekle zły i mógł, nie dochodząc, kto zaczął, stłuc wrednego i nieposłusznego siostrzeńca na kwaśne jabłko...

Vellan nie zwracał uwagi na groźne spojrzenia Ertela; z niewinną miną spoglądał na jasnynie niebo i białe obłoki. Od czasu do czasu patrzył na Ertela błękitnymi, pełnymi wyrzutu oczami i zerkał na idącego obok barczystego, sękatego gнома. Ertel nie dał się nabrać, tylko ukradkiem pokazał Brythuńczykowi pięść.

Ale to nie pomogło. Wystarczyło, że się odwrócił, gdy jego miękkie miejsce poniżej pleców znowu zostało dotkliwie uderzone podkutym butem. Ertel prawie zawył, ale w porę przypomniał sobie o ciężkiej ręce wujaszka i zgrzytnął zębami. Dosyć, Brythuńczyku, żyjesz tylko do pierwszego postoju... Wtedy ci za wszystko zapłacę, pomyślał.

Oczyma wyobraźni Ertel zobaczył malownicze obrazy pod wspólnym tytułem: „Dziesięć męczeńskich śmierci Vellana”. Było tam „Własnoręczne uduszenie przeklętego Brythuńczyka”, oraz „Vellan na palu”, i nawet „Odrąbanie głowy przyjaciela tępym mieczem”... Im dalej, tym bardziej okrutna i wymyślna stawała się kaźń. Na twarzy Ertela pojawił się drapieżny uśmiech. Tak się rozmarzył, że nie zauważył, jak oddział się zatrzymał, i z rozmachu zarył nosem w wyblakły płaszcz Garta. Gunder odwrócił się i widząc, że nikt nie patrzy w jego stronę, wymierzył Ertelowi solidnego kopniaka. — Żebyś o babach nie myślał, jak idziesz! — wyszeptał. Ty też mi zapłacisz, szczeniaku, — pomyślał posepnie Ertel i rozejrzał się.

Okazało się, że gdy Ertel rozprawiał się w myślach z Vellanem, doszli do ruin świątyni i stali przed cudem ocalałym wejściem.

Świątynia bardzo ucierpiała w czasie pożaru wznieszonego przez wojowników króla Damalla. Kopuła zawałiła się, przysypując kawałkami desek i kamieni główną salę i ołtarz. Ruiny dwóch przednich wieżyczek zagroziły wąskie chodniki wiodące do dwóch pozostałych. Białe nigdy marmur poczerniał od sadzy.

Wszystko to Conan spostrzegł, gdy wszedł pod sklepienie dawnych wrót, i dalej na wewnętrzny podwórzec. Nad wrotami wisiała zachowana maska z obsydianu — symbol Boga o Czarnej Twarzy. Boga, który nie zdołał obronić swoich czcicieli...

— Przyznaję. Nie mogłem — zabrzmiał czyjś cichy, zadziwiająco przyjemny baryton. Conan aż podskoczył ze zdziwienia i szybko rozejrzał się na boki. Nikogo nie było. Chyba mi się zdawało, albo nasi rozmawiają, uspokoił sam siebie barbarzyńca.

— Nie, nie zdawało ci się — powiedział ten sam cichy i smutny głos. Conan znowu się obejrzał. Jego towarzysze przez cały czas byli na zewnątrz, nie decydując się wejść pod okopcone kamienie arki. Nie, oni są cicho. W takim razie z kim on rozmawia?

— Erhardzie! Przestańcie tam dreptać jak tchórzliwe muły! — krzyknął rozdrażniony Cymmerianin. — Obejdźcie budynek dookoła, poszukajcie śladów. Jak się uda, to wejdźcie do wieży. A ja na razie rozejrzę się tutaj.

Erhard pomachał ręką, że się zgadza, podzielił wojowników na dwie części i razem z Emertem, Seleną i Framem poszedł w prawą stronę. Pozostali skręcili w lewo.

Wtedy właśnie Ertel zemścił się, z nawiązką odpłacając Gartowi za kopniaka. Gunder nie zdążył zrobić kroku do przodu, gdy główny rozrabiaka oddziału zręcznie podstawił mu nogę, pchnął go i Gart poleciał głową w śnieg. Winowajca z dumnie uniesioną głową wyminął poszkodowanego, radząc mu, żeby nauczył się porządnie chodzić.

Rozwścieczony Gart wyskoczył z zasy, zacisnął pięści, ale Giliom przytrzymał go za ramię, a Vellan poklepał po plecach ze słowami:

— Nie bój się, wiosna przyjdzie, gówno spłynie. I na naszej ulicy będzie święto. Kiedyś.

Młodszy Gunder szarpnął ramieniem i wyburczał, że do tego czasu na pewno zdąży się zestarzeć, a może nawet legnie już w grobie.

Ertel tymczasem skrył się za fragmentami ściany i stamtąd doleciał jego niezadowolony głos:

— No, co tam z wami? Kto mnie będzie osłaniał, co?

— Już ja cię osłonię — wyszczerzył zęby Gart, wyłamując palce. — Tak cię osłonię, że długo popamiętasz...

— Dość — nieoczekiwanie twardo powiedział Giliom. — Ty pierwszy go zaczepiłeś, a on tylko ci oddał. Nie ma teraz czasu na kłótnie. Jesteśmy jednym oddziałem, a wy z Ertelem zaczynacie się na siebie obrażać. Jak skończymy z wilkołakami — możesz mu mordę obiść, a na razie naprzód!

Po tej wyjątkowo długiej jak na niego przemowie Giliom odwrócił się gwałtownie i zaczął doganiać Ertela. Gart stał osłupiały z otwartymi ustami. Vellan skrzywił się i warknął:

— Ale mnie nikt nie zabroni pożartować.

— Aa tam — machnął ręką Gart. — Lepiej chodźmy. Może on ma rację...

Popatrzyli na siebie i pobiegli w ślad za Giliomem, skacząc przez okopcone kamienie byłej ściany świątyni.

Conan upewnił się, że jego towarzysze poszli, i zapytał otaczających go czarnych ścian:

— Kto się tu wygłupia? No, pokaż się!

Może nie trzeba było tego mówić, nie należało niepokoić starych widm, ale za późno już na odwrót...

Po jego słowach zapadła cisza, a potem nieśmiały i lekko stropiony głos zapytał:

— Naprawdę chcesz mnie zobaczyć?

Cymmerianina nieco zdziwiły obyczaje miejscowych widm, ale twardo oświadczył:

— Oczywiście! Nie lubię rozmawiać ze ścianami.

Z pokrytych sadzą kamieni naprzeciwko barbarzyńcy wyłonił się niemłody człowiek z ogoloną głową i twarzą wymazaną czymś czarnym, jakby węglem. Widmo miało na sobie prostą czarną riasę do pięt i bez rękawów, przepasaną zwykłym lnianym sznurkiem. W prawej ręce ścisnęło ciężki kostur bez żadnych ozdób.

Przez jakiś czas człowiek i widmo przyglądali się sobie w milczeniu.

Wygląda zupełnie jak żywy, pomyślał zdumiony Cymmerianin, bacznie oglądając nieznajomego. Barbarzyńca zaczął coś podejrzewać i zapragnął dotknąć widma. Tak na wszelki wypadek.

— Nie warto — przerwała milczenie zjawa. — W pewnym sensie jestem jeszcze żywy i gdy mnie dotkniesz, poczujesz ciało...

— Pozwól, że sam się przekonam. — Nieufność, jak wiadomo, pojawiła się na długo przed Cymmerianami. Widmo z niezadowolaniem wydeło wargi i w milczeniu wyciągnęło do Conana lewą rękę, jakby do pocałunku. Barbarzyńca najpierw chciał się obrazić, potem nieznacznie splunął, wreszcie dotknął suchej starczej skóry. Natychmiast z sykiem oderwał rękę i zaczął wymachiwać nią w powietrzu.

Ręka nieznanego była parząco zimna, palce Conana pokryły się szronem. Cymmerianin wył i potrząsał odmrożoną ręką, aż wreszcie widmo dotknęło jej swoim kosturem. Szron błyskawicznie stał, ból minął, ręka znowu stała się zdrowa i ciepła.

— Przecież uprzedzałem — powiedziało ze smutkiem widmo, popatrując na barbarzyńcę z miną winowajcy.

— Nie jesteś żywy — powiedział Conan. — Jesteś zimniejszy od lodu!

— Niestety, mylisz się — pokręciło głową widmo.

— Gadaj zdrow — mruknął Cymmerianin. — Przecież sprawdziłem.

— Nie przerywaj mi — poprosiła sucho zjawa. — Wiem, po co przyszlście do mojego domu, znam cel waszej wyprawy. Chcę... chcę wam trochę pomóc.

— Niemożliwe — powiedział drwiąco Conan, udając, że bacznie ogląda brudną ścianę za plecami widma.

— Zdaje się, że prosiłem, żebyś mi nie przerywał — powtórzył nieznanomy. Pod jego udawanym spokojem kryła się narastająca wściekłość i Conan zrozumiał, że najbardziej rozsądną rzeczą, jaką może zrobić, to zamknąć się. A kto go tam, tego zimnego, wie... Jeszcze go dotknie... Cymmerianin nie miał najmniejszej ochoty zamienić się w lodowy posąg.

— Już milczę — rzucił ugodowo. Podniósł ręce i zamienił się w słuch.

— Ciekawe — głos widma ociekał złośliwością — dlaczego, gdy traktuje się ludzi dobrze, to cię nie słuchają, gotowi cię opluć, albo obrzucić... mm... śmierdzącymi jajkami. Ale wystarczy zagrozić, huknąć — i proszę! Uważni, skupieni, słowa z ust spijają. No, Cymmerianinie, nie wiesz, czemu tak jest?

Conan przestępował z nogi na nogę i wpatrywał się w kamienną posadzkę pokrytą zawijasami pęknięć. Wreszcie zaczął coś mruzczyć pod nosem, próbując usprawiedliwić przed widmem całą ludzkość.

— Co? — zapytało widmo. — Nie słyszę. Podnieś głowę, powiedz wyraźnie i głośno.

— Odczep się — nie wytrzymał Cymmerianin. — Umiesz czytać w myślach, to sobie poczytaj! A w ogóle, to my, ludzie, już tacy jesteśmy!

— Dobrze — skinęło widmo. — O czym to ja mówiłem? Pomogę wam, jeśli zdołam...

— Jeśli zdołasz! — burknął półgłosem Conan.

— A ty wysłuchasz mojej historii, a raczej spowiedzi — nie zwracając uwagi na replikę barbarzyńcy dokończyło widmo. — Zgodą?

— Umowa stoi — odezwał się Cymmerianin.

— Żeby nam nikt nie przeszkadzał, udamy się w pewne ciche miejsce. Będiesz tam nawet mógł sobie podjeść i popić...

— Zaczną mnie szukać — przypomniał barbarzyńca i obejrzał oglądając się, czy nie wrócił ktoś z oddziału. Ale do świątyni nikt nie wchodził i nawet głosów nie było słyhać.

— Nie przejmuj się — uspokoiło go widmo. — Nawet gdyby nasza rozmowa trwała cały rok, dotrzesz tu z powrotem, zanim słońce zdąży się przesunąć o jeden palec.

— Tak szybko wrócę? — Cymmerianin mimo woli zdziwił się i od razu poczuł się jak kompletny dureń.

— Idziemy — widmo podeszło do ściany i zniknęło. Conan ostrożnie stanął przed poczerniałym marmurem i pomacał go w tym miejscu, w którym rozplynęła się zjawa. Palce nie napotkały żadnego oporu i zanurzyły się w kamieniu niczym w wodzie.

— To czary, niech będą przeklęte! — Conan nie lubił magii i miał ku temu powody. Ilu czarowników zginęło od jego miecza, poczynając od Yarry... Gdyby zrobił listę, na pewno zajęłaby kilkanaście długich zwojów pergaminu. Barbarzyńca uśmiechnął się, jego ręka ciągle jeszcze była do połowy zanurzona w ścianie. Okazuje się, że co miesiąc do tej smutnej listy dołącza jeden, a czasem nawet dwóch czarnoksiężników... Skąd ich się tyłu bierze?

Jego rozmyślania przerwało ostre szarpnięcie za rękę. Conan próbował oprzeć się o ścianę, ale dłoń napotkała pustkę. Przeklinając swoją beztroskę, barbarzyńca znalazł się w jakimś niekończącym się ciemnym korytarzu.

Gdy Cymmerianin zniknął w ścianie, przed wejściem rozległy się czyjeś szybkie kroki, zaskrzypiał śnieg. Dźwięki przybliżyły się i wkrótce pod sklepienie wszedł Emert. Bossończyk obejrzał się podejrzliwie, pomacał zimną ścianę. Dziwne, wydawało mu się, że słyszy głos Conana, a tu pusto. Pewnie barbarzyńca wszedł na jedną z ocalałych wieżyczek, a skoro się nie spotkali, musiał skrócić w lewo, do Vellana i kompanii.

Emert odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia, na spotkanie zaglądnącemu do świątyni słońcu. Nagle za jego plecami brzęknęło o kamień żelazo. Bossończyk odwrócił się... W jego stronę szybkim krokiem szedł... Conan. Łucznik ze zdumieniem potrząsnął głową i skonsternowany podrapał złamany nos.

— Nie bój się, to ja — uspokoił go Cymmerianin, podchodząc bliżej. — Nie uwierzysz, gdzie przed chwilą byłem!

Emerta niewiele rzeczy mogło zdziwić, ale teraz temu przekłętemu barbarzyńcy się to udało.

— Sam nie wierzę — przyznał się uczciwie Conan. — Posłuchaj...

Conan leciał przez czerń tak nieprzeniknioną, że aż kłuła w oczy. Dookoła nie było słychać ani jednego dźwięku, wszystkie zmysły człowieka jednocześnie przestały działać. Conan zdążył pomyśleć, że tak zapewne widzi świat nowo narodzone zwierzę albo człowiek, gdy umiera. Nagle w oczy uderzyło go oślepiające białe światło i przez jakiś czas barbarzyńca macał rękami dookoła siebie, ale palce łapały tylko powietrze. Wreszcie wzrok powoli zaczął powracać. Cymmerianin znalazł się w wielkiej jasnej komnacie, usłanej wzorzystymi, miękkimi, puszystymi kobierzcami. Na ścianach wisiały białe skóry, wcześniej zapewne należące do droho. Pośrodku komnaty stał niski długi stół z czerwonego drewna z nóżkami w kształcie słoni z uniesionymi trąbami. Vendhyjska robota, pomyślał Conan. Przy stoliku naprzeciwko siebie stały dwie niziutkie, zasypane pasiastymi poduszkami kanapy. Na jednej z nich już usadowił się gospodarz.

Chociaż nie, „usadowił” nie jest zbyt trafnym określeniem. Widmo przysiadło sztywno na brzeжку, wyglądając jakby połknęło kij. Na widok Conana widmo serdecznie, acz słabo zamachało ręką, zapraszając barbarzyńcę do zajęcia wolnego łoża.

Cymmerianin wiedział, że w Turanie niektórzy wielmoże, i nawet biedniejsi ludzie, wolą jadać na leżąco, ale uważał ten zwyczaj za głupi i postanowił zwyczajnie usiąść. Nie odważył się przejść po puszystych dywanach w podkutych, ubłoconych i zaśnieżonych butach, szybko więc je zrzucił i podszedł do stołu na bosaka. Włosie przyjemnie łaskotało grube podeszwy barbarzyńcy. W połowie drogi nachylił się i pomacał kobierzec. Zapewne przywieziono go z Iranistanu, ale takich rysunków Conan nigdy nie widział. Różnokolorowe kwadraciki włożone jeden w drugi... Ciekawe, czy coś oznaczają? Conan usiadł na poduszkach i popatrzył pytająco na pusty stół przed sobą. Czarna twarz widma lekko się uśmiechnęła, gospodarz klasnął w dłonie i na stole pojawiło się jadło. Po szybkich oględzinach barbarzyńca stwierdził, że nie jest tego zbyt dużo, za to wybór bez zarzutu.

Przed Conanem stał wielki półmisek z kawałkami pieczonej szwiny, obok gotowany w miodzie pstrąg, połyskujący srebrzystym w czarne plamki grzbietem. Dwa gliniane malowane garnki: w jednym sądząc po zapachu zupa na podrobach, w drugim — z baraniną, ryżem i pomarańczowymi krążkami marchwi. Talerz pszenicznych placków i głęboka filiżanka miodu, kilka plecionych koszyków z owocami... Grzebiąc w nich bezceremonialnie, Conan znalazł pomarańcze wielkości pięści, małe czerwone jabłka, gruszki, kiście przezroczystych winogron, długie żółte owoce z Czarnych Królestw... Tamtejsi mieszkańcy nazywają je chyba bananami. Conan przypomniał sobie, jak kiedyś przez dziesięć dni żywił się tylko nimi, uciekając przed ludojadami Darfara, i zrobiło mu się niedobrze. Oprócz tego dostrzegł

miseczkę z grzybkami, z czego się bardzo ucieszył... Jedyne, co go zmartwiło, to absolutna nieobecność wina. Conan z wyrzutem popatrzył na widmo, które spokojnie powiedziało:

— Dania serwowałem według własnego smaku, ale napitki możesz sobie wybrać sam.

— Serw... sewr... co? — zająknął się Conan. Nie znał tego słowa.

— Podalem — wyjaśnił gospodarz. — Jaki jest twój ulubiony gatunek wina?

Conanowi natychmiast przypomniał się wspaniały smak „Starego króla”. Nie zdążył o tym głośno powiedzieć, gdy na stole pojawiły się dwie zielonkawe butelki, oplecione wikliną, z wąskimi szyjkami zalanymi czerwonym woskiem. Barbarzyńca chwycił jedną z nich. Przez chwilę ze zdumieniem wpatrywał się w datę korkowania.

— To niemożliwe — odezwał się po długim milczeniu Conan. — Pięćset lat!

— Staralem się zdobyć najstarszy rocznik „Starego króla” — potwierdziło widmo. — To pierwsze rozlanie.

Conan westchnął z nabożeństwem. Widmo, lekko rozbawione jego zachwytem, odłożyło kostur, wzięło niewielki kawałek szwiny i patrzyło, jak mięso w jego rękach powoli przemienia się w sople lodu.

— Możesz zaczynać, ja będę uprzyjemniać ci czas opowieścią, niestety niezbyt wesołą — ze smutnym uśmiechem odezwała się zjawa. — Przyłączyłbym się do ciebie, ale jak widzisz, nie mogę...

Conan, ciągle nie rozstając się z butelką, poprosił:

— Posłuchaj, gospodarzu, a możesz zrobić kubek? Nie wypada takiego trunku chlać z flaszki...

— Wybacz. — Na stole pojawił się zwykły gliniany kufel i Conan z pewnym lękiem zerwał pieczęć i nalał wina, przygotowanego w czasach, gdy jeszcze jego pradziada nie było na świecie. W smaku było bardziej cierpkie, niż to, które miał u siebie Erhard, i zalatywało pleśnią, ale niepowtarzalny bukiet poitańskich winogron, spotykany wyłącznie w starych winach, z nawiązką rekompensował niedostatki.

Conan przez chwilę siedział z zamkniętymi oczami i rozkoszował się aromatem, a potem pociągnął malutki łyk. Takim winem Cymmerianin nie miał najmniejszego zamiaru się upijać.

Postawił kufel na stole, sięgnął po mięso, a widmo zaczęło swoją niespieszną opowieść:

— Pozwól, że ci się wreszcie przedstawię, mój młody przyjacielu... Conan pomyślał, że już od dawna nie jest młody (było nie było, niedługo mu stuknie czterdziestka!), i nie przypomina sobie zawierania przyjaźni z jakimiś lodowymi typami. Już miał zamiar zaprotestować, gdy następne słowa gospodarza sprawiły, że ugryzł się w język:

— Powiedziałem: młody, ponieważ mam tysiące lat, i wszyscy śmiertelnicy, nawet najbardziej sędziwi starcy, wydają mi się młodzi. Na imię mi Ravaal, ludzie zaś przezwali mnie Bogiem o Czarnej Twarzy.

Conan spodziewał się czegoś w tym rodzaju, chociaż początkowo pomyślał, że ma przed sobą zmarłego założyciela kultu. Jednak po przeniesieniu nie wiadomo dokąd i winie liczącym sobie pięćset lat, barbarzyńca zwątpił w swoją początkową hipotezę. Dlatego nie okazał zbytniego zdumienia i dalej smarował miodem placki, tak jakby spotkania z bogami były dla niego chlebem powszednim.

— Czy nie dziwi cię, że jesz obiad z istotą wyższą? — zapytał urażony do żywego Ravaal, który jeszcze nigdy nie spotkał się z tak lekceważącym traktowaniem.

— A co w tym takiego dziwnego? — parsknął Conan. — Widziałem w swoim życiu wystarczająco dużo bogów i bożków, a po śmierci przez całą wieczność będę ucztował z Cromem. — I po chwili zastanowienia dodał: — Mam nadzieję.

— Ale tak się stanie dopiero po twojej śmierci! — nie ustępował Bóg z Czarną Twarzą.

— Co za różnica? — odpowiedział rozdrażniony Conan. Bóg przypominał mu małego chłopca, który przebrał się za zjawę i bardzo się zdziwił, że nikt się nie przestraszył. — A może ja już zginąłem po drodze tutaj — z wypchanymi ustami zakończył swoją myśl barbarzyńca.

— Jest w tym jakaś racja... — powiedział w zadumie Ravaal.

— Odnosnie czego? — rzucił się natychmiast Cymmerianin, który rzecz jasna mówił o swojej śmierci żartem.

— Nie bój się, żyjesz — uspokoiło go widmo. — I wrócisz cały i zdrowy. Jeśli tylko nie pęknie z przejedzenia — dodał w zadumie bóg, patrząc jak świnina błyskawicznie znika z półmiska.

— W takim razie wszystko w porządku — machnął ręką i podsunął sobie garnek z zupą na podrobach. — A objadać się tu nie ma czym!

— Bezczelność! — prychnął Ravaal. Pstryknął palcami i na stole pojawiło się obrzydlistwo, przypominające ogromną pieczoną gąsienicę. Conan odsunął ją jak najdalej i nadal pałaszował zupę. — Może warto byłoby zrobić z ciebie ozdobę moich komnat?

— Nie warto — zapewnił go Cymmerianin, kończąc z zupą i sięgając po rybę. — Nie mógłbyś tego zabrać? — Wskazał palcem gąsienicę, która poza ohydny wyglądem strasznie śmierdziała.

— Co zabrać? A, wybacz — Ravaal znowu pstryknął palcami i śmierdząca potrawa znikła. — Zamyśliłem się...

Zapadła cisza, zakłócana tylko chrzęstem potężnych szczęk Cymmerianina, ogryzającego tłustego pstrąga.

Conan jadł, a Ravaal milczał. Z roztargnieniem kreślił palcem po stole jakieś złożone wzory i całkowicie zagłębił się w swoją starożytną duszę. Żeby przerwać przeciągające się milczenie, Conan zapytał o znaczenie wzoru na kobiercu, który bezlitośnie deptały jego zgrubiałe podeszwy. Ravaal nie odezwał się. Conan powtórzył pytanie głośniejszym i bardziej stanowczym głosem. Bóg ocknął się, zapytał, o co chodziło, machnął ręką i zaczął mówić coś o jakichś wysokich materiałach, używając niezrozumiałych dla barbarzyńcy słów. Ale mimo to Cymmerianin uchwycił sens — dziwny rysunek oznaczał nieskończoność.

— Dość. Jak chcesz mi coś wyznać, to szybko, bo i bez tego mam spraw po uszy — powstrzymał potok niezrozumiałych słów Conan. Ravaal zamilkł w pół zdania, popatrzył na gościa, jakby chciał zapytać, czy może zamienić go w coś cichego. Cymmerianin jednak nie zwrócił na to uwagi. Był zajęty tworzeniem nowego dania z mięsa, grzybów i placków, i zastanawiał się właśnie czy poleać składniki miodem, czy zjeść bez niczego.

— O, ludzie, ludzie... — wymamrotał Czarnolicy i wreszcie zaczął opowiadać swoją historię.

— Tak już uczynił Stwórca, że każda wyższa siła może istnieć i tworzyć tylko dopóty, dopóki istnieje choćby jeden naprawdę wierzący w niego lub nią. Jeśli bóg straci wszystkich czcicieli, staje się „zimny” i nie może opuścić swojej ostatniej świątyni czy miejsca, w którym zginął jego ostatni wyznawca. Tak los spotkał bogów Lemurii i niektórych bogów Atlantydy.

— To znaczy, że teraz ty... tego... jesteś zimny? — zapytał Conan, nalewając sobie jeszcze jeden kufel „Starego króla”.

— Tak — odpowiedział ze smutkiem bóg.

— Poczekaj — barbarzyńca coś sobie przypomniał. — Przecież wtedy nie zabiliśmy wszystkich Czarnolicych, niektórzy zwiali! Co z nimi, przestali ci służyć?

— Nigdy mnie nie czcili — pokręciło głową widmo. — Wykorzystywali tylko moje imię i symbole jako parawan. Proszę, nie zadawaj na razie pytań.

— Dobrze — wzruszył ramionami Conan. — Opowiadaj dalej.

— Jeszcze kilka słów o bogach. Ich siła zależy od liczby wyznawców. Mitra, Isztar, Bel, Set... W nich wierzy ogromna armia żyjących na ziemi ludzi, i dlatego ich potęga też jest ogromna. Ja nigdy nie miałem nawet jednej setnej tej mocy. Mój kult narodził się w epoce Atlantydy, gdy kilku kapłanów uratowało się z ginącego kontynentu. Przyszło im wycierpieć niemało nieszczęść i niedostatków. Oczywiście, pomagałem im jak mogłem, ale o to właśnie chodziło, że niewiele mogłem... W czasie powstawania Nowych Królestw udało mi się

urządzić w Brythunii, ale po tym jak Mitra pomógł tamtejszemu królowi pomścić porwaną córkę, nowe kultury nie są tam dobrze widziane. Opuścili mnie wszyscy oprócz Valdosa. On zdołał przedostać się tutaj z naszym niewielkim skarbcem i zbudować tę świątynię.

Przez jakiś czas wszystko szło jak najlepiej. Mój kult rozprzestrzenił się na najbliższej położone wsie i zaczął wkrótce dominować na przedgórzu Graaskalu. Kapłani zawarli umowę z gnomami, i te bez przeszkód przepuszczały pielgrzymów w doliny. Z pomocą tych samych gnomów moi wyznawcy uporali się ze stadami droho i przegnali ich w wyższe partie gór. Stałem się niefrasobliwy, zacząłem podróżować po ziemi, odwiedzać innych bogów...

I zapłaciłem za to. Gdy mnie nie było, do mojej świątyni wdarły się wilkołaki, dawna Karząca Dłoń. Znasz tę historię? — Conan skinął głową i bóg mówił dalej: — Było ich tylko pięć, ale szybko sprowadziły moich wyznawców na złą drogę. Zapytasz, jak to się mogło stać? Bardzo prosto.

Stwory okazały się przewidujące i nie próbowały zdobyć świątyni siłą. Przyszły jako pielgrzymi, i przyniosły ze sobą fałszywą naukę o czarnym wcieleniu Ravaala. I stała się rzecz najstraszniejsza — uwierzono im. Niektórzy bogowie rzeczywiście występują w kilku osobach, na przykład Hanuman, ale ze mną na szczęście nic podobnego się nie stało. Jedynym człowiekiem, który próbował się sprzeciwić i nie uwierzył wilkołakom, był mój stary Valdos. Został pierwszą ofiarą Czarnego Ravaala...

Poczułem, że tracę siłę, że staję się zimny, ale było już za późno. Moi wyznawcy albo zginęli, albo odwrócili się ode mnie. Mogłem to tylko bezsilnie obserwować. Pośród stworów był czarnoksiężnik, bardzo silny i mądry. Wydaje mi się, że jego opiekunem jest sam Nergal albo ktoś z Zapomnianych Ciemnych Bogów. Nie pozwalał mi mówić. Zamknięto mnie w posągu Czarnego Ravaala i przebywałem w nim do dnia, w którym wojska tutejszego króla zniszczyły oszukanych i okaleczonych ludzi i spaliły moją świątynię. Od tamtej pory nikt tu nie przychodzi, jestem skazany na wieczną samotność i zimno... — Ravaal zamilkł i ze smutkiem popatrzył na Conana. Cymmerianin dłużej długim paznokciem kciuka w zębach i nie wyglądał na specjalnie wzruszonego.

— Czego w takim razie chcesz ode mnie? — Barbarzyńca od razu przeszedł do najważniejszej kwestii. — Mam swojego boga i nie planuję go zmieniać. Tym bardziej na takiego słabeusza jak ty.

Ravaal smutno westchnął:

— Wiem. Niczego innego się nie spodziewałem...

— Ale popytam przyjaciół, może ktoś zechce ci pomóc — pocieszył go Conan i spytał: — Posłuchaj, a po co wilkołakom potrzebna była twoja świątynia?

— Szukały odpowiedniej kryjówki i miejsca gdzie mogłyby się zbierać. Oszukani przez nie chłopcy brali w ręce broń i zabijali kogo popadnie. Ówczesny władca Kresów, Nevill, rozstał się z życiem właśnie z ich powodu. Jak słyszałem, jego następcą Damall również nie żyje?

— Zginął — potwierdził Conan. — Wilkołaki napadły na pałac i zabiły go. Teraz panuje Hiarell, były doradca Damalla.

— A jednak Damallowi udało się zaprowadzić pewien porządek. Moja świątynia wprawdzie spłonęła, ale królewscy żołnierze rozgromili szajki tak zwanych Czarnolicych... Niestety, dopóki ludzie walczyli ze sobą, wilkołaki stworzyły oddziały bojowe i więcej nie potrzebowały pomocy moich byłych wyznawców.

— A nie wiesz czasem, kto jest przywódcą wszystkich wilkołaków? — zapytał na wszelki wypadek Conan.

— Nie — odpowiedziało z zalem widmo. — On jest gdzieś daleko, poza granicami mojej siły. Gdybym...

— ...miał chociaż jednego wyznawcę — dokończył Cymmerianin. — Już słyszałem. Właśnie, jak chciałeś sobie poradzić z wilkołakami, gdybyś zdążył wrócić na czas do świątyni?

— To bardzo proste — bóg lekko się uśmiechnął. — Rozejrzyj się. Poznajesz, czyje skóry wiszą na ścianach? Oczywiście, mnie one nie są potrzebne, i gdy ty wyjdiesz, komnata rozplynie się i znowu będę szybował w pustce, ale skóry nie są takie sobie zwyczajne. Śnieżne jaszczurki są moimi świętymi zwierzętami. Tak jak konie Mitry czy węże Seta. Jak się postaram, mogę nad nimi panować. Co prawda, nie wszystkie odpowiadają na moje wezwanie...

— Możesz rozkazywać droho? — ucieszył się Conan.

— Mogę. Właśnie to chciałem ci zaproponować. Oraz pewne informacje o wilkołakach

— Jakie? — zapytał szybko barbarzyńca.

— Stwory nie mogły urządzić zebrania tutaj — świątynia jest niemal całkowicie zburzona i na jej odbudowę musiałyby przeznaczyć zbyt wiele czasu. Ja to sprawiłem, bo nie lubię wilkołaków. Zrobiłbym wszystko, żeby wyrzucić je z Kresów! — W cichym głosie Ravaala nieoczekiwanie zadźwięczała stal.

— Nie wszystkie są złe — zmuszony był przyznać Conan. — Kiedyś uratowała mi życie całkiem sympatyczna trójka. Poza tym, tutaj są ich ziemie i wiele z nich ogłupiono, tak jak twoich czcicieli.

— Ale te, które nie mogą żyć w pokoju, powinny się stąd wynosić! Zabójcy, przekłęci zabójcy! — Czarną twarz boga wykrzywiła wściekłość. — Posłuchaj mnie. Za doliną będzie przełęcz, nad nią stoi stara świątynia. Doskonale się zachowała. Teraz są w niej wilkołaki, około sześciu dziesiątek. Jutro, a raczej dzisiaj w nocy odbędzie się tam składanie ofiar. Idźcie i zaatakujcie je rano, jak tylko słońce pokaże się nad górami. Będą zmęczone i nie zdołają was odeprzeć. Ja zatroszczę się o to, żeby droho nie niepokoili was po drodze.

— Dziękuję. Za obiad i za pomoc. — Conan wsunął drugą, nie napoczętą butelkę „Starego króla” za pazuchę i wstał, uważając rozmowę za skończoną. Ravaal gestem poprosił go, żeby usiadł.

— Poczekaj. Chcę ci dać kilka rad. Przede wszystkim zabijcie czarownika. Spodziewaj się, że będzie miał pomocników i nie wierz pozorom. Zresztą sam o tym wiesz. — Czarnolicy pomyślał i nieśmiało zaproponował: — Weź mnie ze sobą.

— Jak mam cię wziąć? — Conan tak się zdumiał, że nawet przestał wylizywać pustą filiżankę po miodzie. — Przecież nie możesz opuścić tego miejsca! I jesteś widmem!

— To się da łatwo zrobić. Mogę się przemienić w niewielki drewniany posążek. Póki pozostanie cały — będę w nim. Potem możesz go komuś podarować albo spalić, wtedy ja wrócę tutaj. — W głosie słychać było rozpacz i Cymmerianin postanowił, że weźmie zjawę ze sobą — a nuż się rzeczywiście przyda?

— Dobrze — wyraził zgodę. — Przemieniaj się.

— Pierwsza dobra nowina po trzech tysiącach lat ciemności! — ucieszył się Ravaal i wstał. — Ty idź, a ja tu wszystko posprzątam...

Conan wciągnął buty, prychnął patrząc na bezlitośnie spustoszony stół i już bez lęku wszedł w ścianę. Chwila bezgwiazdnej głuchej ciemności i znowu był w korytarzu zburzonej świątyni. Emert właśnie szedł do wyjścia...

— Gdyby mi to kto inny opowiedział, nie uwierzyłbym — Emert był ciężko zamyślony i zawzięcie obmacywał złamany nos. Nawet butelka z pięćsetletnim winem nie przekonała go do końca o tym, że opowieść jest prawdziwa.

Wtedy barbarzyńca usłyszał cichy głos, który dobiegał z tyłu i z dołu:

— Tu jestem.

Na podłodze pod ścianą leżał posążek z czarnego palisandru, długości połowy ludzkiej ręki. Przedstawiał starego człowieka z ogoloną głową w riasie bez rękawów, ściskającego kostur. Conan podniósł ją i pokazał Emertowi.

— A to ci dopiero... — Bossończyk pokręcił głową i wyciągnął rękę, żeby dotknąć posążka, ale szybko ją cofnął. — Wyjdźmy na zewnątrz. Zdaje się, że nikogo tu nie ma. Nawet bóg stąd odszedł...

VI

Zagubioną w górach świątynię zbudowano z czarnego obsydianu wiele wieków, a może tysiącleci temu. Jej fasadę ozdabiały dwie wzbijające się pochmurne wieże, zakończone iglicami. Wieże wznosiły się nad głównym budynkiem i patrzyły ślepo ciemnymi otworami strzelniczymi. Po dachu świątyni rozpełzły się liczne obsydianowe stwory, nie mające nic wspólnego ze światem zwierząt. Beczkopodobne, pokryte łuską tułowia, wyszczerzone zębate paszcze, krzywe krótkie łapy z długimi szponami, skórzaste na wpół rozpostarte skrzydła... Jednym słowem plugastwo.

Ogromna brama prowadząca w głąb świątyni była teraz otwarta na oścież. Stado wilkołaków z wyciem i kwikiem zaganiało do budynku kilkunastu szlochających i krzyczących jeńców. Tej nocy miała się przelać ich krew.

Do imponującego głównego budynku przytulało się po bokach kilka niziutkich pochyłych budowli z szarego piaskowca, przypominających szopy.

Zdaje się, że wśród tutejszych wilkołaków nie ma ani jednego przyzwoitego budowniczego, pomyślał Conan, wygodniej sadowiąc się na skalnej półce, zwisającej nad świątynią. Cymmerianin rozścielił na kamieniach ciepłą białą skórę droho i teraz leżał na brzuchu obserwując milczącą bryłę głównego budynku spod przystawionej do czoła dłoni. Za barbarzyńcą ciemniało wejście do małej jaskini, obok którego siedzieli Vellan i Ertel i przekomarzali się leniwie. Brythuńczyk oparł głowę o rękojeść swojego oburecznego miecza i szeptem wspominał ranek. Ertel z założonymi za głowę rękami również szeptem coś tłumaczył.

W głębi groty Gunderzy próbowali rozpałić z chrustu niewielkie ognisko. Najwidoczniej kiedyś zatrzymywali się w niej pielgrzymi. Przynajmniej tak było wcześniej. Teraz raczej nikt tu nie zachodził. Ze względu na zbyt niebezpieczne sąsiedztwo.

Na dole wilkołaki zagoniły wszystkich jeńców do środka i zaczęły zamykać wrota. Ogromne lite skrzydła zatrzasnęły się z łoskotem. W okolicznych skałach zbudziło się zwiłokrotnione echo. Po chwili zapanowała cisza, zakłócana tylko poświstywaniem wiatru w kamieniach.

Conan powiercił się, potem przekręcił na plecy i popatrzył na zasnutę czarnymi chmurami niebo. Jeszcze rano była piękna pogoda, ale przed obiadem, gdy wojownicy przeszli przez przełęcz, puszczając przodem mamroczącego Turańczyka, zerwał się silny wiatr. Dobrze chociaż, że wiał w plecy. Wiatr przegonił białe obłoczki i przygnał napuchnięte ołowiane chmury. Jeszcze chwila i sypną śniegiem.

To, co zobaczył Cymmerianin, wcale go nie ucieszyło. Śnieg wprawdzie zasłoni ich przed cudzymi wścibskimi spojrzeciami, ale bardzo utrudni zejście i samo przeniknięcie do świątyni. Gdyby Conan był sam, zamieć bardzo by go ucieszyła, ale niedoświadczeni, nie nauczeni walczenia w górach strażnicy nie zdołają wykorzystać przewagi, jaką dałaby im śnieżna zasłona... A o ustaleniu jakiejś taktyki nie ma nawet mowy. Chociaż...

Nie ma co bawić się w zgadywanki, pomyślał Conan i przekręcił się na brzuch. W biodro wbiło mu się coś twardego, jakaś rzecz, która była w sakiewce. No nie, ja się naprawdę starzeje! — skonstatował. Zupełnie o tym zapomniałem!

Barbarzyńca wyciągnął z woreczka tłące się słabym światłem jajo, tajemnicze Oko, подарowane przez gnomy. Cymmerianin poobrał je w rękach, poszukał wzrokiem odpowiedniego kamienia i mocno uderzył nim w zagadkowy przedmiot. Matowe jajo zatrzęszczało, wewnątrz niego na krótką chwilę rozblęsnął jaśniejszy blask, a potem coś żałośnie brzęknęło i dzieło gnomów rozsypało się w proch. Miejmy nadzieję, że gnomy jakimś cudem usłyszały sygnał i przyjdą na czas. Wtedy ludzie uderzyliby z góry, a podziemni mieszkańcy — z dołu, i na Kresach nastałyby błogosławione czasy... Być może.

Erhard długo oglądał przyniesiony przez Conana posążek, drapał się po karku, a gdy oko na wyrzeźbionej czarnej twarzy chytrze do niego mrugnęło, zdołał tylko wykrztusić: — Taak...

Ravaalowi nie udało się znaleźć w oddziale nowych wyznawców. Erhard, Ertel i Selena czcili Mitrę, Vellan z uśmiechem oświadczył, że ze wszystkich bogów najbardziej szanuje Isztar, Emert wierzył w bossońskiego wojowniczego Marduka, a Fram — w Przedwiecznego Kowala, Długobrodego Ojca Gnomów. Wszyscy stropieni opuścili głowy i zaczęli wymyślać różne preteksty. Conan odniósł wrażenie, że drewniany posążek Czarnolicego posmutniał. Ale chyba lekko wstawionemu barbarzyńcy się to przywidziało. Przecież drewno nie może się cieszyć ani smucić...

Cymmerianinowi wszyscy od razu uwierzyli, zwłaszcza gdy triumfalnie wyjął butelkę „Starego króla”. Erhardowi oczy wylazły na widok daty na woskowej pieczęci i zaproponował, żeby natychmiast wypić wino. Conan jednak stanowczo odmówił; oświadczył, że spokojnie mogą zrobić to później, po ostatecznym zwycięstwie. Gdy skończył swoją opowieść, zażądał sprawozdania od pozostałych.

Erhard z rozczarowaniem opowiedział, że w wieżach było pusto i wilgotno, i oprócz brudnych szmat i połamanych mebli nic interesującego ani cennego nie znaleźli. Vellan parsknął i od razu zaczął zapierającą dech w piersiach relację o tym, jak wraz z Gartem wykiwali Ertela. Gdy on grzebał w stercie zetlałych rias, najwidoczniej w poszukiwaniu złota albo innej pożytecznej rzeczy, Gart utoczył ze śniegu kulę o rozmiarach ludzkiej głowy i stanął po lewej stronie na wpół zrujnowanego wejścia. Vellan zajął miejsce po prawej, i krzyknął Ertelowi, że znaleźli kufer, chyba z monetami. Jeśli nie chce zostać na lodzie, niech leci po swoją dolę.

Natychmiast usłyszeli tupot nóg i Ertel jak oparzony wyleciał z wieży. Vellan podstawił mu nogę, pechowy poszukiwacz skarbów fiknął kozła i sturlał się w dół po zboczu, a na deser oberwał śnieżną kulą.

— Szkoda, że nie widzieliście, jak wyglądał — zakończył wśród ogólnego chichotu Brythuńczyk. — I jak myśmy się obśmiali... Jeszcze teraz brzuch mnie boli.

Ertel natychmiast zrobił urażoną minę i mruknął, że to było nieuczciwe, i że on w takie gry nie gra. Conan nie słuchał go, pokręcił palcem przy skroni i podszedł do siedzącego nieopodal Omala. We wzroku Turańczyka pojawił się błysk lęku. Nieszczęsny na widok barbarzyńcy zaczął kwiczeć i próbował uciec, ale wpadł na Emerta.

— Sam sobie trzymaj tego padalca, Conanie — Łucznik ze źle ukrywanym wstrętem pchnął trzęsącego się Omala prosto w niedźwiedzie objęcia Cymmerianina. Czując, jak zdrajca drży z przerażenia, Conan uśmiechnął się krzywo i powiedział:

— Chyba obiecałem, że cię nie zabiję. Jeśli oczywiście opowiesz mi co nieco...

— Tak, tak, panie. Co zechcecie wiedzieć, panie? — zaczął się przypocholebiać Omal, ucieszony, że nie będą go bić. Conanowi zrobiło się niedobrze od tego słodkiego głosiku, i starając się nie patrzeć w maślane oczka, przymilnie zapytał:

— Opowiedz mi, gdzieś się włóczył przez ten miesiąc? Turańczyk drgnął i uważnie popatrzył na stojącego przed nim

barbarzyńcę. Coś się z nim stało i na krótką chwilę stał się poprzednim Omalem.

— Bardzo żałuję, że wtedy na drodze tak się stało — powiedział spokojnym, nieco nieobecny głosem. — Nie miałem wyjścia — albo ty, albo ja. Wiem, że to zdrada, ale ja chciałem żyć! Nie spiesz się z zatopieniem miecza w mojej piersi. Spłaciłem już swoje długi i utrata rozsądku to tylko część ceny. Teraz powrócił do mnie, ale wiem, że nie na długo. Proszę cię, gdy znowu stanę się szaleńcem, zabij mnie. Ty dokonasz zemsty, a mnie takie życie na nic.

— Może to zrobię. A może nie — warknął Cymmerianin. Omal odpowiedział szerokim i krzywym uśmiechem.

— Nie? To trudno. Sam zdołałem uciec na Szare Równiny. Chcesz wiedzieć, jak spędziłem ten miesiąc? Dobrze, opowiem ci. Pamiętasz jak uciekłem? Nie zdążyłem wpaść w zarośla przy

drodze, gdy ktoś chwycił mnie za gardło, zaczął dusić i straciłem przytomność. Przebudzenie nie było zbyt słodkie. Razem z innymi jeńcami znalazłem się w głębokiej, dużej jamie, przykrytej drewnianą kratą. Całymi dniami padał na nas deszcz, staliśmy po kolana w rzadkim błocie. Od czasu do czasu kratę podnoszono i na dół sypały się ochłapy. Było nas trzydziestu i wilkołaki cieszyły się, patrząc jak bijemy się o pokryte pleśnią i wymazane błotem suchary, twarde jak kamień... W jamie oblazłem wszami, a na mojej skórze zaczęły pojawiać się plamy zgnilizny. Mniej więcej po tygodniu wilkołaki znowu nas nakarmiły i zrzuciły do jamy sznur. Zaczęła się zażarta walka. Poczulem, że to jakiś podstęp i stanąłem z boku. Dziesięciu, choć zsuwali się i spadali, udało się wydostać na górę. Sześciu innych wdeptano w błoto, utopili się. Wilkołaki zamknęły jamę kratą i zabrali „szczęśliwców”. W nocy słyszeliśmy ich przerażające wycie i zadowolone mruczenie potworów.

Rano do jamy wpadły kości i kawałki pieczonego mięsa. Nikt ich nie ruszał, tylko jeden chłopak, pomimo naszych perswazji, zjadł wszystko do ostatniej kosteczki. Potem zajrzał do nas wilkołak i śmiejąc się zapytał, jak nam smakowali nasi przyjaciele? Chłopak pobladł, ale nic nie powiedział i poszedł do swojego kąta. Gdy wilkołak odszedł, rzuciliśmy się na ludożercę i utopiliśmy go w błocie... Minął kolejny tydzień. Wilkołaki znowu zrzuciły sznur, ale nikt się do niego nie zbliżył. Wtedy same zeszły i na siłę wyciągnęły na górę dziesięciu ludzi. Zostałem tylko ja i jeszcze jeden starzec. Nocą wszystko się powtórzyło. Zapewne wówczas rozum zaczął mi szwankować... Wylem i wrzeszczałem do rana, nadaremnie starając się zagłuszyć krzyki towarzyszy, huczące w mojej głowie. Pięć dni spędziliśmy w tej przeklętej jamie we dwóch, a potem wrzucono do nas jeszcze dwie dziesiątki jeńców. Znowu zaczęły się bójkі o jedzenie i lepsze miejsce... Ani mnie, ani starca nie ruszali — bali się.

Potem powtórzyła się walka o sznur. Wydostało się czterech. Pozostali przez całą noc modlili się do swoich bogów, w podzięce, że pozwolono im pozostać w jamie. Rano nikt nie tknął mięsa... Dwa kolejne dni nikt nie podnosił kraty, nie przynoszono jedzenia. Wszystkie wilkołaki gdzieś poszły. Trzeciego dnia wróciły, jeden podszedł do jamy i po raz kolejny zrzucił w dół sznur. Żaden jeniec nie zareagował. Potwór krzyknął, że nikt nie ma zamiaru nas jeść, po prostu zwijają obóz i przenoszą się na nowe miejsce. Jeśli chcemy zdechnąć w jamie — możemy zostać. Wtedy zaczęliśmy wychodzić na górę.

Po raz pierwszy od miesiąca stanąłem na twardej ziemi. Wilkołak nie oszukał nas. Porzuciliśmy lasy i wspięliśmy się w góry, tutaj. Zapewne tu właśnie ostatecznie zwariowałem, gdy zobaczyłem obrządek składania ofiar. Od tamtego dnia wszystko, co się ze mną działo, zasnuła ciemna mgła. Gdzieś szedłem przez góry, potem zobaczyły mnie gnomy i zabrały ze sobą... — Omal zamilkł, pokręcił głową i popatrzył błagalnie na Conana. — A teraz zabij mnie. Przecież tego chciałeś?

Cymmerianin w zadumie sięgnął po rękojeść Rangildora. Nienawiść i pragnienie zemsty pokrył w jego duszy popiół współczucia dla tego chudego i brudnego człowieka, który siedział na śniegu i dygotał. Zapłacił już za zdradę i zasłużył sobie na prawo do śmierci. Miecz z lekkim świstem wysunął się z pochwy, oślepiająco załśnił na słońcu. Twarz Omala rozjaśnił słaby uśmiech. Klinga zamigotała słabymi promieniami słońca i wbiła się w pierś Turańczyka.

— Oto koniec — westchnął zmęczony Omal i osunął się na śnieg.

— Gównu — splunął ze złością Conan, wycierając grudką śniegu czerwone plamy na mieczu. — Dostyc mam gry w szlachetność. Przysypcie go czymś, przecież nie zostawimy go tak na drodze...

Gunderzy szybko przysypali leżące w kałuży krwi stygnące ciało śniegiem i wydłubanymi kamieniami.

— A mnie go żal — chlipnęła Selena. — Tak mu się nie poszczęściło w życiu...

— To się zgadza — potwierdził Erhard. — No co, idziemy dalej?

Wspinaczka na przełęcz zajęła im pół dnia. Droho krążyły wokół, syczały zza kamieni, ale nie atakowały. Conan w myślach podziękował Ravaalowi za istic królewski podarunek. Gdyby nie na wpół zapomniany bożek, oddział miałby się z pyszna.

Na przełęczasy zasypana śniegiem ścieżka rozdzieliła się. Jedna, szersza, prowadziła prosto i dochodziła do wrót świątyni o dwóch wieżach, druga skręcała w lewo, stopniowo wspinając się w górę. Nikt nie zamierzał iść i pukać do wrót, dlatego wojownicy wybrali drugą drogę, która po jakimś czasie doprowadziła ich do jaskini. Przeszukali grotę starannie i w najdalszym kącie znaleźli stertę chrustu, przykrytą skórą śnieżnej jaszczurki oraz kawałek pergaminu z na wpół rozmazanymi runami, układającymi siew zdanie: „Pozostawiłem to ja, Mikko, kupiec z Halogi, handlarz skórami i niewolnikami”. Z daty wynikało, że czcigodny kupiec był tu pół roku temu.

Conan od razu zabrał skórę i położył się na niej na skalnej półce. Obserwował wilkołaki. Po tym, jak stwory zapędziły jeńców do świątyni, w dolinie zapanowała cisza. Czasem z przybudówek przy chramie wychodziły wilkołaki — wilki i ludzie. Szli dokądś w swoich sprawach, ale nic interesującego sienie działo. Cymmerianinowi znudziło się wylegiwanie na skórze i gapienie się na milczącą świątynię, ale nie miał nic innego do roboty. Do zachodu słońca było daleko, a do następnego ranka jeszcze dalej. Z nudów barbarzyńca przez jakiś czas przysłuchiwał się leniwej sprzeczce Vellana i Ertela, ale im też się nudziło i kłócili się bez zapału, z przyzwyczajenia.

W jaskini Gunderzy i Selena rozpalili ognisko, powiesili nad nim kociołek ze śniegiem i teraz zastanawiali się, jak tu przygotować obiad na siedem osób. Fram siedział nieruchomo przy ogniu i od czasu do czasu wciągał dym z suszonych liści przez gliniane urządzenie przypominające pogrzebacz. Nazywał to zajęcie „paleniem”. Conan spróbował, omal nie udusił się ostrym, obrzydliwym dymem i potem długo nie mógł go wykaszleć. Emert spał, zawinięty w płaszcz, a Erhard drzemał z głową na rękach. Od czasu do czasu budził się, oglądał jaskinię osowiałym wzrokiem, przekonywał się, że wszystko w porządku i znowu zasypiał.

Barbarzyńca też poczuł senność. Wyciągnął się na plecach, ziewnął i zadrzemał.

Obudziły go czyjeś ostrożne kroki. Cymmerianin nie zerwał się, nawet nie zmienił pozycji, tylko otworzył oczy. Ciche poskrzypywanie i szelest dawały się słyszeć coraz bliżej. Może ktoś z oddziału wyszedł się przejść i wraca? Ale dlaczego wartownicy — Brythuńczyk i Ertel — nie odzywają się? Śpią, czy co?

Conan lekko uchylił lewe oko i ze zdumienia omal nie otworzył obu na całą szerokość. Przed wejściem do jaskini stał pamiętny Stygijczyk z ogoloną głową w czarnym płaszczu i z długim kosturem. Zdaje się, że nazywał się Totlant... Władca wampirów ze wsi Lo-Salim, żeby ją demony!

Conan zerknął na wartowników. Tak jest! Obaj śpią! No, potem się z wami policzę, obiecał w myśli Cymmerianin. Jakby niechcący przysunął do siebie pochwę z Rangildorem, przewrócił się na bok i bardzo przekonująco zachrapał. Stygijczyk nie zwrócił żadnej uwagi na ruch barbarzyńcy. Niestłusznie. Gdy tylko odwrócił się plecami do leżących w jaskini ludzi, by popatrzeć na bliskie iglice świątyni, jeden ze śpiących bezgłośnie zerwał się na równe nogi.

W ostatniej chwili mag usłyszał podejrzaną trzask za plecami, odwrócił się, ale nie zdążył nic zrobić — został przewrócony i przyszpilony do podłogi.

Śpiące królestwo nagle zaczęło się budzić. Okazało się, że nawet gnomowi udało się zasnąć z fajką w zębach. Ze wszystkich stron rozlegały się zdumione okrzyki. Tylko Emert spał w dalszym ciągu.

— Wszystko wyjaśnię — próbował uśmiechnąć się mag, ale kiepsko mu to wyszło. Trudno jest prowadzić pertraktacje, gdy rozmówca przyciska cię kolanem do ostrych kamieni i nie ma zamiaru puścić.

— I to możliwie jak najszybciej, póki moja cierpliwość się nie wyczerpała! — ryknął ze złością Conan. — Vellan, weź kuszę i celuj w niego! Jeśli spróbuje cokolwiek zrobić — strzelaj!

Brythuńczyk, nie do końca obudzony, jeszcze nie wszystko rozumiał. Wyciągnął ze swojego worka niewielką kuszę, założył strzałę i usiadł obok maga. Wycelował mu w głowę i zagroził:

— Leż i nie wierz się, bo wyruszysz na spotkanie z Ojcem Setem!

Conan przycisnął mocniej Stygijczyka i rozkazał:

— Masz mało czasu, żeby szczegółowo wyjaśnić, po jakiego demona się tu kręcisz. Rozumiesz? Możesz zaczynać. Ertel, pilnuj wejścia!

Ertel warknął z niezadowoleniem i wrócił na swoje miejsce, pozostali stłoczyli się wokół Conana i Vellana.

— Posłuchaj, barbarzyńco, porozmawiajmy jak ludzie, a nie jak dzikie zwierzęta. Puść mnie, pozwól mi usiąść, a ja z radością powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć — zaproponował Stygijczyk chwytając powietrze. Conan przecząco pokręcił głową. Po pierwsze, nie miał zamiaru puszczać tego śliskiego typa, a po drugie, obrzydło mu nazywanie go barbarzyńcą.

— Zamknij się! Ja tu dyktuję warunki!

— Chwilowo — uściślił mag, i nagle, nie wiadomo jakim sposobem, wyśliznął się trzymającemu go Cymmetianinowi. A przy tym w jego ręce znalazł się długi kindżał, który leżał na gardle barbarzyńcy, nieco powyżej grdyki. — Teraz ja stawiam warunki. Jeśli nie chcecie, żeby wasz przyjaciel wykapał się we własnej krwi, odejdźcie nieco dalej i odłóżcie broń. Ej, wartownik, ciebie to też dotyczy!

Ertel z niechęcią odłożył miecz. Vellan westchnął i zdjął strzałę z cięciwy. Emert przez cały czas spał.

— Teraz możemy porozmawiać — Stygijczyk obejrzał jaskinię z satysfakcją. — Właściwie nic od was nie chcę...

— No to po co tu przylazłeś? — zapytał niecierpliwie Conan, któremu bardzo nie podobało się niebezpieczne sąsiedztwo stygijskiego kindżała.

— Chciałbym was poprosić, żebyście jutro nie zwracali uwagi na moją obecność — oznajmił uprzejmie mag zdumionemu oddziałowi.

— To znaczy?

— Wyruszę jutro z wami — wyjaśnił Stygijczyk. — Chciałbym się rozejrzeć po tej interesującej świątyni... Może nawet zdołam wam przy okazji pomóc.

— Aha, najpierw tłum wampirów, a potem pomocna dłoń? — parsknął Conan. — I my mamy w to wierzyć?

— Wampiry nie były prawdziwe, tak samo zresztą jak domy. Lo-Salim już dawno przemienił się w stertę ruin. Po prostu stworzyłem niewielką iluzję. — Mag westchnął z udawanym żalem. — Chciałem zobaczyć, co zrobicie.

— Niemożliwe! — nie uwierzył Vellan. — Nocowaliśmy w zwykłym domu, a wampiry ginęły od srebra...

— Tak, nieźle to wypadło — przyznał nie bez dumy Stygijczyk.

— Taakie buty... — powiedział Erhard, czochojąc siwe włosy na karku. — Dobrze, puść barbarzyńcę, nie ruszymy cię.

Totlant cofnął się o krok, eleganckim ruchem wsunął broń w pochwę przy pasie i podniósł kostur, który wypadł mu, gdy przewrócił się na podłogę. Conan wstał i mściwie zmrużył oczy. Zastanawiał się, czy nie uda mu się złamać cienkiej brązowej szyi Stygijczyka jednym ciosem. Mag popatrzył na niego, pokazał w uśmiechu czyste białe zęby i ostrzegł:

— Nie warto. Widzisz, mógłbym stworzyć wokół siebie pierścień ognisty. Chyba nie chciałbyś zamienić się w pieczeń...

— Na komary pewnie nieźle działa — odezwał się Ertel.

— Czasami — rzucił sucho Stygijczyk. — No co, umowa stoi? Jutro idę z wami, pomogę otworzyć bramę. Dalej to już wasz kłopot.

— A jaką będziesz miał z tego korzyść? — burknął Erhard.

— Nie palcie magicznych ksiąg czarownika wilkołaków — poprosił po chwili milczenia Totlant.

Wojownicy popatrzyli na siebie i ich twarze rozjaśnił uśmiech zrozumienia.

— Trzeba było tak od razu mówić — prychnął Conan. — Za nic nie uwierzę, że Stygijczyk mógłby pomóc z dobrego serca!

Mag opuścił oczy i głosem dobrze wychowanego dziecka zapytał:

— Dlaczego? Ja jestem bardzo dobry.

— Dobry? — Conan roześmiał się szczerze. — No nie, to koniec, świat stanął na głowie! Już nigdy nic mnie nie zdziwi!

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — odparł lekko urażony Totlant. — Naprawdę potrzebuję tych ksiąg!

— Czyżby czarownik wilkołaków był silniejszy od ciebie? — spytał barbarzyńca, kiedy już się uspokoił.

— Oczywiście — przyznał z żalem Stygijczyk. — I to znacznie. W przeciwnym razie, po co bylibyście mi potrzebni?

— No proszę, wszystkie zagadki zostały już rozwiązane. Ty pomożesz nam, my pomożemy tobie — podsumował Conan. — A teraz siądź sobie gdzieś w kąciку i nie płacz się pod nogami. Do rana jeszcze daleko...

Mag otworzył usta. Chciał się sprzeciwić, ale rozmyślił się i usiadł na kamiennej podłodze jaskini, opierając się plecami o ścianę. Po jakimś czasie ludzie zajęli się swoimi sprawami i przestali zerkać na niego podejrzliwie. Tylko Vellan zapytał, po co rzucił na wszystkich urok snu.

Totlant odparł, że chciał wejść do jaskini mając pewność, że nie dostanie strzałą w twarz, ale udało mu się usnąć wszystkich oprócz Conana...

Nastał wieczór. W świątyni ciągle było cicho. Z nieba poleciały pierwsze wirujące płatki śniegu. Widok chmur zapowiadał, że na pewno się na nich nie skończy... Za to ucichł wiatr. Gdzieś wysoko w górach rozległo się przeciągłe niskie miauczenie — śnieżny bars wyszedł na polowanie.

Z jaskini na zboczu popłynął lekki aromat podpieczonego peklowanego mięsa. Conan poczuł, że nie ma nic przeciwko posiłkowi. Obiad, którym ugościł go Ravaal, należał do przeszłości i żołądek domagał się już nowej porcji. Barbarzyńca popatrzył na drogę — nikogo. Można na chwilę zejść.

Kolacją była bardzo skąpa. Dwa kawałki mięsa, dwa placki i kilka grzybów na każdego. Cymmerianin pomimo usilnych nalegań, stanowczo odmówił otwarcia „Starego króla”.

Emert, którego obudził zapach jedzenia, niesamowicie zdziwił się na widok nowej twarzy. Magowi również, chociaż barbarzyńca burczał niezadowolony, przypadła porcja. Przyjął ją, proponując ze swojej strony suszone owoce. Selena ugotowała je — wyszedł z tego kompot, który głodni ludzie szybko wypili.

Po kolacji większość poszła spać, aby należycie wypocząć przed jutrzejszym ciężkim dniem. Conan wolał zobaczyć, co będą robić wilkołaki. Przyłączył się do niego Stygijczyk. Leżeli na szerokiej skórze droho i w milczeniu obserwowali świątynię w dole. A raczej obserwował Totlant, a Cymmerianin gapił się na powoli pograżające się w mroku iglice. Vellan w dalszym ciągu pilnował wejścia. Brythuńczyk był posepny i skupiony, i nie odpowiadał na żadne pytania. Słońce powoli chowało się za górami, barwiąc skaliste szczyty na jaskrawoczerwony kolor. Czas ciągnął się, jak roztopiona smoła. Świątynia wyglądała jak ciemna bryła, w wąskich oknach nie błysnęło ani jedno światełko. Conan zaczynał czuć rosnące rozdrażnienie. Miał ochotę wziąć miecz i rzucić się na wilkołaki już teraz. Albo on zabije wszystkich, albo jego zabiją, ale przynajmniej nie trzeba już będzie sterczeć na zimnej skale i czekać nie wiadomo na co.

Cymmerianin próbował ocenić szansę wilkołaków. Jeżeli gnomy usłyszały sygnał — wtedy wszystko będzie dobrze, zwycięstwo mają w kieszeni. Ale jeśli podziemni wojownicy spóźnią się... albo w ogóle nie przyjdą?

Ta myśl przeszła go zimnym dreszczem. Wtedy oddział skoczy prosto w objęcia śmierci. Nawet z pomocą stygijskiego maga, posążku Ravaala i Rangildora nie poradzą sobie wobec sześciokrotnej przewagi przeciwnika. Taak, w takim razie może od razu przebić się mieczem... Tfu! Lepiej już nie myśleć o jutrzejszym dniu, bo się żyć odechciewa. Conan splunął, wstał i zawołał do Vellana:

— Ej, Vell, chodź, zagramy w kości. Do północy i tak jeszcze daleko, a w świątyni cisza.

— Nie chce mi się — odezwał się bezbarwnym głosem Brythuńczyk.

Barbarzyńca stał się czujny. Ton Vellana był zbyt mroczny...

— Co tak oklapłeś?

— Jutro jest bardzo zły dzień. Wielu zginie — powiedział Brythuńczyk. Potarł czoło i odrzucił nieposłuszne lniane pasma włosów.

— Kto? — Conanowi nastrój zupełnie się zepsuł, ale nadal chciał pograć w kości.

— Nie wiem — odpowiedział ze znużeniem Vellan. — Może ty. Może ja. Nie wiem.

Conan wziął go za ramiona i silnie potrząsnął:

— Przestań, słyszysz? Co ma być, to będzie. Komu los wyznaczył, że upadnie w kałuży własnej krwi, ten upadnie. Myślisz, że ja mam ochotę się tam jutro pchać? Chodź, zagramy, co się będziesz gryzł...

Brythuńczyk wstał z niechęcią i polazł za barbarzyńcą do jaskini. Cymmerianin zdążył już wyciągnąć z podróżnego worka skórzany wysoki kubek z pięcioma kostkami wyciętymi z żółtawej matowej kości. Vellan dorzucił do zaczynającego gasnąć ogniska kilka gałązek i siadł naprzeciwko na rozłożonym płaszczu. Conan potrząsnął kubkiem i rzucił na próbę.

— Na kopniaki czy na pieniądze? — uściślił.

— Na pieniądze — Vellan zaczął dochodzić do siebie. — Stawka — złota moneta, może być?

— Zaczynamy!

Brythuńczyk szybko przegrał sporą sumę i gra pochłonęła go całkowicie. Rzucając z zapalem kości, nie usłyszeli nawet cichego ostrzegawczego gwizdnięcia maga. Totlant musiał krzyknąć na graczy:

— Chodźcie tu, zaczyna się!

Conan niezadowolony sprzątnął kubek i kości. Bel sprzyjał mu tylko na samym początku gry, potem Vellan szybko się odegrał i w dodatku ograł Conana na trzydzieści monet. Conan płonął pragnieniem dalszej gry, a tu jakieś wilkołaki, składanie ofiar... jakby te głupoty nie mogły zaczekać!

Vellan, przeciwnie, poweselał i zaczął żałować, że wcześniej nie wpadli na to, żeby grać na postojach. A nuż on, Vellan, pod koniec drogi stałby się bogaczem. Conan posłał Brythuńczyka na zwiady, a sam wpatrywał się w świątynię. Ku jego zdumieniu było tam ciągle tak samo cicho i ciemno. Barbarzyńca natychmiast zaatakował Totlanta:

— Skąd ci przyszło do głowy, że wilkołaki zaczynają?

— Widzę w ciemności — odezwał się mag. — Kręcą się przed bramą. Poza tym, zaraz nadejdzie północ.

Rzeczywiście, księżyc przebył już ponad połowę swojej drogi po nocnym nieboskłonie. Na przekór oczekiwaniom Cymmerianina, nie doszło do śnieżycy. Chmury lekko się rozpełzały, w przerwach migotały zimne gwiazdy i z rzadka ukazywała się Pani Nocy.

Conan przypatrzył się uważniej i też wypatrzył w mroku na dole jakiś ruch, ale nawet jego sokole oko nie mogło zobaczyć nic więcej. Nagle świątynia zapłonęła. A raczej Conanowi wydało się, że zapłonęła. Czarny budynek migotał pośród ciemnych gór, jak malutkie słońce dla wybranych. Można było zobaczyć biegające przed bramą wilkołaki. Ułożyły wysokie

ognisko, przy którym stały dwa półzwierze — jeden z płonąca pochodnią, drugi z czymś w rodzaju klepsydry. Wilkołak uważnie obserwował spadanie ziarenek piasku i nieoczekiwanie machnął łapą, dając znak pozostałym. Drugi wsunął pochodnię w kupę chrustu. Cymmerianin miał wrażenie, że słyszy trzaskanie rozpalających się drew. Na pewno się przesłyszał, przecież od świątyni dzieliła ich jeszcze spora odległość.

Ogromne ognisko szybko zapłonęło. Purpurowe płomienie wzbily się do wież. Z niewielkiej przybudówki z kratami w oknach zaczęto wyprowadzać trzęsących się jeńców. Conan uświadomił sobie, co mają zamiar zrobić wilkołaki, i zrobiło mu się niedobrze. Pamiętał doskonale, jak ohydny widowiskiem był ich rytuał, a ten zapach! Barbarzyńcę skreśliło. Jeńcy mieli skute ręce i nogi, a na szyjach obręcze, połączone jednym łańcuchem. Nieszczęśników doprowadzono do ogniska, i zaczęto im zdejmować obroże. Ludzie rozglądali się przerażeni, nie rozumiejąc, co się z nimi stanie. Dobrze, że niczego się nie domyślają. Będzie im lżej...

Ogromna brama powoli się otworzyła. Wyszły z niej równym szeregiem wilkołaki. Na przedzie najprawdopodobniej kroczył czarownik — półzwierz, ściskający w łapach czarną matową kulę wielkości ludzkiej głowy. Stwory podchodziły do jeńców, wybierały sobie ofiary i zdejmowały im kajdany. Trzymając niewolników za ramiona, stawały mordami w stronę ognia. Każdy z wilkołaków najwyraźniej zajmował określone miejsce.

— Vellan, zawołaj szybko Emerta! — zasyczał Conan, odwracając się do obserwującego rytuał Brythuńczyka. Ten skinął głową i pobiegł do jaskini. Wilkołaki tymczasem tworzyły regularne koło.

Z jaskini wyszedł Emert z nieodłącznym łukiem za plecami. Ziewał i rozpaczliwie tarł oczy. Conan przywołał go gestem i gdy Bossończyk usiadł obok, zapytał:

— Twoja strzała doleci do świątyni?

Emert natychmiast do reszty się obudził, zmrużył oczy i powoli pokręcił głową:

— Nie. Za silny wiatr. Strzała doleci, ale czy trafi w cel... Rozumiem, że chcesz zabić czarownika, ale weź pod uwagę, że jeśli chybię, wilkołaki zrobią z nas pieczeń. Nie zdołamy odeprzeć sześciu dziesiątek potworów.

Conan westchnął:

— Nie tłumacz się. Rozumiem.

— W takim razie pójdę się jeszcze przespać. Nie mogę na to patrzeć... — Łucznik wstał i wyszedł. Vellan znowu usiadł przed wejściem; od czasu do czasu zerkał w stronę świątyni.

Wilkołaki zakończyły tworzenie kręgu wokół płonącego ogniska. Czarownik stał opodal, razem z wysokim barczystym wilkołakiem srebrzystej maści. Przywódca, pomyślał Conan i mocniej ścisnął rękojeść Rangildora.

Przywódca stada i mag nie wzięli sobie jeńców. Tych, którzy zostali odprowadzili strażnicy i pilnujący ogniska. Krąg zamknął się.

— Zaraz się zacznie — wyszeptał Stygijczyk. Wpatrywał się w to wszystko jak urzeczony.

Księżyc wyjrzał zza chmur, jego martwe światło musnęło ciemną kulę w łapach wilkołaka i rozbłysła czerwonym płomieniem. Czarownik uniósł ją nad głową i gardłowym głosem zaczął wypowiadać zaklęcie, dziwacznie przeciągając słowa. Wiatr nasilał się, płomień ogniska dziwnie się wyginał i przemieniał cienie wilkołaków w wyjątkowo ohydne monstra...

Światło igrało na dziwnych kamiennych potworach, ozdabiających dach świątyni. Conan pomyślał, że nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, do jakiego boga ona pierwotnie należała. Może to, co robiły wilkołaki, to tylko dziecięce igraszki w porównaniu z czymś, co działo się tu wcześniej? Cymmerianin był przekonany, że obsydianową świątynią władała Ciemność, ale taka, przy której Set to tylko drobny łobuziak. Wolał nie patrzeć na starożytny budynek, próbował skoncentrować się na ognisku. Podobno płomień, jeśli się na niego długo spogląda, uspokaja...

Czarownik wilkołaków przerwał zakłęcie, oblizał wargi i wykrzyknął rozkaz. Conan zamknął oczy. Spodziewał się najgorszego, ale wilkołaki tylko wrzuciły do ognia po garści jakiegoś proszku.

Płomień żarłocznie zahuczał, wzbil się do iglic i zmienił kolor na matowożółty, księżycowy. Rozległ się znajomy okrzyk *Rarg, verzeh, gruhv!* — i wyjący z przerażenia niewolnicy zniknęli w ogniu.

Skowyt bólu wwiercał się w uszy. Cymmerianin wtulił twarz w skórę i ścisnął głowę rękami.

W dole otworzył się ognisty kwiat — wilkołaki otrzymały życiową siłę, a może i dusze zmarłych ludzi. Potworne istoty na dachu czarnej świątyni radośnie się uśmiechały, wydawało się, że zaraz zeskoczą ze swoich miejsc i polecą w dół, żeby wziąć udział w rytuale półzwierzy. Stygijczyk nie mógł oderwać wzroku od ogniska. Jego pobladłe wargi lekko się poruszały, najwidoczniej mamrotał jakąś modlitwę albo ochronne zakłęcie. Gdzieś za nim z bulgoczącym dźwiękiem rozstawał się ze swoją kolacją Vellan.

Z gardeł wilkołaków wyrwał się potężny ryk. Teraz mogły przesuwać góry, mogły zniszczyć każdego, kto stanąłby na ich drodze... Conan przysiągł na Croma, że jeśli bóg Północy nie opuści swoich synów, jutro nastąpi koniec tego plugastwa. Bez względu na cenę. Płomienie gwałtownie opadły, wilkołaki otworzyły krąg i padły na śnieg. Z ogromnego ogniska została tylko mała kupka ledwie tłących się węgielków, migoczących czerwienią w głuchej nocy.

Totlant ocknął się i szturchnął Conana w bok. Cymmerianin podniósł głowę, popatrzył w dół i chwycił za miecz. Mag ścisnął jego rękę swoją zimną jak sopel dłonią.

— Nie zdążysz, barbarzyńco. Zaraz wstaną, a słyszałem, że po rytuale są trzykrotnie silniejsze. Jeśli tak ci spieszą, żeby umrzeć, to możesz to zrobić jutro. I z większym pożytkiem. Do rana stwory zmęczą się i wtedy zdołacie rozprawić się z nimi bez litości.

Conan skinął powoli głową i powtórzył, wpatrzony w dogasające powoli ognisko:

— Bez litości...

Wilkołaki na dole wstały i chwiejnie doczłapały do świątyni. Ciężkie wrota skrzypnęły i zamknęły się z łoskotem. Potwory na dachu wyglądały na zadowolone i syte.

— Czyja to świątynia, nie wiesz? — pośpiesznie zainteresował się Conan i zerknął na czarny budynek. Stygijczyk drgnął i oblizał wargi, które natychmiast mu zaschły.

— Wiem. Ale nie będziemy w nocy, w dodatku na głos wymieniać jego imienia. I lepiej już nigdy o to nie pytaj. Nie odpowiem. Nikt nie odpowie. Teraz już go nie pamiętają, ale księga Skelosa w żelaznej oprawie zawiera rozdział o bogach Wiecznej Nocy i poświęconych im świątyniach. Ta nie jest najstarsza, zbudowano ją dopiero tysiąc lat temu. Nawet sam wielki mag pisał o niej ze strachem, a przepisywacze w późniejszych czasach tracili rozum, gdy robili kopie... — Mag zamilkł i dodał półgłosem: — Nie nalegaj, Cymmerianinie, i tak przeraża mnie sama myśl, że jutro mamy tam wejść...

— Mnie też — burknął Conan i odwrócił się.

W świątyni Niewiadomego długo rozlegało się wycie pełne przerażenia i bólu. Conan chwilami myślał, że do rana oszaleje, jak Omal, ale gdy słońce oświetliło góry i krzyki umilkły, barbarzyńca ze zdumieniem stwierdził, że nic mu się nie stało. Ognie w oknach powoli gasły, wilkołaki kładły się spać po długiej nocy. Nastawał czas ludzi.

VII

Ranek był wilgotny i pochmurny. Z północy wiał przenikliwy wiatr. Niebo chmurzyło się groźnie, zapewne miało zamiar sypnąć śniegiem w zemście za wczorajszą przerwę. Na dole, w czarnej świątyni, wreszcie zapanowała cisza i spokój. Na górze, w malutkiej jaskini słychać było równy oddech śpiących ludzi.

Conanowi pękała głowa. Czuł się jak po długiej i ciężkiej bitwie. Gdy barbarzyńca chwiejnie dowlókl się do jaskini, żeby obudzić towarzyszy, poczuł jak bolał go mięśnie. Vellan niedługo przed wschodem zapadł w ciężki sen i teraz jęczał. Conan zastanowił się, co mu się może śnić i kilka razy potrząsnął Brythuńczykiem. Ten z trudem rozkleił powieki i drżącą ręką starł z czoła liczne kropelki potu.

— Dziękuję — wykrztusił. Zgarnął garść śniegu i przyłożył go do czoła. Totlant siedział w kucki przed wejściem do jaskini i patrzył na posepne obsydianowe potwory na dachu świątyni. Wargi Stygijczyka poruszały się ledwie zauważalnie.

Przecież on się modli, zrozumiał nagle Conan. I boi się, potwornie boi się tego miejsca. Co tam siedzi takiego, skoro mieszkaniec Stygii, w której na każdym kroku są świątynie Seta, trzęsie się i modli? Bogowie, gdzie my właściwie leżymy?

Cymmerianin dotknął ramienia śpiącego obok wejścia Ertela.

— Wstawaj. Czas wypełnić obowiązek.

— Mamusiu, jeszcze chwileczkę — wymamrotał Ertel, przekręcając się na drugi bok. Conan ze złością kopnął go i powtórzył:

— Wstawaj, słońce już wysoko.

Tym razem Ertel zajęczał, otworzył oczy i usiadł:

— Po jakiego demona zrywasz mnie tak rano, barbarzyńco? Słońca jeszcze nie widać!

Conan od rana nie najlepiej się czuł, ale skoro zdarzyła się okazja, żeby zakpić ze śpiocha...

— Nigdy go nie zobaczysz, jak się będziesz gapić na kamienie.

— Jak ja mam cię dosyć — powiedział posepnie Ertel i ze stekiem zwlókl się ze swojego legowiska. — Już wstałem, wstałem!

— No i dobrze. Obudź pozostałych, a ja się choć trochę zdrzemnę.

— Obudź, obudź... — przedrzeźniał go Ertel. Przeciągnął się, ziewnął i nagle wydarł się na całe gardło:

— Wstawać, leniwe tchórze! Miecze w dłoń, nadszedł czas siekania wilkołaków na kapustę!

Ze wszystkich stron rozległy się jęki, oburzone wycia i w głośnego żartownisia poleciały buty.

Cymmerianin położył się na płaszczu i zapadł w niezdrowy sen. Znowu zobaczył koszmar składania ofiar, ale teraz nie mógł odwrócić od niego wzroku i zatkać uszu. Ciągnęło się to całą wieczność. Nie mógł już dłużej tego wytrzymać, nie miał już sił patrzeć na tę potworność. Zaczął krzyczeć.

Ktoś potrząsnął go za ramię i Conan ocknął się. Okazało się, że obudził go Vellan, który czuł się tak samo źle jak barbarzyńca.

Wojownicy zmęczeni koszmarną nocą szybko jedli ostatki zapasów. Cymmerianin obojętnie przeżuwał kawałek wczorajszego twardego jak rzemień peklowanego mięsa, napił się zimnej wody i pomyślał, że nie będzie z niego wojownika. Kilka fałszywych ciosów, których zmęczony mózg raczej nie zdoła odgadnąć w porę — i po Cymmerianinie. Trzeba coś zrobić.

Pospiesznie zrzucił odzież i tylko w opasce na biodrach rzucił się w najbliższą zaspę. Skóra zareagowała na zimno, ból w mięśniach i głowie zaczął ustępować. Cymmerianin do czerwoności natarł się twardym śniegiem i poczuł się wypoczęty i gotowy do mającej nastąpić walki. Głowa znowu zaczęła pracować jak należy, prześladowające go krzyki umilkły. Barbarzyńca ubrał się, naciągnął kolczugę, powiesił Rangildora za plecami, a karpashski

kindżał przy pasie. Odwrócił się do pozostałych. Jego wzrok napotkał osiem par oczu i każda mówiła: jesteście gotowi.

— Seleno, zostań w jaskini — zaproponował Conan, czując dziwny niepokój. Dziewczyna nie miała nic do roboty w tej ponurej i przerażającej świątyni. — Poczekasz na nas...

— Nie — dziewczyna zdecydowanie potrząsnęła ciemnymi kędziorami. — Będę z wami do końca.

Cymmerianin mógł tylko wzruszyć ramionami. Przekonywanie Seleny nie miało sensu, zresztą i tak nie było na to czasu.

— W takim razie naprzód.

Wojownicy zeszli na dół do skrzyżowania, rzucili pożegnalne spojrzenie na świątynię Ravaala, i poszli w stronę posępnego budynku. Posążek boga Conan nadal miał w worku — a nuż się przyda?

Ogromne skrzydła bramy, z dębowych desek obitych żelaznymi nitowanymi pasami, otwierały się na zewnątrz. Bez tarana nie było mowy o wejściu. Oddział stanął stropiony. Conan dla pewności leciutko pociągnął za ogromny brązowy pierścień. Oczywiście zamknięte. Barbarzyńca odwrócił się do Stygijczyka:

— I co proponujesz?

— Ja? — Totlant uśmiechnął się leciutko kącikami ust. — Zdaje się, że to ty dowodzisz. Ja bym radził najpierw zajrzeć do tamtych szop, a potem wrócić do bramy i zastanowić się jeszcze raz.

Z jednej strony świątyni stały trzy niepozorne dobudówki, z drugiej dwie. Cymmerianin zastanowił się i z bólem serca postanowił podzielić oddział.

— Erhard, bierz siostrzeńca, Framę i Totlanta i tamte dwa domy są wasze. Reszta za mną.

Sześciu ludzi otoczyło przysadzisty budynek. Gunderzy stanęli po obu stronach drzwi, Emert z naciągniętym łukiem naprzeciwko, a Conan i Vellan ostrożnie zajrzeli przez okna, toporne i krzywe, w kształcie krzyża, zaciągnięte nieprzezroczystą miką. Conan na próżno próbował wypatrzeć, co jest w środku. Wrócił do wejścia i stanął za Gartem, a Vellan za Giliomem. Starszy Gunder kopnął nogą drzwi. Niedbale zbite i byle jak połączone żelaznymi pasami deski ze skrzypieniem odjechały w głąb.

Emert z ulgą opuścił łuk. Pokój, który ukazał się za drzwiami, był tylko składem. W odległym kącie leżały jakieś worki, skrzynki — i ani jednego wilkołaka.

— Udało się — odetchnął Gart, ale Giliom przerwał mu:

— Na twoim miejscu bym się tak nie cieszył. Im więcej potworów wybijemy pojedynczo, tym mniej potem przyleci, żeby zabijać nas.

Conan na wszelki wypadek wszedł do środka i zajrzał za stertę worków. Nikt tam na nich nie czekał, nikt się nie chował.

Następna szopa. Teraz barbarzyńca nie tracił już czasu na zagłądanie przez okna. Kopnięciem otworzył drzwi, wpadł do identycznego brudnego pomieszczenia, tym razem nie pustego. Na workach z ziarnem spało sześć wilkołaków. Jeden z nich uniósł głowę na stuk otwierających się wrót i opadł ze strzałą w oku. Pozostali nie zdążyli się nawet obudzić...

Miecze wznosiły się i opadały. O żadnej uczciwej walce nie mogło być mowy. Ludzie wpadli w pasję i zaciekle rąbali martwe już ciała.

Conan odciągał swoich opętanych towarzyszy i przekonywał ich, że już po wszystkim. Na workach leżały teraz ohydne kawałki, nie przypominające ani zwierząt, ani ludzi.

Na widok tego, co narobili, Brythuńczyk pobladł i potykając się wyskoczył na zewnątrz. Conan i Gunderzy mieli mocniejsze nerwy i udało im się spokojnie opuścić szopę. Emert, który wychodził ostatni, zamknął za nimi drzwi.

— Nie zapędzajcie się tak, mamy jeszcze jeden budynek — powiedział surowo Conan, gdy znów się spotkali. — I nie zapominajcie, że musimy jeszcze wejść do tej przeklętej świątyni!

— Staliśmy się tacy jak one — wydusił posepnie Vellan. — Coś takiego nie może się więcej powtórzyć.

Trzecie pomieszczenie jeszcze wczoraj pełniło rolę zagrody dla jeńców. Budynek był dłuższy niż pozostałe, malutkie okna chroniły kraty. Wewnątrz spały cztery wilkołaki. Zginęły błyskawicznie, nie zdążyły nawet zrozumieć, że umierają. Serce jednego z nich przebiła strzała, drugiemu Conan odciął głowę, trzeciego niemal na pół rozciął Vellan. A czwartego wykończył Giliom. Myśliwi daremnie szukali jakiegoś niewolnika — widocznie wszystkich zabito wczoraj.

— Wychodzimy — rozkazał Conan. Pochyleni pobiegli w stronę świątyni. Nikt nie wytarł zakrwawionych mieczy — na wyrwanych ze snu wilkołakach robi to większe wrażenie.

Przed bramą stał Erhard i reszta. Widząc zakrwawione klingi, Totlant rzucił z zazdrością:

— Zabiliście kogoś? W naszych szopach były tylko worki z ziarnem.

— O dziesięciu mniej — odpowiedział barbarzyńca na pytające spojrzenie Erharda i zwrócił się do maga: — No i co, jak proponujesz dostać się do środka?

— Przez drzwi — uśmiechnął się złośliwie Stygijczyk i wycelował kosturem w bramę. — Widzę, że postanowiliście się nie kryć, zatem wejdziemy z rozwiniętymi sztandarami, przy dźwięku bojowych trąb... — Z kostura wystrzelił biały cienki promień i uderzył w deski. Drewno i żelazo niedługo opierało się magii i po kilku chwilach ogromna brama z ogłuszającym łoskotem runęła do środka. Na wszystkie strony trysnęły kawałki desek i odłamki kamieni.

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą — zauważył filozoficznie Ertel.

— Jednak coś potrafisz, czarowniku — przyznał pobłaźliwie Conan. — Naprzód, póki potwory jeszcze się nie do końca przebudziły.

Ostrożnie omijając rozwalone deski i pasy skręconego rozgrzanego metalu, wojownicy jeden za drugim weszli pod czarne kamienne sklepienie. Potwory na dachu złowieszczo się uśmiechały, bo przeczuwały krwawe żniwo. Conan szedł ostatni i zatrzymał się w bramie, żeby się obejrzeć. Niepokoiła go nieobecność gnomów. Już powinny wyjść na spotkanie ludziom, ale póki co podziemnych mieszkańców nie było ani widu, ani słyhu.

— Mam nadzieję, że mimo wszystko się nie spóźnią — wymamrotał barbarzyńca i poszedł za resztą.

— Trald! Trald! Tutaj też jest zawalone!

— Niemożliwe! Borin, starsi pourywają nam głowy, jak nie zdążymy

— My to my, ale tam są ludzie, którzy o świcie mają zaatakować wilkołaki! Koniec z nimi!

— Jak mogło do tego dojść? Pięć chodników dzieli nas od kopalń tej przeklętej świątyni i wszystkie zawalone! I to zawalone niedawno, patrz, świeże skały!

— Mnie pytasz? Skąd mam niby wiedzieć?

Dwa gnomy w pełnym bojowym rynsztunku z wielkimi okrągłymi tarczami i toporami na długich rękojeściach za pasem, zrozpaczone dreptały przed górą kamieni, zamykającą przejście do podziemi świątyni. Za nimi w niskim chodniku, jak kamienne posągi, w szyku po dwóch stała setka wyborowego gnomiego wojska. To byli hirdmani, wojownicy, którzy zdobyli swe niemałe doświadczenie w walkach z sąsiednimi plemionami, droho i szajkami Czarnoliczych. Teraz płonęli pragnieniem walki z pomiotami Nergala, ale ktoś (najpewniej te pomioty) przezornie zasypał niebezpieczne przejścia, prowadzące do gnomich osad.

— I co teraz, Trald? Przecież oni tam zginą!

— Może wrócimy i pójdziemy górą?

— Pół dnia, żeby wydostać się na powierzchnię, i drugie pół, żeby dojść do świątyni! Trald, do tego czasu z ludzi zostaną tylko kości!

— A co proponujesz? Rozebrać to?

— Tak. Patrz, jeśli wierzyć starej mapie tuneli, do świątyni zostało około dwustu kroków. Prościej położyć nowy chodnik, niż biegać naokoło po górach. I jeszcze jedno. Nad nami znajduje się porzucony korytarz, który kończy się ślepym zaułkiem, niemal ścianka w ściankę z tunelem, prowadzącym do podziemi. Spróbujmy przebić się tam!

— Dobra, przekonałeś mnie. Spróbujmy.

Gnomy cofnęły się, łomocząc butami po kamieniach, weszły do starego nie dokończonego korytarza i zaczęły przebijać się przez granitową ścianę, dzielącą ich od obsydianowej świątyni.

Od razu za główną bramą zaczął się długi, stopniowo zwężający się korytarz. Na ścianach w specjalnych brązowych gniazdach wisiały krótkie, ciężkie, dopalające się pochodnie. Niepewne migoczące światło rodziło rozkołysane potworne cienie...

Conan przyjrzał się i zauważył, że nawet gniazda dla pochodni mają kształt ohydnych potworów, przypominających monstra na dachu.

Kroki ludzi rozlegały się w pustym korytarzu. Gdzieś daleko na przedzie ktoś szybko przebiegł, szurając pazurami po kamieniu, trzasnęły drzwi, potem jeszcze jedno. Całkiem blisko senny głos zapytał, co się stało. Odpowiedzi Cymmerianin nie usłyszał, ale po rozdrażnionym tonie zrozumiał, że pytającego ktoś niezłe obrugał.

Świątynia powoli wypełniała się dźwiękami. Na razie wśród wilkołaków panował bałagan, ale wkrótce przywódca i czarownik doprowadzą ich do przytomności, i na pewno zdołają zorganizować oblawę na obcych, którzy przeniknęli do ich schronienia. Oddział nie wyjdzie z tego cało, a gnomów nie słyhać. Rozproszyć się? Niebezpiecznie... Conan przyspieszył kroku, potem zaczął biec. Podkute podeszwy butów łomotały o kamienną podłogę, zdolne poderwać z grobów nieboszczyków, nawet tych, którzy przeleżeli w ziemi już ładnych parę lat. Obsydianowy tunel zakończył się brązowymi wrotami, mniej więcej dwa razy mniejszymi od wejściowych i ozdobionymi litymi figurkami potworów. Cymmerianin z rozpędu zatrzymał się przed nimi i z obrzydzeniem splunął.

Kamień wokół skrzydeł był umiejętnie obrobiony i wejście wyglądało jak paszcza nieznanego monstrum. Sterczały długie wygięte kły, wзираło pięcioro wypukłych oczu, wyciągały się jakieś macki... Na samej bramie mniej więcej na poziomie oczu człowieka, widniały ohydne wypalone w metalu runy. Wpatrując się w ich dziwaczne zawijasy, barbarzyńca nieoczekiwanie poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie i pospiesznie się odwrócił.

Wojownicy stłoczyli się za jego plecami i w milczeniu przyglądali się dziełu nieznanego mistrza. Totlant, który biegł najwolniej, podszedł dopiero teraz i z krzywym uśmiechem przetłumaczył napis na drzwiach:

— „Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie...” Niedawna robota, zdaje się, że nowi gospodarze się postarali. I co za patos!

Conan ostrożnie zapytał:

— Słuchaj, a w jakim to języku? Nie rozumiem ani jednej runy...

— Nic dziwnego — pokiwał głową mag. — Tak pisano w starożytnym Pithonie, przeklętej stolicy Acheronta. Od czasu gdy wasi przodkowie barbarzyńcy zburzyli Pithon i wdeptali jego purpurowe sztandary w krew, te runy wykorzystują nieliczni potężni magowie. Ten, kto nie dysponuje odpowiednią mocą i zdolnościami przyglądając się im ryzykuje utratą rozumu. Lepiej się odwróćcie. — Stygijczyk znowu się uśmiechnął i przestąpił z nogi na nogę. Conan popatrzył na niego pytająco:

— A możesz je otworzyć?

— Postanowiłeś od tej pory we wszystkim wysługiwać się magią, Cymmerianinie? — oburzył się Totlant. — A nie łaska po prostu pchnąć skrzydło? Coś mi się zdaje, że one się od razu otworzą. Już i tak wystarczająco głośno daliśmy o sobie znać, nie warto już nic burzyć.

Barbarzyńca lekko się zmieszał, przeklął w duchu siebie i złośliwego maga, potem odwrócił się i leciutko nacisnął drzwi.

To wystarczyło. Skrzydła otworzyły się bezszelestnie. Za nimi była nieprzenikniona ciemność. Ktoś z oddziału westchnął zduszonym głosem, ktoś cicho zaklął.

Conan odwrócił się, z dumną miną podszedł do ściany, wyrwał ze szponiastych łap przypominającego ropuchę potwora dopalającą się pochodnię i krytycznie ją obejrzał. Ujdzie. Może potem uda się znaleźć nową. Pozostali poszli za jego przykładem. Totlant zapalił na końcu swojego kostura szmaragdowy ogień.

Cymmerianin powoli przeszedł przez drzwi i przystanął. Pod nogami pluskała jakaś gęsta ciecz, a niezbyt jasne światło pochodni nikło w otaczającej ciemności. Zdaje się, że drzwi prowadziły do jakiejś wielkiej sali.

Barbarzyńca ostrzegawczo podniósł rękę, kazał się zatrzymać oddziałowi i nachylił się, świecąc sobie pochodnią.

— Na Croma... — wyszeptał. Ledwo tłący się płomyczek oświetlił lśniąca oleście powierzchnię. — Tu wszystko jest we krwi!

— Oto, czym zajmowały się przez resztę nocy. — Stygijczyk, zdaje się, był zadowolony, że znalazł rozwiązanie tej niezbyt trudnej zagadki. — Zobaczmy, gdzie jesteśmy...

Iskierka na kosturze zaczęła się rozpalać, rosnać, w końcu osiągnęła rozmiary sporej tykwy. Wtedy mag pchnął kulę, która płynnie wleciała pod sufit, zalewając pomieszczenie falami zielonego światła.

Teraz wszyscy zobaczyli rząd drzwi pod ścianami i wielką bramę naprzeciwko, a także ogromną bezkształtną bryłę pośrodku oraz to, że cała podłoga połyskuje czerwienią. Wokół bryły przypominającej swego rodzaju ołtarz, wznosiło się dziewięć grubych pali, na które wbite były zakrwawione ludzkie ciała...

Conanowi zakręciło się w głowie od nienawiści. Żaden z tych bydlaków nie zasługuje na kroplę miłosierdzia! Póki żyję, będę zabijał każdego wilkołaka, jaki wpadnie mi w ręce! — pomyślał.

Cymmerianin wyciągnął z pochwy za plecami Rangildora. Klinga lśniła jasnym błękitnym światłem — półwilki były gdzieś niedaleko. Możliwe, że czaiły się gdzieś nieopodal.

Barbarzyńca nie zdążył dokończyć myśli, gdy jedno z drzwi z trzaskiem otworzyły się na oścież, do sali wpadł zjeżony wilkołak i zdumiony zatrzymał się.

— Co... co się tu dzieje? Kim jesteście? — zapytał przestraszony i zaczął się cofać.

Emert podniósł łuk.

— Karzące Dłonie Stwórcy — wyraźnie i ze złością odpowiedział Bossończyk i puścił cięciwę. Strzała na wylot przebiła szyję zwierza i z szelestem upadła na kamień. Wilkołak przenikliwie zakwiczał, potem chwycił się za bulgoczące gardło i usiadł na zakrwawionej podłodze. Jego krew sączyła się przez szponiaste palce i mieszała się z gęstniejącą krwią ludzi, niedawno złożonych przez niego w ofierze.

— Pierwsza jaskółka — zauważył Emert.

— Martwa jaskółka — uściślił Ertel i odwrócił się do Conana: — Coś mi mówi, że trzeba się stąd wynosić. Tutaj nie będziemy się mogli bronić bez pomocy gnomów... a jakoś nie słyszę ich ciężkich kroków.

— Można zobaczyć, co jest za drzwiami — niezbyt pewnie zaproponował Cymmerianin.

— Ja bym wybrał drogę przez brązową bramę — wmieszał się mag. — O ile mi wiadomo, za drzwiami zaczyna się splątana sieć korytarzy, prowadzących w głąb góry. Szybko zagonią nas w pułapkę.

Erhard nie czekał, aż barbarzyńca się zdecyduje i skorzystał ze swojego głosu dowódcy.

— Idziemy naprzód.

Krew ohydnie ciamkała pod nogami, ludzie ślizgali się i potykali. Magiczna kula pod sufitem świeciła coraz słabiej i gdy Erhard otworzył bramę, ostatecznie zgasła, błyskając na pożegnanie jaskrawą iskierką.

Za brązową bramą był taki sam korytarz. W nim czekał już komitet powitalny. Trzy wilkołaki.

Gdy stwory zobaczyły, że ludzie mają przewagę liczebną, próbowały się skryć, ale nie zdążyły. Najbliższego w długim pięknym wypadzie dosięgnął stary setnik, drugi, który rzucił się od ucieczki upadł ze strzałą w karku. Ostatni gorączkowo się rozejrzał. Przyjaciele, z którymi dopiero co rozmawiał, leżeli na podłodze... Jeden wił się, próbując zacisnąć rozszarpaną ranę na brzuchu, drugi wtulił się mordą w szorstki kamień i już się nie ruszał.

Erhard celnym ciosem dobił rannego wilkołaka i z okrwawionym mieczem podszedł do zastygłego wroga. Z tyłu skrzytną naciągany łuk. Półzwierz nagle padł na kolana i składając łapy w modlitewnym geście wyciągnął je do setnika.

— Ni-ii-eee zabi-i-ijaaaj... — wyjąkał. Brązowe ludzkie oczy w wilczym pysku rozszerzyły się nagle i wyszły z orbit.

— Wybacz, przyjacielu — parsknął wesoło Erhard, wznosząc miecz. — Litość jest dzisiaj bardzo droga. Nie stać cię na nią.

Miecz ze świstem przeciął ciężkie powietrze i ściał głowę stwora tak lekko, jakby dziecko w zabawie zrywało główki kwiatków.

— Droga wolna. — Setnik wytarł klingę i zrobił zapraszający gest. Pod jego nogami drgało konwulsyjnie kosmate ciało bez głowy.

Selena z trudem powstrzymywała wymioty. Słabo zrobiło się jej jeszcze w poprzedniej sali, ale widok fontanny jasnoczerwonej krwi, chlustającej z szyi i wyszczerzonej głowy, toczącej się po obsydianowej podłodze stał się kroplą, która przepelniła czarę. Nawet przywykły do takich widoków Conan poczuł spazm w żołądku, a co dopiero mówić o dziewczynie — widziała trupy tylko dwa razy w życiu, nie licząc rzezi na polanie.

Conan usłyszał zdławiony jęk i zdążył pochwycić upadającą dziewczynę. Selena była nieprzytomna. Cymmerianin znał na to jedno lekarstwo, które jeszcze nigdy nie zawiodło. Postawił miękkie osuwające się ciało na nogi i przytrzymując dziewczynę jedną ręką za szyję, drugą wymierzył jej kilka głośnych policzków. Selena jęknęła i powoli otworzyła oczy.

— Słuchaj, dziewczyno — wyszeptał ze złością Conan. — Teraz nie pora na omdlenia i urządzanie hysterii. Jeśli nie możesz iść dalej — wracaj, droga na razie wolna.

— Nigdzie nie pójde! — tupnęła nóżką Selena, którą ostatecznie ocuciły słowa barbarzyńcy. — Już więcej nie będziesz musiał mnie ratować! I w ogóle — zabieraj łapy!

Cymmerianin puścił ją, odwrócił się w milczeniu i szybkim krokiem dogonił Erharda.

— Jakoś nie słyhać wilkołaków — pokręcił głową setnik, gdy barbarzyńca znalazł się obok niego. — Niedobrze... No, dokąd teraz?

Korytarz rozdzielił się na trzy jednakowo ponure przejścia. W świątyni panowała podejrzana cisza, zakłócana tylko krokami nieproszonych gości. Ze ścian złośliwie uśmiechały się potwory z pochodniami. Conana nie opuszczało wrażenie, że budynek drwi sobie z nich i współdziała z wilkołakami. Obrzydły mu pyski potworów na ścianach, słabe światło pochodni i cała ta po trzykroć przeklęta historia! Że też udało mu się wplątać w taką kabałę! Barbarzyńca twardo pomyślał: jak tylko dostanę złoto, natychmiast wynoszę się z tego chlewu! Do Aquilonii, do Piktów, tam przynajmniej są ludzie! Zabieram się stąd, nawet jeśli nie wykończymy wilkołaków! Do licha z forsą... Chociaż nie, sto tysięcy na drodze nie leży...

— Pójdziemy prosto, tak jak szliśmy — zdecydował Conan, pomachał ręką w stronę głównego przejścia i pierwszy poszedł do przodu. Za nim ruszyli pozostali. Totlant odczekał chwilę, wycelował kostur w lewe, a potem prawe przejście, z satysfakcją skinął głową i pobiegł za towarzyszymi.

— Barbarzyńco, masz znakomitą intuicję! — zachwycił się mag, pokonując zadyszkę. — Udało ci się wybrać drogę, gdzie nikt na nas nie czekał! W bocznych przejściach urządzono zasadzki, czyha tam co najmniej kilkanaście stworów.

— Żyję tak długo, bo nie zapominam, żeby rozglądać się na boki — odciął się Conan. — I przestań nazywać mnie barbarzyńcą! Sam jesteś nie lepszy! Czarnoksiężnik!

— Już nie będę — obiecał Totlant. — Ale pomyśl sam, kim innym mogłem zostać? Po pierwsze, jestem Stygijczykiem, po drugie, wszyscy moi przodkowie do dziesiątego pokolenia włącznie byli czarownikami. Jeszcze nie umiałem porządnie mówić, a już mogłem zapalić ogień, zamieść podłogę i przypiec gwandrę jednym pstryknięciem palców! Nie można było pozwolić, żeby taki talent się zmarnował!

— Co to takiego gwandra? — zapytał podejrzliwie Cymmerianin.

— Jakieś plugastwo?

— Nasza narodowa potrawa. Odwiedź nas kiedyś, to spróbujesz — zaproponował serdecznie mag. Barbarzyńca złośliwie się roześmiał.

— Nie lubią mnie w Stygii. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, próbują zabić... Słuchaj, a nie wydaje ci się, że pchamy się w pułapkę?

— Właśnie się nad tym usilnie zastanawiam, a różni barba... przybysze z pomocy przeszkadzają mi — odezwał się Stygijczyk. — A mówiąc poważnie, możliwe że specjalnie zostawiono nam wolny korytarz. Gdybyśmy weszli w któryś z bocznych, wypędzono by nas, pozwalając ukryć się tutaj. Ale i tak już nic nie możemy zmienić. Wilkołaki sądzą, że wszystko przewidziały. Ale może ich plany obrócić się przeciwko nim...

— To byłoby najlepsze — zgodził się Conan.

Totlant skinął głową i dodał:

— Poza tym nic nie wiemy o gnomach.

Tutaj Stygijczyk się mylił. Wilkołaki wiedziały o podziemnym narodzie i postarały się zrobić wszystko, żeby zabezpieczyć swoje schronienie. Nie zdawały sobie jednak sprawy, że gnomom tak szybko uda się obejść rumowisko. Gdy Conan i Totlant wysuwali różne przypuszczenia, oddział gnomów miał już za sobą ponad połowę drogi.

Przejście kończyło się szerokimi schodami, które płynnie pięły się w górę, na pierwsze piętro świątyni. Wchodząc po szerokich stopniach, tropiciele wilkołaków trafili na następny korytarz. Schody jednak prowadziły dalej. Conan rozejrzał się — spokój. Pochodnie oświetlały jedyne drzwi po prawej stronie, też wykonane z brązu, ozdobione dwiema smoczymi głowami z pierścieniami w zębach.

Cymmerianin zawahał się chwilę, po czym zdecydowanie zaczął wchodzić wyżej. Nie zdążył przejść nawet dziesięciu stopni, gdy z góry dobiegło posępne wycie. Barbarzyńca zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wycie przybliżało się i teraz można w nim było wyczuć bojowy zapal i wezwanie do walki. Odpowiedź nadeszła z prawej strony, z lewej, z dołu...

— Otoczyły nas, bydlaki! — wrzasnął Conan. Rangildor w jego rękę zapłonął oślepiającym białym światłem.

Na górze zamigotały czerwone punkty, zastukały pazury, i na osłupiałych ludzi runęła cała kosmata armia.

Conan od razu zrozumiał, że z pomocą żadnego miecza, niechby nawet potrójnie magicznego, nie zdoła odeprzeć tak wściekłego ataku. Dlatego potykając się pomknął na dół. Oddział poszedł za jego przykładem.

— W prawo! — zakomenderował Erhard. Czerwone oczy pojawiły się jednocześnie na dole i w lewym korytarzu. Z prawej strony dało się słyszeć wycie, ale na razie nikogo nie było widać.

Cymmerianin zatrzymał się na ostatnim schodku, dając Erhardowi możliwość zebrania pozostałych. Z góry z triumfalnym skowytom leciały wilkołaki w półwilczej postaci. Niektóre ścisnęły w szponiastych łapach miecze i kopie.

Conan wznosił klingę i przygotował się. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że na przedzie spadającej na niego lawiny na pewno leci jakiś samotnik, żądny osobistej sławy.

Tak było. Nieuzbrojony wilkołak jasnoszarej maści skoczył na człowieka, wyciągając do przodu szponiaste łapy. Barbarzyńca wyliczył wszystko dokładnie, cofnął się o krok w prawo i zaatakował z szybkością błyskawicy. Rozrąbane na dwie połowy ciało potoczyło się w dół, krew obficie tryskała na stopnie. Wkrótce rozległo się głucho uderzenie i gniewne wycie.

Uśmiechnięty Conan, nie spuszczać wzroku z powstrzymanych wrogów, miękkim kocim krokiem przesunął się do tyłu.

— Hej, potwory! — krzyknął z zadowoleniem. — Który następny? Podchodźcie pojedynczo albo po dwóch!

Odpowiedziało mu wściekłe wycie. Wilkołaki szybko przewyciężyły osłupienie spowodowane straszną śmiercią pobratymca i rzuciły się do ataku. Były ich co najmniej trzy dziesiątki, i Conan mimochodem pomyślał, co się stanie, jeśli oni z Erhardem pomylili się i potworów jest ponad sto?

Zorganizowana defensywa przemieniła się w otwartą ucieczkę. Cymmerianin próbował odepchnąć potwory, ale te tylko się uchylały, unikając uderzeń lśniącego miecza i kontynuowały atak. Ludzie przebiegli obok zauważonych wcześniej drzwi z wizerunkami smoków.

Barbarzyńca pomyślał, że to mogłaby być niezła kryjówka. Gdyby pokój za tymi drzwiami nie miał innych wyjść, to można by się w nim utrzymać do nadejścia gnomów. Pobiegł jednak dalej. Co z tego, że gruby brąz wytrzyma nawet uderzenie taranem? Jeśli Totlantowi udało się rozbić o wiele mocniejszą bramę, to co będzie, jak się tu przywlecze miejscowy czarownik? Zwyczajnie ich uwędzi!

Pierwszy biegł Giliom. Nie dlatego, że był tchórzem i rzucił się od ucieczki przy pierwszej nadarzącej się okazji. Nie. Gunder z bratem szli w awangardzie, osłaniając pozostałych. Tuż za nimi biegł Vellan, jako następni Ertel i Emert. Szereg zamykał potężny Cymmerianin.

Giliom miał pecha. Ogromnego pecha. Urodzony myśliwy, pochodzący z aquilońskiej prowincji Gunderlandia, gdzie pięcioletnie dzieci tropią jelenie, nie wyczuł niebezpieczeństwa.

Korytarz, którym pędzili, ostro skręcił. Giliom wbiegł za róg i z rozpędu wpadł w nieprzyjacielskie objęcia. Za zakrętem czekali na nich. Dziesięć półwilków z czarownikiem na czele. Gunder poznał go po czarnej kuli w ręku.

— Uciekajcie! — wrzasnął. — Uciekajcie! Tutaj jest czarownik! — Wyrwał się z chwytnych szponiastych łap, odskoczył, wystawił przed siebie dwa miecze i bez namysłu zaatakował najbliższego wilkołaka — wysokie wielkie zwierzę o srebrnej sierści.

Gunder nie widział nocnej ceremonii i nie miał pojęcia, że to przywódca stada.

Wilkołak lekko uchylił się od śmiertelnego, jak sądził Giliom, ciosu i zaatakował pazurami nadgarstek człowieka. Ostry ból — prawa dłoń sama się otworzyła, wypróbowany w walkach miecz z brzękiem upadł na obsydianową podłogę... Gunder urzeczony patrzył, jak po nieruchomych palcach płynie cienkimi czerwonymi strużkami krew. Jego krew. Chyba ścięgnięta są poprzerywane, pomyślał jeszcze przytomnie i nagle spłynęła na niego pewność — nie przeżyje tego starcia.

Przywódca pozwolił przeciwnikowi ochłonać i z udawanym zainteresowaniem patrzył na swoje zakrwawione pazury.

W oczach Gundera zabłysła świadomość końca. Zrozumiał, że do tej pory żyje tylko dlatego, że srebrzysty chce się z nim pobawić. Przy próbie ucieczki czarownik uderzy go błyskawicą z kuli. No cóż... Dopóki wilkołaki będą zajmować się nim, jego przyjaciele zyskają trochę czasu na ucieczkę.

Giliom na chwilę zamknął oczy i w myślach pożegnał się z Gartem. Oblizał wyschnięte wargi i rzucił się na czarownika, robiąc zamach zdrową lewą ręką. Magiczna kula, do tej pory czarna, zabłysła czerwonym oślepiającym światłem.

— Twoja dusza należy do mnie — rozległ się w głowie Gilioma czyjś bezcielesny głos i w tej samej sekundzie wszechogarniający ból zagłuszył świadomość. Przepalony na wylot, Gunder z krótkim krzykiem poleciał do tyłu i runął na obsydianową podłogę.

Monstra na ścianach uśmiechnęły się z zadowoleniem.

VIII

Kiedy Vellan usłyszał ostrzegawczy krzyk Gilioma, rzucił się do przodu i zdążył złapać Garta za ramię, zanim ten skoczył przed siebie. Gunder szarpał się wściekle i próbował się wyrwać.

— Puść! Puść mnie, tam jest mój brat!

— Tam jest czarownik — zasyczał w odpowiedzi Brythuńczyk. — Giliomowi już w niczym nie pomożemy...

Ertel podbiegł i wczepił się mocno w Garta. We dwóch pociągnęli zaciekle opierającego się Gundera w stronę pozostałych.

— Puście mnie! Giliom! On tam zginie! Puście mnie, do licha!

Zza rogu dobiegło krótki wycie, zamierającym echem odbijające się od ścian. Gart przeciągle krzyknął, nie wiadomo jakim cudem wyrwał się z rąk przyjaciół. W biegu wyrwał miecz z pochwy i pomknął korytarzem. Vellan rzucił się za nim, nie do końca świadom, co robi, ale ktoś szarpnął go za kurtkę — kolczugi od tamtej pamiętnej walki Brythuńczyk nie zakładał — i zatrzymał. Vellan ze złością się odwrócił, gotów zabić każdego, kto próbuje go powstrzymać, i zamarł. Ręka należała do Conana. Barbarzyńca popatrzył w ślad za znikającym za zakrętem Gartem i coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Vellan przestał się wyrwać.

Do osłupiałych ludzi dobiegł żaloszny jęk, zastąpiony wściekłym bojowym okrzykiem. Brzęk mieczy złał się z żalobnym wyciem.

— Chyba udało mu się zemścić — suchym i jakimś obcym głosem powiedział Cymmerianin. — A potem my albo gnomy pomścimy ich obu. Idziemy. Mamy jeszcze jedną możliwość — te drzwi obok schodów.

Odwrócili się i pobiegli z powrotem. Teraz na czele oddziału gnał Conan, odganiając Rangildorem napływające z naprzeciwka wilkołaki.

Oto i brązowe drzwi. Obok nich stało kilka wilkołaków, które zaryczały na widok wybiegających z przejścia ludzi. Cymmerianin gwałtownie skoczył do przodu, dosięgnął mieczem jednego z półzwierzy. Wilkołak, rozcięty niemal na pół, grzmotnął na podłogę, pozostali z przerażeniem rozbiegli się. Vellan chwycił za pierścień, który ścisnął w paszczy metalowy smok, żeby — na dobre czy na złe — otworzyć skrzydła, gdy z głębi korytarza dobiegł krótki krzyk i zapadła kompletna cisza.

— Koniec — wyszeptał Ertel; przełknął łyżę i także chwycił za pierścień. Wilkołaki triumfalnie zawyły. Conan zrobił krok w ich stronę i stwory od razu zamilkły i wycofały się. Vellan i Ertel wspólnymi siłami wreszcie odciągnęli ciężkie skrzydło. Zobaczyli długą i szeroką salę. Oświetlały ją cztery wielkie świeczniki pod sufitem i wąskie promienie słońca padające przez wąskie wysokie okna, przypominające otwory strzelnicze. Na ścianach wisiały czarne i czerwone gobeliny, czy może chorągwie. Ale najważniejsze, że nie było tam innych drzwi! Skrzydła otwierały się na zewnątrz i miały imponującą zasuwę, którą Conan, który wszedł ostatni, od razu umieścił na właściwym miejscu.

— Teraz utrzymamy się tu nawet rok — oświadczył pewnym głosem Fram. — Mój topór łaknie krwi!

— Obejdzie się — burknął Conan, wycierając miecz połą kurtki. Ludzie stali przy drzwiach. Zabrakło im odwagi, aby wkroczyć do sali. Nie było już ich zbyt wielu, raptem ośmioro, w tym dziewczyna, gnom i stary człowiek. Ten ostatni z przekonaniem twierdził, że nie straszny mu żaden wilkołak.

— Nie podoba mi się tu — oświadczył stanowczo Totlant, gdy rozejrzał się dookoła. — Nie wiem dlaczego, ale nie i koniec. Musimy się stąd zabierać, musimy natychmiast stąd wyjść, rozumiesz, barbarzyńco?

Stygijczyk wyglądał na przerażonego, chociaż bardzo starał się to ukryć. Poszedł w stronę wyjścia, ale Conan zagroził mu drogę.

— Przystań, Totlantcie — powiedział ze zmęczeniem Cymmerianin. — Już straciliśmy dwóch ludzi, pokój ich duszom na Szarych Równinach. Wiesz, że nie lubię twojego narodu i nie dowierzam magom, ale teraz proszę cię — zostań, jesteś nam potrzebny. Pamiętam twoje wczorajsze słowa, że jeśli tak mi spieszo, by umrzeć, powinienem zrobić to tak, żeby przynieść jak najwięcej pożytku dla naszej sprawy. Dzisiaj ja powiem ci to samo... I przestań nazywać mnie barbarzyńcą, niech to Set porwie!

Czarownik popatrzył z dołu w intensywnie błękitne i zimne jak lód oczy Conana, skinął głową i w milczeniu odszedł od drzwi.

Oddział wyglądał źle. Erhard w zadumie skubał siwy wąs, Vellan siadł w kącie, utkwiał wzrok w podłodze i co chwila odrzucał do tyłu spadające mu na oczy złote pasma. Ruch jego ręki stawał się coraz bardziej nerwowy. Emert bez sensu przeliczał strzały w kołczanie, mylił się i zaczynał od początku. Po jego złamanym nosie ściekał pot zmieszany z krwią — jakiś wilkołak zdążył chlasnąć łuczника po twarzy. Fram oparty na swoim toporze oglądał ściany, ale czuło się, że gnomowi też się tu nie podoba. Ertel bezgłośnie płakał, zagryzając wargi do krwi. Selena niemal upadła pośrodku sali i teraz siedziała, od czasu do czasu z całych sił szarpała swoje loki i usiłowała nie stracić przytomności. Z nią było najgorzej. Ale Conan, oglądając swoje przeredzone i przygnębione wojsko, podszedł nie do niej, lecz do Ertela. Siadł obok niego i objął nieposkromionego żartownisia za ramiona:

— Boli?

— Oni byli moimi przyjaciółmi, moimi najlepszymi osobistymi przyjaciółmi! — zaczął przez łzy Ertel. — A wczoraj się z nimi posprzeczałem i teraz już nigdy — słyszysz, już nigdy! — nią będę mógł powiedzieć: „No dobra, Gart, przepraszam, jeśli coś nie tak”. On by mi wybaczył. Oby zostały przekłete! Wszystkie, wszystkie... — zazgrzytał zębami. Barbarzyńca potrząsnął go za ramiona:

— Trzymaj się. Nie tylko tobie jest ciężko. Wszystkich nas boli, że oni zginęli, ale odłożmy ich oplakiwanie do chwili, kiedy zwyciężymy. A teraz weź się w garść i przygotuj miecz. Czuję, że wkrótce będzie tu bardziej gorąco niż w piekle, a zostało nas niewielu. I musimy przeżyć. Polegam na tobie, słyszysz, Ertel?

— Tak. — Ertel trzęsącymi się rękami otarł twarz. — Dobrze. Postaram się. — Niezbyt pewnie wyciągnął miecz z pochwy i położył obok siebie.

— I wy wszyscy! Nie myślcie nawet o tym, żeby się rozkleić! — zwrócił się do pozostałych Conan. — Wydostaniemy się!

Wydostaniemy się, jasne... Ośmiu ludzi przeciwko czterdziestce urodzonych zabójców, pomyślał. Za najlepszych czasów nie władowałem się w taką plugawą historię! I na dokładkę stygijski czarownik! Gdzie są te przekłete gnomy? Czyżby zostawiły nas tu na pewną śmierć?

— Trald, klnę się na Przedwiecznego, zostało już nie więcej niż trzy kroki!

— Masz rację. Nawet jeśli ludzie zginęli, pomścimy ich. Topory gnomów do syta napiją się świeżej krwi!

— I skończymy z zagrożeniem naszych sztolni!

Hirdmani pracowali bez wytchnienia. Niektórzy wzięli ze sobą kilofy i teraz tłukli nimi z całych sił. Gnomy z uporem rozbierały zawał, podając z rąk do rąk wyciągnięte kamienie. Robota jak zwykle paliła im się w rękach, ale czy zdążą...?

— Ściana! Ściana się rusza! — wykrzyknął Ertel.

— Co ty pleciesz... — zaczął Conan, ale przerwał w pół słowa, widząc, jak ogromna i wyglądająca na jednolitą obsydianowa płyta powoli się obraca. Cymmerianin od razu wszystko pojął. Ale teraz mógł tylko w myślach chwycić się za głowę i skląć się najgorszymi słowami.

Jak mógł się tego nie domyślić? I on się uważa za doświadczonego wojownika! Ile razy sam zaganiał przeciwnika w wybrane przez siebie miejsce i sprawiał, że wrogowie zaczynali się czuć bezpiecznie! Drzwi, przez które tu weszli, na pewno już są zamknięte od zewnątrz i dodatkowo chronione zakłęciami. Wpadli.

Gdy ogromna płyta obracała się powoli, w ścianach otworzyły się tajne przejścia, przez które do sali przeniknęły wilkołaki. Ustawiały się pod ścianami. Nie atakowały.

— W krąg, szybko! — zakomenderował Erhard.

Oddział stanął w kręgu, wystawiając przed sobą miecze. Pobladłą Selenę wepchnięto do środka.

Płyta w końcu obróciła się do końca, ze szcękaniem ustawiła się na właściwym miejscu i ukazała zebrany kamienny pomost z umocowanym na nim zwykłym drewnianym fotelem. W nim, ściskając w łapach talizman, siedział czarownik wilkołaków. Po jego prawej stronie radośnie uśmiechał się z czerwonym językiem wywalonym na brodę srebrzysty przywódca.

— Radzi jesteśmy powitać was, drodzy goście, w Wirującej Sali — dał się słyszeć niski i lekko kpiący głos czarownika. — Mam nadzieję, że wszyscy zrozumieli, skąd ta nazwa? — Zrobił pauzę i unosząc spiczaste wilcze uszy udał, że uważnie nasłuchuje. — Co, co? Nie słyszę odpowiedzi. No dobrze, nieważne. Myślę, że nie macie złudzeń odnośnie swojego losu? Tym, którzy jeszcze nie do końca zrozumieli, wyjaśniam — wszyscy umrzecie. Ale na początek porozmawiamy. A dla wygody z pewnych osób zdejmujemy maski.

Z ciemnej matowej kuli popłynęło purpurowe światło.

— Nieee! — krzyknął rozpaczliwe Ertel. — Nie chcę!

Conan nie zdążył zapytać, czego on nie chce... Zresztą i tak już wszystko zrozumiał...

— Przekonywaliście mnie, że to nieprawda — powiedział z goryczą Cymmerianin. — Dlaczego nie powiedzieliście od razu, łajdaki? Baliście się, że nie zrozumiem?

Na miejscu oddziału stały zwierzęta, niemal niczym nie różniące się od tych, które ustawiły się pod ścianami sali. Dwa półwilki i trzy prawdziwe wilki, jeden z nich wyraźnie mniejszy. Mały zwierz podniósł głowę i ze smutkiem zawył. Drugi, większy, o jasnej sierści, z błyszczącymi niebieskimi oczami, capnął go za grzywę, żeby przestał.

Fram przecierał oczy i szczypał się w ucho, ciągle nie mógł uwierzyć. Stygijczyk stał niewzruszony jak mumia.

Dla Conana przemiana nie była zbyt niespodzianką. Z aluzji i słów, które wrywały się jego przyjacielom już dawno domyślił się ich drugiej natury, ale nie chciał przyspieszać biegu zdarzeń. No i proszę, doczekał się. Okazuje się, że podejrzewać to jedno, a wiedzieć na pewno to zupełnie inna sprawa.

Barbarzyńca chwycił gнома za ramię i wypchnął go z kręgu, sycząc do Stygijczyka:

— Totlant, tutaj! Fram, kryj mnie z tyłu! Niech myślą, że pomiędzy nami doszło do rozdźwięku!

Erhard, ogromny, zupełnie siwy półzwierz wyszczerzył kły i głucho zaryczał:

— No co, dopiąłeś swego?

— Staram się — parsknął czarownik. — Powiedz mi, setniku, jak to jest, zabijać sobie podobnych?

— Tacy jak wy są zwierzętami. Nie zasługujecie na życie. Ludzie również zabijają swoich, jeśli zagrażają pozostałym. — Erhard mówił niewyraźnie, chrypiał i kaszlał. Conan rozumiał, że setnik od wielu lat nie przemieniał się i odwykł od wilczego gardła.

— Zabawne — wzruszył ramionami czarownik. — Ludzie ciągle się zarzynają. Dla rozrywki, bez powodu, ot, tak sobie. Nie ma dla nich miejsca na ziemi. My, wilkołaki, jesteśmy Karzącą Dłonią Stwórcy i my oczyścimy ten świat od ludzkiego plugastwa! — Oczy czarownika zapłonęły fanatycznym ogniem. — I zaczniemy od razu. Należycie do naszego rodu, ale zdradziliście nas i dlatego zginiecie tak samo jak ludzie, których z takim zapałem broniliście. I ten kamienny robak, gnom, też. A właśnie, Cymmerianinie. — Odwrócił się do

Conana. — W żaden sposób nie mogę pojąć, jak im się udało owinać cię wokół palca. Zresztą, teraz to nieważne. Twoja dusza też mi się przyda. Jak będziesz na Szarych Równinach — przekaż pozdrowienia swoim przyjaciołom. Oni zaraz do ciebie dołączą.

Conan zrozumiał, że na tym jego długie życie chyba się zakończy. Uciekać nie ma dokąd, uratować się nie sposób. Zachciało mu się przejażdżki do Królestwa Kresowego...

— Aaa! — niemal ludzkim głosem zawył malutki wilk, przenikał pomiędzy innymi i ogromnymi susami pobiegł przez salę. Pomiedzy kręgiem wilkołaków i ludźmi było jakieś dziesięć kroków.

— Czarownik uśmiechnął się złośliwie i z płonącej kuli wyleciała purpurowa błyskawica. Selena odepchnęła się mocno i wyskoczyła w powietrze, w locie przyjmując ludzką postać. Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić, zawisła na szyi Conana.

— Przekłęta dziewczucha! — krzyknął rozdrażniony czarownik. Cymmerianin zdążył pochwyć lecąca ku niemu dziewczynę.

Niemal w tym samym momencie jego pierś coś oparzyło. Selena nieoczekiwanie zwiotczała na rękach osłupiałego barbarzyńcy. Dopiero wtedy zobaczył okropną ranę ze spalonymi brzegami, która pojawiła się na plecach dziewczyny-wilkołaka.

— Bydłę! — z potężnych płuc Conana wyrwał się mimowolny krzyk. Ostrożnie położył okaleczone ciało dziewczyny na obsydianowych płytach i przykucnął obok. Dziwne, ale twarz Seleny wyglądała na spokojną, a nawet lekko uśmiechniętą.

— Niech i tak będzie — czarownik nerwowo wyszczerzył wilcze zęby w krzywym uśmiechu. — Ale nawet to cię nie uratuje.

— Naprawdę? — zapytał spokojnie milczący dotychczas Totlant. — Zaraz zobaczymy...

Z końcówki długiego kostura maga spłynęła jaskrawozielona nić i szybko oplótła czarny talizman szmaragdową pajęczyną. Pysk czarownika — wilkołaka wykrzywiła nie udawana wściekłość.

— Co, postanowiłeś zmierzyć się ze mną, ludzki szczeniaku? To ci się nie uda!

Gęsta zielona sieć zaczęła pękać nitka po nitce. Twarz Stygijczyka skamieniała z napięcia, strumieniami ściekał z niej pot, ściskające kostur palce zbieleły i zatrzęszczały, ale mag nie poddawał się. Wydawało się, że wszyscy zastygli, nawet barbarzyńca, który bezmyślnie patrzył na martwą przyjaciółkę.

— Conanie — zasyczał przez zęby Totlant. — Zrób coś! Szybko! Albo naprawdę koniec z nami! Barbarzyńco, a niech cię!

Cymmerianin wreszcie się ocknął. Zerwał się na równe nogi i chwycił obiema rękami rękojeść Rangildora. Wyszeptał: Cromie, pomóż! i z dzikim krzykiem cisnął miecz w czarownika, wkładając w ten rzut całą swoją siłę.

Niemal w tej samej chwili pękła ostatnia zielona nić, oplątująca czarną kulę i pomknęła z powrotem do kostura, który ją zrodził. Czarownik szczeptał z radości i razem z kawałkiem pajęczyny posłał Stygijczykowi niewielki „podarunek”.

Totlant zdążył tylko krzyknąć. Jego kostur rozleciał się w drzazgi, maga liznął szatański ogień. Stygijczyk znowu krzyknął, tym razem z bólu, i zrobił krok do tyłu. Wtedy z jego nosa, ust i uszu chlusnęła krew. Mag zachwiał się i upadł na wznak. Pod nim szybko zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

Z gardła czarownika wyrwał się triumfalny pisk, wilkołak odwrócił się do barbarzyńcy... i zobaczył lecąca w stronę jego tronu oślepiającą Gwiazdę Zrywającą Maski. Ryk radości zmienił się w wycie przerażenia.

Rangildor z traskiem uderzył w czarną kulę, rozbił ją na tysiąc kawałków, poleciał dalej i wbił się w pierś czarownika, odrzucając go do tyłu.

Z rozbitego talizmanu wyleciały czerwone promienie, jak wachlarz pomknęły ku sufitowi. Przez chwilę Conanowi wydało się, że słyszy dziesiątki radosnych głosów, zlewających się w jeden entuzjastyczny krzyk triumfu, a wśród nich dwa doskonale znajome — Gilioma i Garta...

W chwilę później promienie zniknęły, a rozsypane kawałki kuli z sykiem przemieniły się w mgłę. Jak lód, który upadł na rozgrzaną powierzchnię.

Oczy czarownika rozszerzyły się, zakrzywione palce chwyciły ostrze Rangildora, sterczące z jego piersi. Konający chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Podbródek wilkołaka, który przemienił się już w człowieka z głuchym stuknięciem opadł na pierś.

Conan rozejrzał się ze znużeniem. Wszystkie półwilki w niemym przerażeniu patrzyły na ciało przygwożdżonego do tronu czarownika i na przywódcę, który jak słup zastygł obok. Ertel i Vellan już w ludzkiej postaci próbowali pomóc Stygijczykowi, bo pomimo sporego upływu krwi jeszcze dawał oznaki życia.

Barbarzyńca poczuł nagle ogromną pustkę. Nieoczekiwanie postanowił: jeśli dzisiaj przeżyję, pojedę do Brythunii. Znajdę tego ich głównego wodza, nawet gdybym miał przetrząsnąć cały kraj. Odszukam go i nawinę mu kiszki na uszy!

Dokładnie w chwili, gdy w Wirującej Sali umarł czarownik wilkołaków, gnomy zburzyły ostatnią ścianę, dzielącą je od piwnic świątyni. Podziemni wojownicy pałali żądzą zemsty i biada temu, kto stanąłby na ich drodze.

Srebrzysty przywódca szybko otrząsnął się z osłupienia. Nieoczekiwanie zrobił krok do przodu i błyskawicznie przemienił się z półzwierza w człowieka. Wkrótce obok tronu stał jasnowłosy mężczyzna o jasnej brodzie, mniej więcej w wieku Conana i podobnie zbudowany. Nie szukał odzieży, tylko gestem sztukmistrza wyciągnął spod tronu dwa długie miecze. Potem powoli zszedł z podwyższenia i podszedł do barbarzyńcy.

— Cymmerianinie. — Jego głos pasował do wyglądu, był niski i donośny. — Słowo honoru, żałuję, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach wojennej ścieżki. I szczerze mi przykro, że zginęła twoja przyjaciółka. Ale nie mogę zdjąć nałożonego na mnie obowiązku. Proponuję ci uczciwy pojedynek. Jeśli ty zwyciężysz — moi wojownicy wypuszczą was wszystkich na wolność. Jeśli ja — wybac, ale zginiesz, a wraz z tobą twoi przyjaciele. Obiecują, że umrą szybko i bez bólu. Zgoda?

— Walka na śmierć i życie? — upewnił się Conan.

— Tak — skinął głową przywódca. — Wybierz miecz, specjalnie zrobiono je do pary.

Barbarzyńca wziął jeden z mieczy — prostych i bez zbędnych ozdób, wykonanych zapewne gdzieś w Hyperborei, a może nawet w Cymmerii — i kilka razy machnął nim na próbę. Miecz był wspaniale wyważony, rękojeść nie ślizgała się w dłoni, a klingę zrobiono z doskonałej stali.

— Ten — zdecydował Conan. Miecze były jednakowe, ale jeśli pojedynek ma być uczciwy, trzeba wyrównać szansę pod każdym względem. Barbarzyńca ściągnął kolczugę, potem kurtkę i koszulę, dorzucił do nich zdjętą z pasa pochwę z kindzałem. Obejrzał się i gestem przywołał Vellana. Brythuńczyk podszedł do niego, jednak nie patrzył mu w oczy.

— Potrzyj — Conan podał swoje rzeczy. — Ale się tych wilkołaków namnożyło, dajcie spokój... Normalny człowiek nie ma gdzie nogi postawić. Co z Totlantem?

— Żle — Vellan wzruszył ramionami i niepewnie zapytał: — Nie gniewasz się na nas?

— A czy mam za co? — odciął się Cymmerianin. — Dobra, potem pogadamy... jeśli przeżyjemy.

— Powodzenia — powiedział Brythuńczyk i szybko dołączył do oddziału w kącie.

— Zaczynamy? — Conan cofnął się o kilka kroków i zasalutował przeciwnikowi mieczem. Wilkołak zrobił to samo.

Stado przezornie przywarło do ścian. Conan mimochodem zauważył, że wilkołaki niepostrzeżenie otoczyły oddział, że kaszłającego Totlanta próbują ocucić, a ciało Seleny, już zawinięte w czyjś płaszcz, położono w kącie sali i obok niego stoi mroczny jak chmura gradowa Erhard.

Przeciwnicy, których dzieliło około dwudziestu kroków, zaczęli podchodzić do siebie. Przywódca, by rozruszać dłoń, wywijał klingą na wszystkie strony. Conan z lekką zawiścią

zauważył, z jaką wirtuozerią koniec miecza kreśli fale w powietrzu. Zamoryjscy złodziejaskowie zzieleniliby z zazdrości. Umieją radzić sobie w ten sposób z długimi kindżałami, ale żeby ciężka klinga tak trzepotała...

Cymmerianin nic takiego nie robił. Jego krzepkie, pokryte odciskami ręce mocno obejmowały rękojeść miecza. Skierowane nieco w górę ostrze chwiała się lekko w rytm ruchów barbarzyńcy.

Wrogowie szli miękkim sprężystym krokiem urodzonych wojowników. Poczucie pustki opuściło duszę Conana, zastąpił je bojowy zapach i słodki przedsmak wspaniałego starcia z prawdziwym przeciwnikiem. Obrzydło mu rąbanie plugastwa i zwyrodniałych kmieci!

Zastygli na odległość ciosu i przez chwilę przyglądali się sobie uważnie. Zimne błękitne oczy barbarzyńcy badały jasnozielone tęczówki wilkołaka. Właśnie coś w nich drgnęło i przywódca zadał pierwszy cios — prosty, z góry. Conan sparował go, ostro odbijając klingę i zaatakował na średnim i niskim poziomie. Błyskawiczna seria ciosów, i na biodrze wilkołaka pojawiło się pierwsze zadrapanie — nie zdążył w porę odskoczyć. Conan zgrzytnął zębami. Był niezadowolony z siebie — jedyny cios, który dosięgnął celu, miał odrąbać wrogowi nogę, a klinga tylko zarysowała jasną skórę...

Wilkołak pojął już styl swojego przeciwnika i znowu zaatakował. Ostrza ze szczękiem spotykały się i odskakiwały od siebie. Wrogowie krążyli po sali. Upojenie walką sprawiło, że przestali widzieć cokolwiek wokół siebie. Obaj zdążyli już ponieść kilka nieznaczących ran, ale nie zwracali na nie uwagi.

Barbarzyńca odbijał i zadawał ciosy, krążył, robił uniki. Coraz wyraźniej rozumiał, że przeciwnik jest od niego i silniejszy, i zręczniejszy, i lepiej włada mieczem. Co prawda przewaga była nieznacząca, ale jednak... Wilkołak nie miał za sobą wspinaczki po górach, nocy wypełnionej krzykami umierających i pewnie nie walczy z pustym żołądkiem... Kiepska sprawa.

Koniuszek wrogiego miecza przejechał Conanowi po brzuchu, zostawiając rysę, która zaczęła napływać krwią. Gdyby barbarzyńca stał trochę bliżej, zbierałby teraz własne kiszki z podłogi, a tak tylko zerknął w dół i lekko się uśmiechnął. Przywódca odpowiedział uśmiechem i klingi znowu się skrzyżowały.

Walka całkowicie pochłonęła Cymmerianina. Myślał wyłącznie o swoim przeciwniku, miecz stał się jakby przedłużeniem jego ręki. Conan zachwycał się każdym ciosem, każdym mistrzowsko przeprowadzonym atakiem i obroną. Nie martwiło go już, co się stanie, gdy jeden z nich popełni błąd i kawał mięsa bez czucia zwali się na czarny obsydian. Po raz pierwszy od wielu lat spotkał godnego przeciwnika, który w niczym mu nie ustępował.

Obecni nie odrywali wzroku od walczących. Napięcie rosło i, co było oczywiste, każdy życzył zwycięstwa swojemu wojownikowi.

Ertel bezgłośnie szeptał modlitwy i ostrożnymi kroczkami skradał się do fotela z nieruchomym ciałem czarownika. Póki wszyscy zachwycają się walką, warto spróbować wyciągnąć Rangildora. Nawet jeśli Conan zwycięży, nie wiadomo, czy stado spełni obietnicę martwego przywódcy.

Nikt nie zauważył zabiegów Ertela i w pewnym momencie przyszedł mu głowy wariacki pomysł — żeby podciąć gardła wszystkim zauroczonym widowiskiem wilkołakom... Uśmiechnął się do tej myśli i poszedł dalej.

Walka trwała długo i przeciwnicy zaczęli się męczyć. Miecze nie śmigały już tak lekko w rękach. Większość ciosów, wprawdzie osłabionych, ale jednak sięgała celu. W niezłomnej obronie przywódcy zaczęły pojawiać się rysy. Wojownicy ciężko oddychali, z licznych ran kapłała krew.

Następny cios, który spadł na Conana, barbarzyńca sparował płaską stroną klingi i poprowadził w dół. Nagle barbarzyńca pojął, jak jednym ruchem pozbawić przeciwnika broni. Gwałtowny skręt z wywinieniem, szarpnięcie na siebie — i klinga wilkołaka, niczym żywa

istota, wyrwała się z palców swojego pana, przeleciała nad głową Conana i brzęknęła o posadzkę gdzieś daleko z tyłu.

Z piersi wilkołaków wyrwało się westchnienie przerażenia. Kosmaty tłum zachwiał się do przodu. Do Cymmerianina doleciały okrzyki jego towarzyszy:

— Wal! Kończ z nim, Conan!

Barbarzyńca nie skorzystał z okazji. Nie mógł tak po prostu zabić przeciwnika, który podarował mu taki piękny pojedynek. Dopóki Cymmerianin stał zmieszany, pozbawiony miecza wilkołak skoczył do przodu i z rozmachu zdzielił go w szczękę. Conan stracił równowagę, odleciał na trzy kroki, upadł, przejechał plecami po twardym kamieniu, ale miecza z rąk nie wypuścił. Przywódca nie dał mu ochłonąć, kopnął go w dłoń. Conan wściekle wrzasnął, ale nic już nie mógł zrobić — klinga przejechała kilka kroków i zatrzymała się z brzękiem.

— Walczymy dalej? — zaproponował wilkołak, zaciskając pięści.

— Z przyjemnością — uśmiechnął się Conan. Ostro odepchnął się rękami, zrobił fikołka do tyłu i zerwał się na nogi.

Przywódca atakował. Zadawał tak mocne ciosy, że Conan, stary pięściarz, oszołomiony osłaniał rękami głowę. Nie przeszkodziło to wilkołakowi w zadaniu kilka bolesnych uderzeń z lewej strony. Cymmerianin ciągle nie mógł odskoczyć od przeciwnika na bezpieczną odległość.

Rozzłoszczony barbarzyńca poczekał na odpowiedni moment i po kolejnym ciosie wilkołaka uderzył go głową w brzuch. Przywódca zgiął się, zaczął chwytać ustami powietrze, a Conan z wielką przyjemnością oddał mu cios w szczękę i nie pozwalając się podnieść, zaczął kopać. Wilkołak uchylał się, w końcu zdołał chwycić Cymmerianina za nogę i przewrócić go. Barbarzyńca grzotnął głową o podłogę. Na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale zanim powróciła zdolność orientacji, ciało samo zrobiło co trzeba. Conan spostrzegł, że biegnie w stronę wytraconego miecza. Wilkołak też pochwycił swoją klingę.

— No i jak, kończymy rozmowę? — zapytał zmierzającego powoli w jego stronę Conana.

— Chyba tak... było mi bardzo przyjemnie... porozmawiać z tobą... — odezwał się Cymmerianin.

— Nawzajem — skinął przywódca. — Ale ktoś będzie musiał pożegnać się z życiem.

Conan ze smutkiem kiwnął głową. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby zakończyć pojedynek zgodą. To miała być walka na śmierć i życie. A szkoda.

Posypały się twarde, gwałtowne ciosy, nawet teraz nie pozbawione elegancji, właściwej tylko prawdziwym mistrzom.

Przywódca w czasie kolejnego wypadu zbyt odsonił rękę i barbarzyńca momentalnie wykorzystał moment. Wilkołak chciał szybko naprawić swój błąd, ale dało o sobie znać zmęczenie — miecz Cymmerianina dosięgnął celu. Klinga głęboko rozcięła nadgarstek i przecięła ścięgna. Przywódca w ostatniej chwili zdążył pochwycić rękojeść lewą ręką. Na szczęście dla niego, władał nianie gorzej niż prawą. Rozczarowany Conan znów musiał zacząć się bronić.

Jednak wilkołakowi nie na długo starczyło sił. Czuł, że z każdą kroplą krwi, płynącej po nieruchomej dłoni, wycieka jego siła. Słabł w oczach. Przegrywam, pomyślał ze znużeniem przywódca i z wielkim wysiłkiem zebrał resztkę sił. Na Cymmerianina spadło kilkanaście ciosów. Może barbarzyńca wyczuł niepewność przeciwnika, a może po prostu postanowił zachować opanowanie — nie wiadomo. Ale spokojnie odbił najbardziej chytre wypady.

Wilkołak w pewnej chwili było włos od zwycięstwa — jego klinga omal nie zerwała barbarzyńcy skalpu razem z wierzchołkiem czaszki. Cymmerianin jednak w ostatnim momencie odskoczył i skończyło się na lekkim cięciu. Przywódca wzniosł miecz do kolejnego ciosu... i nagle zatrzymał się ciężko dysząc. Z jego przeciętej dłoni kapąła krew, z kącika ust ciekła ślina. Kilka razy splunął na podłogę, podniósł głowę i popatrzył na przeciwnika.

Cymmerianin wyglądał nie lepiej. Oddech rwał mu się w piersiach, jak u zgonionego byka, po twarzy spływały czerwone strużki, skierowany do przodu miecz wyraźnie drgał. Jednak spojrzenie barbarzyńcy pozostało twarde i skupione.

Wilkołak ciężko westchnął. Nadeszła pora, by umierać. Wystawił do przodu klingę i z ochryłym bojowym okrzykiem rzucił się do przodu. Conan spokojnie czekał na niego. Albo on albo ja, pomyślał. Innego wyjścia nie ma.

Przywódca zadał cios z nadzieją, że uda mu się przebić barbarzyńcę na wylot. Cymmerianin zrobił krok w prawo, lewą ręką chwycił nadgarstek wilkołaka. W tym samym momencie zapiekł go bok. Conan popatrzył w zamglone zielone oczy przeciwnika, a jego ręka z mieczem sama uniosła się i opuściła, głęboko wbijając klingę w pierś wilkołaka.

Z gardła przywódcy wyrwał się ochrypy jęk. Dłoń rozchyliła się, miecz, niepotrzebny już kawałek metalu, upadł na czarną podłogę. Conan puścił wilkołaka i dotknął własnej głębokiej rany w boku. Chyba nic poważnego, stwierdził. Zagoi się.

Wilkołak zrobił kilka kroków na chwiejnych nogach i upadł. Zgrzytając zębami zdołał chwycić rękojeść i powoli wyciągnął z siebie zakrwawioną stal. Zachorował i przewrócił się na plecy.

Wilkołaki otworzyły paszcze — wypełniony bólem i wściekłością krzyk przetoczył się po sali. A potem ruszyły do przodu.

— Niech odejdą żywi — wychrypiał przywódca, unosząc głowę. — Chcecie zhańbić moje imię?

Stwory zatrzymały się z niechęcią, zaciskając pięści. Ich oczy miały błyskawice, ale nikt nie ośmielił się sprzeciwić rozkazowi jeszcze żywego przywódcy.

Erhard pomyślał, że jak tylko srebrzysty odejdzie na Szare Równiny, stada nic nie powstrzyma. Ocaleli ludzie stanęli w kręgu, Totlant był w środku. Mag ciągle jeszcze żył, ale chyba trzymał się wyłącznie siłą woli.

Conan pochylił się nad umierającym przywódcą, ujął jego stygnącą rękę i mocno ścisnął.

— Zdradź swoje imię. Już dawno z nikim tak nie walczyłem...

— Derrek, książę Piewelly, do usług — wyszeptał ze zmęczeniem wilkołak. — Zwali mnie także Srebrną Błyskawicą. Nie powinienem być wiążać się z szaleńcami... Posłuchaj, spełnisz moją prośbę? Pochowaj mnie po ludzku, gdzieś w lesie... To dobrze, jak w górze śpiewają ptaki... — Oczy wilkołaka wypełniło marzycielskie ciepło. — Gdyby się nie udało, przysyp mnie kamieniami, ale nie pal. Proszę... — ścisnął rękę Conana i jęknął.

— Jeśli wyrwę się stąd żywy, zrobię to — obiecał z powagą Cymmerianin. — Przysługa za przysługę: powiedz mi, kim jest wasz wódz i gdzie go szukać.

Derrek z trudem pokręcił głową.

— Nie. To mój pan. Takie jest nasze prawo, nie mogę zdradzić wodza. Ale jeśli potrzebne ci czyjeś życie, szukaj na Kresach. Nowy król Hiarell. Ten łajdak złożył w ofierze mnie i moje stado, żeby udały się jego intrygi. Przez tego żalosego, żadnego władzy bydłaka zginęli moi najlepsi wojownicy! Zabij go! Słyszysz, zabij... — wilkołak resztką sił uniósł się na łokciu. — Zabij — wyszeptał z wściekłością.

Ręka ściskająca palce barbarzyńcy rozchyliła się i bezsilnie opadła na kamienie. Zielone oczy znieruchomiały, wpatrzone w wieczność. Derrek Srebrna Błyskawica, przywódca wilkołaków, umarł.

Conan wyprostował się i zacisnął pięści. Hiarell... Wszystko stawało się zrozumiałe. Napaść na cichej polanie, Valso, Halmun... Damalla też pewnie ma na sumieniu...

— Conan — wyskoczył skądś Ertel. — Trzymaj! — Wsunął w dłoń Cymmerianina rękojeść Rangildora. — Zaraz się na nas rzucą!

Okazało się, że oddział zdążył już wyjść ze swojego kąta i stanął gotów do obrony na pomoście. Wilkołaki z dzikim wyciem rzuciły się na szóstkę ludzi. Jednocześnie zagrzmiął głos gnoma, zagłuszając wszystkie dźwięki w sali:

— No, wreszcie mój toporek napije się wrażej krwi! Oddział odpierał zaciekle, ale bezładne ataki stworów, gdy od strony zamkniętej brązowej bramy rozległ się łoskot i bojowy okrzyk podziemnego plemienia.

— Topory gnomów! — Wydawało się, że od ryku wielu dziesiątek gardeł zawali się ściana.
— Gnomy idą!

Zrzucone z zawiasów skrzydła bramy runęły do środka, do sali wsypały się brodate karzełki, zakute od stóp do głów w lśniące zbroje. Wilkołak, który w tym momencie stał przed Conanem, obejrzał się, rozeźmiał jak szaleniec i rzucił się na Rangildora...

Zaczęła się rzeź. Gnomy wymachiwały ogromnymi toporami, masakrując wilkołaki. Część stworów próbowała skryć się w ściennych niszach, ale już tam na nie czekano...

Żaden z sześciu wojowników nie brał udziału w tej jatce. Ktoś pomógł Conanowi przewiązać bok; barbarzyńca nigdy nie dowiedział się, kto to zrobił. Potem Cymmerianin wytarł miecz w jakąś szmatę i zaczął się ubierać. Dwa gnomy w lśniących zbrojach zawile wyjaśniały, co je tak długo zatrzymało. Barbarzyńca nie słuchał — było mu wszystko jedno...

EPILOG

Hiarellowi, nowemu królowi Kresów śnił się zły sen. Widział w nim martwego Derreka, który przeklinał go za swoją śmierć... Hiarell z jakiegoś powodu był przekonany, że przywódca zginął w męczarniach. Za jego plecami dostrzegł stado, całe sześć dziesiątek...

Potem twarz Derreka zasnęła się mgłą i przemieniła się w oblicze tego ohydneho barbarzyńcy. Król krzyknął i obudził się, czując, że ktoś jest w pokoju.

— Miłego przebudzenia, Wasza wysokość — powiedział cicho jakiś drwiący głos. — Dzień dobry, że tak powiem.

Hiarell momentalnie pokrył się lepkiem potem i sięgnął po leżący pod poduszką kindżał.

— Jestem Totlant — tak samo kpiąco oznajmił głos. — Jeśli możesz, oświetl komnatę, niewygodnie tak rozmawiać po ciemku.

Zapłonął zielonkawy płomyk i w jego blasku król zobaczył stojących wokół łoża Erharda, Conana i jakiegoś nieznanego mu Stygijczyka, najwidoczniej wspomnianego Totlanta.

— Czego chcecie? — Głos Hiarella przeszedł w pisk.

— A jak myślisz, wilczku? — uśmiechnął się krzywo Conan. — Widzisz, pewien twój przyjaciel o imieniu Derrek bardzo prosił, żeby cię wysłać na Szare Równiny. Mówił, że bez ciebie się tam zanudzi — nie będzie miał komu przegryźć gardła. A nie mogę przecież odmówić spełnienia ostatniej prośby umierającego!

— Chcesz złota? — powiedział szybko Hiarell. — Dużo złota! Dwieście, trzysta tysięcy...

— Derrek miał rację, rzeczywiście wyjątkowe z ciebie bydło i łajza — stwierdził w zadumie Cymmerianin. — I coś mi się wydaje, że nikt się specjalnie nie zmartwi, jeśli znajdą cię jutro w tym przytulnym pokoiku z poderżniętym gardłem. Wiesz, jaka myśl przyszła mi niedawno do głowy? Że Kresy wcale nie są złym krajem, tylko potrzebują władcy o silnej ręce i twardym charakterze. I nawet znam człowieka, który pasowałby na to stanowisko. Erhardzie, chcesz zostać królem tego chlewu? Zobaczysz, za rok, dwa zrobisz z niego porządne królestwo.

— Mówisz poważnie? Myślisz, że mnie poprą? — zapytał z nadzieją Erhard.

— Poparli przecież tego bydlaka — wzruszył ramionami Conan.

— Ej, ty! Możesz wyrazić swoją ostatnią prośbę. — W ręku barbarzyńcy błysnął długi szeroki kindżał...

— Straż! — nie swoim głosem zawył Hiarell. Erhard i Conan parsknęli śmiechem.

— Nie drzyj się tak. Wszystkich strażników odesłaliśmy do „Korony i kostura” na piwo. No to jak, masz jakieś życzenie?

Hiarell skrzywił się. Wreszcie wymacał kindżał i spróbował grać na zwłokę.

— Tak. Mam. Opowiedzcie, jak wam się udało przeżyć i co z Derrekiem.

— Dobrze — Conan przysiadł na skraju łoża i zaczął szybko opowiadać blednącemu Hiarellowi całą historię.

— ...Trupy wilkołaków, które zginęły w świątyni, spaliliśmy. Selenę pochowaliśmy na skale obok jaskini. Derreka, tak jak obiecałem, zawiozłem do lasu i pochowałem pod potężnym, jak on sam, wiązem. Niech mu ziemia lekką będzie, a dusza spokojnie odpoczywa na Szarych Równinach. Totlant, jak widzisz, przeżył, chociaż całą drogę powrotną leżał w gorączce. Straciliśmy już nadzieję, a Stygijczyk jednak się z tego wygrzebał... Zadowolony? A teraz pora na spotkanie z Derrekiem...

— Idź do niego sam! — krzyknął król. Wyszarpnął spod poduszki kindżał i zrobił zamach.

— Po co to, Wasza wysokość? — powiedział z wyrzutem Conan; chwycił uniesioną rękę Hiarella i mocno ścisnął w nadgarstku. — Kto się tak obchodzi z bronią? Jeszcze się pokaleczysz... Przypadkiem, oczywiście. — Z tymi słowami Cymmerianin z chrzęstem

wykręcił dłoń Hiarella, wbijając w serce pechowego króla jego własny kindżał. Oczy byłego władcy wylazły z orbit. Runął na poduszki.

— Uczciwie go uprzedzałem — z udawanym żalem wymamrotał Conan. Potem wziął ze stolika u wezglowia złotą obręcz z trzema dębowymi liśćmi, poobracał ją w rękach, prychnął i podał Erhardowi.

— No co, umarł król, niech żyje król?

Trzy dni po koronacji i związanych z nią uroczystościach Conan zaczął pakować podróżny worek. Droga do Brythunii daleka, a tu za pasem siarczyste mrozy... W Aquilonii, jak słyszał, Piktowie się, uspokoili, na razie więc nie miał tam czego szukać.

Erhard zadziwiająco szybko oswoił się z nową rolą. W drugim dniu swojego panowania rozesłał już pisma z pozdrowieniami do najbliższych sąsiadów, czyli Aquilonii i Nemedii.

Na prośbę Conana pismo do Brythunii zostało chwilowo wstrzymane. Cymmerianina uroczyście mianowano posłem, jednak szybko scedował tą nieoczekiwaną godność na Ertela. Wujaszek-król wypomniął siostrzeńcowi wszystkie urazy, potem mu przebaczył i osobiście pobłogosławił, prosząc tylko o jedno — żeby na brythuńskim dworze zachowywał się jak najciszej. Teraz Conan miał przynajmniej jednego towarzysza podróży.

Wieczorem tego samego dnia zjawili się u niego Vellan i Emert. Podreptali przed progiem, pogapili się na podłogę i w końcu zmieszani poprosili o pozwolenie przyłączenia się do oddziału. Ładny mi oddział — dwóch ludzi, pomyślał Conan i łaskawie się zgodził. Jakby nie było, we czterech zawsze weselej. I z kim by się po drodze sprzeczał Ertel?

Erhard wypłacił barbarzyńcy tylko jedną czwartą należnych mu pieniędzy. Gdy Cymmerianin po powrocie do swojego pokoju przeliczył monety, okazało się, że dostał tylko dziesięć tysięcy. Wściekły natychmiast urządził skandal. Król rozkazał ściąć głowę skarbnikowi i dosypać barbarzyńcy jeszcze piętnaście tysięcy. Conan nieustępliwie zapytał, dlaczego tak mało.

Erhard pokornie opuścił wzrok i wyjaśnił, że po objęciu przez niego władzy okazało się, że skarbiec jest niemal pusty i oddał tyle, ile może. Przecież król, który dopiero co zasiadł na tronie, nie powinien pozostać bez grosza, prawda?! Nawet gdy chodzi o zapłatę zbawcy.

Conan poważnie wątpił w szczerść słów starego cwaniaka, ale nie klócił się i wziął, co dawali.

Totlant natomiast, który ciągle nie mógł się pogodzić z tym, że nie udało mu się poszperać w Czarnej Świątyni, po długim namyśle postanowił wyruszyć razem z Cymmerianinem. Księga Bytu... Przecież to takie interesujące...

— Może jednak zostaniesz? Mianuję cię dowódcą straży albo, jeśli chcesz, głównodowodzącym armii Kresów — po raz kolejny zaproponował Erhard, popatrując ni Cymmeranina, który wyglądał jak własny monument. Conan już siedział w siodle. Gniady źrebiec niecierpliwie grzebał kopytami i tańczył — nie chciało mu się stać w miejscu.

Słońce niedawno wzeszło, mieszkańcy pałacu i stolicy dopiero budzili się ze snu. Pięciu jeźdźców opuszczało Kresy.

— Nie, Erhardzie. Jestem tylko zwykłym poszukiwaczem przygód, nie umiem siedzieć w jednym miejscu — pokręcił przecząco głową barbarzyńca. — Wybacz. I nie przejmuj się, przecież wrócimy. Niech moja butelka „Starego króla” na razie leży u ciebie: Ale jak wypijesz sam, zabiję!

— A gdzie Ravaal? — przypomniał sobie Erhard. — Odesłałeś go do świątyni?

— Nie, mam go tutaj, w worku. Może ktoś pomoże biedakowi. Bywaj... Na wiosnę czekaj nas z powrotem.

— Do zobaczenia, Conanie. Powodzenia. Uważaj tam na mojego smarkacza, dobrze?

Jeźdźcy ruszyli i kłusem zjechali ze wzgórza, a potem skręcili w prawo, na hyperborejski trakt. Cymmerianin, który wyrwał się do przodu, przytrzymał konia, odwrócił się i pomachał ręką samotnej przygarbionej postaci stojącej przed ruinami murów.

Niewielki oddział wyjechał na szeroką, zasypaną śniegiem drogę ku północnym krajom. Wiatr rozwiewał czarne włosy Conana, w których lśniły już pierwsze siwe pasma.

Miną zaledwie trzy krótkie lata i zostanie królem wielkiego kraju. Ale teraz przed nim długa droga, nowe niebezpieczeństwa i niepokoje... Po cóż więc zastanawiać się poważnie nad tym, co będzie jutro...